

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ŚMIERCI ULOTNY
WOAL

Rasowy kryminał retro. Ryszard Ćwirlej po raz kolejny udowadnia, że jest prawdziwym mistrzem tego gatunku! Krzysztof Bochus



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ŚMIERCI ULOTNY
WOAL

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ŚMIERCI ULOTNY
WOAL



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Beata Mes

Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski

Korekta: Magdalena Siemiginowska, Katarzyna Smardzewska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Katarzyna Borkowska

Zdjęcie na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67176-80-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Gdy oczy wreszcie zmęczone zamknę,
mą twarz okryją zwiewnym szalem.
A uśmiech mój zastygnie martwy
pod śmierci ulotnym woalem*[\[1\]](#).

[\[1\]](#) Fragment wiersza znalezionego w zapiskach nieznanego niemieckiego żołnierza, poległego w bitwie nad Marną.

Prolog

Sobota

19 kwietnia 1930 roku

Godzina 10.10 w nocy

– Boże, nawet państwo nie wiedzą, jak bardzo jestem szczęśliwa, że ten seans odbędzie się właśnie u mnie – rzuciła z emfazą hrabina Eliza Kossobudzka von Zanthier, wdowa po pułkowniku Hermanie von Zanthier, który położył głowę podczas słynnej bitwy pod Tannenbergiem w Prusach Wschodnich, nie dożywszy chwały zwycięstwa.

– To rzeczywiście wielkie szczęście, ale i wyróżnienie, droga Eli – zgodziła się z nią jej najlepsza przyjaciółka, hrabina Barbara Zalewska. – Przecież wiemy, że Prosper Szmurło nie mógł dokonać lepszego wyboru, zważywszy na twoje zasługi dla wiedzy ezoterycznej i jej popularyzacji w świecie ciemnoty i zabobonu. W końcu to on był redaktorem czasopisma „Zagadnienia Metapsychiczne”, czyli człowiekiem, który najlepiej w naszym kraju, i zapewne w całej Europie, orientuje się w kwestiach paranormalnych i psychofizycznych. Jego wybór musiał być więc przemyślany i trafny. Zaręczam ci,

droga Eli, że on już wie najlepiej, komu w takich sprawach można zaufać najbardziej.

– Kochana jesteś, moja Barbi. Hermi byłby ze mnie dumny. Ach, jaka szkoda, że nie dożył dzisiejszego dnia. – Eliza szybko otarła niewidoczną łzę koronkową chusteczką. – Na pewno byłby szczęśliwy, że w naszym domu odbędzie się tak doniosły spektakl.

– Pozwolę sobie jednak zauważyć, łaskawa pani, że gdyby nie fakt chwalebnej śmierci szanownego małżonka, nie mógłby się pojawić dzisiaj, na co wszyscy liczymy – rzucił adwokat Marian Siekierczyński.

Jego kancelaria mieściła się na placu Wolności, czyli w samym centrum miasta, w którym krzyżowały się ścieżki poznańskich elit, gdyż tu właśnie znajdowały się najmodniejsze, najbardziej ekskluzywne domy towarowe – tak przemysłowe, jak i konfekcyjne. Miejsce zatem było idealne do prowadzenia prawniczej działalności, bo panowie przybywający na spotkania w sprawach mogli tymczasem z całkowitym spokojem wysłać swe panie na zakupy do pobliskich domów towarowych, a gdyby kwestie prawnicze się przeciągnęły ponad miarę, małżonki z latoroślami chwile oczekiwania osładzały sobie po drugiej stronie ulicy, w Café Esplanada, racząc się wyborną kawą, znaną w całym mieście szarlotką, wyśmienitym sernikiem wiedeńskim albo w końcu niebywałym przysmakiem, jakim były lody włoskie o smaku śmietankowym, wytwarzane przez sprowadzoną specjalnie z Italii elektryczną maszynę lodową.

– Pan mecenas jak zwykle ma rację. – Gospodyni spojrzała na niego z wdzięcznością. – A ja jestem niemądra. Przecież on jest tu cały czas, a dziś, gdy wszystkie aury na to pozwolą, będzie wśród nas we własnej osobie. Boże, wzruszenie odbiera mi dech w piersiach. Nie wiem, czy ja to przeżyję...

– Byleby tylko pan Franek Kluski dał radę – rzuciła z pewnym wahaniem hrabina Zalewska.

– On jest przecież najlepszy – powiedział z pełnym przekonaniem profesor Wincenty Gawłowski, biolog z Uniwersytetu Poznańskiego, korpulentny sześćdziesięciolatek z łysym czubkiem głowy, za to z bujnym zarostem na skroniach i brodzie. Jak okazało się zaraz, dobrze wiedział, co mówi. – W zeszłym roku widziałem go i słuchałem na seansie we Lwowie. Proszę sobie wyobrazić, że był fenomenalny. Te eteryczne postaci, które przewinęły się przez salę i stawały w kręgu, były jak prawdziwi ludzie, tyle że w ogóle nierzeczywiste i jakby za mgłą. Rzekłbyś, że to pokaz filmowy, ale one nie były, broń Boże, wyświetlane. Reagowały na pytania i odpowiadały na nie, nie tylko skinieniem głowy albo jak na tych zwykłych seansach, na których po stoliku przesuwają się talerzyk. Nic z tych rzeczy. One mówiły „tak”, „nie”, albo nawet pełnymi zdaniami. Choć ich głos nie był czysto ludzki.

– Jakże to nie był ludzki? – zdziwiła się hrabina Zalewska.

– No był, ale jednocześnie nie był, bo składał się ze zgłosek, wyrazów i zwrotów, ale wypowiedzianych jakby przez rurę jakąś albo przez aparat radiowy ze znacznej odległości może nie przez człowieka, a maszynę? Nie ma w tym nic diabelskiego, zważywszy, że te ciała eteryczne przecież nie siedzą z nami tu i teraz, ale przebywają w swoim wymiarze duchowym, a my za przyczyną silnego medium, jakim jest pan Kluski, potrafimy je ściągnąć do siebie.

– Medium to jedno, czyli sprawa podstawowa – zauważył adwokat – ale najważniejsza jest silna więź. Chodzi o to, że ciało eteryczne, czyli nasz duch, musi przybyć na miejsce, z którymś coś je łączy. Więc jest duża szansa, że pan pułkownik zstąpi dziś do nas, bo siłą magnetyczną, jaka go tu

może ściągnąć, będzie jego szanowna małżonka, którą darzył silnym uczuciem. Nieprawdaż, pani hrabino?

– A i owszem. – Hrabina Kossobudzka zatrzepotała szybko rękami i znów uniosła chustkę do oczu. – Państwo wybaczą, ale te wspomnienia są takie bolesne. Mam nadzieję, że zdołam przetrwać dzisiejszy seans i nie padnę na podłogę bez zmysłów – stwierdziła, a w jej głosie dało się wyczuć pewną obawę.

– Będę cały czas przy pani, moja droga przyjaciółko. W razie czego proszę się wesprzeć na moim ramieniu – zaoferował swoją pomoc Siekierczyński, przekonany, że wdowa jako słaba kobieta może ulegać silnym wzruszeniom, odbierającym siły i władzę w członkach.

Ale hrabina bała się czegoś zupełnie innego. Obawiała się, czy aby jej mąż, który poległ na froncie rosyjskim, nie dowiedział się przypadkiem o tym, co łączyło jego młodą wówczas żonę z tym tu mecenasem. Bo jeśli się dowiedział, a tam w tych zaświatach wszystko przecież było możliwe, mógł wykorzystać dzisiejszy seans dla wyrównania rachunków. No ale, tłumaczyła sobie całkiem racjonalnie, przecież nikt mu nie mógł powiedzieć o tym, że już nazajutrz po mobilizacji, która zabrała pułkownika z domu, jego miejsce w małżeńskim łóżu zajął młody wówczas i dobrze zapowiadający się adwokat i jeszcze, jak się wkrótce okazało, świetnie zapowiadający się jurny kochanek.

Do salonu, w którym zebrało się już ponad dwadzieścia osób zaproszonych na ten niezwykły spektakl, wszedł kamerdyner Alfons Kuśmider.

– Panowie Teofil Modrzejewski oraz zarówno też Prosper Szmurło – zaanonsował, a gospodynię przeszył dreszcz niepokoju.

W drzwiach pojawił się najpierw Szmurło – niepozorny człowiek w wieku, na pierwszy rzut oka, około sześćdziesięciu

lat, o dość marnej posturze, twarzy pociągłej i chudej, wspierający się na lasce. Mistrz dzisiejszej ceremonii, najważniejszy z polskich ezoteryków, uśmiechnął się szeroko na widok gospodyni. Poznali się w ubiegłym roku w Zakopanem. To tam zrodziła się myśl, by w Poznaniu zorganizować ten niezwykły spektakl i przywieźć tu uznane medium – Teofila Modrzejewskiego. To on właśnie stał obok mistrza ceremonii. Mężczyzna o głowę wyższy, równie szczupły, o twarzy pospolitej, bez wdzięku i jakby pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu. Od razu widać było, że jego myśli błądzą w świecie równoległym, a jeśli nie tam, to na pewno oderwały się już dawno od szarej doczesności.

Na jego widok rozległy się szepty i westchnienia. Zebrani od razu wyczuli tę niezwykłą aurę, jaką roztaczał wokół siebie Modrzejewski, występujący pod parweniuszowskim pseudonimem Franek Kluski. Podobno podczas pierwszego seansu z jego udziałem, kiedy to odkrył w sobie medialną moc, na spektaklu pojawił się duch Franka Kluskiego, zabitego podczas rabacji galicyjskiej parobka, który stanął w obronie swojego pana i za to został rozdarty przez tłuszczę. To właśnie za jego sprawą Modrzejewski mógł kontaktować się z innymi błądzącymi duszami i sam stawał się niejako Frankiem. Stąd wziął się więc ten jego artystyczny pseudonim.

– Jakże się cieszę, że mogę panów gościć w swoich skromnych progach. – Gospodyni powitała obu wchodzących głosem pełnym jakiejś osobliwej podniety. Czuć było lekkie, ale jednak wyraźne zdenerwowanie. Nikt jednak nie zwrócił na to szczególnej uwagi, bo przecież hrabina miała prawo być mocno podekscytowana tą niecodzienną sytuacją.

Podszedłszy do nich, wyciągnęła obie ręce w kierunku tego wspartego na lasce. Mistrz Szmurło uchwycił je lewą dłonią i przyciągnął do swoich ust.

– Droga przyjaciółko, to dla nas zaszczyt gościć w najpierwszym z poznańskich salonów – powiedziawszy to, pocałował wierzch dłoni gospodyni raz jeszcze, a potem spojrzał w lewo.

– Pozwól pani, że przedstawię sławnego Teofila Modrzejewskiego, którego nie ma sobie równych w całym znanym nam ezoterycznym świecie jako...

– Dość już tego będzie, panie Prosper – przerwał mu bezceremonialnie. – Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. Pan mnie chwali, a przecież nigdy nic nie wiadomo. Dusze w zaświatach są kapryśne i mogą nie mieć ochoty na spotkanie.

– Czy to możliwe, żeby mój mąż się nie pojawił? – W głosie hrabiny dało się słyszeć pewną nutę nadziei. Ale Modrzejewski odczytał to całkowicie odwrotnie, na co Kossobudzka zaraz zwróciła uwagę.

– Proszę mieć silną nadzieję. Proszę mocno wierzyć w to, że jej utracony ukochany powróci dziś z eteru, by jeszcze raz móc choć na chwilę z panią pobyc i przekazać jej wiadomości z zaświatów. A jeśli będzie determinacja i odpowiednia siła woli, to nasz eksperyment się powiedzie.

Gospodyni się uśmiechnęła. No to już wiedziała, w czym rzecz. Niech sobie przywołują, jakie chcą duchy, ale jej męża niekoniecznie. Z jej strony nie będzie więc żadnej desperacji ani zdecydowania. Gdy będzie ów mediator wołać jej nieżyjącego małżonka, ona będzie myśleć o czymś zupełnie innym, o niebieskich migdałach, które sprawią że Herman na pewno się tu nie pojawi.

– Oczywiście, może pan liczyć na moją pełną współpracę – zapewniła obłudnie. – To co, najpierw może coś przekąsimy? – Wskazała szeroko otwarte drzwi do pokoju jadalnego, gdzie

wielki stół zastawiono przekąskami na zimno i kieliszkami z winem.

– Droga pani, umysł musi być czysty, a brzuch pusty w trakcie seansu – stwierdził Modrzejewski. – Lepiej zacząć natychmiast, a później będzie czas na uciechy dla podniebienia.

– Tak, mój szanowny kolega ma całkowitą rację – poparł go Szmurło. – Zaczynajmy od razu. Gdzie ma pani przygotowany pokój?

– Skoro tak panowie mówią, to ja, oczywiście, jak najbardziej, jak najbardziej jestem za. A więc, szanowni państwo, mistrzowie naszej ceremonii proszą o zajęcie miejsc. Zapraszam do biblioteki, gdzie wszystko już zostało przygotowane. Panowie pozwolą, że wskażę drogę.

Obaj ezoterycy skinęli głowami i posłusznie ruszyli za gospodynią. Ta poprowadziła ich najpierw na korytarz, a potem w szeroko otwarte drzwi. Biblioteka była przygotowana dokładnie według wskazówek mistrza ceremonii. Szafy z książkami zakryto bordową draperią z materiału, tak że wszystko wokół stanowiło jednolitą połąć. Na środku stał fotel z oparciami, a przed nim ustawiono dwadzieścia pięć krzeseł, dokładnie tyle, ile osób miało wziąć udział w misterium.

Modrzejewski natychmiast ruszył przed siebie, by zająć przynależne mu miejsce. Szmurło podążył za nim. Musiał stanąć za medium, by móc poprowadzić cały spektakl.

– Drodzy państwo, szanowni goście, bardzo proszę o zajmowanie miejsc. Zaraz zgaszone zostaną światła, więc proszę się sadowić. Kieliszki można zostawiać tu, na stoliku. – Gospodyni przywołała do porządku aptekarza Alojzego Kolińskiego, właściciela apteki przy alei marszałka Focha, który już zdążył być wypić kilka lampek mozelskiego, co

sprawiło, że na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech, niestety nieliczący z powagą chwili. Hrabina od razu pomyślała, że tego człowieka zapraszać w przyszłości nie będzie, skoro nie potrafi się zachować, jak przystało na kogoś z klasą, w tak podniosłym momencie.

– Pan wybaczy, panie wicekonsulu, ale tytoń również należy zostawić. Proszę zgasić cygaro w popielniczce.

Wicekonsul Albrecht von Pieskow ze zrozumieniem skinął głową. Ten solidnej budowy mężczyzna, w którego postawie mimo przekroczonej sześćdziesiątki dawało się wyczuć oficerską sprężystość, uśmiechnął się do gospodyni.

– Ależ oczywiście, moja droga przyjaciółko. Tytoń nie może odciągać naszej uwagi od spraw naprawdę ważnych.

Powiedziawszy to, podszedł do stolika, na którym postawiono wielką kryształową popielniczkę, i zgasił w niej cygaro, odkładając je ostrożnie na bok. Została mu jeszcze połówka doskonałego kubańskiego tytoniu, więc nie miał zamiaru wyrzucać resztki nadającej się do późniejszego wypalenia. Jak wielu jemu podobnych byłych frontowców nauczony był cenić wszystko to, co nadawało się jeszcze do użytku i co można będzie wykorzystać, gdy przyjdzie na to odpowiedni moment.

Skłoniwszy się gospodyni, wysunął ramię, by jego piękna, przynajmniej o połowę od niego młodsza małżonka Gertruda mogła go chwycić, po czym oboje ruszyli ku krzesłom. Tam gościom pomagał w zajęciu miejsc Prosper Szmurło, bo doskonale wiedział, jak najlepiej rozsadzić uczestników seansu, aby energia kosmiczna mogła swobodnie przepływać pomiędzy nimi i medium. Po chwili wszystkie krzesła znalazły swoich właścicieli. Na ostatnich dwóch zasiedli Szmurło i hrabina. Na dany przez nią znak kamerdyner zgasił światło. Jedynym jego źródłem został pięcioramienny świecznik stojący

na marmurowym postumencie poza kręgiem, za plecami Modrzejewskiego. Dalej, jak na kinowym ekranie, rozwieszono białą materię zasłaniającą dużą połąć ściany. Mężczyzna siedział na fotelu z dłońmi ułożonymi na poręczach. Twarz miał spokojną, pełną godności i skupienia, a oczy przymknięte. Oddychał regularnie i w ten sposób powoli wprowadzał się w senny trans. W pokoju zapadła kompletna, niezmacona niczym cisza. Nie słychać było nawet tykania zegara, bo ten zgodnie z zaleceniem mistrza Szmurły należało zatrzymać. Zebrani ludzie w napięciu czekali na to, co się za chwilę wydarzy...

– Khyy! – Aptekarz Koliński kichnął głośno i zaraz potem wypalił jeszcze raz.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Ten jednak nic sobie z tego nie robił. Najspokojniej w świecie wydobył z kieszeni chusteczkę i wysmarkał głośno nos. Zauważywszy karcące spojrzenie gospodyni, zrobił niewinną minę i wzruszył ramionami. Chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale hrabina położyła palec na ustach, nakazując mu zachowanie ciszy. I całe szczęście, bo akurat w tym momencie medium jęknęło głośno. To sprawiło, że czujny jak lis Szmurło od razu zareagował, kładąc dłonie w białych rękawiczkach na głowie Modrzejewskiego.

– Czy jesteś tu z nami, Franku? Czy przyszedłeś dziś do nas, Franku Kluski?

Usta Modrzejewskiego otworzyły się i na wierzch wysunął się język, który jak u węża zaczął poruszać się szybko w tył i przód. Obserwującym zdawało się, że to jakieś żywe zwierzę, zamieszkałe w czeluściach paszczy, próbuje wydostać się na wolność. Naraz ozór znieruchomiał, a potem wolno wpełzł do swojej jamy.

– Ja, Franek Kluski, przybywam na wasze wezwanie. Czego ode mnie chceta? – zapytał Modrzejewski zmienionym głosem.

Uczestnicy seansu natychmiast zrozumieli, że nie mają już do czynienia z redaktorem, którym był na co dzień, a jego cielesną powłokę wypełnił duch człowieka dawno zmarłego.

– Dziękujemy ci duchu Franka Kluskiego, żeś do nas zstąpił.

– Napiłbych się łokowitki – rzucił szybko duch.

– Przecież duchy nie piją – stwierdził zdumiony mistrz ceremonii.

– Duchy może i nie, ale ja, a juści bym wypił łociupnkę, co by mnie się lepiej gadało z panockami i damulkami.

– No dobrze, poczekaj! Łaskawa pani, potrzebny nam jest alkohol. – Szmurło zwrócił się do gospodyni.

Ta wiedziała już wcześniej, że sprawy mogą przybrać taki właśnie obrót, a duch jest zawołanym pijanicą. Szybko więc wstała, podeszła do draperii zakrywającej biblioteczne półki i wydobyla z za fałdy wcześniej uszykowaną półlitrowkę czystej. Podała ją Prosperowi. Ten zdarł z niej sprawnie kapsel i pochyliwszy się nad doczesną powłoką ducha, wlał w otwarte usta okazałą porcję. Delikwent poruszył grdyką dwa razy, a potem oblizał wargi.

– Dobrze, krucafuks! – zawołał. – Lejcie jeszcze!

– Zaraz, zaraz, bracie. Najpierw zrób swoje – przywołał go do porządku prowadzący spektakl.

– Niby że co? – zdziwił się duch Kluskiego.

– Chcemy wezwać tu ducha gospodarza tego szacownego przybytku.

– Jakiegoś przybytku, nasermater?[2]

– Tego domu!

– Okowitki dajcie jeszcze! – Franek nie dawał za wygraną.

– Najpierw duch, a potem będziesz pił.

– O wy takie i owakie, ćwoki niemyte, niech no wam będzie. A kogo to chcecie zawołać? Bo ja nie mam czasu na głupoty. Jeszcze mnie wołają w sprawach ważnych moi niezwykli kamraci.

– Chcemy, by przyszedł do nas duch męża tej oto damy, pułkownik Herman von Zanthier.

– Nasermater! Kruca, gdzie ja jego teraz... Herman von Zanthier! Gdzie żeś jest, krucafuks?! Wołać cię tu to ja nie mam czasu... Herman, gdzieś jest...?

Naraz zebrani poczuli jakiś powiew chłodu, a świece przygasły. Kilka pań wydało z siebie ciche piski, a któryś z panów zaśmiał się nerwowo. I wtedy stało się coś, co sprawiło, że wszyscy natychmiast zamarli. Salę przeszył na pół ostry snop światła wydobywający się nie wiadomo skąd, jakby za chwilę miał się rozpocząć seans filmowy w kinowej sali. Ludzie spojrzeli w kierunku źródła i znów rozległy się okrzyki, tym razem znacznie głośniejsze, mocno zabarwione strachem. Tam, gdzie było najjaśniej, za białym ekranem, stał bowiem mężczyzna w pruskiej pikielhaubie, rozplywający się w świetlistej poświacie.

– Jestem Herman von Zanthier. Czego ode mnie chcecie? – zapytał głosem chropowatym, jakby dobiegającym z jakiejś studni.

– Hermanie, to ja cię wezwałam! – Hrabina natychmiast rozpoznała męża po nakryciu głowy. – Wróciłeś do domu, najdroższy.

– Wróciłem w sprawach ważnych, żeby wam powiedzieć, że wkrótce w Niemczech władzę przejmą ludzie, którzy nie mają w sercach strachu, i odbudują naszą ojczyznę.

– Brawo, kiedy to nastąpi? – wykrzyknął podniecony tą wizją wicekonsul von Pieskow. Ale duch nie odpowiedział. Miał ważniejsze rzeczy do przekazania.

– Niemcy odbiorą Polsce to, co im odebrano, i oba narody zewrą się w śmiertelnej walce. Francja i Anglia również będą się miały z pyszna. Ich potęga zostanie rzucona na kolana, w końcu z tego pojedynku wyjdzie zwycięsko tylko orzeł...

– Kiedy to nastąpi? – przerwał mu wicekonsul.

– Milcz, durniu! Ty, bałwanie, tego nie dożyjesz! – Duch wyciągnął rękę w kierunku dyplomaty. Nim minie tydzień, nim minie tydzień, duchy Tannenberga upomną się o ciebie...

– Co się stanie? – krzyknęła przestraszona hrabina. – Hermanie, na Boga, odpowiedz, proszę!

– Na Boga? – zdziwił się Herman. – Jakiego Boga, do cholery? Przecież Bóg już dawno umarł. Zabiliśmy go pod Verdun i Ypres. My go zabiliśmy, my i wy, wszyscy...

Naraz zaczął recytować głosem silnym i nadzwyczaj sugestywnym:

Gdy oczy wreszcie zmęczone zamknę,

mą twarz okryją zwiewnym szalem.

A uśmiech mój zastygnie martwy

pod śmierci ulotnym woalem.

Wtem smuga świetlna zgasła, zrobiło się ciemno i kompletnie cicho. I wtedy odezwał się Franek Kluski:

– Dajcież, do licha, okowitki, bo tu jeszcze jeden duch chce z wami pogadać. No dalej, kaj moja okowitka jest, nasermater?!

[2] Przekleństwo galicyjskie, odpowiednik słowa „cholera”.

Rozdział I

Poznań

Czwartek

24 kwietnia 1930 roku

Godzina 7.20 rano

Ciężki wóz wyładowany beczkami piwa i skrzynkami pełnymi butelek zjechał z Garbar w Grochowe Łąki, minął nowoczesny, dopiero co wzniesiony narożnikowy dom dla pracowników miejskiej rzeźni i podążył wolno w głąb ulicy, w kierunku fabryki wódek Hartwiga i Kantorowicza, znanej z produkcji doskonałych napitków, ale przede wszystkim wódki wyborowej. Jednak nie ona była celem woźnicy. Ten zajmował się całkiem innym towarem. Woził piwo z browaru Huggera przy Półwiejskiej do okolicznych szynków i gospód.

Woźnica pewną ręką trzymał lejce, prowadząc zaprzęg, ale konie i tak znały na pamięć tę wybrukowaną drogę wzdłuż murów rzeźni. Budynki za nimi wzniesiono z dekoracyjnej żółtej cegły, więc ich ściany błyszcząły, odbijając słoneczne promienie zza Cytadeli i Ostrowa Tumskiego, które mijały po drodze przysadzistą bryłę katedry, szary nurt Warty

i zabudowania magazynowe rzeczno portu. Ten budził się właśnie do życia, bo zaczynał się rozładunek barek, które nocą dobiły do nabrzeża z towarami wiezionymi z Niemiec, tak bardzo potrzebnymi tutejszym sklepom kolonialnym, drogeriom i przemysłowym składom. Mimo wojny celnej i coraz bardziej doskwierającego kryzysu handel z Niemcami działał bez zarzutu, bo kupcy i producenci po jednej i drugiej stronie granicy dobrze wiedzieli, że rządy mogą sobie walczyć, ale oni muszą jakoś żyć i nie obrażając się na siebie, wzajemnie wymieniać towary na pieniądze.

Dwa konie idące w zaprzęgu z niepokojem zastrzygły uszami, usłyszawszy rozpaczliwe kwiki świń gonionych na zaszlachtowanie. W powietrzu unosił się mdły smród wnętrzności i odchodów, zmieszany ze zwierzęcym przerażeniem doprawionym ludzką obojętnością. Nikt nie przejmował się świńską rozpaczą, bo taki był normalny, uświęcony porządek rzeczy. Zwierzęta szły pod nóż, żeby ludzie mieli co jeść. A że przy tym wyły wniebogłosy, cóż począć. Zresztą kto miałby współczuć zwierzętom, gdy jeszcze niedawno tysiącami ginęli na wojnie ludzie? Najpierw na tej wielkiej, w okopach Francji, a później w wojnie bolszewickiej, wybijani bardziej metodycznie i znacznie skuteczniej niż te świniaki za murem.

Alojzy Maślak nasłuchiwał się nieludzkiego wycia i jęku kolegów rozrywanych na strzępy podczas obu tych wojen. A jeszcze było przecież powstanie, w którym też brał udział. Jakoś szczęśliwie przez cały ten czas nie nabawił się nawet najdrobniejszej rany czy nawet skaleczenia, choć żadnym dekwonikiem nie był. Przez całe sześć lat wojaczki był wciąż na pierwszej linii i nic, kompletnie nic mu się nie stało, poza tym, że od artyleryjskiego ostrzału nieco przygłuchł. Ale co to była za cena za przejście tego wojennego piekła w stanie

niemal nienaruszonym? Dlatego często powtarzał, że jest w czepku urodzony.

Pies Burek, powsinoga, która przypałętała się na podwórko Maślaka dwa lata temu, też nie przepadał za tą okolicą. Codziennie towarzyszył swojemu panu w rozwózce towarów. Rano, gdy Maślak ładował się na jeszcze pusty wóz, Burek wskakiwał za nim i zajmował miejsce pod ławką woźnicy. Jego pan nie miał nic przeciwko temu. Raz, że miał z kim pogadać po drodze, a dwa, że pies był doskonałym stróżem. Pilnował wozu, bacznie obserwując wszystko, co działo się wokół, i nie pozwoliłby za nic w świecie, żeby ktoś obcy chwycił za lejce, gdy Maślaka nie było w pobliżu, bo poszedł rozliczyć beczki i wziąć zapłatę.

– Co, nie lubisz ty tego świńskiego kwiku? – Mężczyzna położył rękę na psiej głowie, a Burek zapiszczał, tak jakby chciał potwierdzić, że zgadza się ze swoim panem. – Ino że nic na to się nie poradzi, bo nikt tu niczego nie wymyśli, żeby świniaków nie szlachtować. Tak pan Bóg przykazał, żeby świnię bić, co by ludzie mieli jedzenie. A jak już się człowiek naje, to i dla psa wystarczy. No przecie lubisz se gnota poogryzać od golonki. No powiedz, że nie lubisz?

Tym razem pies nie odpowiedział, bo być może myśl o soczystej kości pochłonięła całkowicie jego uwagę. Za to Maślak pociągnął lejce ku sobie i zawołał głośno na swoje konie:

– Prrr! Stać, staruchy!

Oba były tak wyuczone chodzenia w zaprzęgu, że posłuchały natychmiast, zwalniając najpierw kroku, by zaraz przystanąć. Ciężki wóz potoczył się jeszcze pięć metrów i w końcu się zatrzymał.

– Co to jest, że brama jeszcze zamknięta? – Maślak spojrzał zdziwiony na wielki wjazd, który zwykle był szeroko otwarty.

Musiał wjechać tędy na podwórze, żeby rozładować dziesięć beczek do piwnicy szynku Pod Świńskim Uchem. To było ulubione miejsce do przesiadywania pracowników rzeźni, którzy na fajrant przychodzili tu przepłukać gardło świeżym piwem. Dlatego co drugi dzień przywoził świeżą dostawę huggera i grodziskiego, po pięć beczek dla każdego gatunku. Prócz tego jeszcze kilkadziesiąt skrzynek piwa Kobylepole i ostatnią nowość, czyli haberbuscha. To szczególnie upodobali sobie studenci, bo pili tu nie tylko rzeźnicy. Studenteria też lubiła napić się piwa i zjeść do tego jeszcze coś taniego, grochówkę na boczku czy żur z białą kiełbasą. Bo tutaj nie dość, że dawali dobre piwa, to jeszcze kucharz był solidny i nie skąpił wkładu do swoich gęstych zup.

Goście zaczęli się schodzić dopiero koło południa, więc czasu na przygotowanie dań, no i przede wszystkim rozładowanie piwa było jeszcze sporo, ale to przecież nie oznaczało, że będzie tu czekał w nieskończoność na ulicy. Miał jeszcze do objechania kilka miejsc. Zaciągnął więc ręczny hamulec, na drążku uwiązał lejce i zanim zeskoczył na chodnik, poklepał jeszcze po głowie Burka.

– To popilnuj tu wszystkiego, a ja pójdę zobaczyć, co się stało z tym Hildebrandtem, bo może się stary zaprawił wczoraj za mocno i nie ma siły wstać. He, he, ale każdy ma przecież prawo mieć gorszy dzień.

Ruszył ku bramie, a właściwie furtce w niej osadzonej, która, miał taką nadzieję, nie była zamknięta od środka. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Jęknęły nienaoliwionymi zawiasami i ustąpiły. Obejrzał się za siebie. Konie stały spokojnie, a pies jak zwykle odprowadzał go swoim czujnym spojrzeniem.

Wszedł do środka i zaraz przystanął, rozglądając się, tak jakby spodziewał się zastać stróża siedzącego gdzieś w pobliżu

i pilnującego przejścia. Poszedł dalej. Na podwórzu też było pusto, a przecież o tej porze Hildebrandt powinien już otworzyć wejście do piwnicy pod lokalem, żeby po specjalnych szynach, które woził ze sobą Maślak, można było stoczyć dębowe beczki w dół. Ale nic nie było przygotowane.

– Zaspał chłtelernik jak nic. Śpi, a tu przecie robota czeka. Już ja jego zaraz obudzę, to se dziad jeden mnie zapamięta – powiedział do siebie woźnica.

Mieszkanie stróża było w lewej oficynie na parterze. Podeszedł do okna i zapukał energicznie w szybę. Nie było żadnego odzewu, więc zrobił to jeszcze raz. Dalej nic. Za to z drzwi wyszedł jakiś młody człowiek w lichym palcie i uniwersyteckiej czapce. Pod pachą miał skórzaną, dość porządną teczkę, wypchaną zapewne książkami. Chłopak niemal wpadł na Maślaka, bo nie spodziewał się, że ktoś może stanąć mu tutaj na drodze.

– No co jest, jak pragnę zdrowia, panie! – zawołał, cofając się o pół kroku.

– Nic nie jest! – odpowiedział mu rezolutnie woźnica. – Znaczy się nic nie jest otwarte, bo piwo przywiezłem.

– Aha – zrozumiał chłopak. – Ale, panie, co mnie to obchodzi?

– A gdzie jest Hildebrandt?

– Kto?

– No stróż, co on zawsze mi otwiera bramę, jak przyjeżdżam.

– A, to wy dowozicie piwo. – Teraz student już wiedział, skąd zna tę wąsatą gębę. – A stróża to ja jeszcze dziś nie widziałem. Ale jak go nie ma na posterunku, to pewnie śpi w chacie. – Wskazał na okno stróżówki. – Pewnie się upił, bo w nocy jakieś hałasy od niego dochodziły, jakby meble przestawił. Idźcie tam i sami zobaczcie. Nawet drzwi nie zakluczył, bo widziałem, że uchylone zostawił. Jak nic upity leży, he, he, he!

– No to trzeba by sprawdzić – rzucił Maślak.

– Wiecie co, to ja pójdę z wami. Się rzuci okiem na tę hecę. Później będę mógł se robić z niego podśmiejuchki. Bo my się często śmiejemy. Znaczący się on ze mnie robi sobie szydery, że niby późno wychodzę z domu, jak idę na uniwersytet, i w ogóle żem zaspany...

Maślak nie miał zamiaru tracić czasu i słuchać gadatliwego studenta. Dowiedział się już wszystkiego, co mu było trzeba, ruszył więc po skrzypiących schodach na wysoki parter. Drzwi do mieszkania Hildebrandta były po lewej. Znał to miejsce dobrze, bo bywał tu niemal za każdym razem po rozładowaniu piwa. To tu właśnie stróż rozliczał się z nim za dostawę. Właściciel szynku Marian Wichniarek rzadko kiedy wstawał tak wcześnie, żeby nadzorować rozładunek. On o tej porze jeszcze sypiał, bo jako porządny gospodarz siedział w swojej knajpie do samego zamknięcia, czyli często do późnej nocy, a więc do momentu, aż ostatni klient opuścił lokal. Dlatego w dni, kiedy Maślak przyjeżdżał z piwem, pieniądze na zapłatę zostawiał cieciami w zalepionej kopercie, żeby, jak mówił, czasem go co nie skusiło. Można mieć przecież do człowieka zaufanie, ale lepiej nie wystawiać go na próbę charakteru, bo i po co?

Mosiężna tabliczka na drzwiach informowała, że mieszkają tu Rosalie i Otto Hildebrandt. Ale była to tylko połowa prawdy. Żona stróża zmarła wkrótce po tym, jak ten szczęśliwie wrócił z wojny. Zabrała mu ją szalejąca wówczas po świecie grypa zwana hiszpanką. Nie ożenił się drugi raz, a trójkę ich dzieci wzięła na wychowanie jego siostra, której ten regularnie, co miesiąc, płacił na nie jak przykładowy ojciec. Za kobietą, która by zastąpiła Rosalie, się nie rozglądał, bo samotne życie było dla niego znacznie wygodniejsze. Obowiązków rodzinnych nie miał, a wieczorami mógł sobie popijać w szynku i nikt mu

głowy nie suszył, że codziennie chleje. Ale cóż począć, jak bez wypicia kilku piw nie mógł zasnąć, bo mu się zaraz przypominały te francuskie okopy, a w głowie rozbrzmiewała kanonada armatnich wystrzałów. Dlatego wozak rozumiał, że stróż zasnął. Wiedział dobrze, że ten regularnie popija i tylko kwestią czasu było, że któregoś ranka nie wstanie do swoich obowiązków. Trzeba go więc było postawić na nogi jak najszybciej, bo inne knajpy czekały na dowózkę.

– No, Otto, wstawejże, pijanico jedna! – zawołał od progu, pchając wpółotwarte drzwi. – Tytę żeś se sprawił, a tu robota czeka. No dalej, arbeit, chłopie. Dalij, dalij!

Przystanął na progu zagraconej kuchni. Na stole pod ścianą piętrzyła się sterta brudnych naczyń, a wśród nich kilka osuszonych flaszek. Z lewej, tuż przy drzwiach, stał piec metalowy zwany westfalką. Był zimny, a w jedynym z ustawionych na nim garnków widać było jakąś zaschniętą, kleistą maź. Zapewne Hildebrandtowi nie chciało się palić. To dziwne, bo na dworze było jeszcze dość chłodno, a rozpalony piec w kuchni potrafił nagrzać całe mieszkanie.

– No dalej, tastać dupsko, bo ja tu nie mam zamiaru siedzieć cały dzień. Robota czeka... – rzucił przed siebie, ruszając od drzwi w kierunku pokoju. Były uchylone, więc natychmiast dojrzał naga, chudą stopę wystającą spod szarej pierzyny. – Podnoś się, człowieku, bo robota czeka. Wiesz, ile mam jeszcze miejsc do objechania? Jakby tak każdy lekce se ważył robotę, to mnie by i dnia nie starczyło na rozwózkę...

Wyciągnął rękę, żeby potrzasać ramieniem odwróconego tyłem śpiącego stróża, i zamarł. Dostrzegł bowiem, że zarówno prześcieradło, jak i poszwa pierzyny są uwalane czymś czerwonym...

Za dużo w życiu widział martwych ludzi, by nie wiedzieć, co to może być. Do tego jeszcze ten słodkawy zapach, zmieszany

ze smrodem fekaliów, o którym żołnierze mówili, że tak właśnie cuchnie śmierć.

Chwycił w dwa palce skrawek pierzyny i odkrył leżącego. To, co dojrzał, mówiło samo za siebie, że dziś z Hildebrandtem nie da się już pogadać. Ranę po nożu, a może bagnecie, widać było tuż pod lewą łopatką. Cios zadano fachowo, więc sztych od razu zagłębił się w ciało, wchodząc między żebrami i wbijając się w serce.

– Ożeż ty w mordę! – jęknął student za plecami Maślaka. – Nożem go chyba dźgnęli.

– Pewnie bagnetem, że ani zipnął – stwierdził woźnica, oceniając robotę okiem znawcy.

– To niby komu ja będę teraz za czynsz płacił, co? – zastanawiał się chłopak, ale jego rozterki niewiele obeszczy wozaka. On myślał już o czymś całkiem innym.

– Leć pan na komisariat na Garbarach, no chyba że po drodze trafisz na jakich szkiełów^[3], i melduj im, że tu mamy morderstwo w kamienicy. Trzeba ich tu migiem sprowadzić.

– A pan to niby że co?

– A ja tu będę pilnował – stwierdził Maślak, który doskonale wiedział, jak się powinien zachować człowiek na miejscu zbrodni. Niedawno bowiem przeczytał powieść *Czerwony błazen*, w której autor dokładnie wyjaśnił, jak ważne dla policjantów jest przeszukanie miejsca zbrodni.

– A po co pilnował? Przecież zabitego nikt nie zabije. – Chłopak jeszcze nie zrozumiał, w czym rzecz.

– Bo na miejscu zabicia ważne jest, żeby nikt śladów zbrodniarza nie zatarł, póki nie przyjedzie policja i sama se je zdepta.

– Ano chyba że tak – stwierdził student Wiesław Kapusta.

Założył na głowę czapkę, którą zdjął przed chwilą w obliczu majestatu śmierci, i szybko pognał przed siebie, zadowolony,

że może uczestniczyć w tak ekscytującym zajściu, zdecydowanie bardziej intrygującym niż najciekawszy nawet wykład profesora Znanieckiego o społecznej strukturze Poznania i okolic.

Schneidemühl[4]

Godzina 7.30 rano

Samolot pasażersko-transportowy Dornier Do B nabierał prędkości, ale mimo że przemierzył już dwie trzecie długości pasa, nie mógł oderwać się od ziemi. Kilku obserwatorów stojących tuż przy wieży kontroli lotów, przyłożywszy dłonie do daszków czapek, patrzyło w napięciu na zmagania pilota. Gdy wydawało się, że jego wysiłek zakończy się porażką i trzeba będzie rozpocząć hamowanie, a nieudany start będzie miał finał w chaszcach, już poza pasem startowym, naraz koła oderwały się od podłoża, a silnik BMW o mocy 600 KM zaryczał rozpaczliwie i pociągnął w górę stalowego ptaka.

– Udało mu się! – wykrzyknął zadowolony żołnierz i zdjawszy czapkę, pomachał w kierunku wznoszącego się z mozołem samolotu.

– A niby dlaczego miało się nie udać, unterfeldwebel Jeschke? – zapytał oberleutnant Adolf Kroll, robiąc przy tym minę pewnego siebie fachowca od awiacji, choć o lataniu nie miał zielonego pojęcia. Był artylerzystą i jedyne, na czym się znał, to armaty. Nie była to jednak wiedza praktyczna, bo okazji do ćwiczeń z taką bronią nie miał jak dotąd zbyt wielu. Dlatego już cieszył się na myśl, że za cztery dni wsiądzie do tego samego samolotu i odleci ze Schneidemühl do

Königsberga, a potem jeszcze dalej na wschód, do Rosji, do jakiegoś miejsca o egzotycznej nazwie. Ale co tam nazwa, ta przecież była całkowicie nieistotna. Najważniejsze, że gdzieś tam w tej dzikiej Rosji znajdował się poligon, gdzie niemieccy lotnicy ćwiczyli swoje umiejętności w tajemnicy przed krajami ententy, które w tym haniebnym traktacie wersalskim upokorzyły Niemcy do tego stopnia, że nie zezwalały im na posiadanie własnego lotnictwa wojskowego. No ale na szczęście dzięki spotkaniu w Rapallo i podpisaniu porozumienia o współpracy wojskowej między Niemcami a Rosją Sowiecką bolszewicy zgodzili się, by szkolenie wojskowe oficerów, specjalistów takich jak pancerniacy czy lotnicy, odbywało się u nich, na ich własnych poligonach, z daleka od wścibskich oczu. I właśnie dlatego artylerzysta Kroll miał lecieć wkrótce do Rosji, by przeprowadzić tam testy armaty przeciwlotniczej Solothurn ST-5 produkcji szwajcarskiej. Dwa takie działa, zakupione przez przedstawiciela polskiej firmy zajmującej się handlem urządzeniami rolniczymi, kilka dni temu przyłynęły do portu w Stettin, a stamtąd zapakowane w skrzynie trafiły do pociągu jadącego do Schneidemühl. List określał wprawdzie dalszą drogę ładunku przez Poznań do Warszawy, jednak ten nigdy nie dotarł do Polski. Trafił tu, do Schneidemühl, do jednostki wojskowej, a ściślej do baraków po dawnych zakładach lotniczych Albatros, które zamknięto w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku po tym, jak traktat wersalski zakazał Niemcom produkcji samolotów wojskowych. Teren po zakładach wraz z pasem startowym przejęła Reichswehra, a dokładniej 2 Dywizja Piechoty ze Stettin, której trzeci batalion stacjonował w Schneidemühl. Dokumentacja całej tajnej operacji powędrowała do Szczecina i została zamknięta w sejfie sztabu dywizji, a armaty wyekspediowano do Rosji.

Żołnierze pod dowództwem unterfeldwebela Jeschke załadowali przed chwilą, rozłożoną na części i zapakowaną w skrzynie, armatę do samolotu, który zmieniał się na tle błękitnego nieba w coraz mniejszy punkcik, by po chwili zniknąć.

– Nie, ja tylko tak, panie oberleutnancie. – Podoficer zrozumiał, że oficer miał rację. Nie powinien jak byle szeregowiec zdradzać swoich emocji. – Bo ten pilot taki młody, że mi się zdawało, że sobie nie poradzi.

– Niemiecki pilot radzi sobie w każdej sytuacji – stwierdził również obserwujący start maszyny major Gereon von Koblenz, odpowiedzialny za przebieg całej operacji transportowej.

– Bo niby ten samolot... – brnął dalej zupełnie niepotrzebnie unterfeldwebel – jakby taki nieporadny...

– Na takim właśnie samolocie Walter Mittelholzer wraz z Gregorem Zinsmaierem pobili aż siedem rekordów światowych w czasie przelotu na trasie o długości siedmiu tysięcy kilometrów pomiędzy Berlinem, Königsbergiem, Moskwą, Tyflisem, Baku i Charkowem w dwudziestym szóstym roku – stwierdził z dumą w głosie major. – Samolot jest więc sprawdzony i wiemy, że jest to doskonały sprzęt. A pilota dostaliśmy najlepszego. Ma wylatanych już prawie trzysta godzin na tej maszynie.

– Pan major zadbał o wszystkie szczegóły – powiedział oberleutnant przymilnym tonem, takim jakim podwładny powinien chwalić swojego przełożonego, by ten czuł się dowartościowany.

– Logistyka i dobrze przemyślana strategia to klucz do sukcesu, nie tylko militarnego, panie oberleutnancie. Wszystko trzeba zaplanować w najdrobniejszych szczegółach i wtedy można spać spokojnie. Bez planowania nic się nie

udaje. A my, Niemcy, dobrze wiemy, jak to robić. Bo gdyby nie planowanie drobiazgów, mielibyśmy tu polski porządek.

– Polacy to łachudry – rzucił unterfeldwebel, zadowolony, że nikt już nie myśli o jego niewłaściwym zachowaniu.

Teraz mógł wkroczyć na znaną sobie działkę polskiego bajzlu. Przecież mieszkał tu, w tym mieście, od urodzenia i dlatego dobrze znał Polaków. Zdarzało mu się bywać w polskich domach i nie miał o nich zbyt dobrego zdania. A właściwie to o jednym, niejakiem Skowronku, który kiedyś obił mu głowę i zrzucił ze schodów za to, że Jeschke przychodził do jego siostry. Greta Skowronek nawet była mu przychylna i kto wie, może zostałaby nawet panią Jeschke, gdyby nie ten cholerny brat, który, nie wiedząc czemu, nie chciał, żeby siostra spotykała się z Niemcem. No więc gdy zleciał już z tych schodów, otrzepał spodnie, pogroził Skowronkowi z dołu i zawołał w głąb klatki schodowej, że jeszcze się porachują. Ale nie odpłacił Skowronkowi za pobicie, bo wkrótce wybuchła wojna, na którą i on, i Skowronek poszli już w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku. Przekleństwo Jeschkego miało chyba jakąś sprawczą moc, bo Skowronek zginął dwa miesiące potem we Francji jako jeden z pierwszych żołnierzy w pułku. Zadowolony Jeschke postanowił, że po powrocie do domu pójdzie do Greta i powie jej, że skoro brat nie żyje, to ona może zostać jego żoną. Ale Greta nie czekała. Wyszła za mąż za jakiegoś polskiego rzeźnika i wyjechała z nim do Posen. Tak przynajmniej powiedziała mu sąsiadka Skowronków, stara Zimmermannowa, gdy przyjechał na przepustkę, podczas której zamierzał się z Gretą rozmówić.

– Przychodził do niej taki jeden, co się nazywał Górski, co to był pomocnikiem u rzeźnika Mayera, co ma skład rzeźniczy na

nowym rynku. Ale ona go nie puszczała przez próg, ino do niego schodziła na podwórko i siedzieli na ławeczce i gadali – opowiadała kobieta. – Było niby wszystko po bożemu, aż się nie dowiedziała, że brat zginął na wojnie. To jak tylko dostała to urzędowe pismo, to akuratnie ten Górski się też pojawił. I jak ona zaczęła ryczeć i zemgłała z tego nieszczęścia, to on ją zaraz na górę zaniósł. I jak tam już wlaźł, to wylaźł dopiero po trzech dniach. Znaczy się razem wyleźli i zaraz wyjechali. A meble i wszystko sprzedali na pniu handlarzowi, tak że pojechali ino z kufrem i dwoma walizkami zacząć nowe życie, tak mi powiedziała, jak oddawała klucze, bo dla niej już tu niby życia nie będzie bez brata...

W tej sytuacji nie mógł mieć dobrego zdania o Polakach, skoro jeden z nich obił mu gębę i zamiast poczekać, aż zemści się na nim i odpłaci mu pięknym za nadobne, najzwyczajniej w świecie dał się zabić jakiemuś Francuzowi, który go nawet nie znał. A Polka, z którą wiązał swoje życiowe plany, okazała się niewierną i niestałą w uczuciach kobietą, bo zamiast na niego czekać, wpuściła do swojego łóżka pierwszego lepszego rzeźnika.

– Na szczęście w naszej armii Polaków już nie ma – stwierdził major. – Gdyż powiem panom, że połowa naszych nieszczęść po tym, jak wbito nam nóż w plecy i ci cholerni socjaliści poddali naszą zwycięską armię, wzięła się stąd, że było u nas tyłu ukrytych komunistów i Polaków. Komuniści chcieli przejąć władzę i dołączyć nasz kraj do państwa sowietów, a Polacy odebrali nam całe nasze wschodnie pogranicze. I to wcale nie jacyś nieznani nam Polacy, ale ci, których jak żmije wychowaliśmy na własnej piersi. To byli nasi żołnierze, z którymi przez cztery lata wojny dzieliliśmy się ostatnią kromką chleba w okopach. A oni, ci cholerni

zaprzańcy, gdy tylko poczuli naszą słabość, rzucili się nam do gardeł. Pamiętam ten moment w Posen pod koniec grudnia osiemnastego roku. Akurat mój pułk stacjonował w tym bandyckim mieście, kiedy przyjechał tam ten ich pianista, Paderewski. Nie wiem, po co go w ogóle wpuszczono, bo jego przyjazd był jak iskra, która padła na beczkę prochu. I Polacy wykorzystali tę sytuację, chwycili za broń i zaatakowali. Polacy w niemieckich mundurach, nasi koledzy, zaczęli do nas strzelać na ulicach. To bezprecedensowy przykład zdrady... No ale cóż, nic się z tym już nie robi. Historia się przewaliła nad naszymi głowami, straciliśmy część naszych prastarych ziem, a teraz trzeba się przygotować na ich odzyskanie. Bo powiem panom, że sprawiedliwość dziejową musimy sami przywrócić, choćby współpracując w tej sprawie nawet z diabłem.

– Ma pan na myśli... – Kroll wskazał wschód, tam dokąd odleciał właśnie transportowy samolot.

– Właśnie tak. Nie mamy innych możliwości. Musieliśmy podpisać cyrograf, żeby wykorzystać ich możliwości i przygotować się jak najlepiej do tego, co nastąpi, mam nadzieję, już niedługo, gdy rządy w naszym kraju przejmą właściwi ludzie, którzy nie będą oglądać się na tych, co nam teraz zabraniają mieć silną armię. I wtedy Niemcy wreszcie wstaną z kolan, rozprostują zgięte karki i pokażą światu, co jesteśmy warci. Trzeba tylko odsunąć od władzy tych wszystkich, którzy myślą, że najważniejsze jest, byśmy siedzieli cicho i pokornie przyjmowali to, co nam narzuca Europa.

– To może jeszcze potrwać – stwierdził porucznik.

– Tak, ale doczekamy się sprawiedliwości dziejowej i postawimy przed sądem tych wszystkich zdrajców.

– Zdrajców się stawia pod ścianą, panie majorze. – Unterfeldwebel Jeschke przypomniał sobie prostą prawdę

stosowaną powszechnie w warunkach frontowych.

– Macie rację. Za zdradę należy się kula w łeb – zgodził się z podwładnym major. – Ale na takie rozliczenia trzeba będzie jeszcze poczekać. Potrzeba nam silnej władzy, która brzydzi się zgniłymi kompromisami.

– Ma pan na myśli narodowych socjalistów? – zapytał oberleutnant.

Major von Koblenz pokręcił głową. Wydobył z kieszeni kurtki mundurowej srebrną papierośnicę i otworzywszy ją, podsunął najpierw oberleutnantowi, a potem unterfeldwebelowi. To był prawdziwy gest braterstwa frontowego, bo niezbyt często zdarzało się, żeby ów arystokrata aż tak bardzo spoufalał się z żołnierzami. Z oficerami owszem, bywały takie momenty, ale podać papierosa sierżantowi – to był istotnie królewski czyn, który Jeschke zapamięta sobie na długo. Podoficer natychmiast wydobył zapałki z kieszeni spodni i podał ogień obu oficerom. Von Koblenz zaciągnął się aromatycznym dymem i ruszył w kierunku dawnych zabudowań magazynowych fabryki lotniczej.

– NSDAP jest jeszcze za słaba – kontynuował przerwany wątek. – Te osiemnaście procent, które zdobyli podczas marcowych wyborów, to zdecydowanie za mało. Dlatego potrzebne jest silne porozumienie partii prawicowych. Taki narodowy front antyrepublikański miałby szansę zmieść tych wszystkich lewicowo-liberalnych zdrajców z powierzchni ziemi. I taki front musi wiedzieć, że ma za sobą poważną siłę, na którą może liczyć. A taką siłą jesteśmy my, drodzy panowie. Dlatego musimy być gotowi, by stanąć na wysokości zadania w chwili, gdy nadejdzie czas i zaczną się dziać rzeczy wielkie. No ale dość tego politykowania. Mam nadzieję, że pańscy ludzie dali sobie radę, oberleutnancie.

– Tak jest, panie majorze – zameldował oficer. – Prawda, sierżancie?

– Już przed startem samolotu byliśmy gotowi z drugą armatą, panie majorze – zapewnił sierżant. – Gefreiter, otwierać! – krzyknął na wartownika stojącego przy solidnej bramie prowadzącej do magazynu.

Żołnierz zasalutował, po czym pociągnął za klamkę, otwierając wejście. Dwaj oficerowie i unterfeldwebel weszli do pustej hali, oświetlonej doskonale światłem wpadającym z przeszklonych świetlików u szczytu belkowanego stropu. Wewnątrz ośmiu żołnierzy stało w równym szeregu przy działku Solothurn ST-5.

– Tak właśnie wygląda to szwajcarskie чудо, panie majorze – wyjaśnił artylerzysta, porucznik Kroll. – Jeszcze dziś wytoczymy je na pas startowy i spróbujemy trochę postrzelać. Oczywiście nie do celów na niebie, bo nic nad nami nie lata. Takie ćwiczenia przeprowadzać będziemy już na poligonie w Rosji. A tu tylko przewietrzymy lufę naszego szwajcarskiego flaka[5].

– Doskonale, oberleutnancie, doskonale – pochwalił go major. – Rozumie pan, że od tych testów wiele zależy. Jeśli działło się sprawdzi, będziemy mogli na bazie tego modelu stworzyć własną armatę. A takiej broni bardzo potrzebujemy.

– Tak jest, panie majorze. Sprawdzimy ją w każdych warunkach i wszystko znajdzie się w moim raporcie dotyczącym tej broni.

– No to nie ma co czekać, bierzcie się do roboty, moi panowie!

Zadowolony major odwrócił się na pięcie i ruszył ku bramie, odprowadzany zadowolonym spojrzeniem oberleutnanta. Gdy tylko wyszedł, jego ludzie natychmiast zabrali się do wyprowadzania dwukołowego flaka na zewnątrz, jak najdalej

pod ścianę lasu, by tam w spokoju spróbować strzelania do nieruchomego punktu. Żaden z żołnierzy nie zdawał sobie sprawy, że staje się świadkiem epokowego wydarzenia – odrodzenia się niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.

Godzina 8.00 rano

– Więc tak, panie komisarzu kochanieńki, prawda jest taka, że poznańska grupa pościgowa chyba ściga się z własnym cieniem, i zawsze, oczywiście, wygrywa, bo pędzi pod słońce. Ale prawda jest również taka, że jak na takich wywiadowców i starych wyjadaczy przystało, to wyniki za pierwszy kwartał są raczej mizerniutkie – stwierdził zastępca komendanta miejskiego inspektor Teodor Lisowski, podkreślając z zadowoleniem węża.

Bo tak naprawdę ta stara galicyjska pierdoła, jak nazywał go komisarz Antoni Fischer, sprawujący szefostwo nad tą właśnie grupą śledczą, nie rzucała przygany ze złośliwą satysfakcją. On po prostu lubił zrzędzić, nawet gdy nie było po temu powodów. A tych w tym wypadku faktycznie nie było, bo wyniki przedstawione przez Fischera w raporcie może nie były oszałamiające, ale na pewno całkiem zadowolające.

– Ma pan całkowitą rację, panie inspektorze.

Fischer, ostrzyżony na krótko, solidnej budowy czterdziestolatek o jasnych włosach, z równo przystrzyżonym wężem pod nosem, ubrany w popielaty garnitur w białe prążki, spod którego wyzierała ciemnozielona kamizelka, popatrzył na siedzącego przy biurku naprzeciw oficera. Ten wpatrywał się w niego z lekko drwiącym uśmiechem na ustach. Nie spoglądał jednak prosto w oczy, ale lustrował

uważnie jego tors. A było na co patrzeć, bo Fischer był atletycznej budowy ciała. To jego ubranie wydawało się jakby nieco na nim opięte. Komisarz bowiem miał doskonale rozwinięte mięśnie ramion, piersi i karku. Wyhodował je, ćwicząc codziennie z ciężarkami. Swoją atletyczną przygodę rozpoczął jeszcze w szkole powszechnej, zmuszony do tego kroku drwinami kolegów, bo w swojej klasie uchodził za chudzielca. Już wtedy był dość wysoki, ale jak to u młodego chłopca, mięśnie miał niezbyt okazałe. Postanowił więc, że musi koniecznie coś z tym zrobić. Poprosił ojca o zakup hantli do codziennych ćwiczeń i to był właśnie początek jego kariery sportowej. Później, w wieku już znacznie dojrzalszym, bo w czasach szkoły średniej, zapisał się do junackiej sekcji zapaśniczej, a zapasy okazały się jego prawdziwą pasją. Dziś co prawda już nie brał udziału w walkach sportowych, ale ćwiczeń fizycznych nie zaniedbywał. Każdy dzień zaczynał od porannej gimnastyki dla rozruszania mięśni i ćwiczeń ze swoimi starymi ciężarkami.

– Jednak racja może mieć różne wymiary, zależne od perspektywy, z jakiej się ją obserwuje i później przyjmuje – stwierdził Fischer, formułując myśl dość ostrożnie. Nie mógł bezpośrednio zarzucić przełożonemu braku umiejętności wyciągania słusznych wniosków z twardych przesłanek, dlatego jak zwykle w takich przypadkach uznał głośno, że szef jest oczywiście nieomylny, ale nie do końca. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że zazwyczaj tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

– A co pan tu imputujesz, kochanieńki? Że nie umiem należycie odczytać pańskiego raportu?

– Gdzież bym śmiał, panie inspektorze. Nic takiego nie powiedziałem. Jedyne, co mogę rzec na obronę swoją

i oczywiście moich ludzi, to że przestępczość ostatnimi czasy spadła drastycznie.

– Ha, a więc przyznajesz pan, że wykrywalność jest znacznie mniejsza? – ucieszył się inspektor.

– Skoro mniej się zabija, morduje, napada, no to i roboty mniej dla grupy pościgowej. Ale pozwolę sobie zauważyć, że w sprawach spektakularnych, o których pisały gazety, moja grupa dała sobie jakoś radę – powiedziawszy to, komisarz uśmiechnął się pod wąsem i aby ukryć satysfakcję, sięgnął po filiżankę kawy.

Zastępca komendanta Lisowski miał zwyczaj podczas kwartalnych rozmów ze swoimi podwładnymi częstować ich małą czarną. Fischer pijał kawę raczej około południa, w trakcie przerwy w pracy, i wieczorami w domu, z odrobiną koniaku dla zaostrenia smaku, i koniecznie z fajką. Tutaj nie miał ani koniaku, ani nawet fajki, bo zastępca komendanta był zajadłym wrogiem tytoniu. Na temat alkoholu nie wypowiadał się już tak zdecydowanie, więc komisarz sądził, że jego przełożony nie jest całkowitym abstynentem.

Odstawił filiżankę na blat niewielkiego stolika, który ustawiono tuż przy oknie wychodzącym na ulicę Ratajczaka. Było otwarte, więc do ich uszu dochodził zgiełk dobiegający z dołu. Ale nie było innego wyjścia. Trzeba było mieć otwarte okno, bo wewnątrz budynku Prezydium Policji było nieznośnie gorąco. Wszystko przez nowoczesną instalację grzewczą, która zbudowana była z żeliwnych rur prowadzących gorącą wodę do żebrowych kaloryferów, wiszących w każdym pokoju. Woda płynęła z ogromnego kotła podgrzewanego przez węglowy piec zainstalowany w piwnicy budynku. O ile w zimowe dni to grzanie było nawet przyjemne, o tyle wiosną zaczynały się problemy. Nie było jeszcze na tyle ciepło, by zrezygnować z ogrzewania, więc palono, a to powodowało nieznośnie gorąco

w pomieszczeniach. Problem polegał na tym, że nikt nie potrafił ustawić na kotle optymalnej temperatury i jeśli się już paliło, to tak, że kaloryfery grzały się do czerwoności i trzeba było otwierać okna, żeby wytrzymać w tym zaduchu. Nad poniemieckim systemem głowili się najlepsi majstrowie znający się na hydraulice, ale jak dotąd żadnemu nie udało się sprawić, by zawory wypuszczały z kotła wodę o temperaturze odpowiedniej dla istot ludzkich, a nie pustynnych grzechotników. Dlatego nieliczni starzy pracownicy, którzy pamiętali przedwojenne czasy, z rozrzewnieniem wspominali stare, dobre piece kaflowe, zlikwidowane w całym budynku prezydium w dwunastym roku.

– Panie komisarzy szanowny – mówił wywiadowca Seweryn Gil, który, jak zdawało się niektórym, pracował tu od zawsze. – Za Niemca może najlepiej się nam nie wiodło, ale porządek był i w piecach kaflowych samiśmy se grzali, tak że było dobrze, a nawet idealment!

– Ale te kaloryfery zainstalowali jeszcze przed wojną – przypomniał mu Fisher.

– No cóż, nie wszystko złoto, co się świeci, i nie każdy wynalazek nadaje się dla ludzi. Słyszał pan przecież o tym, że wynaleziono w czasie wojny karabin z zakrzywioną lufą, co miał strzelać zza winkła.

– Nie, nie słyszałem – zdziwił się komisarz. On od tysięcy dziewięćset siedemnastego roku walczył w okopach Francji i gdyby taki karabin rzeczywiście skonstruowano, to zapewne wiedziałby coś o tak niezwykłym wynalazku.

– Owszem, wymyślono, żeby lufę zakrzywić pod kątem prostym i dzięki temu można by, nie wychylając głowy, strzelać do wroga.

– To czemu się nie przyjął?

– No bo niestety nie dało się z niego strzelać. Kula, panie komisarzu, ma to do siebie, że jak ją się już wystrzeli, to leci prosto, nawet jak się lufę zrobi z podwójnie wytrzymałej stali, to ona za cholere nie skręci, tylko przypieprzy w przeszkodę. No i niestety najlepsza lufa nie dała se rady z kulami i każdy strzał kończył się jej rozerwaniem. Więc wynalazek był słuszny, karabin dobry, a lufa do dupy. No i ja se tak myślę, że eksperymenty to są dobre w laboratorium, a w życiu lufa musi być prosta. A do grzania najlepszy jest piec, a nie krzywe rury, co je instalują w ścianach. Ja pamiętam nawet, jak je tu w te ściany wkładali, to nikt nie wierzył, że będzie z tego jaki pożytek. I co? Już wtedy miałem rację, już wtedy wiedziałem, że nic z tego nie będzie dobrego.

Bo Seweryn Gil pracował tu od bardzo dawna. Zaczynał robotę policyjną w pamiętnym roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym, kiedy to Wilhelm II Hohenzollern został królem Prus i cesarzem Rzeszy Niemieckiej. Wówczas to młody Gil został przyjęty do policji pruskiej z racji swojego nijakiego wyglądu, mierzył bowiem niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów, twarz miał bez wyrazu, podobną do nikogo, a jego niewątpliwym dodatkowym atutem była płynna znajomość języków polskiego i niemieckiego. Ponadto posiadał umiejętność formułowania myśli na piśmie w formie zdań, co nie było wówczas takie oczywiste, a do tego jeszcze miał dobry wzrok i doskonały słuch, mógł więc nie tylko podpatrywać, ale i podsłuchiwać ludzi rozmawiających przy sąsiednich stolikach w szynkach, tramwajach i na ulicy. Nadawał się doskonale na wywiadowcę, bo mógł się wtopić w ludzką ciżbę i słuchać, ile wlezie, gdyż jak wiadomo każda policja żywi się ludzkimi głosami, a podsłuchiwanie to bardzo istotna część pracy każdego policjanta. No więc patrzył i podsłuchiwał

Seweryn Gil z ochotą, bo to przecież zajęcie niezwykle ciekawe. Robił to dla władz pruskich, a gdy te odeszły z Poznania w drugim dniu powstania wielkopolskiego, jak gdyby nic stawił się w pracy i okazało się, że takich jak on Polaków z doświadczeniem policyjnym jest zaledwie kilkunastu. Dlatego bez zbędnych ceregieli wszyscy oni zostali włączeni do Straży Ludowej, która zajęła się w mieście robotą policyjną, by wkrótce przekształcić się w powstańczą żandarmerię, a po przyłączeniu do macierzy w końcu w Policję Państwową.

Gil niespecjalnie tęsknił za czasami pruskimi, no chyba że jak każdy za młodością, co zawsze odchodzi za szybko i niestety bezpowrotnie. Żal jednak mu było pieców kaflowych, w których kiedyś mógł palić sobie sam do woli i tyle, ile trzeba. Wobec nowoczesnej techniki grzewczej był, niestety, bezradny, tak jak pozostali policjanci urzędujący w tym budynku.

Jego szef, Antoni Fischer, miał w policji znacznie krótszy staż. Został oddelegowany do śledczej pracy w dziewiętnastym roku wprost z frontu powstańczego pod Budzyniem. Tworząca się policja rozpaczliwie potrzebowała oficerów, dlatego kierowano do niej ludzi z szeregów wojskowych mających jakiegokolwiek pojęcie o policji albo o prawie. Tymczasem Fischer był niedokończonym jurystą. Zanim podczas wielkiej wojny trafił na kursy oficerskie, studiował prawo na berlińskim Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma. I to był właśnie powód, dla którego podporucznika Fischera wcielono, nie pytając nawet o zgodę, do powstającej policji. Gdy pojawił się po raz pierwszy w budynku Prezydium Policji w Poznaniu, był przekonany, że to będzie tylko krótki epizod w jego życiu. Tymczasem okazało się, że policyjna przygoda przedłużyła się już o ponad dekadę. Teraz komisarz Fischer był jednym z najbardziej doświadczonych oficerów śledczych

w Wielkopolsce. Nic więc dziwnego, że dowodził brygadą pościgową, czyli zespołem ludzi do zadań specjalnych, którzy zajmowali się najtrudniejszymi śledztwami i ścigali najniebezpieczniejszych bandytów. Tyle że nie zawsze mieli co robić. Tak jak w ostatnim kwartale tego roku. W ciągu ostatnich trzech miesięcy jego wywiadowcy zajmowali się zaledwie dwoma poważnymi śledztwami. Jedno dotyczyło handlu żywym towarem, czyli sprzedażą młodych kobiet do domów rozpusty w Ameryce Południowej. Przestępcy wyszukiwali ładne dziewczyny na prowincji, proponowali im niezwykle atrakcyjną pracę za granicą i bilet na statek. Na miejscu okazywało się, że obiecany raj jest nieludzkim piekłem. Na szczęście dzięki zaangażowaniu grupy pościgowej udało się aresztować większość członków bandy handlarzy i oszustów i uwolnić pięć dziewcząt gotowych już do drogi. Druga sprawa dotyczyła podwójnego morderstwa pewnego małżeństwa. Ta rzeczwiście wlokła się już drugi miesiąc i jego ludzie ciągle byli w punkcie wyjścia. Nikt niczego nie widział, a morderca nie pozostawił żadnych śladów. I pewnie właśnie o tym mówił zastępca komendanta, zarzucając Fischerowi brak wyników.

– Ale w kwestii zamordowanych małżonków Wiringherów z Wildy jakoś nic się chyba nie dzieje? – rzucił Lisowski.

– Trudna sprawa, panie komendancie.

– Od tego właśnie jesteśmy, żeby trudne sprawy rozwiązywać. Mam nadzieję, że nie przyjdzie pan do mnie za miesiąc z wnioskiem o umorzenie sprawy?

– Proszę mi wierzyć, że... – Fischer chciał złożyć solenne zapewnienie, ale przerwał mu ostry dźwięk dzwonka telefonicznego. Inspektor spojrzał na aparat i mruknął coś pod nosem w dialekcie znanym tylko policyjnym szefom, którzy nie lubią podnosić niepotrzebnie głosu.

– No widzi pan, panie komisarzu kochanieńki, że spokojnie nie dadzą porozmawiać. Zawsze ktoś sobie coś tam przypomni i dzwonią. Po co w ogóle mamy te telefony? Powiem panu: po to, żeby uprzykrzyć nam wszystkim życie.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Halo, czego tam? – Przez chwilę słuchał tego, co miał do powiedzenia jego sekretarz, bo telefon nie miał bezpośredniego wyjścia na miasto, ale łączony był przez sekretariat komendanta. – No ładnie, bardzo ładnie, kochanieńki – powiedział w końcu głosem, w którym Fischer od razu wyczuł pewną ekscytację. – A wszystko żeś zapisał uważnie, znaczy się adres, kochanieńki, adres? No to wybornie, w takim razie napisz to wszystko pięknie na kartce i daj komisarzowi Fischerowi, jak będzie wychodził ode mnie. Bo on właśnie wychodzi, kochanieńki, właśnie wychodzi.

Po chwili komisarz Antoni Fischer trzymał w dłoni kartkę ze starannie wykaligrafowanym adresem przy Grochowych Łąkach, z dopiskiem: „Najprawdopodobniej rozchodzi się o kwestię morderstwa”.

Godzina 8.30 rano

Tolek Grubiński uniósł głowę, by spojrzeć przez okno. Niewiele mógł dostrzec z wysokości drugiego piętra, bo tylko ścianę sąsiedniej oficyny i kawałek nieba. I właśnie o to niebo najbardziej mu się rozchodziło, bo patrząc w nie, chciał sprawdzić, jaka dziś pogoda, a co za tym idzie, dokonać właściwego wyboru garderoby, aby się właściwie odziać. Bo Tolek niesłychanie dbał o to, by wyglądać godnie, jak na człowieka interesów przystało, tym bardziej że właśnie dziś

przed południem miał odbyć pewne spotkanie w sprawach pieniężnych. Jeszcze nie wiedział, o jakie pieniądze chodzi, ale czuł swoim nosem wyczulonym na brzęk złotych, że będą niemałe, skoro do niego się zwrócono o pomoc w sprawie. Szczegółów nie znał, ale skoro o wsparcie prosiło wojsko, znaczyło to tyle, że przyjdzie mu nieźle się obłowić. Wojskowe zlecenia pojawiały się dość rzadko, ale jak już się zdarzały, to zawsze mógł liczyć na dobry zarobek.

– No proszę, proszę, jaki elegant z niego! – Usłyszał głos Kryśki dochodzący z kuchni. – Siednij se i poczekaj, a ja już go wołam! Tolek, chodź ino, bo tu jakiś generał do ciebie przyszedł!

Grubiński uśmiechnął się pod czarnym wąsem. Wiedział dobrze, co to za wojskowy. Zenuś Brodziak był jego dobrym znajomym, a właściwie, można by rzec, wychowankiem. Kilka lat temu Tolek zaopiekował się nim i dobrze się stało, gdyż dzięki tej opiece chłopak wyszedł na ludzi i nie zmarnował się na ulicy. A miał ku temu znaczne szanse, ponieważ był typowym małym ulicznikiem, od najmłodszych lat zajmującym się braniem bez pytania wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Tym samym parał się Tolek Grubiński, jednak jako szef złodziejskiej szajki robił to w sposób przemyślany i dobrze zorganizowany. A że Zenuś był chłopakiem obrotnym, więc wpadł w oko Tolkowi i ten przyjął go do swojej złodziejskiej grupy. Szybko okazało się, że chłopak ma smykałkę do techniki i różnych mechanizmów. A to umiejętność niesłychanie przydatna w złodziejskim fachu. Tolek zaczął więc uczyć go otwierania zamków wytrychami i nawet pewnie wyuczyłby go rozcinania kas pancernych palnikiem, ale nie zdążył. W ubiegłym roku dotychczasowe, spokojne złodziejskie życie Zenusia zmieniło się całkowicie. Chłopak został żołnierzem, a dokładniej podoficerem należącym do tajnej

grupy wywiadowczej, włamującej się do wagonów niemieckich pociągów przejeżdżających przez „polski korytarz” i przechwytyjącej wojskową korespondencję. Początkowo kapitan Mikołajewski, poznański pracownik Dwójki, zamierzał rolę włamywacza powierzyć Tolkowi Grubińskiemu, ale ten, niestety, wdał się w jakąś awanturę, został ranny i gdy leżał w szpitalu, musiał go zastąpić jego uzdolniony uczeń[6].

– Gdzie ten generał? – zapytał Tolek, wchodząc do kuchni. Zdążył już włożyć spodnie, koszulę i wiśniową kamizelkę, wyglądałby więc dość elegancko, gdyby nie gołe stopy, bez skarpet. Ale kto by zwracał uwagę na takie nieistotne szczegóły, kiedy były ważniejsze sprawy. Na widok swojego mentora Zenuś Brodziak poderwał się z krzesła stojącego przy kuchennym stole.

– Plutonowy Brodziak melduje się na rozkaz! – wyrecytował, stając na baczność. Chciał jeszcze zaszalutować, ale zorientował się, że głowę ma nienakrytą, a do gołej przecież nie wolno. Jego piękna garnizonowa rogatywka została zawłaszczona przez siedmioletniego Stefka, który ani myślał ją zbyt szybko oddać właścicielowi. Dzieciak siedział teraz na taborecie, majtając nogami, w za dużej czapce na głowie, dumny jak paw.

– No to żeś mnie już w stopniach przeskoczył, bo ja wojnę skończyłem jako obergefreiter[7]. – Tolek chwycił chłopaka za ramiona, a potem wycił go z dubeltówki.

– Ja właśnie w zeszłym tygodniu dostałem trzecią belkę – wyjaśnił Zenuś.

– No to znaczy się, że jest okazja, żeby to opić.

– Chyba od rana nie będziecie chlać? – zdziwiła się Kryśka. Przerwała na chwilę karmienie sześciolatniej Julki zupą mleczną z zacierkami. Dziewczynka zastygła z otwartą buzią w oczekiwaniu, aż kolejna łyżka trafi do jej ust.

– Na gorzołę czas będzie wieczorem, a teraz my się napijemy kawy, co nie, Zenuś?

– W koszarach dają taką lurę, że lepiej nie gadać.

– No u nas zawsze kawa prima sort, prawda, Krychna?

– Kawa w domu zawsze musi być na rano – potwierdziła gospodyni. – Weź no ten dzbanuszek z pieca i nalej, bo ja muszę jeszcze Julcię nakarmić... A może co do jedzenia naszykuję? Pan Zenuś może chleba zje?

– A gdzie tam, pani gospodyni. Dziękuję bardzo, ale ja już po śniadaniu. Wew wojsku to człowieka bez śniadania na miasto nie wypuszczą. Trzeba zjeść wszystko, żeby dać młodemu żołnierzowi przykład dobry, że podoficer futruje pięknie, co kuchnia poda.

– Ale dobrze was tam chyba karmią, bo żeś się zaokrąglił – zauważyła Kryśka. – Wyglądasz jak upasiony bamber^[8].

– He, he! Żarcie pierwsza klasa. – Mówiąc to, Zenuś poklepał się po brzuchu. – Na śniadanie, na ten przykład, dają chleba tyle, ile człowiek da radę zjeść, znaczy się dokładnie na żołnierza przysługuje ćwiartka bochenka, ale wiadomo, że nie wszyscy tyle zjedzą. Jak przychodzą nowi, szczególnie z Polesia, albo jeszcze skąd dalej na wschodzie, to oni są tak niedożarci, że cały chleb przydziałowy rąbią, a jak co zostanie, to zabierają do kieszeni, żeby tylko drugiemu nie oddać. Ale później, jak już zobaczą, że ten chleb jest codziennie, to już nie są tacy chciwi. Żrą, ile się da, ale do kieszeni już nie zabierają nic. Bo tak na zdrowy rozum, to po co im ten chleb bez omasty. Przecież w kantynie marmolady, ile chcesz, no i masło codziennie i jeszcze ser albo biały, albo smarczaty^[9]. A w niedzielę to już w ogóle uczta, bo dają kiełbasę gotowaną z musztardą. No i kawa zbożowa z cukrem, ile się w zmieści, pijesz do woli i nikt krzywo nie spojrzy.

– A obiady? – Gospodyni, która zajmowała się domem, a co za tym idzie gotowaniem, była najwyraźniej zainteresowana żołnierską kuchnią.

– Obiady to już Azja i małmazja, pani Krysiu. Dają najpierw zupę, znaczy się grochówkę albo fasolówkę, albo ślepe ryby^[10] i wszystko na wędzonce, a na drugie zawsze kasza albo pyrki z omastą, ze skrzyczkami^[11] albo nawet ze sosem, no i jeszcze ogórki kiszane albo kiszona kapusta.

– Kiszonki są dobre, bo mają dużo witamin. W radio powiadali, żeby kiszonego dużo jeść i dzieciakom dawać – wyjaśniła, wskazując na niewielki odbiornik lampowy, który jakiś czas temu Tolek przyniósł z roboty.

Radio Tesla było bardzo porządne, bo lampowe, a nie kryształkowe, więc można było go słuchać przez wbudowany niewielki głośnik, a nie jak te tanie aparaty przez słuchawki. Dlatego Kryśka, gdy tylko wchodziła rano do kuchni, natychmiast włączała aparat nastawiony na Radio Poznańskie i słuchała wszystkiego, co tam mają do powiedzenia i zaśpiewania. Teraz radio też było włączone, więc słyszeć było delikatne dźwięki muzyki fortepianowej nadawanej ze studia przy placu Wolności 11 na żywo.

Tolek wyciągnął z kredensu dwa białe kubki ozdobione kolorowymi kwiatkami, zdjął emaliowany czajnik z pieca i nalał zbożówki do naczyń. Postawił parujący kubek przed gościem. Sam oparł się plecami o kredens, bo przy stole były tylko cztery miejsca do siedzenia.

– Stefek, zrobiłbyś tatusiowi miejsce – odezwała się Kryśka do syna.

Ten ani myślał odejść od stołu, gdy zasiadł przy nim gość w wojskowym mundurze. Jak każdy chłopak uwielbiał żołnierzy. Miał nawet całą kolekcję ołowianych kawalerzystów. Ten co prawda nie był ułanem, ale i tak wyglądał pięknie.

– Mamusia, ja jeszcze jem śniadanie. – Wskazał na nadgryzioną pajdę chleba z masłem i marmoladą.

– Niech siedzi. – Tolek uśmiechnął się do syna, bo doskonale wiedział, w czym rzecz, i że wcale nie chodzi tu o jedzenie. – Ja se mogę postać. Giry mnie od tego nie rozbołą.

– Zaraz Julcia zje, to weznę ją do pokoju i se pogadacie ze spokojem.

– Pani Krysiu, ja tam przed panią tajemnic żadnych wojskowych nie chowam. – Brodziak uśmiechnął się zadowolony. Z kieszeni mundurowej bluzy wydobył paczkę egipskich i położył je na blacie. Tolek postawił przed nim porcelanową popielniczkę.

– Mężczyźni zawsze mają do pogadania, a my, kobiety, mamy swoje sprawy. Co, Julcia, idziemy się ubierać i czesać włoski?

Dziewczynka skinęła głową. Tak jak matka była blondynką. Syn natomiast odziedziczył czarne włosy po ojcu.

Kryśka wzięła córkę na ręce i wyszła z nią do pokoju znajdującego się bezpośrednio za kuchnią. Ich mieszkanie w kamienicy przy Wielkich Garbarach składało się z trzech pomieszczeń. Prócz kuchni i sypialni mieli jeszcze jeden pokój przeznaczony dla dzieci. Można więc powiedzieć, że Tolek Grubiński i jego rodzina żyli w niemal luksusowych warunkach.

– Widzę, że dobrze się wam tam powodzi, w tym wojsku. Palisz se papierosy, a nie skręty. Jak ja byłem w wojsku, to papierosy palili tylko oficerowie. A teraz, proszę, jakie czasy nastały, że pan plutonowy se żyje jak król.

– Inne czasy – stwierdził Zenuś, otwierając pudełko z papierosami i podsuwając je gospodarzowi. Też skorzystał, bo ostatniego wypalił wczoraj wieczorem i dziś dopiero zamierzał kupić. – Wtedy to była pruska armia, a teraz jest nasza, polska, to i lepiej się ludzi traktuje. A ja co miesiąc

dostaje porządny żołd, ubiór od stóp do głów, łącznie z gaciami, i jeszcze w kantynie całkowite wyżywienie. A roboty wcale dużo nie ma, no chyba że jak jest wyjazd, to wtedy człowiek się narobi.

– Jeździcie na tę robotę w pociągach? – domyślił się Tolek. Zenuś skinął głową.

– Tajemnica wojskowa, to i mówić nie wolno. Ale ty i tak wiesz wszystko od samego początku, to ci nic nie będę ściemniał, bo i po co. Robimy ich na szaro, że aż miło patrzeć. Raz na jakiś czas jedziemy, jak idzie informacja, że coś ważnego w przesyłkach leci, bo byle chłamu na ślepo nie bierzemy. Teraz to już jest wszystko dobrze rozpracowane i przemyślane, nie tak jak na samym początku, co wszystko było robione na wariackich papierach. Dzisiaj to już sprawa poważna.

– A Mikołajewski dalej tym wszystkim zawiaduje?

Zenuś pokręcił głową.

– On tylko organizował ekipę na samym początku. Wszystkim dowodzi major Żychoń z Bydgoszczy. Tam jest centrala całego naszego wywiadu na Niemcy. A Mikołajewski dowodzi tu u nas, na placówce poznańskiej.

– Dużo wiesz jak na plutonowego – stwierdził z podziwem Tolek.

Jeszcze niedawno ten rudowłosy, piegowaty chłopak chodził z nim i braćmi Kaźmierczakami na juchtę^[12], a teraz, proszę bardzo, siedział przed nim żołnierz pełną gębą i to nie jakiś koszarowy pierdzistołek, ale podoficer, co bierze udział w normalnej wojnie, na której w każdej chwili można stracić życie. Tolek uśmiechnął się i podrapał po starannie przyciętej brodzie. Musiał przyznać, że był dumny z tego chłopaka, który na jego oczach zmienił się w mężczyznę. Tylko szkoda mu było

tych jego ślusarskich umiejętności, z pożytkiem wykorzystywanych podczas włamań.

– No zasadniczo to można powiedzieć, że coś tam wiem – zgodził się z nim Zenuś, gładząc swoją rudą czuprynę, ułożoną starannie dzięki sporej porcji brylantyny. – Ale to wcale nie jest dużo i lepiej więcej nie wiedzieć i trzymać się swojej roboty.

Tolek pokiwał głową. Mądry z niego chłopak wyrósł, pomyślał i sięgnął po kolejnego papierosa.

– Czyli że robisz cały czas te zamki w wagonach pocztowych? – zapytał, bo ciekawość nie dawała mu spokoju.

– Zamki to tylko podczas akcji. A tak w ogólności to ja jestem podoficer techniczny, czyli że mam pod sobą całe koszary.

– Jak to?

– Ano tak, że jak się jaki klucz zgubi, to już beze mnie nikt nie wejdzie do środka. Otwieram zamki, naprawiam je, oliwię, rozbieram do najmniejszej szajbki, a potem składam na powrót. Ale to nie wszystko. Bo zamki w drzwiach to tylko taka codzienna robota. Najważniejsza jest mechanika przy armatach. Tu to już jest wyższa szkoła jazdy. Trzeba się znać na różnych mechanizmach, niemieckich, francuskich, bo my mamy na stanie wszystko, co się dało na to uzbrojenie pozyskać, czyli niemieckie armaty zdobyte jeszcze w powstaniu i francuskie, co je przywiozła do Polski Błękitna Armia generała Hallera.

– Pamiętam, jak w dziewiętnastym roku przyjeżdżali tu z Francji. Pół Poznania chodziło na dworzec oglądać tych cudaków w niebieskich mundurach.

Tolek przypomniał sobie te codzienne transporty wojskowe, w których przewożono armaty, samochody, czołgi i oczywiście samych żołnierzy, podążające z Francji przez Niemcy

najkrótszą drogą do kraju, by wyładowywać się na wschodzie i niemal bezpośrednio kierować się na front wojny z bolszewikami. Ale on nie chodził tam przyglądać się tym francuskim dziwom. Jego interesowali ludzie, bo Grubiński w tym czasie był dopiero początkującym złodziejem, ale za to doświadczonym karciarzem, który całą wojnę spędził w twierdzy Boyen w Lötzen na Mazurach, nie oddawszy nawet jednego wystrzału do wroga w ciągu czterech wojennych lat. Nauczył się za to doskonale grać i oszukiwać w karty. Po wojnie swoją karcianą wiedzę wykorzystywał, grając z niemieckimi żołnierzami czekającymi na pociągi do Niemiec na poznańskim dworcu, a potem z polskimi jadącymi z Francji.

– Przyjechali i zostali. W naszej jednostce mamy kilku hallerczyków. Ale żaden z nich nie jest Francuz. Oni w większości to byli nasi z Poznania, Bydgoszczy czy Katowic, co to poszli za Prusaka do armii, a potem dostali się do francuskiej niewoli. A stamtąd już prosto do Hallera – powiedziawszy to, Zenuś dopił ostatni łyk kawy i spojrzał na Tolka. – To co, chyba czas już by było iść, bo kapitan Mikołajewski ma ważne sprawy do przekazania.

Tolek pokiwał głową.

– Poczekaj ino, bo ja coś muszę na siebie wrzucić. No i trzewiki trzeba wzuć, bo z gołymi girami nie wypada do kapitana.

– Pewnie, że nie. W końcu my są miastowe szczony, a nie bambry z Żegrza, nie? – mówiąc to, Zenuś mrugnął do Stefka, który dawno już uporał się ze swoim chlebem, ale dalej siedział przy stole w rogatywce na głowie.

– Jak będę duży, to też zostanę wojskowym – zapowiedział z całą powagą, na jaką mógł się zdobyć, siedmiolatek.

Godzina 9.40 przed południem

– A pan to jest kto? – zapytał Fischer, patrząc uważnie na wielkiego mężczyznę ubranego w znoszoną marynarkę z wyświechtanymi łokciami, opiętą na okazałym brzuchu świadczącym o poważnym zamiłowaniu właściciela do uciech stołu podlewanych sówicie piwem. Głowę miał całkowicie łąsą, za to niedostatki owłosienia nadrabiał okazałym, podkreślanym szlacheckim wąsem

– Ja jestem tu za właściciela, znaczy się administruję w imieniu pana właściciela. Erazm Faferek do usług szanownego pana komisarza.

– A właściciel to gdzie jest?

– Cholera jego wie, panie komisarzu. – Mężczyzna wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście bezradności. – Gdzieś jeździ po świecie.

– W interesach? – domyślił się Fischer.

– Tego to ja już nie powiem, bo nie wiem. Mnie się nie opowiada.

– A do Poznania to często przyjeżdża?

– Wcale nie przyjeżdża. Niby po co miałby przyjeżdżać, jak on ma pięć kamienic i wszystkie dochodowe. Jedną ma tu, na Grochowych Łąkach, dwie na Wielkich Garbarach i dwie het, na Jeżycach, ale gdzie, to ja nie wiem, bom tam nigdy nie był. Mnie ino ta moja kamienica interesuje, znaczy się robię swoje, pieniądze odbieram od lokatorów i najemców i każdego miesiąca wysyłam do właściciela.

– Czyli że macie jego adres za granicą?

– Uchowaj Boże. Żadnego adresu nie mam. Mam za to każdego miesiąca przed wysyłką telegram z miejscem, gdzie

mam przesłać pieniądze. Zawsze jest to jakiś hotel w Paryżu albo Berlinie czy innej Lizbonie. No to wysyłam pieniądze, a pocztą daję raport z miesięcznego rozliczenia. Zawsze to robię sumiennie, co do złotówki, i piszę, kto płaci po bożemu, a kto zalega, i jakie remonty trzeba przedsięwziąć, ot choćby jak rynna w prawej oficynie, co całkowicie przerdzewiała na trzecim piętrze i woda się leje po ścianie. Ale zgody na lutowanie nie ma i niedługo trzeba będzie zgnieć tynki usuwać, bo grzyb ściany przeżre... Ale zgody nie ma ciągle na taką małą naprawę i co ja mam robić? Ze swoich przecie dokładać nie będę, bo moja pensja i tak marna, ledwie na przeżycie wystarczy, ale u pana Berczyńskiego to zrozumienia nie ma...

– A ten nieborak to na pensji u pana... – Fischer stanął w progu pokoju, spoglądając z zaciekawieniem na zwłoki zabitego.

– Pana Berczyńskiego Władysława. A owszem, na pensji stróżowskiej, którą ja mu płacę...

– Chyba płaciłem – wszedł mu w słowo wywiadowca Gil, który na miejsce zbrodni przyjechał razem z Fischerem dorożką. Komisarz chciał iść pieszo, bo na Grochowe Łąki nie było daleko z Prezydium Policji, ale do wzięcia dryndy przekonał go Gil.

– Panie komisarzu, przecież nie uchodzi, żeby policja w randze komisarycznej przychodziła na nogach jak pierwszy lepszy szuszwol[13]. Komisarz musi zajeżdżać z fasonem, żeby wszyscy widzieli, że to osoba urzędowa nadjeżdża i żeby tym większy szacunek wzbudzać w ludności. Bo jakby ta ludność zobaczyła, że komisarz idzie jak jakiś posterunkowy, toby zaraz się po mieście rozeszło, że Policji Państwowej nie stać na dryndziarza.

– Bo też Policji Państwowej rzeczywiście nie stać – stwierdził Fischer. – Przecież jest okólnik komendanta wojewódzkiego, żeby korzystać ze swojego taboru samochodowego, a tylko w ekstraordynaryjnych wypadkach jeździć dorożkami czy taksówkami.

– To przecie jest wyjątkowa sprawa, jak my mamy się wybierać do morderstwa. A może morderstwo nie jest ekstradringendowe?^[14] Im szybciej będziemy na miejscu, tym lepiej, bo nam tam wszystkie ślady zdeptają i bajzlu narobią.

To ostatecznie przekonało Fischera, bo do zabezpieczania śladów przykładął dużą wagę, świadom tego, że nawet najdrobniejszy przedmiot zostawiony przez zbrodniarza na miejscu dokonania przestępstwa może doprowadzić do jego ujęcia. Natomiast Gil w ten sposób przekonał swojego szefa do jazdy we własnym interesie. Bo wywiadowca liczył już sobie sześćdziesiąt sześć lat, do tego był okrągły jak piłka futbolowa, więc chodząc po mieście, męczył się okrutnie, pocił i sapał. Stąd od jakiegoś czasu starał się unikać niepotrzebnego wysiłku. Nie zapominał jednak przy tym o wspomaganii się odpowiednią dietą. Jadł obficie i tłusto, żeby dostarczyć jak najwięcej wartościowych składników potrzebnych do sprawnego funkcjonowania. Pamiętał przy tym o odpowiedniej ilości piwa, bo jak wiadomo, świeże piwo doskonale wpływa na trawienie i uwalnianie gazów, które zalegają w brzuchu, nadmiernie go pompując i sprawiając, że człowiek staje się ociężały i mało sprawny.

Gdy tylko podjechali na Grochowe Łąki, Fischer poszedł do mieszkania, w którym dokonano zbrodni, natomiast Gil do oficyny po drugiej stronie podwórka, tam, gdzie mieściła się gospoda Pod Świńskim Uchem. Mało kto używał jednak tej nazwy, bo stali bywalcy nazywali ją po prostu knajpą rzeźnicką, ponieważ przychodzili do niej pić piwo

i ewentualnie coś przegryźć pracownicy pobliskiej rzeźni, a także ci, którzy szukali pracy, by się dowiedzieć, czy w najbliższych dniach nie będą tam przyjmować chętnych do jakiegokolwiek roboty. Knajpę już otwarto, ale ruch był jeszcze mizerny, więc Gil natychmiast usadowił się przy najbliższym wolnym stoliku i skinął na stojącego za bufetem chudego mężczyznę w białym kitlu. Ten natychmiast napełnił kufel piwem i podszedł do nowego gościa.

– A pan jesteś właściciel czy pracownik? – zapytał wywiadowca, gdy chudzielec postawił przed nim kufel ze spienionym napojem.

– Broń boże właściciel, ja tu ino leję.

– Bo ja jestem z policji – wyjaśnił na wszelki wypadek Gil.

– Ja tam nic nie wiem – zastrzegł bufetowy.

– A jak się nazywacie?

– Derkacz Eustachy, syn Karola.

– O proszę – ucieszył się wywiadowca. – Widzę, żeście w świecie obyci i wiecie, jak na policji prawidłowo się przynależy przedstawiać. No to siadajcie, Derkacz, to se trochę pogadamy.

Mężczyzna usiadł posłusznie naprzeciw policjanta. Ten tymczasem zanurzył usta w kuflu, pociągając solidny łyk. Otarł wąsy z piany, która na nich osiadła, i uśmiechnął się zadowolony.

– To za co siedzieliście, Derkacz? – zapytał, żeby od razu pokazać, kto tu ma przewagę i wie niemal wszystko.

– Jak Boga kocham, że za niewinność.

– No to jakby zrozumiałe. A niewinność była w jakiej kwestii?

– W sprawie napadu i pobicia.

– Za jeden napad was wsadzili? Niemożliwe.

- Przy jednym mnie szkieły chwyciły, to mi domalowali jeszcze kilka i się uzbierało na rok i trzy miesiące we Wronkach.

- Łe, rok, nie wyrok. Myślałem, żeście lepszy sort, a tu zwykła łachudra, co to z gazrurką na porządnych obywateli napada.

- Tylko nie z gazrurką, panie władzo. Nie z gazrurką, bo to było zwyczajne pobicie. A że z portfela gościowi parę złotych wypadło całkiem przypadkowo, to miałem być frajer i nie wziąć? Jak co samo w ręce wpada, to przecie grzecznie wziąć, bo kto inny może się schylić.

- A tego tam naprzeciwno, stróża znaczy się, to kto sprawił?
- zapytał Gil obojętnym tonem.

- Ja się za mokre robotę nie brałem nigdy i nie weznę. - Na potwierdzenie swych słów bufetowy położył rękę na sercu.

- A bo to ja mówię, że to wy? Ale ja wiem, że jak wy, Derkacz, żeście siedzieli, to, znaczy się, na przestępczym fachu znacie się lepiej niż ktokolwiek inny tu w okolicy. I ja wiem też, że takiemu, co siedział we Wronkach, to mało co może przejść koło nosa. Byli więźniowie to mają taki specjalny szósty zmysł i oni widzą znacznie więcej niż inni. I dlatego ja se myślę, że jak kto tu mógł co zauważyć, to wy, Derkacz, na pewno pierwsi żeście to zobaczyli.

Bufetowy uśmiechnął się lekko pod wypiełęgowanym wąsem à la Douglas Fairbanks[15].

- No niby nic ważnego nie widziałem - zaczął trochę niepewnie - ale w nocy, jak już było w gospodzie spokojniej...

- A o której godzinie mniej więcej robi się spokojniej?

- Zależy od dnia, ale w tygodniu, jak na następny dzień nie ma żadnego święta, to wiara pije tak mniej więcej do drugiej, a potem to już tylko zalani goście siedzą i marudzą. To ich się spokojnie i grzecznie bierze za lompę[16] i dalej na ulicę, bo co

tu będzie taki jeden z drugim pierdolił, jak czas spać. No to ja już ostatniego gościa wywlokłem z gospody, to przyszedł tu taki jeden, co nijak do rzeźnickiej knajpy nie pasował, bo był ubrany elegancko, w ciemny płaszcz z kołnierzem borsuczym i w meloniku na głowie, i jeszcze miał na nosie bryle. No i on przyszedł do bufetu, kazał sobie podać setkę żytniówki i śledzia na zagryzkę. No tom mu nalał, a on machnął gorzołę, a potem zdjął rękawiczki, bo miał takie z kozłej skóry miękkie i szykowne, odłożył je na bufet, a potem wziął tego śledzia w dwa palce i zaczął go objadać tak, jakby on nie był pan, ale zwykły dryndziarz. A tego śledzia to on nie zjadł, tylko zeżarł. A jak już go skończył, to kazał se dać jeszcze jedną dużą stopkę, wypił, beknął jak świniak i poszedł. Ale nie powiem, zapłacił jak pan, bo dał całe pięć złotych i nie chciał reszty. I powiedział jeszcze, że to za fatygę, że niby go się obsłużyło po zamknięciu. I właśnie dlatego go zapamiętałem. Bo tu nikt nie daje napiwków. I nikt nie chodzi w brylach.

Wywiadowca Gil jeszcze przez chwilę porozmawiał z bufetowym, a potem poszedł do mieszkania naprzeciwko, gdzie komisarz Fischer przesłuchiwał administratora.

– Już jestem – zameldował Gil, stając w progu. Erazm Fąferek spojrzął za plecy Fischera, skąd dobiegł go głos mężczyzny, ale jego właściciela nie było widać. Dlatego zaintrygowany, odchylił się nieco, by zajrzeć do tyłu. Na szczęście komisarz zrobił krok w przód, odsłaniając cały obraz za sobą. Stał tam niepozorny starszy mężczyzna o statecznym wyglądzie, z wąsami przypominającymi takie, jakie nosił cesarz Wilhelm. Od cesarza był jednak znacznie niższy i nie miał w sobie tyle monarszej godności.

– Jeśli pan komisarz pozwoli, to ja bym się chciał pana administratora spytać o jedną kwestię – rzucił Gil.

Fischer skinął głową.

– Jak żeś mu pan płacił, temu zabitemu stróżowi, raz w tygodniu?

– Nie w tygodniu, ale dostawał pensję raz na miesiąc. Zawsze na ostatni dzień miesiąca.

– Znaczy się, jak dziś mamy dwudziesty czwarty, to stróż dostałby pensje na trzydziestego, bo kwiecień ma trzydzieści dni, to w tej sytuacji jesteś mu pan winien za dwadzieścia cztery dni...

– Zaraz, jak to winien? Przecie on nie żyje!

– To znaczy, że jak kto nie żyje, to nic mu się nie należy? Nic z tego, panie ładny, oddasz mu pan wszystko co do grosza, znaczy nam, policji, oddasz wszystko, żeby było dla rodziny na pokrycie kosztów pogrzebu...

– Kiedy on nie miał rodziny.

– To pieniądze policja przekaże miastu na koszty pochówku komunalnego... – poparł swojego podwładnego komisarz.

– Ale...

– Żadnego „ale”, żadnego! – uciał Gil. – Idź pan po pieniądze, a my się w tym czasie rozejrzemy w mieszkaniu.

Gil minął administratora, który, chcąc nie chcąc, musiał wykonać polecenie władzy. Poszedł więc jak niepyszny odliczyć pensję dla nieboszczyka, a wywiadowca ruszył za Fischerem do sypialni, gdzie fotograf policyjny, przodownik Adam Blumenfeld, fotografował zwłoki stróża.

– I coś pan się wywiedziało? – zapytał komisarz Gila.

Ten zadowolony podkreślił swoim zwyczajem węża.

– Mamy pierwszy punkt zaczepienia, gościa eleganckiego o manierach chama, ale z wielkopańskim gestem. Wszystko nam powie świadek, bufetowy z pobliskiej knajpy. A jak u pana komisarza sprawy się mają?

Fischer machnął ręką z rezygnacją.

– Na razie niewiele, ale jak wiadomo, w śledztwie nawet pozorne nic to może już być coś. A tu mamy to. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa, a w niej zawinięty starannie niewielki przedmiot. Rozłożył go na dłoni i podsunął Gilowi. Ten spojrział tylko pobieżnie, a potem wzruszył ramionami.

– Fifka – stwierdził.

– Niby zwykła fifka do papierosów, a jednak wcale nie zwykła.

– Jak to? – Wywiadowca nie dostrzegł w niej niczego nadzwyczajnego.

– Ano tak, mój drogi panie Gilu, że ta fifka leżała sobie pod łóżkiem. No to ją wydobyłem i sprawdziłem w dziennym świetle przy oknie. No i powiem panu, że jest to fifka z kości słoniowej wykończona srebrem. A ten tu nieborak nie wygląda na kogoś, kto by palił papierosy w czymś takim. Zdaje się, że on w ogóle nie palił gotowych papierosów, ale jak wielu ludzi w jego wieku i o jego pozycji skręcał tytoń samodzielnie i palił je w zwykłej szklanej fifce, takiej jak ta na stole. – Fischer wskazał blaszaną popielniczkę pełną niedopałków i opartą o jej brzeg szklaną, poczerniałą od tytoniowej smoły lufkę.

– No to już coś, panie komisarzu, bo jakby tak pozbierać wszystko do kupy, to taka porządna fifka pasuje jak ulał do tego gościa, co w nocy jadł w tej rzeźnickiej knajpie śledzia.

Komisarz pokiwał głową, patrząc na bladą jak prześcieradło twarz stróża. Nie, na pewno nie wyglądał na właściciela lufki z kości słoniowej. Na takie luksusy mogli pozwolić sobie tylko ludzie majątni albo złodzieje. No chyba że zabity był nie tylko stróżem, ale i przestępcą...

[3] Szkiety (gwar.) – policjanci.

- [4] *Schneidemühl* – obecnie Piła.
- [5] Flak – to słowo w niemieckiej nomenklaturze wojskowej oznacza armatę przeciwlotniczą. Jest to skrót od słowa *Flugabwehrkanone* (dosłownie działo obrony przeciwlotniczej).
- [6] Więcej w powieści *Wszyscy słyszeli jej krzyk*.
- [7] *Obergefreiter* – w wojsku niemieckim odpowiednik polskiego kaprała.
- [8] Bamber (gwar.) – gospodarz, rolnik.
- [9] Ser smarczaty (gwar.) – ser topiony.
- [10] Ślepe ryby (gwar.) – zupa ziemniaczana.
- [11] Skrzyczki (gwar.) – skwarki.
- [12] Juchta (gwar.) – kradzież.
- [13] Szuszwol (gwar.) – łachudra, obwieś.
- [14] *Dringende* (niem.) – bardzo pilne. Tu spolszczenie oznaczające „superpilne”.
- [15] Douglas Fairbanks – amerykański aktor filmowy kreujący niezwykle popularne role bohaterskich awanturników w niemych filmach przygodowych i kostiumowych.
- [16] Lompy (gwar.) – ubrania.

Rozdział II

Godzina 10.40 przed południem

Pukanie do drzwi było głośne i natarczywe, ale nie przyniosło efektu. Nikt w środku się nie poruszył. Nie słychać było kroków, trzaskania zamykanych drzwi ani uspokajających głosów lokatorów. Cisza, jakby nikogo tam nie było. A przecież musiał być ktokolwiek, jeśli nie gospodarz, to przynajmniej żona albo ktoś ze służby, kucharka czy pokojówka. Ludzie na takim poziomie nie żyją przecież w próżni, ale otoczeni tymi wszystkimi, którym się płaci, i to wcale nieźle pieniądze, za zapewnienie wszelkich luksusów, niezbędnych ich pracodawcom.

– Nikogo tam chyba nie ma w środzku – stwierdził kierowca konsulatu niemieckiego w Poznaniu.

Joseph Schulte mówił doskonale po polsku, jak większość urodzonych tu Niemców, jednak nigdy jakoś nie udało mu się wymówić dźwięcznego „r”. Jego polscy koledzy z podwórka na Wielkich Garbarach śmiali się nawet z niego, że przez to szwabskie „h” od razu słychać, że jest Niemcem, bo gdyby nie to, mówiłby jak rodowity Polak. Ale nikt mu nie robił z tego powodu przykrości, bo na podwórku, ulicy czy nawet na

Starym Mieście, gdzie Schulte się wychował, nikt ludzi nie dzielił na Polaków czy Niemców, ale na mądrych i głupich. Jemu jeszcze do niedawna było całkowicie obojętne, czy jest Polakiem czy Niemcem. W domu z rodzicami mówił po niemiecku, z kolegami po polsku, w wojsku polskim, do którego poszedł z poboru, obowiązkowo po polsku. I gdyby nie to śmieszne „r”, mógłby z powodzeniem uchodzić za Polaka.

Krótko po ukończeniu służby wojskowej w dwudziestym szóstym roku wrócił do Poznania i zaczął rozglądać się za pracą. Zupełnie przez przypadek trafił na ogłoszenie w „Kurierze Poznańskim”, że Konsulat Generalny Niemiec w Poznaniu poszukuje kierowcy. Tak się szczęśliwie złożyło, że w wojsku zrobił uprawnienia do prowadzenia samochodów, bo przydzielono go do kolumny transportowej. No i dzięki tym uprawnieniom mógł zgłosić się do pracy. Brat matki, który nie wyjechał z Poznania po wielkiej wojnie, licząc na to, że Polska to tylko państwo sezonowe i prędzej czy później miasto wróci do Rzeszy, poradził mu, jak powinien odpowiadać na pytania zadawane w konsulacie.

Rozmowa kwalifikacyjna trwała bardzo krótko. Zapytano go po niemiecku, dlaczego chce pracować w konsulacie. Odpowiedział, że czuje się Niemcem i chce pracować dla dobra swojej prawdziwej ojczyzny. Urzędnik przyjął tę odpowiedź z wyraźnym pomrukiem zadowolenia. Drugie pytanie było bardziej podchwytliwe i zostało zadane po polsku. „Czy uważa, że Poznań jest najpiękniejszym polskim miastem”. Tu musiał się chwilę zastanowić, bo nie znał żadnego innego polskiego miasta, więc odpowiedział wymijająco, tak jak zawsze powtarzał jego stryj: „Poznań jest najpiękniejszym... niemieckim miastem”. Na twarzy urzędnika konsulatu, nadradcy Gebhardta, pojawił się szeroki uśmiech i Joseph już wiedział, że dostanie tę pracę. Dostał, a później wysłano go do

Niemiec na półroczne szkolenie. Teraz był więc w pełni wykwalifikowany i dobrze przeszkolony.

Dziś to właśnie nadradca Gebhardt wysłał go do mieszkania wicekonsula. Zawołał go do siebie do biura, gdzie zebrało się już kilku innych pracowników konsulatu.

– Jedź no, dogi Josephie, do pana wicekonsula na Matejki. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak jest, panie nadradco, oczywiście wiem, bo już nie raz zawoziłem tam pana wicekonsula von Pieskow.

– To jedź i zobacz, co się tam dzieje, bo trochę jesteśmy zaniepokojeni jego absencją. Wyobraź sobie, że nasz pan wicekonsul nie przyszedł dziś do pracy, a przecież zawsze zwykł był stawiać się punktualnie o godzinie dziewiątej. A tymczasem dziś ani widu, ani słychu. Próbowałem dzwonić do niego, ale telefonu też nie odbiera.

– Może pana wicekonsula zatrzymały jakieś pilne sprawy na mieście? – zapytała zaniepokojona sekretarka.

Nadradca pokręcił głową.

– To wbrew procedurom, droga pani. Wbrew procedurom, bo nasi dyplomaci nie mogą się spotykać w mieście bez wcześniejszej informacji na ten temat. Gdyby pan wicekonsul miał ochotę zobaczyć się z jakimś miejscowym Polakiem albo Niemcem, wszystko jedno z kim, to musiałyby najpierw wpisać takie spotkanie w kalendarzu. To kwestia bezpieczeństwa i on o tym doskonale wie. Więc spotkanie w mieście wykluczam. Pozostaje więc może jakaś nagła choroba. Może rozboleł go brzuch nad ranem i małżonka odwiozła go do szpitala. Wszystko jest możliwe. A więc jedź, mój drogi Schulte, i sprawdź tam wszystko na miejscu, a potem zaraportuj. Najlepiej jakbyś, mój drogi, zatelefonował do konsulatu, wprost do mnie, z mieszkania pana wicekonsula.

Dlatego teraz Schulte stał pod drzwiami i pukał w nie, ale jego pukanie było mało skuteczne.

– Może jeszcze śpią? – powiedział, patrząc na szczupłego i żylastego stróża Leszczyka, ubranego w szary kitel i czarną hamburską czapkę z daszkiem.

Ten podszedł do drzwi i zastukał zdecydowanie mocniej niż szofer. To także nie przyniosło pożądanego rezultatu.

– Jakby nikogo nie było... – Stróża najwyraźniej ogarnęło zdziwienie.

– Przecie kucharka powinna w tej chwili krzątać się przy przygotowaniach do obiadu, a pokojówka ścielić łóżka albo odkurzać dywany elektryczną maszyną. Bo w tych mieszkaniach, panie, tu na Matejki, wielkich i nowoczesnych, co mają przynajmniej po cztery wielkie pokoje, ludzie mają takie luksusy, co się drugim nawet nie śniły. Na ten przykład takie elektroluksy na prąd elektryczny do zasysania kurzu i paprochów, co wysprzątają każdy dywan, o drewnianej podłodze nie wspomnę. Do tego dochodzą jeszcze fryżydery^[17], znaczy takie zimne szafki na jedzenie, w których można trzymać produkty po kilka tygodni i wcale się dzięki temu chładowi nie psują, a wódeczka z tej zimnej szafki taka zimna, jakby ją w lodzie trzymali. I jeszcze to nie wszystko, bo w tych mieszkaniach, znaczy gdzie se życzyli państwo lokatorzy, gazownia doprowadziła gaz i dzięki temu gazowi można było zakładać w łazienkach junkersy, znaczy się takie piece ogrzewające wodę. I w kranach mają teraz dwa kurki, jeden do wody ciepłej, a drugi do zimnej. A ci z gazowni to powiadali jeszcze, że można wymienić stary piec w kuchni na gazowy, co się będzie palił bez węgla, ale mnie się widzi, że to już fanaberia. Bo niby jak tak gotować wodę na gazie?

– A klucze pan masz? – Szofer w końcu doszedł do głosu i nie zamierzał już odpuścić gadatliwemu cieciewi. – Musimy

wejść do środka i zobaczyć, czy się nic nie stało.

– Jak niby wejść? – zdziwił się stróż.

– Ano tak, że trzeba i już. Nic nie poadzimy.

– Jak nie, jak tak. Przecie do mieszkania nie wolno włazić byle komu.

– My nie są byle kto. Znaczy się ja nie jestem byle szuszwol, ino dyplomata piehwszej hangi urzędowej, znaczy się attaché z konsulatu. I ja powiadam, że my urzędowo musimy wejść i sphawdzić.

– No niby klucze mam – potwierdził – ino to jakoś tak nie uchodzi do cudzego domu...

– A jakby się paliło, to co?

– Ogień to jest żywioł. Przed ogniem trzeba ratować wszystko, toby się weszło.

– A może pan wicekonsul zathuł się czymś z żoną, kucharką i pokojówką i umiehają w boleściach?

– Łe, toby jęczeli. A poza tym pani wyjechała do Berlina, to znaczy się, że pokojówka ma wolne, a kucharka przyjdzie później, ino żeby obiad dla pana naszykować – wyjaśnił stróż, dokładnie zaznajomiony ze zwyczajami lokatorów.

– A co tam, panie Leszczyk, się wyrabia? – zapytał naraz jakiś mężczyzna, schodzący właśnie schodami z wyższego piętra. Zatrzymał się i przystanął za plecami stróża oraz kierowcy. Ciec odwrócił się i dojrzawszy przybysza, zdjął czapkę z głowy, by się ukłonić.

– Moje uszanowanie dla szanownego pana mecenasa. Dobrze, że pan mecenas zeszedł, bo właśnie jest tu taka sytuacja, że on, ten tu szofer z konsulatu, chce wejść do środka.

– Nie że chcę, ale muszę sphawdzić.

– A co sprawdzić, jeśli wolno zapytać?

– Zapytać wolno, ino że odpowiadać nie wolno, bo to tajemnica międzynarodowa i konsulahna – wyjaśnił Schulte, robiąc przy tym poważną minę urzędnika.

– Ale pan mecenas Dubois też jest międzynarodowy jakby co. Prawda, panie mecenasie?

– Poniekąd – zgodził się mecenas mieszkający piętro wyżej, bezpośrednio nad wicekonsulem.

– Bo to, panie mecenasie szanowny, ten tu oto szofer przyjechał szukać pana konsula von Pieskow, bo niby nie ma go w konsulacie i nigdzie, więc go wysłali na przeszpiegi, znaczy się na poszukiwania, żeby go znaleźć, ale widać w chacie nie ma żywego ducha, bo my pukali i nic.

– No to postukajcie jeszcze raz – zaordynował mecenas. Stróż przystąpił z zapalem do wykonania polecenia, ale i to stukanie nie przyniosło żadnego skutku.

– Jeśli to jest sprawa niecierpiąca zwłoki, to możemy komisyjnie otworzyć mieszkanie i sprawdzić, czy aby coś się nie stało – powiedział prawnik, gdy dwaj mężczyźni odwrócili się do niego jakby w oczekiwaniu na sądowy werdykt. – Oczywiście niczego nie ruszając, możemy wejść i zobaczyć, co i jak, a potem jakby nic nie było, wyjdziemy stamtąd, a ja napiszę protokół, że weszliśmy komisyjnie.

– A skąd niby wziąć taką komisję? – Zafrasowany Leszczyk podrapał się po głowie.

– My we trzech będziemy komisją międzynarodową, czyli dyplomatyczną. Ja będę reprezentował Francję, jako że mam francuskie obywatelstwo, pan szofer, jak się pan nazywasz?

– Schulte.

– Pan Schulte będzie reprezentował Niemcy, a pan Leszczyk Polskę. W ten sposób unikniemy skandalu dyplomatycznego, gdyby taki zaistniał. To co, panowie, zgadzacie się na międzynarodowy arbitraż?

– Na co? – nie zrozumiał niemiecki „dyplomata”.

– Niby że co? – Polski również nie wiedział, o co chodzi. W tej sytuacji francuski machnął ręką.

– Masz pan klucze przy sobie, to otwieraj! – Wskazał na drzwi. Stróż pokiwał głową. Zawsze przecież miał klucze przy sobie, tak na wszelki wypadek, jakby się coś stało. Ale dotąd jeszcze nigdy nic się nie stało i nie musiał wchodzić do żadnego z mieszkań. To było pierwsze, więc czuł się trochę nieswojo. Sięgnął mimo to do paska, gdzie wisiał pęk kluczy, a drugą ręką przycisnął klamkę, tak na wszelki wypadek. I naraz okazało się, że klucze wcale nie są potrzebne. Bo drzwi od mieszkania nie były zamknięte od środka. Gdy klamka została wciśnięta, otworzyły się, zapraszając mężczyzn stojących na zewnątrz do wejścia.

– Otwahte były cały czas – zauważył najczystsza polszczyzną Niemiec.

– Może kto ich zabił? Niczego nie dotykać proszę! – ostrzegł pozostałych adwokat. – Żeby nie zatrzeć jakichś śladów!

– O, są ślady! – Leszczyk natychmiast zauważył plamy na podłodze.

Tak jakby ktoś wdepnął w coś mokrego i przeszedł potem po suchej podłodze. Były to ślady męskich butów. Prawnik podniósł rękę. Jego współnicy natychmiast się zatrzymali.

– Panie Leszczyk, idź pan zaraz do mnie do mieszkania na górę, niech Jadzia da panu, nie zwlekając, kilka arkuszy bibuły, kałamarz i pędzelek.

Stróż nie pytał o nic. Już taką miał naturę, że jak kto wydawał mu rozkaz, wypełniał go bez szemrania. Pobiegł szybko i po chwili wrócił zdyszany z kilkoma kartkami w rulonie, butelką atramentu i pędzlem w zębach. Prawnik wziął atrament, pędzelek i zaraz przyklęknął koło śladu buta.

– A co pan tak w ogóle hobi? – zapytał szofer.

– Zbieram ślady, póki nie wyschły.

– Ano tak. – Schulte pokiwał z uznaniem głową.

Dubois tymczasem zrobił to, czego nauczył się na kursach kryminalistycznych dla adwokatów. Nabrał odrobinę atramentu na czubek pędzla i dotknął nim ostrożnie mokrego śladu. Granatowy kolor natychmiast rozlał się po wzorku wyznaczonym przez karbowaną podeszwę. Czynność tę adwokat powtórzył jeszcze kilka razy, tak aby barwnik dostał się w każde mokre miejsce. Gdy ślad z wodnistego zmienił się w granatowy, wziął od stróża arkusz bibuły i ostrożnie, uważając, żeby nie przesunął się ani o milimetr, położył go na mokrym śladzie. Trzej mężczyźni patrzyli jak zafascynowani na papier, który momentalnie wchłonął wilgoć, barwiąc się na niebiesko. Po chwili Dubois podniósł papier i spojrzął na spodnią część, tę, która miała kontakt z wodą i atramentem. Na bibule widać było wyraźnie ślad dużego, męskiego buta.

– *Donnerwetter!*[\[18\]](#) – wyszeptał z podziwem Niemiec.

– Ożeż ja cię pierdolę – jęknął Polak

– No i mamy naszego złodzieja – stwierdził zadowolony z siebie Francuz.

– A co tu się dzieje, do jasnej cholery?! – Usłyszeli za swoimi plecami kobiecy głos.

Odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stała gruba jak kura nioska kucharka z koszykami pełnymi zakupów w obu dłoniach.

Godzina 11.05 przed południem

– Miał jakichś wrogów? – zapytał komisarz Fischer, wskazując głową okno wychodzące na podwórze.

Za nim było widać przeciwległą oficynę z drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Przy tych drzwiach stał młody policjant z karabinem zawieszonym na ramieniu, a przed nim grupka dzieciaków liczących na okazję, że może ten się zagapi i zdołają niepostrzeżenie przemknąć na schody, żeby zajrzeć do mieszkania, gdzie leżał zabity stróż. To była przecieź niesłychana atrakcja. Ten, który przedrze się przez policyjny kordon i dotrze na miejsce zbrodni, będzie mógł jeszcze długo opowiadać wszystkim swoim kolegom o tym, co tam zobaczył. Tyle że na razie nikomu się to jeszcze nie udało, mimo że próbowali wspiąć się na okienny parapet, by zajrzeć do sypialni. Wygonił ich stamtąd wąsaty posterunkowy, który był w mieszkaniu, nakrzyczał na nich, pogroził im palcem, a potem zaciągnął zasłony, tak że nic nie było widać. Jedyłą szansę dawały więc drzwi, które trzeba było szybko sforsować pod nieuwagę policjanta. Tyle że ten młodzieniec najwyraźniej bardzo serio traktował swoje obowiązki, bo stał na straży z groźną miną i ani myślał odpowiadać na pytania łobuziaków.

– Każdy ma jakichś wrogów, panie komisarzu – zauważył Alojzy Maślak.

Woznica właśnie przed chwilą wrócił na Grochowe Łąki, żeby dać się przesłuchać policji, bo tak mu nakazał rano posterunkowy, który przybył pierwszy na miejsce zbrodni. Początkowo chciał go tu zatrzymać do czasu, kiedy przyjadą na miejsce śledczy, ale dał się przekonać poważnymi argumentami w postaci dwóch butelek piwa. Bo fakt, że Maślak ma pilną robotę i musi na czas rozwieźć beczki i skrzynki do innych lokali, nie był wystarczająco przekonujący. Wozak obiecał, że wróci na przesłuchanie i słowa dotrzymał. Bo tak naprawdę był ciekaw, co ustalą policjanci, żeby później móc zdać relację z tego morderstwa

kolegom po fachu, z którymi będzie się spotykał w kolejce do załadunku pod browarem Huggera.

– A kto był jego wrogiem?

– Tego to ja nie bardzo wiem, ale jakby się tak dobrze zastanowić, to najbardziej go nie lubili lokatorzy tej kamienicy.

– A to czemu? – zdziwił się komisarz.

– Bo ten zabity, znaczy się Otto Hildebrandt, on lubiał wypić.

– To jeszcze nie powód, żeby go zabijać. Jakby w naszym kraju mordowano za to, że ktoś za dużo pije, to połowa ludzi zginęłaby natychmiast w miastach, a na wsi to żaden żywy chłop by nie pozostał.

– Prawda, panie komisarzu, że ludzie muszą pić, boby się całkowicie rozeschli od środka, a wiadomo, że piwo do picia najlepsze, a na przeziębienie to nic tak dobrze nie robi jak grzane piwo z miodem.

– Nigdy nie piłem.

– To musi pan koniecznie spróbować. Jak będzie pan miał zaziębienie, to wtedy wieczorem zagrzać kwartę piwa, ino nie gotować, ale podgrzać, żeby było gorące i zdatne do picia, do tego dodać przetarty czosnek i łyżkę miodu, i jeszcze trochę imbiru. A jak się to wypije, to zaraz do łóżka pod pierzynę. I na rano człowiek wstaje jak nowo narodzony, a po chorobie nie ma śladu. Ja zawsze tak robię i jakoś człowiek dożył już pięćdziesiątki.

– No to będę musiał spróbować, a na razie musi wystarczyć to zimne. – Fischer wskazał na stojący przed nim kufel, który przed chwilą przyniósł mu bufetowy. Eustachy Derkacz w tej chwili siedział za barem i się nudził, bo nie miał nic do roboty. Komisarz postanowił bowiem w knajpie zainstalować swoje biuro śledcze, jako że warunki były tu całkiem przyzwoite do przesłuchiwania wszystkich możliwych świadków. Nie mogło być jednak w środku nikogo niepotrzebnego, czyli normalnych

klientów. Komisarz kazał więc Derkaczowi wyprosić tych, którzy już siedzieli przy stolikach, i nie wpuszczać nikogo, kto by tu chciał wejść w celach rozrywkowych. W przejętej przez policję knajpie mogli przesiadywać tylko policjanci i świadkowie. Więc Derkacz nie miał kompletnie nic do roboty, ale jakoś specjalnie mu to nie przeszkadzało. Rozumiał, że policja nie będzie u niego siedzieć wiecznie, a jak już sobie pójdą, to zleci się tu pół miasta, żeby usłyszeć coś ciekawego o morderstwie, a to znaczy, że sprzedadzą przynajmniej dwa, albo i trzy razy więcej piwa i wódki niż normalnie. I do tego wszystkiego jeszcze on, bufetowy Derkacz, będzie mógł wszystkim opowiedzieć ze szczegółami, o co wypytywała policja i jakie są podejrzenia co do mordercy. Jakie są, tego na razie jeszcze nie wiedział, ale miał nadzieję, że coś ciekawego usłyszy, podając piwo śledczym. Gdy dojrzał, że komisarz Fischer ma pusty kufel, od razu napełnił kolejny i podszedł do stolika.

– Panie komisarzu, jeszcze jedno piwko – powiedziawszy to, postawił kufel przed policjantem.

– Niech będzie, ale to już ostatnie, bo przecież nie mogę prowadzić sprawy na rauszu.

– O, pan komisarz nie wygląda na byle łachudrę, to i pewnie wypić może więcej niż byle szuszwol.

– Służba to służba – zauważył policjant. – No ale jak już żeś pan tu przyszedł, panie Derkacz, to spocznij pan na chwilę i powiedz, kogoś pan w nocy widział. Może pan Maślak przypadkiem zna tego gościa.

– Ten, co ja o nim już mówił temu małemu? Znaczy się, no temu pana koledze...

– Wywiadowcy Sewerynowi Gilowi pan mówił o nim.

– A nie... tak... to znaczy się... ten, co był tu w nocy ubrany elegancko w płaszcz popielaty z kołnierzem borsuczym

i w meloniku na głowie. A nos miał taki perkaty i czerwony jak normalny pijak, a na nosie bryle takie okrągłe w szylkretowych oprawkach, ale ja se myślę, że te bryle to miał tylko tak, żeby lepiej wyglądać, bo mi się widzi, że ten gość to wcale nie jest jakiś pan, co chodzi w garniturze jak urzędnik albo jaki właściciel ziemski, ino jaki wywijas, co się porządnie ubrał, znaczy się przebrał za kogo innego. A poza tym jechało od niego gorzołą, jakby dopiero co wstał od stołu i nagle mu się zachciało jeszcze i dlatego przyszedł tutaj się dopić odrobinę.

– A jakie miał oczy? – zapytał policjant, jednocześnie wpisując coś do swojego czarnego notesu.

– Oczy miał wodniste.

– Czyli że jakie?

– Takie bardziej szkliste. A koloru to raczej będzie niebieskiego, ale też i trochę czerwone.

– To jeśli szkliste i czerwone, to znaczy się, że co? – Fischer próbował naprowadzić barmana, ale chciał, żeby to on sam powiedział.

– Na takie ślepia wodniste i przekrwione to mają goście, co ciągiem ino chleją.

– Pijak i złodziej – wtrącił się woźnica Maślak.

– A skąd niby wiadomo, że złodziej? – Fischer spojrzał na wozaka, a ten wzruszył tylko ramionami.

– No przecie dobrze wiadomo, że każdy pijak to złodziej. Bo skądś musi wziąć bejmy na przepicie, a z uczciwej pracy nie weźnie, bo pracować nie da rady, bo musi pić, a jak jest napity, to do pracy nie ma siły iść, bo musi się napić. I żeby się napić musi ukraść, więc jak pijak, to i złodziej.

– Prawda, że największe pijaki piją za kradzione – zgodził się z wozakiem Derkacz. – Każdy ino kombinuje, gdzie by tu co podpieprzyć, no i potem sprzedać, żeby mieć za co chlać. Bo to

mało razy mi przynoszą fanty, żeby się ino napić. Ale ja fanty wyjątkowo tylko biorę, bo później jeszcze ktoś gotowy jest pomyśleć, że ja paser jestem albo co.

– A ten, co był tu w nocy – komisarz dalej układał sobie w myślach obraz nietypowego gościa, więc pytał o każdy szczegół – ten pijak dobrze odziany, to jak mówił?

– Niby że jak?

– Chodzi o to, że ludzie mówią w różny sposób.

– A, to prawda jest. Co ja się tu nasłucham ludzkiego gadania. I każdy gada inaczej, choć większość po polsku. No po niemiecku też, ale ostatnimi czasy coraz mniej się niemieckiego słyszy. Dużo wiary no wyjechało do Rzeszy, bo im Polska obrzydła.

– Każdy ma prawo mieszkać, gdzie mu się tylko podoba – zauważył wozak. – A jak komu nasz Poznań za mocno Polską śmierdzi, to niech se jedzie do Berlina i niech mu tam niemieckimi fiołkami pachnie na zdrowie.

– To jak mówił ten gość?

– Po polsku, ale no tak zwyczajnie.

– Tak jak gada chłop czy robotnik, czy nauczyciel?

– Nie jak chłop, no bo bambra to się zaraz wyczuje, no bo bambry gadają jak wsiowe ćwoki. Bardziej no jak robotnik, znaczy się tak zwyczajnie. No bo jak nauczyciel to nie. Bo nauczyciel czy urzędnik no to tak bardziej uczenie gadają, że tu coś powie, tam coś powie i jeszcze jak co powie, to już powie, że aż się człowiek zastanawia, skąd niby to wiadomo i że w ogóle no umie tak gadać. I jeszcze słowa takie znają, że człowiek nie wie, w czym rzecz i tak w ogóle o czym gadają.

– Czyli że raczej jak robotnik się wysławiał?

– He, he, pan komisarz to też jak nauczyciel, niby normalnie, ale takie słówka, że ho, ho. Bo tu nikt by nie

powiedział, że ktoś się wysławiał ani nawet że mówił, bo tu wszyscy ino gadają.

– Prawdę powiada – zgodził się z nim wozak. – Wszyscy ciągiem ino gadają, a mówią to ino przez radio, jak są te, no, odczyty i pogadanki. Na ten przykład jak ta, co wew zeszły wtorek była o tym, czemu trzeba myć ręce mydłem, żeby się choroby nie przenosiły.

– A jakieś znaki szczególne to ten facet miał, na przykład na rękach czy na twarzy?

Bufetowy pokręcił głową.

– Jeśli się chodzi o to, czy aby mordy nie miał poraszplowanej^[19], to nie miał, a na łapach rękawiczki miał czarne, z eleganckiej miękkiej skóry. Ale zaraz, jak on zdjął rękawiczkę, żeby z kieszeni te pięć złotych wyciągnąć, co mi je dał za fatygę, jak jaki wielki pan, to zabrał się za jedzenie śledzia, com mu jego podał. I on tak wziął tego śledzia w paluchy, jak to wszyscy tu jedzą, nie widelcem i nożem, ino wew te paluchy, i dlatego to zobaczyłem.

– Co pan zobaczył?

– No że paluchy ma brudne, znaczy się za pazurami miał czarno, jakby w ziemi robił.

– Nie tylko ci, co w ziemi robią, mają czarne za paznokciami. Wozacy na ten przykład, co becзки przenoszą, też mają tak – mówiąc to, Maślak położył swoje spracowane, sękate dłonie na blat stołu. Rzeczywiście były brudne.

– Tak one właśnie jak tu u pana Maślaka wyglądały – stwierdził przesłuchiwany z pewnym przekonaniem.

– Rozumiem, że nigdy wcześniej go pan nie widział, panie Derkacz?

– Tak jest, nigdy nie widziałem go ani razu, ino tej nocy.

– No dobrze. Dziękuję panu.

– A piwo jeszcze podać? – zapytał bufetowy, poczuwszy ulgę, że to już koniec przesłuchania.

Fischer machnął dłonią. Nie miał zamiaru się upijać. Musiał mieć trzeźwy umysł, by wszystko tu ogarnąć.

– A ja dlaczego by nie? Ja już po robocie jestem – rzucił wozak. Daj pan kufel koźlaka.

Bufetowy wstał od stołu i poszedł do baru.

– To na czym myśmy skończyli naszą rozmowę, panie Maślak? Pytałem, zdaje się, czy zabity nie miał jakichś wrogów, a pan powiedział, że każdy ma wrogów, a ten, co pije, to w szczególności. To o co chodzi z tym jego piciem i wrogami?

– No rozchodzi się o to, że jak on się uchlał, to za nic nie dało się go obudzić. A bramę zamykał po bożemu o dziesiątej wieczór. No to jak się napił za mocno, to marne były szanse, żeby się dało go zbudzić i niejeden lokator, co za późno wrócił, psy na nim chciał wszystkie powiesić, bo za nic nie mógł się dostać do domu. Aż w końcu administrator kamienicy nakazał, żeby brama była niezamykana na noc, żeby ludzie mogli wchodzić i wychodzić.

– I dzięki temu morderca mógł spokojnie wejść, zabić go i wyjść bez żadnego problemu – domyślił się Fischer. – No i jeśli to był ten, którego widział pan Derkacz, to...

Bufetowy przyszedł do stolika z kuflem ciemnego piwa w dłoni. Postawił je przed woźnicą. Ten natychmiast zanurzył wąsy w pianie.

– Panie Derkacz, jeszcze momencik. Niech pan powie, ten nocny gość przyszedł do restauracji, jak już była zamknięta?

– No ja już zamykał, bo było późno, ale on koniecznie chciał się napić, to co było robić? Zresztą widział, że posprzątane, ale się uparł.

– Czyli otworzył mu pan drzwi i go wpuścił...

– Nie, panie komisarzu. Drzwi były szeroko otwarte, bo ja stałem se na podwórku i paliłem ćmika, bo se wyszłem, żeby się przewietrzyć, a on dopiero co wlaź na podwórze z tych drzwi na wprost i podszedł do mnie, i zajrzał do środka.

– Czyli nie wchodził od ulicy, tylko tylnymi drzwiami od zaplecza?

– Zgadza się, bo od ulicy to ja już miał lokal zakluczony.

– Czyli widział go pan, jak wychodził z tego wejścia tam w oficynie, co wiedzie do mieszkania stróża.

– Tak jest. Tak właśnie było, panie komisarzu.

Fischer zamknął notes i wstał od stołu. Nie miał już tu więcej nic do roboty. Teraz musiał tylko poczekać na odciski palców, które zdejmował właśnie przodownik Blumenfeld ze stołu, krzesła i kubków. Kto wie, może dzięki nim da się zidentyfikować przestępcę. W każdym razie sporo roboty przed nim i jego ludźmi.

Godzina 11.15 przed południem

– A gdzie to się szanowny kolega wybiera?

– Jak gdzie? No przecie że na służbę.

– Tyle to ja dobrze wiem, ino nie wiem, gdzie?

– A, o to ci się rozchodzi, w jakie rejony?

– Rejony to mnie mało interesują. Mnie interesuje, w jakim charakterze się wybierasz na służbę i w jakiej sprawie.

Wywiadowca Władysław Okoń usiadł za biurkiem, wydobył z kieszeni marynarki notes, zajrzał do niego, a natrafiwszy na odpowiedni zapisek, przytrzymał miejsce palcem wskazującym.

– Idę na Chwaliszewo, tak już to wczoraj ustaliłem z komisarzem Fischerem.

– No i właśnie o to mi się rozchodziło od samego początku – ucieszył się drugi wywiadowca, Anastazy Olkiewicz, który podobnie jak jego stary druh Włodek Okoń miał stopień przodownika.

Te stopnie obaj mieli wpisane w książeczkach służby i naszyte w postaci krokievek na pagonach. Tyle że ich mundury wisiały w szafach, zabezpieczone kulkami na mole, żeby ich to paskudne robactwo nie zeżarło. Bo obaj podoficerowie mniej więcej od roku, czyli od czasu, gdy powstała poznańska policyjna grupa pościgowa, przestali chodzić do pracy w uniformach i musieli zamienić je na zwykłe cywilne ubrania. Nie przyjęli tej zmiany z przesadnym entuzjazmem, ale co było robić, w końcu do grupy wziął ich sam komisarz Fischer, ich dawny dowódca jeszcze z wojska. Zarówno Okoń, jak i Olkiewicz byli weteranami armii pruskiej. Gdy wojna się skończyła, wrócili do swojego rodzinnego Poznania. Jak większość tych, którzy przeżyli, mieli nadzieję na spokojny odpoczynek w domu. Na miejscu jednak szybko okazało się, że nie mają co liczyć na spokój. Poznań bowiem szykował się do rewolucji narodowej, która miała przynieść upragnioną wolność i przede wszystkim pozwolić połączyć się z odrodzoną Polską, która od listopada osiemnastego roku tworzyła się na ziemiach zaborów rosyjskiego i austro-węgierskiego. Poznaniacy wzięli sprawy w swoje ręce, a wir wydarzeń porwał obu doświadczonych na froncie podoficerów i znów rzucił ich do walki. Obaj trafili do kompanii dowodzonej przez innego frontowca, podporucznika Antoniego Fischera, który też dopiero co wrócił do domu. O ile tworzące się wojska powstańcze nie cierpiały na braki wśród szeregowców i podoficerów, bo tych w Poznaniu było pod dostatkiem, o tyle

kłopot był z oficerami. Tych potrzebowano jak tlenu. Ktoś bowiem musiał dowodzić żołnierzami w trakcie walk. A frontowych dowódców było w pierwszych dniach powstania niewiele i to wyłącznie podporucznicy i porucznicy. Wyższych stopni Polakom w armii pruskiej nie nadawano, więc to oni wzięli na swoje barki ciężar dowodzenia w walkach w początkowym stadium insurekcji.

Okoń i Olkiewicz trafili do oddziału dowodzonego przez Fischera już na samym początku powstania. Byli z nim podczas słynnej akcji na dworcu kolejowym, kiedy to podporucznikowi udało się przekonać dowódcę pociągu jadącego z pomocą dla miejscowego garnizonu niemieckiego, by wydał swoim żołnierzom rozkaz złożenia broni. Dzięki temu w ręce powstańców wpadło kilkaset karabinów, dziesięć karabinów maszynowych i cały wagon amunicji.

– Rozchodziło mi się właśnie o to, co ześ z Fischerem ustalili. Bo i ja coś ustalałem i nie byłoby dobrze, żeby my ustalali to samo w tej samej kwestii, jak można w różnych onych kwestiach ustalać różne kwestie.

Okoń spojrzał podejrzliwie na Olkiewicza. Najwyraźniej jego kompanowi o coś chodziło.

– Gadajże jaśniej, Anastazy, bo jakoś mi się nie chce rozwiązywać twoich łamigłówek. Ja tu w robocie jestem i idę swoją robotę wykonywać na mieście. Więc jak mi nie powiesz, w czym rzecz, to ja to mam w pompie i idę zaraz precz.

Olkiewicz podrapał się po łysym czole, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś bardzo intensywnie. Świadczyły o tym zmarszczone i opuszczone ku nasadzie nosa brwi.

– Bo ja mam iść w miasto w sprawie tych zamordowanych, co ich obrabowali i co my ich morderców niby szukamy. I komisarz kazał mi iść i pogadać z Tolkiem Grubińskim, żeby

może on swoim ludziom kazał się rozejrzeć, bo jak na razie nic w tej sprawie nie mamy.

– No proszę, a ja miałem iść na Chwaliszewo pogadać w kwestii porcelany.

– Jakiej porcelany?

– No zwyczajnej. Przecież w tym mieszkaniu, co ich zabili, to nic prawie nie zginęło prócz kosztowności, znaczy się złota i sreber, no i całej porcelanowej zastawy Rosenthala na trzydzieści osób.

– Na trzydzieści? – zdziwił się Olkiewicz. – Po co komu zastawa na trzydzieści ludzi? Czy oni może restaurację prowadzili, czy jak?

– Kto prowadził restaurację?

– No ci zabici.

– Nie, żadną restaurację. Oni nie pracowali już, bo byli starzy.

– No to tym bardziej ja nie wiem, po co taka zastawa im była potrzebna. Kto przy stole siada wew trzydzieści ludzi, no powiedz kto? To na weselach albo stypach to rozumiem. No chyba że oni na swoją stypę trzymali tego Rosenthala.

– Nikt nie kupuje takich drogich rzeczy, żeby było na po śmierci. Kupuje się talerze, żeby z nich jeść.

– W trzydziestu przy stole, he, he! No i co, sprzątnęli bandyci te talerze, a ty masz szukać po paserach, czy aby kto nie sprzedaje...

– Tak powiedział Fischer. Zabili ich dla złota i srebra, a porcelanę wzięli z chciwości i to może ich pogrążyć, ta chciwość, znaczy się. No i komisarz kazał mi iść do tego pasera, jak on się nazywa...

– Kolaska Ambroży, mój kolega ze szkoły – podpowiedział Olkiewicz, który wychował się na Mostowej, czyli prawie na Chwaliszewie, bo od tej wyspy na Warcie dzielił go tylko most.

– My zez tego samego fyrtila przecie są. Nie wiem, czy aby on z tobą będzie chciał gadać, ale ze mną na mur-beton.

– No to jak my już wew tym samym kierunku, to może my oba se z nim pogadamy, a w międzyczasie z tym Tolkiem się sprawy załatwi?

Drzwi prowadzące do biura, w którym siedzieli obaj wywiadowcy, otworzyły się bez pukania, a w progu pojawił się młody policjant w nieco zbyt dużym mundurze i czapce z daszkiem opadającym mu na oczy. Chłopak wszedł do środka, stanął przed biurkiem Olkiewicza, a potem spojrzawszy w prawo, tam gdzie siedział Okoń, najwyraźniej doszedł do wniosku, że to on właśnie wygląda znacznie poważniej, co mogło oznaczać, że miał wyższy stopień. Dlatego zrobił półobrót, a daszek czapki spadł mu jeszcze niżej. Podniósł rękę do salutowania, ale najpierw dwoma palcami podbił daszek, a potem dopiero zatrzymał je przyłożone do metalowego okucia.

– Posterunkowy Michotek melduje swoje przybycie! – wyrzucił z siebie, zadowolony, że nic mu się nie pomieszało w tym meldunku.

– No proszę, sam posterunkowy Michotek do nas się pofatygował – rzucił z ironią Olkiewicz, który pierwszy raz w życiu widział tego chłopaka i nie miał pojęcia, czego ów nieopierzony policjant może od nich chcieć.

– Melduję posłusznie, że miał się meldować u przodownika Olkiewicza albo przodownika Okonia. No to mi na dole, tam w tym bufecie, co jak się wchodzi z ulicy, to jest po prawej stronie, to mi tam powiedzieli, że tu na drugim piętrze, w pokoju sto czterdzieści osiem mam się stawić, to się stawiam właśnie, jak się przynależy.

– No to świetnie, Michotek – pochwalił go Okoń. – A po jaką cholereę macie się u nas meldować w pokoju sto czterdzieści

osiem? Bo ja se nie przypominam, żebym potrzebował jakiegoś szczonego do jakiej roboty. No chyba że masz nam tu podłogę wymieść albo okno umyć – mówiąc to, wskazał palcem na okno wychodzące na podwórze. – Szyby niezbyt czyste, jak mi się zdaje.

– A co ja baba jestem, żeby sprzątać? Ja jestem policjant – rzekł z dumą chłopak.

– A to zupełnie inna kwestia – stwierdził Olkiewicz. – Jak nam policjanta przysyłają, to znaczy się, że sprawa jest poważna.

– Melduję, że to śmiertelnie poważna sprawa – stwierdził młodzieniec.

– Tak, a ty skąd wiesz? – spytał Okoń.

– Stąd, że sam widział, że poważna. Bo ten, co jego tam znaleźli w tym pokoju, to zabity był na ament i nie oddychał nawet, tak był sprawiony. I nie wcale normalnie, jakąś deską czy młotkiem, ale fachowo, nożem, takim długim... – Rozłożył ręce, by pokazać rozmiar. – Powiadają, że wojskowym bagnetem.

Obaj starsi policjanci spojrzeli najpierw na siebie, a zaraz potem na Michotka.

– A kto cię tak w ogóle tu do nas przysłał? – zainteresował się Okoń.

– Pan oficer, co nie był wew mundurze, ale w jesionce, taki elegancki, a na głowie to miał taki kapelusz, co wyglądał, jakby on był z Ameryki tym kombojem, ale nie był taki wielki ten kapelusz, ino mniejszy ociupinkę, bo ten brzeg miał nie tak mocno wywinięty.

– Rondo – poprawił go Olkiewicz.

– Jakie rondo? – zdziwił się chłopak.

– Nie gada się brzeg od kapelusza, ino rondo – wyjaśnił Okoń. – Nie nauczyli cię w domu?

Prostoduszny młodzieniec natychmiast pokręcił głową, uśmiechając się. Pokręcił jednak zbyt szybko, bo czapka znów mu opadła na oczy.

– U nas na wsi to kapelusz nosił ino ksiądz, a i to wew lato, jak słońce mocno świeciło, taki ze słomy zrobiony. To ja o żadnym rondu nie słyszał. A pan oficer powiadali, żebyśta, panowie, przyszli jak najszybciej, bo trzeba się rozpytać, a ja mam was przyprowadzić, żebyśta gdzie nie pobłądzili. Tak powiedział ten mały w tym czarnym kapeluszu, zez czarnymi wąsami.

To wyjaśnienie trafiło natychmiast do przekonania obu wywiadowców. Opis Fischera i Gila może nie był doskonały, ale na tyle wyrazisty, iż domyślili się, że nie ma co czekać, skoro robota się napatoczyła.

– A kto jest zabity? – zapytał Olkiewicz.

– Jego to ja nie znam, ale musi, że to jakiś człowiek niewinny, bo zabili jego w łóżku. Spał sobie, nieborak, i ktoś jego dźgnął jak świniaka, prosto w serce dźgnął. A krwi tyle w tym łóżku jak na świniobiciu. Jakby wiadro podstawić, to całe by się napełniło. Tylko że taka krew to na nic, bo z niej się nic nie da zrobić. Co innego jak się wieprzka szlachtuje, to na takim świniobiciu tyle kaszoka dobrego narobią, że aż strach, a wszystko jeszcze takie...

– Ty nam nie o świniobiciu, ino o tym trupie gadaj zaraz – przywołał go do porządku Okoń.

– Ano właśnie, to o świniobiciu mi się przypomniało, bo on, znaczy się ten zabity, to zaraz tam wedle rzeźni, przy tych łąkach, co na nich groch rośnie...

– Grochowe Łąki – domyślił się Olkiewicz, podnosząc się jednocześnie zza biurka.

Okoń też wstał, bo skoro było morderstwo, to musieli koniecznie iść się rozejrzeć. W końcu od tego była grupa

pościgowa, żeby ścigać przestępców. A jeśli jest właśnie ktoś zabity, to łatwiej takiego przestępcę złapać krótko po zamordowaniu delikwenta niż później, gdy minie już jakiś czas.

Obaj wywiadowcy podeszli do drewnianego wieszaka, na którym wisały ich służbowe, cywilne palta. Służbowe były dlatego, że nie należały do nich, a do policji. Te stroje pobierali bowiem z magazynu rzeczy zarekwirowanych z przestępstw i mienia porzuconego w trakcie jakichś policyjnych akcji. Trafiały tam na wieszaki, by służyć funkcjonariuszom do pracy w terenie. Anastazy Olkiewicz ubierał się jak robotnik najemny, w szary kaszkiet i ciemnopopielaty trencz, a Władek Okoń jak zredukowany urzędnik, w wyświechtany paltot z podszytymi brezentem łokciami i zdefasonowany kapelusz na głowie. Obaj ubrani więc byli do swojej roboty wywiadowczej wprost idealnie, bo gdy tylko wychodzili na ulicę, natychmiast wtapiali się w tłum.

Młody funkcjonariusz z zaciekawieniem spoglądał na dwóch policjantów, którzy przeistaczali się w dziadów kalwaryjskich.

– No co się tak gapisz? – mruknął Olkiewicz, naciągając kaszkiet na łysiejącą głowę.

– He, he, bo ja nie wiedziałem, że policjanci chodzą po mieście jak szuszwole jakieś.

– Lepiej być jak porządny szuszwol z Chwaliszewa – stwierdził Okoń, uśmiechając się pod nosem – niż jaka dupa wołowa z zadupia – dodał, ale bez złośliwości.

Chłopak gadał, co mu przyszło do głowy, i widać w tym było młodzieńczą szczerłość. Jeszcze nie zdążył się nauczyć, że w policji język trzeba trzymać za zębami dla własnego dobra.

– A ty od dawna żeś jest w policji? – zapytał wywiadowca.

– Od dawna – odpowiedział młody z dumą. – Już będzie od zaprzeszłej niedzieli.

– No to jak już jest dwa tygodnie, to żeś powinien wiedzieć, że czapka nie może ci na oczy spadać – stwierdził Okoń.

– Kiedy za duża.

– To se włóż gazetę za potnik – poradził mu Olkiewicz, otwierając drzwi.

– Za co? – Michotek najwyraźniej nie zrozumiał, o co chodzi temu starszemu policjantowi.

W ogóle jeszcze niewiele rozumiał z tej służby, oprócz jednego – nie musiał robić w polu, miał porządne ubranie i ani razu przez te ostatnie dni nie był głodny. I tylko to się dla niego w tej chwili liczyło.

Godzina 12.10 po południu

– Narzędzia zbrodni nigdzie nie widać. Ale rana wygląda mi tak, jakby do zadania ciosu użyto bagnetu wojskowego – stwierdził przodownik Blumenfeld.

– A odciski palców na stole i naczyniach pan zdjęłeś? – Fischer wskazał na blat okrągłego stołu, z którego w kilku miejscach odkleił się dębowy fornir.

Na blacie stało kilka pustych flaszek po wódce i piwie, do tego dwa kieliszki z grubego szkła, takie jakie spotykało się najczęściej w gospodach i tanich knajpach, bo dzięki solidności wykonania były niemal niezniszczalne. Te przeżyły swojego właściciela i jeszcze niejeden pijak będzie się mógł cieszyć ich trwałością.

– Tak, i już na wstępie mogę powiedzieć, że część należy do gospodarza. Jemu też zdjęłem je z palców i zaraz porównałem, ale już na pierwszy rzut oka widzę, że to jego. Na drugim kieliszku i na flasce są inne odciski. Znaczy miał gościa. Jeśli

miałbym co obstawiać, tobym powiedział, że napili się, potem gospodarz położył się do łóżka i zasnął, a jego koleżka wbił mu w plecy bagnet albo jakiś inny długi nóż. Facet nie miał żadnych szans, a ten, co go dziabnął, musiał być bardzo silny, że go załatwił jednym wprawnym ciosem. Jak rzeźnik.

Policjant właśnie chował do solidnej skórzanej walizki pojemniki z odczynnikami do zabezpieczania odcisków palców. Jego robota był skończona. Teraz komisarz będzie mógł przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Choć tak po prawdzie to niewiele tego było. Szafa ubraniowa szeroko otwarta i szafonierka, na której stało kilka fotografii.

– To w takim razie dziękuję, panie Blumenfeld. Jest pan wolny. A jak już pan spiszesz raport o odciskach i wywołasz pan zdjęcia, proszę, żeby to wszystko trafiło na moje biurko.

– Jutro będzie gotowe, panie komisarzu.

Przodownik ukłonił się i zabrawszy walizkę ze sprzętem technicznym, wyszedł z pokoju. Fischer podszedł do szafonierki i zaczął przyglądać się zdjęciom w drewnianych ramkach. Przedstawiały niezbyt urodziwą kobietę w sukniach z przedwojennych czasów i mężczyznę, chudego dryblasa w garniturze. Na drugiej fotografii ten sam chudzielec ubrany był w pruski wojskowy mundur, a obok niego stał nieco niższy i znacznie młodszy żołnierz o posturze perszerona. Obaj uśmiechnięci i zadowoleni z życia wąsacze byli wyprężeni, tak jakby się bali poruszyć i zepsuć zdjęcie.

Antoni spojrział na podpis: „Kaserne Posen, 1917”. Poznał te koszary i budynek w tle. Był tam nieco ponad rok po tym, jak wykonano to zdjęcie.

– Który z was umie prowadzić auto? – zapytał Fischer swoich podoficerów Okonia i Olkiewicza, czekających na niego w piwiarni à la Aschinger na rogu ulicy St. Martin, naprzeciw hotelu Royal, w którym mieścił się sztab powstańczy. Podporucznik został tam wezwany przez głównodowodzącego powstaniem majora Taczaka, który powierzył mu ważne zadanie.

Dowódca przyjął go w pokoju sztabowym, pochylony nad mapą Poznania. Wokół okrągłego stołu stało jeszcze dwóch podporuczników i jeden sierżant.

– Jak pan wie, Poznań w zasadzie jest już całkowicie opanowany przez nasze wojska. Ale mamy problem z Ławicą, a dokładnie ze Stacją Lotniczą na Ławicy. W tamtejszych koszarach siedzi sporo Niemców, którzy nie myślą o złożeniu broni, dostają zaopatrzenie drogą lotniczą z Frankfurtu nad Odrą i co gorsza, znajdują tam swoją przystań wszyscy rozbitkowie z oddziałów, które już zostały przez nas rozproszone albo rozbrojone. To w tej chwili główny punkt niemieckiego oporu, a dokładniej mówiąc, nasz wrzód na dupie.

– Rozumiem, panie majorze. A jaka ma być w tym moja rola? Tczak odwrócił się w prawo i skinął głową sierżantowi.

– Sierżant pilot Wiktor Pniewski – przedstawił podoficera w mundurze z oznaczeniami lotniczymi. – Pan sierżant jest przedstawicielem naszych ludzi na Ławicy. Proszę referować, panie sierżancie.

– Panie majorze, panie poruczniku, panowie, jak pan major był łaskaw zauważyć, lotnisko na Ławicy to wrzód na naszym tyłku. Dlaczego? Dlatego, że może stać się śmiertelnym zagrożeniem dla miasta. Być może Niemcy wpadną na pomysł, żeby zbombardować Poznań. Mają możliwości i, co najważniejsze, bomby burzące i zapalające. Trzeba by więc jak

najszybciej sprawić, aby lotnisko wraz z koszarami znalazło się w naszych rękach. Razem z obecnym tu panem podporucznikiem Paluchem – tu uklonił się lekko w kierunku oficera palącego papierosa w kościanej lufce – przygotowaliśmy już szczegółowy plan zajęcia tego obszaru. Zaatakujemy dziś nad ranem w sile około czterystu ludzi. Garnizon niemiecki w tej chwili liczy mniej więcej stu pięćdziesięciu żołnierzy. Używam określenia „mniej więcej”, bo nie ma żadnych danych mówiących o tym, ilu napłynęło do koszar z jednostek rozbitych. Jeśli dojdzie do ataku, oczywiście poleje się krew nasza, ale i ich... Wolelibyśmy tego uniknąć. W końcu ci w koszarach to nasi dawni towarzysze broni. Znamy ich wszystkich doskonale...

– I dlatego wolelibyśmy uniknąć strzelania do swoich... hm... kolegów – dodał podporucznik Paluch. – Myślę, że doskonale pan to rozumie, poruczniku – powiedziawszy to, spojrzął wymownie na Fischera.

Ten skinął głową. Oczywiście, że rozumiał. Sam przecież pochodził ze spolszczonej rodziny niemieckiej. Uważał się za Polaka, czemu dał najdobitniej wyraz, przyłączając się do powstania, ale wielu jego dawnych znajomych, choćby kolegów z gimnazjum, znalazło się po drugiej stronie powstańczej barykady. Nie czuł do nich nienawiści, nie był nawet zły na nich i ich wybór. Uważał, że mieli do niego prawo takie samo jak to, które przyznawał sobie. Był jednak przekonany, że wojna domowa, jaka toczyła się na ulicach Poznania, ma głęboki sens, bo miasto było ważnym elementem tworzącej się właśnie polskiej układanki. Ale warto było zrobić wszystko, by przelało się jak najmniej krwi po jednej i po drugiej stronie.

– Ma pan całkowitą rację, panie podporuczniku – zgodził się z Paluchem.

– Dlatego właśnie poprosiliśmy pana na dzisiejsze spotkanie
– włączył się w rozmowę major Taczak. – Rozkazy do ataku są już wydane. Ale jest jeszcze pewna szansa, którą upatrujemy w panu.

– Jeśli mogę się na coś przydać, proszę mną dysponować.

– Porucznik Alfred Fischer to pański kuzyn, prawda? – zapytał sierżant Pniewski.

– Tak jest, to mój... zaraz, czyżby Alfred był na Ławicy? Wiem, że ostatnio stacjonował we Frankfurcie nad Odrą...

– Nie tylko jest na Ławicy, panie poruczniku – wyjaśnił podporucznik Mieczysław Paluch. – On jest tam dowódcą obrony. To on dąży do konfrontacji i nie chce rozmawiać o poddaniu się. Może panu uda się go przekonać.

Godzinę później Fischer wraz z Okoniem i Olkiewiczem podjechali pod bramę koszar na Ławicy. Wartownik na widok zbliżającego się auta zdjął z ramienia karabin, przeładował go i wycelował w kierunku samochodu. Okoń prowadzący mercedesa, którego wypożyczono im w sztabie, zwolnił, a potem zatrzymał się przed samym szlabanem.

– Do oficera mierzysz, durniu! – zawołał Olkiewicz, wychylając się przez opuszczoną szybę.

– Melduję, że rozkazy są, żeby mierzyć, zanim się kto opowie – wyjaśnił szybko gefreiter, zawieszając mausera na ramieniu.

– A pan oficer to niby kto? – zapytał, próbując przyjrzeć się siedzącemu z tyłu Fischerowi.

– Dzwon do dowództwa, że przyjechał w odwiedziny do porucznika Fischera porucznik Fischer Anton, jego własny kuzyn. I podnoś szlaban, fajtłapo, bo nie będziemy tu marznąć przed bramą.

Żołnierz wykonał posłusznie polecenie. Auto ruszyło przed siebie.

– A co, jak pana porucznika aresztują? – zapytał Okoń, gdy Fischer wysiadał z samochodu pod drzwiami prowadzącymi do dowództwa jednostki.

– Jak mnie aresztują, to wracajcie do naszych i meldujcie, że mają zaczynać.

Ruszył schodami do wejścia. Wartownik na jego widok zasalutował i natychmiast otworzył mu drzwi. Fischer celowo zrezygnował z polskich oznaczeń przy mundurze, by nie rzucać się specjalnie w oczy. Nie jechał tu bowiem jako oficjalny parlamentariusz, ale jako krewniak, z misją ostatniej szansy.

Podoficer służbowy siedzący za stolikiem meldunkowym w holu poderwał się, jak tylko oficer wszedł do środka. Musiał już być uprzedzony przez wartownika, bo natychmiast podszedł do gościa, zasalutował mu, a potem wskazał kierunek.

– Pan porucznik pozwoli schodami na pierwsze piętro. Komendant już pana oczekuje – powiedział i sam ruszył przodem.

Po chwili znaleźli się w kancelarii, w której siedziało trzech podoficerów. Nie wyglądali na szczególnie zapracowanych. Siedzieli przy biurkach i robili jakieś nikomu pewnie niepotrzebne notatki i wpisy do kancelaryjnych dzienników. Fischer spodziewał się tu ruchu jak na froncie, ale od razu poczuł, że znalazł się na głębokich tyłach.

– Anton, jak dobrze cię widzieć! – Porucznik Alfred Fischer wszedł do kancelarii bocznymi drzwiami i wyciągnął obie dłonie w kierunku kuzyna. Nie padli jednak sobie w objęcia. Nie wypadało przecież przed niższymi stopniem okazywać uczucia. Wymienili uścisk dłoni i pokleпали się po ramionach. Tych czułości było aż za dużo. Niższy o głowę od Antoniego kuzyn był od niego starszy o siedem lat. Przed wojną uczył

historii w męskim gimnazjum, a w czternastym roku zgłosił się na ochotnika. Ostatnia informacja na jego temat, która dotarła do kuzyna, mówiła, że jest w wojskach lotniczych i stacjonuje we Frankfurcie nad Odrą.

Gdy weszli do gabinetu Alfreda, ten wskazał mu miejsce na fotelu przy kawowym stoliku. Na blacie stała butelka martella i dwa kieliszki oraz otwarte pudełko z cygarami.

– Zapalimy, napijemy się. Proszę, częstuj się bez ceregieli i przede wszystkim opowiadaj, co u ciebie? Udało nam się przeżyć tę rzeź, a tu u nas w domu, w Posen, niespokojnie...

– Poczekaj, zanim coś powiesz, chciałbym, żebyś o czymś wiedział...

– Nie mów, że zostałeś abstynentem.

– Co to, to nie, ale chciałbym uprzedzić, zanim powiesz coś, czego nie powinienem usłyszeć... hm... Chodzi o sprawy wojskowe... Nie jestem już w armii.

– Nie jesteś? Szkoda, przydałby mi się tu ktoś taki jak ty. Widzę, że masz podwójny Krzyż Żelazny, a ja tylko jeden. – Wskazał na swoją tasiemkę przywieszoną do górnego guzika i idącą pod kątem czterdziestu pięciu stopni ku krawędzi marynarki.

– To teraz nieważne. – Antoni obciął końcówkę cygara specjalnym nożykiem i przypalił zapalniczką. Aromatyczny dym zawisł nad głowami kuzynów.

– A co jest ważne?

– To, co się dzieje wokół nas.

– Masz na myśli tę polską nacjonalistyczną rewolucję? Na razie mają przewagę, ale wkrótce...

– Nic nie mów, Alfred. Posłuchaj, proszę. Ja przystąpiłem do tej, jak to powiedziałeś, „nacjonalistycznej rewolucji”. Jestem oficerem w polskich wojskach powstańczych.

Kuzyn spojrzał na niego zdumiony. Przez chwilę milczał. W końcu wziął do ręki butelkę, rozlał koniak do kieliszków, podniósł swój i powąchał.

– No cóż, miałem kiedyś stryjecznego brata, ale zdaje się, że już go nie mam...

– Daj spokój z tym tanim dramatyzowaniem. Znam cię dobrze i wiem, że jesteś człowiekiem, który rzadko błądzi w chmurach. Nie przyszedłem tu, żeby cię prosić o wybaczenie. Dobrze wiesz, że w tych trudnych czasach musimy dokonać wyboru. Ty go dokonałeś i ja również.

– Anton, co ty za bzdury opowiadasz? Jakiego wyboru dokonałem? Nie musiałem nigdy niczego wybierać. Zawsze byłem Niemcem i to się nie zmieniło. To ty wybrałeś, przechodząc na drugą stronę.

– Ja też nie wybierałem. Zawsze czułem się Polakiem.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Mówisz do mnie po niemiecku czystą, literacką niemczyzną, nazywasz się Anton Fischer. Czy to jest może polskie nazwisko?

– U mnie w domu mówiło się po polsku. Ja myślę właśnie po polsku i dlatego mogłem podjąć właściwą decyzję.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytał Niemiec.

– Chcę cię prosić o zaniechanie oporu. Nie macie praktycznie żadnych szans. Zewsząd jesteście otoczeni. Jeśli się nie poddacie, dojdzie do niepotrzebnej jatki.

– Moi żołnierze są świetnie przygotowani. Mamy gniazda karabinów maszynowych w najważniejszych punktach. Jeśli Polacy ruszą, padnie wielu zabitych. A przecież wystarczyło, żeby przyjęli nasze warunki. Podczas rozmów proponowałem im honorowe rozwiązanie.

– Jakie?

– Co, nie powiedzieli ci twoi mocodawcy? – Niemiecki oficer uśmiechnął się, lekko wydymając wargi. – Zgodziliśmy się na

honorową kapitulację i wyjście z koszar z bronią.

Antoni z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie wiedziałeś? Ha, ha! Tacy oni właśnie są, ci Polacy. Honor mają za nic. Chcą nas rozbroić i wypuścić w skarpetkach. Ale ja się na to nie mogę zgodzić. Mam się poddać tylko dlatego, że oni mają przewagę? Nic z tego. Jestem pruskim oficerem i dla mnie kwestie honoru oficerskiego są ważniejsze od życia w hańbie.

Antoni dopił koniak i uśmiechnął się lekko.

– I dlatego właśnie, bracie, powinniśmy się dogadać. W imię tego, co dla nas jest ważne, w imię honoru.

– Więc co proponujesz?

– Honorowy kompromis.

Z zamyślenia wyrwał komisarza czyjś tubalny głos. Odwrócił się za siebie. W drzwiach łączących pokój z kuchnią stał administrator kamienicy Erazm Fąferek.

– Pokornie przepraszam szanownego pana komisarza, ale przyjechali z zakładu pogrzebowego zabrać trupa i pytają, czy można onego zabrać do oporządzenia. Tam pan Gil właśnie im reguluje z tych pieniędzy, co ten nieborak zarobił, a ja panu Gilowi przekazałem.

– W zasadzie to wszystko już zostało tu zrobione. Tak, mogą go zabierać – zgodził się komisarz.

Chwycił fotografię przedstawiającą dwóch żołnierzy i włożył ją do kieszeni palta. Nie miał pojęcia, dlaczego ją stamtąd zabrał. Przecież to zdjęcie nie mogło w żaden sposób przybliżyć go do prawdy o śmierci Ottona Hildebrandta.

Godzina 12.50 po południu

– Napije się pan koniaku? – zapytał gościa Feliks Mikołajewski, prezes Zrzeszenia Kółek Rolniczych z siedzibą w Poznaniu.

– Koniaku się nie odmawia, panie kapi... przepraszam, panie prezesie, ma się rozumieć.

– No właśnie, panie Tolku. Koniak to najwspanialszy alkohol, bo stworzony z wina, a jak wiadomo, *in vino veritas*.

– Że co?

– Prawda, sama prawda w winie się kryje.

– Ja tam wina to raczej mało pijący jestem, bo i kto by miał tyle bejmów, żeby tak codziennie wino pociągać. Ale piwo to ja jak najbardziej. Co do koniaku, to też nie za często człowiek ma okazję. Chociaż we wojnę, jak ja był w twierdzy Boyen, to tam ten koniak można było pić codziennie, jak się miało dobre układy z szefem od magazynów. Bo tam, w tej twierdzy, przechowywali tyle różnego dobra, że żyć nie umierać. Wszystko to, co po tej słynnej bitwie pod Tannenbergiem w ruskich taborach znaleźli, trafiło do Boyen, znaczy się konserwy, słoiki, skrzynki i inne rzeczy, ale przede wszystkim flaszki, różne szampany i koniaki. I tak przez całą wielką wojnę my jedli angielskie konserwy i francuskie trunki z ruskich zapasów.

Mikołajewski podszedł do solidnej, bogato rzeźbionej biblioteczki o przeszklonych drzwiach. Otworzył jedno skrzydło. Szafa była tak skonstruowana, że przez szybki osadzone w drewnie można było zobaczyć stojący na półkach księgozbiór, natomiast nieprzejrzyste, drewniane wstawki zasłaniały te fragmenty zawartości, które nie powinny być wystawiane na widok publiczny. Gospodarz otworzył prawe skrzydło szeroko i wskazał palcem środkową półkę.

– U mnie co prawda nie takie zapasy jak te trofejne w twierdzy Boyen, ale wstydu nie ma – mówiąc to, sięgnął po brązową, pękatą flaszkę z białą naklejką. – To jest armagnac, starszy brat koniaku.

– Aha – Tolek pokiwał głową, robiąc przy tym minę wytrawnego znawcy.

Ale prawda była taka, że nie wiedział nic o koniakach poza tym, że jeśli się za dużo wypije, to następnego dnia kac jest znacznie gorszy niż po czystej wódce, nawet pomieszanej z piwem.

– Ten armagnac to ponoć najstarsza europejska wódka, o udokumentowanym rodowodzie. Wywodzi się z Gaskonii, czyli południa Francji. Winogrona, które tam rosną, są niezbyt słodkie, więc wino wychodzi z nich dość kwaśne. Dlatego któryś z właścicieli winnic wpadł na pomysł, żeby to wino kiepsko nadające się do picia przedestylować i zrobić z niego wódkę. Taki biały destylat wlewa się do dębowych beczek i dzięki temu nabiera on aromatu i koloru. Proszę wziąć do ręki kieliszek, o tak. – Chwycił swój, który uprzednio napełnił, i przyłożył naczynie do nosa. – I co, czuje pan ten niezwykły zapach?

Tolek pociągnął nosem.

– Tak jakby śliwki albo co. I jeszcze wanilia jak w kremie waniliowym?

– Dokładnie tak, panie Tolku. Ma pan doskonały węch.

– No niby prawda, że umiem wywąchać, gdzie jest co do zarobienia.

– To o pieniądzach też pogadamy, ale najpierw niech pan skosztuje.

Mikołajewski upił malutki łyżeczek, podczas gdy Tolek przechylił kieliszek i wypił tak jak się pije wódkę, na raz.

– No i jak? – zapytał koneser koniaków.

– No dobra ta francuska gorzała. Prawie jak nasza wyborowa przepalanka. Ino że ta nasza bardziej słodka, bo na miodzie, a ta taka bardziej rodzynka.

– No właśnie to winogrona nadają ten niepowtarzalny smak.

– Ale że im nie szkoda z wina robić wódę. U nas wino by się wypilo, nawet jak jest cienkie, a wódę to przecież można z żyta czy nawet z pszenicy.

– U nich tam ziemie kiepskie, nawet żyto nie urośnie, ale na kamienistych stokach wzgórz winogrona udają się doskonale.

– Był pan we Francji – domyślił się Tolek.

Mikołajewski pokręcił głową.

– Jakoś dotąd nie było okazji.

– To skąd pan wie, jak tam jest? Bo gada pan tak, jakby wszystko widział na własne oczy.

– Wiedza nie bierze się tylko z własnych doświadczeń, ale także z książek i gazet. Jak się człowiek czymś interesuje, to musi swoją wiedzę wzbogacać, szukając ciekawych informacji. Można też słuchać radia, bo i tam sporo mądrych rzeczy się można dowiedzieć.

– Prawda, mam radio w kuchni zainstalowane, porządne, na lampach, nie kryształkowe. Jak muzykę nadają, to w całym domu słyhać, jakby człowiek był w restauracji na koncercie. Wielki świat, panie prezesie, za sprawą radia można mieć w swoim domu.

Wtem rozległo się pukanie. Gospodarz nie zdążył zareagować, bo zaraz drzwi się odsunęły i stanął w nich znany doskonale Tolkowi sierżant Stachowiak, który wraz z drugim sierżantem o nazwisku Zielonka przywiózł go do willi na Sołaczcu, w której teraz się znajdowali. To tu właśnie mieściła się siedziba Kółek Rolniczych, których prezesem był Mikołajewski, a Zielonka i Stachowiak pracowali w charakterze specjalistów do spraw handlowych. Obaj

prowadzili rozległe interesy w branży rolno-spożywczej na polsko-niemieckim pograniczu. Jednak ta działalność, mimo że przynosząca spółce pokaźne zyski, tak naprawdę była przykrywką dla działalności wywiadowczej. Mikołajewski był w istocie oficerem, a dokładnie kapitanem Wojska Polskiego, choć w zasobach kadrowych polskiej armii figurował jako osoba zwolniona do cywila. Podobnie jak jego dwaj podwładni. Pracowali z nim od dziesięciu lat, to znaczy od chwili, kiedy to Mikołajewski, wówczas jeszcze porucznik, przyjechał do Poznania, skierowany tu do tworzenia wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przy sztabie dowódcy naczelnego wojsk powstańczych generała Dowbora Muśnickiego. Utworzył sprawnie działające biuro wywiadowcze pod przykrywką VIII Wydziału Intendentury. Dwaj podoficerowie zostali przydzieleni do niego przez przypadek, bo oficer personalny nie bardzo wiedział, co ma z nimi zrobić. Za to oni doskonale wiedzieli, czym powinni się zająć. Błyskawicznie zorganizowali całe biuro, wyposażyli je we wszystkie niezbędne sprzęty i zdobyli dodatkowo pieniądze na prowadzenie wywiadowczej działalności. Ci dwaj wyglądali, jakby nie potrafili zliczyć do trzech, a już na samym początku pokazali, jak można sobie radzić w trudnych sytuacjach. W poniemieckich papierach sztabowych natrafili na sterty niepotrzebnych nikomu druków kancelaryjnych, pozostałych po niemieckiej intendenturze. Wśród nich znajdowały się kwity furażowe, czyli dokumenty, na podstawie których wydawano w armii niemieckiej paszę dla koni. Zielonka i Stachowiak wpadli na pomysł, że wystarczy je opieczetować polskimi stemplami wojskowymi i dzięki temu nabiorą mocy urzędowej. Zaczęli więc za te kwity, wypisywane przez siebie, kupować różne towary. Szybko okazało się, że kwity furażowe to doskonała waluta wymienna, która błyskawicznie zaczęła krążyć pomiędzy poszczególnymi

powstańczymi oddziałami. A dwaj spryciarze traktowali je jak pieniądze, za które kupowali wszelkie dobra. Dzięki temu zdobywali fundusze na działania operacyjne płytkiego wywiadu, czyli tego, który zajmował się wszystkim, co działo się po obu stronach powstańczych frontów. Po zakończeniu wojennych zmagania VIII Wydział Intendentury działał w dalszym ciągu. Jego ludzie zbierali informacje wywiadowcze na całym pograniczu, ale co najistotniejsze, także w samych Niemczech. Mikołajewski dumny był więc ze swoich osiągnięć i raportów, które sporządzane w jego biurze przez młodych, dobrze rokujących oficerów, szły co kilka tygodni do Warszawy. Oddział działał z takim rozmachem, że w końcu sam Mikołajewski doszedł do wniosku, że czas najwyższy skończyć z tą niemal jawną działalnością. Dlatego on i jego ludzie przenieśli się na Sołacz do pewnej niepozornej willi. Kilka dni później na ścianie domu pojawiła się mosiężna tablica informująca, że tu właśnie mieści się siedziba Poznańskiego Zrzeszenia Kółek Rolniczych.

– Panie kapitanie, melduję, że połączenie do Stettin jest całkiem dogodnie – zameldował sierżant Stachowiak po wojskowemu, mimo że nie miał na sobie munduru, podobnie jak jego pryncypał.

Ale widać trudno było uciec od starych nawyków. Mikołajewski starał się wprowadzić, by jego ludzie przeszli całkowicie na cywilną stronę życia i zapomnieli o dawnych wojskowych obyczajach, jednak we własnym zaufanym gronie natychmiast wracały stare przyzwyczajenia.

– Mamy bezpośredni pociąg z Poznania? – zdziwił się Mikołajewski, spoglądając na podwładnego stojącego w otwartych drzwiach. – To gadajcie, jak to wygląda?

Sierżant spojrział na Grubińskiego, a potem na kapitana. Ten skinął głową przyzwalająco.

– Pan Tolek też jest zainteresowany podróżą do Szczecina – wyjaśnił podoficerowi

– Ja? – zdziwił się gość. – Nigdy w Stettin nie był i nawet się nie wybieram – stwierdził, uśmiechając się szeroko.

I naraz ten uśmiech zastygł na jego ustach, bo zrozumiał, że właśnie dlatego go zaproszono. Miał jechać w jakimś na razie bliżej nieokreślonym celu do tego odległego niemieckiego miasta, leżącego gdzieś tam hen, daleko, chyba nad morzem.

– Pan Tolek jeszcze nie wie, bo nie zdążyłem mu powiedzieć, że niedługo wybierzemy się razem na wycieczkę pociągiem do tego pięknego miasta. To co, jak tam zapowiada się nasza podróż?

– No więc tak, panie kapitanie, że się zapowiada dobrze, bo od nas do niemieckiego Kreuz, znaczy się pierwszej stacji po niemieckiej stronie, jedzie się pociągiem naszym polskim. Z Poznania taki pociąg jedzie półtorej godziny. No i tam w Krzyżu trzeba się przesiadać już do niemieckiej bany. No i jedzie się do Stettin pięć godzin, bo trzeba poczekać dwie godziny na przesiadkę. Ale sprawdziłem, że jest tam całkiem przyzwoita dworcowa restauracja, w której podają dobre flaki i kotlety wieprzowe siekane, więc można się nafutrować przed drogą i jeszcze niemieckiego dobrego piwa napić.

– A skąd te informacje o restauracji żeście wydobyli? – zapytał z pewną nutą podziwu w głosie Mikołajewski.

– No, panie kapitanie, ma się swoje źródła. W końcu my robimy w wywiadzie, nie?

– No prawda, co by to był za wywiadowca, gdyby nie miał swoich informatorów.

– Mój znajomy kolejarz, co jeździ na tej trasie, polecił tą dworcową knajpę, bo sam tam zawsze je – wyjaśnił sierżant.

– To na kiedy mamy te bilety kupione, panie Stachowiak?

– No tak jak się dało najszybciej, znaczy się na jutro.

– Jak to na jutro? – Tolek się zdziwił, bo miał swoje plany na jutrzejszy dzień. Zamierzał się wyspać po planowanej na dziś biesiadzie w knajpie U Okonia, gdzie miał świętować spotkanie z Zenusiem Brodziakiem, a tymczasem Mikołajewski chciał go już jutro wyekspediować za granicę...

– Panie Tolku, wiem, że to nagle i w ogóle z zaskoczenia, ale zdaje się, że nie mam innego wyjścia i muszę prosić pana o pomoc.

– A młody Zenuś nie da se rady?

– Oczywiście, że da sobie radę, ale z panem do spółki. Pojedziemy tam we trzech, bo to, co musimy zrobić, to koronkowa robota, w sam raz dla was dwóch. I do tego robota, na której można poważnie zarobić.

– A o co tak dokładniej się rozchodzi?

– Musimy z pewnego sejfu wydobyć pewne papiery, sfotografować je i włożyć do tego sejfu z powrotem. Dlatego do tej roboty potrzebny nam jest artysta, który otworzy tę puszkę, nie zostawiając na niej najmniejszego śladu.

Tolek chrząknął zadowolony. Różnie go już nazywano, ale artystą po raz pierwszy.

[17] Fryżyder – lodówka.

[18] *Donnerwetter* (niem.) – do diaska.

[19] Poraszplowana (gwar.) – pocięta, podrapana.

Rozdział III

Godzina 1.15 po południu

Aspirant Oskierko nie mówił po niemiecku. Rozumiał, owszem, najważniejsze słowa, takie jak *danke* i *bitte*, a nawet *auf wiedersehen*, ale to niestety było wszystko. Gdyby dobrze pogrzebać w zakamarkach pamięci, może znalazłoby się jeszcze kilka innych słówek, ale wcale nie miał zamiaru grzebać. Niemiecki był mu do niczego nieprzydatny. Do tej chwili. Człowiek, który przyszedł do niego do biura, nie wiedzieć dlaczego zażyczył sobie rozmawiać po niemiecku. A przecież byli w Polsce, a Poznań był integralną częścią Rzeczypospolitej od jedenastu lat, więc niemiecki w tym biurze był jak najbardziej nie na miejscu, myślał oficer, przypatrując się uważnie mężczyźnie w meloniku i zastanawiając się, czego używa do usztywniania śmiesznego wąsa, starannie uformowanego pod nosem i zawiniętego na dwóch końcach ku górze. Podobno można to zrobić, stosując wodę z cukrem, ale tego Oskierko nie był pewien, ponieważ nigdy nie było mu to do niczego potrzebne. Nie miał zarostu na twarzy, bo mu rósł dość kiepsko i niezbyt męsko wyglądał. Pamiętał, że podczas wojny bolszewickiej nie golił się kilka dni z rzędu podczas

sierpniowej ofensywy, kiedy nie było czasu na takie przyziemne sprawy, jak dbanie o higienę, i trzeba było zajmować się gonieniem uciekającego wroga. Oskierko był wtedy ułanem. Brał udział, jako świeżo upieczony podporucznik IV Brygady Jazdy, w słynnym kontrataku wyprowadzonym znad rzeki Wieprz, który odepchnął bolszewików od stolicy, a który później złośliwcy z endecji nazwali „cudem nad Wisłą”. Oskierko wiedział dobrze, że żadnego cudu nie było, ale ciężka robota szablą i lancą. Sam bowiem uczestniczył w kilku szarżach i najprawdopodobniej pozbawił życia uciekającego bolszewika. Prawdopodobnie, bo kozak dostał szablą po łbie, zleciał z konia i padł na ziemię, ale czy zginął, tego podporucznik nie wiedział, bo czasu na sprawdzanie nie było. Szczęśliwie dla niego piękne cięcie dostrzegł szarżujący obok rotmistrz Krzyżanowski, który po bitwie wystąpił z wnioskiem o nadanie dzielnemu podporucznikowi Krzyża Walecznych. Po zakończeniu wojny zaproponowano mu pozostanie w wojsku, a po majowym zamachu, w trakcie którego Oskierko stanął tam, gdzie uważał, że stać powinien, czyli przy marszałku, wysłano go do pracy w poznańskiej policji. Oddelegowanie nie miało jednak wcale charakteru politycznego. On nie przyjechał patrzeć na ręce miejscowym, ale został tu zesłany za karę. Wszystko przez to, że wdał się w zupełnie niepotrzebny romans z pewną kapitanową, i jak to w takich sytuacjach bywa, sprawa ściśle ukrywana wydała się i doszło do skandalu. Gdyby podporucznik był nic nieznaczącym żołnierzem, wywaliliby się go z wojska na zbity pysk i byłoby po sprawie. No ale on był bohaterem znad Wieprza. Takich ludzi się nie spuszczało do rynsztoka. I w ten oto sposób młody kawalerzysta cztery lata temu trafił pod skrzydła komisarza Antoniego Fischera.

Dziś od rana pełnił służbę oficera śledczego, do którego mieszkańcy mogli się zgłaszać w różnych kwestiach związanych z bezpieczeństwem i przestępczością o kalibrze nieco większym niż sprawy kradzieży czy mordobicia. Te załatwiali dyżurni podoficerowie, przyjmujący ludność w pilnych sprawach. Oficer śledczy miał zajmować się przypadkami, z którymi nie potrafiły sobie poradzić niższe szarże. Dlatego pół godziny temu przodownik Paliwoda zapukał do drzwi, za którymi siedział Oskierko delectujący się papierosem i popijający kawę. Postawny podoficer, zapukawszy trzy razy, wkroczył do środka niemal defiladowym krokiem, podszedł do biurka i zatrzymał się w przepisowej odległości półtora metra. Odległość była tu sprawą dość istotną, bo chodziło o to, żeby byle kto nie pluł na oficera podczas meldowania się.

– Panie aspirancie, melduję posłusznie, że jest tu jeden gość, co z nim się nie idzie dogadać – wyrzucił z siebie Franciszek Paliwoda.

– A to niby że czemu? – Oskierko spojrzał na niego zdziwiony.

Znał tego wielkiego jak niedźwiedź węsacza i dobrze wiedział, że ten potrafi sobie dać radę z każdym natrętem. A tu, proszę, przychodzi bezradny jak niemowlę.

– Rozchodzi się o to, panie aspirancie, że on nie chce gadać z nikim, kto nie jest oficerem, bo po pierwsze primo gada, że jest dyplomata czy czymś tam i że jego sprawa jest ściśle tajna i wew związku z tym byle komu jej powierzyć nie może.

– Dyplomata? – zdziwił się aspirant. – Taki w cylindrze jak kominiarz?

Wolał uściślić meldunek podwładnego. Nigdy na własne oczy nie widział dyplomaty, oprócz sytuacji w kinie, kiedy w kronikach PAT pokazywano informacje ze świata. No

i niekiedy zdarzały się takie seanse, podczas których pokazywano dyplomatów na jakichś ważnych międzynarodowych rozmowach. Takich, owszem, widział i dlatego był przekonany, że każdy dyplomata, podobnie jak ci z kronik filmowych, musi nosić cylinder.

– Nie, cylindra to on nie ma, ino zwykły homburg – wyjaśnił podoficer. – Ale za to bardzo porządny ten jego kapelusz, z czarną aksamitną wstążką.

– To co to za dyplomata bez cylindra? – Machnął ręką Oskierko. – Pewnie was nabujał.

– Pod Bogiem, że nie. – Paliwoda uderzył się wielką pięścią w klatkę piersiową, aż zadudniło. – Powiadał, że dyplomata i szlus.

– No dobra, dajcie tu tego „dyplomate”. – Ostatnie słowo Oskierko wymówił z wyraźną drwiną.

Paliwoda chciał jeszcze coś powiedzieć, ale aspirant odprawił go machnięciem ręki. Gdyby bardziej zwracał uwagę na to, co podwładni mają do powiedzenia, pewnie dowiedziałby się od przodownika, jakie było drugie primo, o którym Paliwoda chciał mu powiedzieć. Wyjaśniłby mu więc, że ten gość w homburgu i ze śmiesznymi, staromodnymi wąsami nie mówi prawie wcale po polsku, a tylko po niemiecku. To mogło w jakiś sposób tłumaczyć fakt, że był dyplomata, bo znał tylko swój własny język, a nie jakiś obcy. I dzięki temu Oskierko uniknąłby kłopotliwej sytuacji, w której dyplomata próbował mu wyjaśnić w swoim języku, z czym przychodzi.

– Proszę bardzo, niech pan siada. – Oskierko wskazał gościowi krzesło stojące na wprost biurka. Mężczyzna nie wyglądał zbyt imponująco, był raczej mizernej postury. Za to ubrał się dość porządnie, w czarne palto z aksamitnym kołnierzem. Do tego miał wąskie czarne spodnie i czarne

półbuty z założonymi na wierzch białymi getrami. Na ten widok Oskierko uśmiechnął się pod nosem, bo te białe nakładki niby były przejawem elegancji, ale takiej raczej małomiasteczkowej. Mało kto dziś używał skórzanych getrów na buty, no chyba że padał deszcz. Wtedy można było nimi chronić skarpetki przed zamoczeniem. Tyle że dziś padało tylko rano, a teraz pogoda była całkiem ładna.

Policjant spojrzął na prawo, za okno, ale tu, na parterze, niewiele było widać poza kamienicą naprzeciwko, w której znajdował się sklep kolonialny Wagnera. Jedno było pewne, deszcze teraz nie padał i wcale się na niego nie zanosilo.

Mężczyzna tymczasem usiadł na krześle, zdjął kapelusz i rękawiczki, włożył je do wnętrza nakrycia głowy i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, na które mógłby to wszystko odłożyć. Niczego takiego tu jednak nie było. To nie był salon gościnny, ale pokój przesłuchań, wyposażony jedynie w biurko, krzesło dla policjanta i drugie dla interesanta, a prócz tego jeszcze w elektryczną lampkę stojącą na blacie, obok której położono fajansową, w ogóle niepasującą do tego wnętrza białą popielniczkę w czerwone kwiatki.

– Proszę bardzo, niech pan położy kapelusz na stole. – Aspirant wskazał miejsce, a gość skwapliwie skorzystał z możliwości.

Następnie rozpiął płaszcz, bo było dość ciepło pomimo otwartego lufcika. Oskierko tymczasem wyciągnął z szuflady biurka arkusz papieru kancelaryjnego w linie, rozłożył go na blacie, a z kieszeni mundurowej kurtki wydobył ołówek.

– No to co, możemy zacząć? – zapytał na wszelki wypadek, uśmiechając się do mężczyzny, bo przecież nigdy nie wiadomo, czy to aby nie ktoś ważny, kto mógłby później się poskarżyć, gdyby został nieuprzejmie przyjęty. – Bo jak pan się domyśla, muszę spisać protokół wysłuchania, czyli to wszystko, co

szanowny pan ma do powiedzenia w sprawie, która szanownego pana tu przywiodła. Rozumiemy się?

Mężczyzna skinął głową.

– W takim razie proszę powiedzieć, jak pan się nazywa?

– *Mein Name ist Marius Gebhardt*[\[20\]](#).

– Co? – Policjant spojrział znad kartki na mężczyznę, ale ten najwyraźniej wcale nie żartował. On mówił w innym języku.

– Czy pan jest Niemcem?

– *Ja, natürlich, bin ich Deutscher*[\[21\]](#).

– Ale rozumie pan po polsku?

– *Natürlich, verstehe ich Polnisch*[\[22\]](#).

– Jak pan rozumie po polsku, to dlaczego pan nie mówi po polsku?

– *Weil ich Deutsch spreche, weil ich Deutscher bin, und da ich ein deutschen Diplomaten bin und als Beraters für den deutschen Konsulats in Posen arbeite*[\[23\]](#).

– Aha, to znaczy, że pan nie mówi po polsku – domyślił się aspirant. – To w takim razie trudno będzie się nam dogadać. No chyba że mówi pan po francusku?

Oskierko uczył się kiedyś francuskiego. Słabo mu szła ta nauka i niewiele z niej pamiętał, ale kilka zdań potrafił wydukać.

– *Parles-tu français?*

– *Je ne parle pas français, je suis allemand et diplomate allemand*[\[24\]](#).

– Aha, więc doskonale – odpowiedział z wyraźną ulgą Oskierko, który już się bał, że będzie musiał przeprowadzić tę rozmowę po francusku, a to byłoby dla niego nie lada wyzwanie.

Zostawał niemiecki, ale do tego potrzebował pomocy. Wiedział, że niektórzy policjanci z prezydium posługują się

dobrze tym językiem, choćby Fischer czy Gil. Ale ich nie było w pobliżu. Może więc kto inny?

Wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Otworzył je i wyjrzał na korytarz. Z pokoju roztaczał się widok na obszerny, wyłożony kremowym marmurem hol. Za służbową ladą stało dwóch policjantów. Każdy z nich zajęty był rozmową z jakimś interesantem. Ten, którego potrzebował, siedział rozwalony na krześle, tuż przy drzwiach prowadzących na zewnątrz, i dłubał w nosie.

– Paliwoda, chodźcie no tutaj! – zawołał głośno, a twarze interesantów i policjantów zwróciły się w jego kierunku.

Przodownik poderwał się natychmiast i w kilku susach przemierzył dzielącą ich odległość.

– Na rozkaz, panie aspirancie – zameldował się, salutując zamaszyście.

– Który tu zna niemiecki? – zapytał oficer.

– Który niemiecki?

– Obojętnie który.

– Ale niby że jak?

– No rozchodzi się o to, że ten gość, co tu do mnie żeście go przyprowadzili, to on gada tylko po niemiecku i trzeba kogo, kto się z nim dogada.

– Aha, ale kogo?

– Obojętnie kogo. Policjanta.

– No ja rozumiem, ino którego?

– Takiego, co gada po niemiecku.

Paliwoda spojrział na Oskierkę, a potem odwrócił się za siebie, lustrując uważnie kontuar, za którym stali dyżurni policjanci.

– Bo ja się pytam, którego pan aspirant ma życzenie mieć za tłumacza.

– Takiego, co mówi po niemiecku – wytłumaczył mu Oskierko, coraz bardziej zniecierpliwiony wyraźną głupotą chłopaka.

– Panie aspirancie, ino że tu wszyscy gadają po niemiecku. Frankowski gada, Górski gada i ja też gadam...

– Chcecie powiedzieć, że wszyscy potraficie przetłumaczyć, co mówi ten facet?

– Górski się jąka, to może lepiej on nie...

– A wy?

– Ja się nie jąkam. Mogę tłumaczyć.

– Dacie sobie radę? Wiecie, że to oświadczenie do protokołu. Paliwoda wzruszył ramionami.

– Pan se niech głowy nie zawraca pierdołami.

Oskierko skinął głową. Przodownik ruszył za nim. Oficer zajął miejsce za biurkiem, a podoficer stanął obok krzesła, na którym siedział interesant.

– No to zapytajcie go, kim jest i po co tu przyszedł.

– *Wer sind Sie eigentlich und was machen Sie hier?*

– *Endlich jemand, der eine normale Sprache beherrscht. Was ist das für ein polnisches Durcheinander? Dass der diensthabende Beamte des Deutschen nicht mächtig ist?! Unerhört! Sagen Sie ihm, dass ich Ratsmitglied im deutschen Konsulat in Posen bin und dass ich gekommen bin, um Ihnen mitzuteilen, dass seit heute Morgen der stellvertretende Generalkonsul der Deutschland Republik, Albrecht von Pieskow, vermisst wird. Ein diplomatischer Skandal ist das!*[\[25\]](#)

– Ten tu interesant powiada, że zaginął jakiś inny człowiek z niemieckiego konsulatu i że to jest skandal, a w ogóle to mu się nie podoba nasz bałagan w policji, a w szczególności, że się z nim nie gada po niemiecku.

– Taki on jest mądry, ten szwab? – warknął Oskierko, który nie lubił, kiedy go ktoś pouczał i w dodatku po niemiecku. –

To jak on jest taki mądry, to weźcie go, Paliwoda, na stronę i wytłumaczcie, że w polskim urzędzie rozmawia się po polsku, a jak ktoś nie umie, to niech się nauczy.

Dumny polski oficer Oskierko wstał, poprawił mundur, a potem wyszedł z pokoju sprężystym ułańskim krokiem. Podoficer Paliwoda zatarł dłonie, a potem chwycił mężczyznę za kołnierz i mimo głośnych protestów wyprowadził z pokoju, przeciągnął przez wielki hol, a potem, pomagając sobie mocnym kopniakiem, wyrzucił go na ulicę.

– Bo nie może być tak, żeby Niemiec mówił nam w Polsce, co mamy robić – wyjaśnił Paliwoda, widząc zdziwione miny kolegów, dyżurnych podoficerów przyjmujących zgłoszenia o kradzieżach, pobiciach i zaginięciach.

Jego wyjaśnienie spotykało się z wyraźnym pomrukiem aprobaty, wyrażonym przez stojących w ogonku interesantów.

Godzina 1.20 po południu

– Dobrze, żeście przyszli – powiedział komisarz Fischer na widok dwóch swoich ludzi.

– Jak jest co ważnego do roboty, to nie można na dupie siedzieć – stwierdził Anastazy Olkiewicz, uśmiechając się od ucha do ucha.

– A poza wszystkim ten młody niedojda, co go pan komisarz przysłał, powiadał, że sprawa pilna, no to my są – dodał Okoń.

– Znaczący młody trafił do prezydium. Zapamiętał drogę, więc to dla niego dobry znak. Może się nada na policjanta – stwierdził komisarz. Wybrał tego adepta sztuki policyjnej na posłańca, bo akurat nikogo nie miał pod ręką i trochę się obawiał, czy chłopak, który dopiero co zaczął służbę, poradzi

sobie i nie zginie gdzieś po drodze, ale jak widać udało mu się wybornie. – To w takim razie weźcie się do roboty, bo ja już swoją skończyłem. Wracam do biura, żeby spisać protokół i założyć teczkę w sprawie...

– To co, mamy po mieszkaniach połączyć i się rozpytać? – domyślił się Okoń.

– Nie, mieszkania już zrobił Gil. Wy idźcie do knajpy, bo właśnie żeśmy ją zwolnili. Mieliśmy tam swoje biuro od rana, a teraz już mogą tam ludzie wchodzić, więc będą plotkować. To możecie sobie usiąść i posłuchać, co mądrego mają do powiedzenia.

Dwaj wywiadowcy spojrzeli po sobie. Ta praca w policji miała dobre strony, gdyż człowiek nie musiał się za bardzo przemęczać, a bywały i dni, choćby takie jak dzisiaj, że łączyła się z przyjemnością. Dlatego żaden z nich nie zamieniłby jej na inną. Zresztą nie było takiej potrzeby. Zarówno jeden, jak i drugi mieli już ugruntowaną pozycję w policji. Okoń przeniósł się tu z wojska, a dokładnie z koszar przy ulicy Bukowskiej, w dwudziestym trzecim roku, i od razu trafił do swojego dowódcy z powstania i wojny bolszewickiej Fischera. Natomiast Olkiewicz był policjantem dłużej i to z ciekawszą historią służby. Trafił tu niemal wprost z frontu, kiedy na terenach, po których przetoczył się wojenny bolszewicki walec, trzeba było przywracać porządek i budować zaufanie do policyjnego munduru. Wtedy ludzie z doświadczeniem frontowym i gruntownie przeszkoleni, tacy jak weterani armii pruskiej i wielkopolskiej, byli szczególnie cenni dla policji. Anastazy Olkiewicz został skuszony obietnicą dobrych zarobków i możliwej szybkiej kariery. I zrobił karierę, gdyż dość szybko został kierownikiem posterunku w Majdanie Sopockim pod Tomaszowem Lubelskim. Tam właśnie wyróżnił się podczas śledztwa prowadzonego przez aspiranta Zygmunta

Maciejewskiego w sprawie tajemniczej śmierci córki arystokraty Wołkońskiego. Olkiewicz może nie był człowiekiem obdarzonym szczególną bystrością umysłu, jednak posiadał coś, co w policyjnym fachu było bezcenne. Potrafił dobrze kombinować i był przy tym człowiekiem sprytnym, więc wykalkulował sobie, że skoro o jego wybitnej roli w śledztwie napisały nawet gazety, wymieniając go z nazwiska, to znaczy, że sukces ów można przekuć na szybką korzyść. Bo Anastazy, mimo że dobrze czuł się w centralnej Polsce, na Lubelszczyźnie, to jednak tęsknił do poznańskich ulic i dawnych kolegów. Napisał więc, niesiony falą sukcesu, podanie do swojego dowództwa z prośbą o przeniesienie do Poznania ze względów rodzinnych, załączając, na wszelki wypadek, wzmiankę gazetową o swojej wybitnej roli w sprawie prowadzonej przez Maciejewskiego. I okazało się, że dostał zgodę, a przyjęcie do pracy przez byłego dowódcę Fischera było już tylko formalnością.

I w ten oto sposób w dwudziestym szóstym roku przyjechał do Wielkopolski. Co ciekawe, w pociągu poznał pewną pannę, która też wracała tu na stare śmieci. Klementyna Walendziak w Warszawie służyła w domu Jabłonowskich, a jej państwo to była prawdziwa wyższa sfera. Pani zajmowała się prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci, a major pracował w Sztabie Generalnym. To znaczy dawniej pracował, bo od jakiegoś czasu już przestał chodzić w mundurze. Wszystko przez tę zawieruchę, którą spowodował marszałek. Jabłonowski w czasie majowej wojny ulicznej, która rozegrała się w Warszawie. Opowiedział się po stronie pana prezydenta, więc gdy zamachowcy opanowali stolicę, został zmuszony do przejścia do rezerwy. I tak niemal z dnia na dzień państwo majorostwo stracili źródło dochodów. Początkowo jeszcze przez letnie miesiące jakoś żyli z oszczędności, ale już we wrześniu

okazało się, że muszą zmienić mieszkanie. Sprzedali więc swoje piękne siedem pokoi w kamienicy przy ulicy Foksal i przeprowadzili się do znacznie mniejszego lokum przy Rakowieckiej. Tam jednak, w tym nowym, czteropokojowym mieszkaniu nie było służbówki, dlatego musieli się rozstać z panną Klementyną. W dniu przeprowadzki dziewczyna spakowała więc do walizki swój niewielki dobytek i ruszyła na dworzec kolejowy. Mogła wprawdzie zostać w Warszawie, bo major napisał jej doskonałą opinię i z takimi listami bez trudu dostałaby pracę w innym domu, ale ona postanowiła inaczej. Doszła bowiem do przekonania, że dość już będzie tej poniewierki po cudzych kątach i czas wrócić do Poznania. Przecież i tutaj znajdzie się dla niej jakieś dobre zajęcie. Zwłaszcza z takimi referencjami. Praca się znalazła, ale wcześniej absztyfikant, który od razu zaczął do niej smalić cholewki, spod dworca w Poznaniu odwiózł pannę dorożką do domu, żeby pokazać, jaki ma pański gest, choć jego kieszenie świeciły pustkami. Miesiąc później już byli po słowie, a w pół roku stanęli na ślubnym kobiercu w farze koło Starego Rynku.

Już w kilka dni po powrocie do Poznania Klementyna znalazła pracę w domu hrabiny Elizy Kossobudzkiej von Zanthier. Traktowano ją tam bardzo dobrze i do tego jeszcze zarabiała całkiem nieźle. Problem był tylko taki, że na miejscu, w mieszkaniu hrabiny, musiała być niemal cały dzień, a gdy przychodzili goście, trzeba było zostawać nawet do późna w nocy. Robota była więc uciążliwa ze względu na czas, jaki trzeba jej było poświęcać. Anastazy był więc przekonany, że po ślubie Klementyna rzuci tę pracę. Ale ona uważała inaczej.

– Na razie robotę mam dobrą i za dobre pieniądze, a jak wiadomo, bejmów nigdy za dużo w chacie. Przydadzą się na ładne meble i co tam jeszcze trzeba. A ty się nie martw, że będziesz mieć nieuprane i nieugotowane. Wszystko będzie, jak trzeba, bo ja i tam, i tu wszystko ogarnę.

– Ale żona podoficera policji powinna przy domu robić, a nie cudze brudy wycierać – próbował ją przekonać Anastazy.

– W domu to będę siedzieć, jak będą dzieciaki – ucięła dyskusję, a on już wiedział, co zrobić, żeby ją zmusić do pozostania w kuchni.

Na razie Pan Bóg im nie pobłogosławił, choć starali się bardzo intensywnie, ale, niestety, rzadko, bo przy ich trybie pracy zdarzało się, że nie widzieli się po kilka dni. Klementyna, owszem, wracała codziennie do domu na noc, ale Anastazemu zdarzało się nader często, że musiał zostawać po godzinach. Aby dobrze wtopić się w obserwowaną rzeczywistość, trzeba było spędzać czas w knajpach, popijając piwo czy wódkę, tak jak ci, których się śledziło.

Ot, choćby tak jak dzisiaj w rzeźniczej knajpie, która po przymusowym zamknięciu przez policję od razu wypełniła się spragnionymi ludźmi. Jak zwykle przyszli tu pracownicy porannej zmiany w rzeźni, by splukać z gardeł mdły zapach krwi i zwierzęcego przerażenia. Siedzieli przy stołach i stali przy bufecie, a zwyczajne tematy ich codziennych rozmów o drożyznie, kiepskich zarobkach i marnej pogodzie zastąpił jeden, ale za to znacznie ciekawszy.

– Mnie to się zdaje, że ktoś musiał mieć do niego dużą złość – powiedział postawny mężczyzna o krótko obciętych jasnych włosach i rumianej twarzy.

Za nim w kolejce do baru ustawili się dwaj wywiadowcy. Nalewanie piwa szło powoli, bo bufetowy Eustachy Derkacz

miał dziś swój wielki dzień i jako świadek policyjnego śledztwa musiał z każdym obsługiwany gościem zamienić choć kilka słów.

– Jak się kogo zabija, to musi się mieć do niego złość – stwierdził stojący przed nim niski grubas z gęstą czarną brodą i spływającymi na nią wielkimi wąsiskami, spod których prawie nie widać było ust.

– A nieprawda. – Chudy jak patyk dryblas o wystającej grdyce i z rzymskim, długim nosem miał w tej sprawie zupełnie inne zdanie. – Na wojnie pierwszy raz widzisz człowieka, a i tak już wiesz, że musisz go pozbawić życia, bo jak nie, to on cię sprawi i będzie po tobie. Tu żadnej złości człowiek nie ma, ino strach.

– Ale to całkiem co innego. – Ten z czerwoną twarzą miał własny pogląd na sprawę i zamierzał go bronić za wszelką cenę. – Tutej to jego ktoś zaszlachtował, jak my bijemy wieprza. Prawda, że tak, panie Derkacz? – powiedziawszy to, spojrzał na barmana, który powinien był potwierdzić jego słowa.

– Prawda, panie Weber. – Skinął głową zapytany, nalewając piwo do kufli. – Wbił mu bagnet prosto w serce.

– A widzicie, wbił bagnet. Znaczy się tak jak my to robimy – ucieszył się czerwonolicy rzeźnik. – Znaczy się, że to fachowa robota była tego, co miał do niego złość. Raz go dziabnął i tyle. A jak kto się na szlachtowaniu nie zna, to może i kilka razy próbować, a świniak może mu uciec, tak jak temu nowemu w zeszłym roku, co przyszedł do nas do roboty. Pamiętacie? – Spojrzał na kolegów.

– No ale było wtedy widowisko, he, he, he! – przypomniał sobie brodacz. – Świniak tak się wystraszył, że się wyrwał i uciekł na podwórze, a krew się za nim lała strumieniem, że

padł dopiero, jak wyleciał na ulicę przez bramę, he, he. Ale była zabawa.

– Bo tak jest, jak niefachura się za robotę weźnie – zgodził się z nimi ten chudy. – On nawet swojego bagnetu do szlachtowania nie miał, ino takim knypkiem chciał zarzynać. Dobrze, że go wywalili z roboty, bo porutę dla wszystkich ino robił.

– A panowie to, jak mniemam, rzeźnicy z rzeźni? – zapytał nieśmiało Okoń, udając człowieka nieobytego w rzeźniczym fachu. – Bo chciałem się o te bagnety zapytać.

– A co, żeś pan bagneta nie wdział? Ha, ha! – zaśmiał się Weber, a twarz mu jeszcze bardziej poczerwieniała z rozbawienia.

– Widziałem, a jakże, ale mnie zainteresowała kwestia tej fachowości. Znaczy, czy każdy rzeźnik ma swój bagnet?

– Kiedyś nie miał – stwierdził z miną znawcy brodacz. Dopiero po wojnie, jak tego dobra wszędzie walało się sporo, rzeźnicy, co się na swojej robocie znają, wyrzucili zwykłe noże i do szlachtowania wzięli bagnety. Bo te mauserowskie, poniemieckie, są takie, że jak się dobrze wymierzy, to wystarczy ino jeden sztych i bagnet w sercu. Szybka śmierć i gadzina nawet nie zdąży pomyśleć, że umiera. Rach-ciach i po robocie.

– Czyli że ten, co zabił stróża, mógł być specjalistą w swoim fachu, jak na ten przykład rzeźnik? – Tym razem fachową opinią zainteresował się Olkiewicz.

– Rzeźnik jest od szlachtowania świniaków, a od zabijania ludzi jest zwykłe bydłę – stwierdził brodacz. – Ale jak bagnet wraził fachowo, znaczy się zawodowiec, co na robocie się zna.

– No, panie Derkacz, daj pan jeszcze pół literka żytniówki i garnuszek smalcu do chleba. Ino żeby był solidny, ze skrzyczkami – zaordynował Weber.

- U nas smalec pierwsza klasa i niepodobna, żeby kto oszukiwał takich fachowców na skwarkach. O proszę, sam se pan popatrz. - Bufetowy postawił na stole kwartę wypełnioną zastygłym smalcem, a obok niej miskę z grubymi pajdami chleba.

Rzeźnicy zabrali swoje zamówienie i poszli do stołu pod oknem wychodzącym na podwórze. Dzięki temu mogli, jedząc i pijąc, obserwować do woli okna należące do mieszkania stróża i swoje teorie na temat jego śmierci podbudowywać autentycznym obrazem miejsca zbrodni. Młody policjant Michotek, ten sam, który przyprowadził tu dwóch wywiadowców, stał teraz przed wejściem do budynku w tej swojej za dużej czapce i pilnował, żeby nikt niepowołany nie wszedł do środka, zanim nie przyjdzie ktoś z Prezydium Policji z papierową taśmą i pieczętką, by ostemplować drzwi i zamknąć na dobre wejście do mieszkania.

Posterunkowy Michotek minę miał dumną, bo właśnie przed chwilą był tu fotograf z gazety, który chciał zrobić zdjęcie mieszkania, ale chłopak nie pozwolił i zagroził mu nawet karabinem. Na nic się zdały prośby, z próbą przekupstwa w postaci poczęstowania go papierosem włącznie. Michotek był nieugięty, bo dostał rozkaz niewpuszczania nikogo, a natręta mógł nawet zdzielić kolbą po łbie. Fotoreporter na swoje szczęście nie był zbyt natarczywy. Zadowolił się zrobieniem zdjęcia policjanta pilnującego drzwi i okna z zasłoną, która nie pozwalała zajrzeć do środka.

Godzina 2.20 po południu

Aspirant Oskierko, były ułan odznaczony Krzyżem Walecznych przez samego Marszałka, stał na baczność w odległości trzech kroków od biurka zastępcy komendanta miejskiego Policji Państwowej i czuł, że za chwilę zapadnie się pod nim podłoga. A gdy się zapadnie, on wleci przez dziurę wprost w piekielną otchłań, która pożre go, strawi, a potem wydali, a resztki rozrzuci gdzieś po jakichś piekielnych czeluściach. Bo czuł, że tyle właśnie jest wart, tyle, co ten nawóz nienadający się nawet do użyźniania ziemi, ale sześnięcia gdzieś w smrodliwych piekielnych kloakach. Prawda, każdy się może pomylić, każdy może popełnić błąd, ale są to zazwyczaj błędy, które da się naprawić. Tylko dlaczego on popełnia takie omyłki, które kosztują go nieprawdopodobnie wiele i których nijak nie da się potem wymazać, bo w ludzkiej pamięci tkwić będą już na zawsze? Bo o ile o dobrych rzeczach szybko się zapomina, to te złe uczynki tkwią w ludzkiej świadomości całymi latami.

Ot, weźmy choćby te sprawę z kapitanową Długołęcką. Przecież tak naprawdę to ona mu się nawet niespecjalnie podobała. Nie można powiedzieć, ładna i zgrabna była, ale za chuda w biodrach, a on gustował zawsze raczej w pannach o bardziej rubensowskich kształtach. Na dodatek lubił blondynki, a Olga, żona kapitana Długołęckiego, była brunetką. Wcale nie miał zamiaru jej uwodzić, ale zagięła na niego parol. Upatrzyła go sobie podczas jakiegoś przyjęcia. Już od pierwszej chwili, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, poczuł dziwne mrowienie na karku. Dlatego do końca rautu nie odważył się na nią spojrzeć, ale dosłownie czuł na sobie jej rozpalone spojrzenie. Wtedy myślał, że to tylko egzaltacja, a zainteresowanie, wyraźnie widoczne w jej oczach, szybko minie. Nie minęło. Miesiąc później spotkał ją na Służewcu.

Uklonił się grzecznie i przyłożył do oczu lornetkę, by lepiej widzieć wyścig i jednocześnie nie widzieć jej. Czuł przed nią strach, podświadomie zdając sobie sprawę, że ta kobieta to kłopoty. Ale gdy stanęła obok niego, przy balustradzie na tarasie widokowym, z którego doskonale widać było każdą gonitwę, nie uciekł. W końcu polski kawalerzysta nigdy nie ucieka.

– My się chyba znamy – powiedziała melodyjnym głosem, pełnym jakiegoś magnetycznego czaru.

– Widzieliśmy się na raucie u pana pułkownika Wieniawy.

– Ano tak, przypominam sobie.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Podporucznik Walenty Oskierko.

– Bardzo mi miło, panie poruczniku. Kapitanowa Olga Długolecka.

Pochylił się i z gracją ucałował wierzch jej koronkowej rękawiczki.

– Taki młody i już odznaczony Krzyżem Walecznych – stwierdziła, przyglądając się odznaczeniu, które wisiało przypięte do jego piersi.

– To za kontratak znad Wieprza – wyjaśnił z dumą. – Miałem wtedy dziewiętnaście lat i byłem jeszcze podchorążym. Szlify oficerskie otrzymałem w dwudziestym roku.

– Och, to fenomenalne. Musi być z pana całkiem dzielny ułan.

– Cóż, robiłem tylko to, co do mnie należało, droga pani.

– Wszyscy wtedy robiliśmy to, co do nas należało. Dzięki wysiłkowi całego żywiołu polskiego pokonaliśmy wroga. Ja w tym czasie, proszę sobie wyobrazić, nie szczędząc czasu, codziennie brałam udział w zbiórkach pieniędzy. Sprzedawałam polskie orzełki blaszane na czapki, a pieniądze przekazywane były na fundusz obronny. Ileż ja się nastalam

wtedy na ulicy. Gdyby pan zobaczył moje stopy, jakie były zmęczone...

– To niedopuszczalne – rzucił z pełnym przekonaniem, spoglądając w dół na jej nogi zakryte do połowy łydki białą spódnicą w jasnoniebieskie paski.

Niżej wyzierały jasnobezowe, sznurowane buty na niezbyt wysokim obcasie. Musiał przyznać, że to bardziej pobudziło jego wyobraźnię, niżby widział ją na bosy. I dlatego przez ułamek sekundy wyobraził sobie jej nieobute stopy, umęczone i spracowane, ułożone na jego kolanach i gładzone niezwykle delikatnie jego dłonią.

– Gdyby pan był wtedy gdzie w zasięgu ręki, na pewno by pan ulitował się nade mną i pomógł w potrzebie.

– I oczywiście, droga pani. Może pani na mnie zawsze liczyć.

– A czy poratuje mnie pan swoją lornetką? Zaraz rusza gonitwa, a ja obstawiłam Cyklamena i chciałabym go obserwować przez całe okrążenie.

– Służę uprzejmie, droga pani. Proszę bardzo. – Zdjął z szyi pasek i podał kobiecie.

Wzięła lornetkę do ręki i jednocześnie przejechała palcem wskazującym po jego dłoni. Poczuł impuls elektryczny, który sprawił, że wydała mu się najpiękniejszą istotą na ziemi, centrum wszechświata, który obraca się wokół niej, a on jak planeta okrążająca słońce już na zawsze będzie uwięziony na orbicie przez jej nieprawdopodobny magnetyzm.

Przyłożyła lornetkę do oczu, przyglądając się uważnie koniom stojącym u dołu trybuny.

– O, jest Cyklamena. Ma numer dwa. Czy wie pan, że dwójka to moja szczęśliwa liczba?

– Czemuż to?

– Urodziłam się drugiego lutego, a cyganka wywróżyła mi, że w swoim życiu przeżyję dwie miłości.

– A ile już pani przeżyła?

– Och, niech pan nie będzie zbyt dociekliwy. Chce pan od razu, na początku naszej znajomości, poznać wszystkie moje tajemnice. Może już wystarczy tych pytań.

– Najmocniej panią przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Sama czuję pewien dyskomfort. Zdradziłam panu, może zbyt pochopnie, mój sekret.

– Jakiż to?

– No jak to, mój panie, masowanie stóp kobiecych to akt miłosny, ekscytujący i intrygujący. Już samo myślenie o tym jest jak droga do bram miłości. A pan niech się natychmiast przyzna, czy myślał poważnie o moich stopach?

Poczuł, że robi mu się gorąco. Ta kobieta była niebezpieczna jak syrena, która wabiła statek Odyseusza swoim boskim głosem. Ona robiła dokładnie to samo. Sprawiała, że myśli latały mu w głowie z prędkością kawaleryjskiego rumaka. Zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale ona nie czekała na ripostę.

– Pędź, piękny, pędź i zwyciężaj, mój ty cudowny! – zawołała, gdy bomba poszła w górę.

Jeździec w czerwonej czapce, ten na Cyklamenie, niezbyt fartownie ruszył, tracąc na starcie cenne sekundy. Dość powiedzieć, że od razu spadł na przedostatnie miejsce. Jednak Olga była pełna wiary.

– Mój ty jedyny, piękny ogierze, pokaż im wszystkim, co jesteś wart. Pokaż mi, co potrafisz, i zrób to, mój piękny!

Słuchał jej egzaltowanych okrzyków, nie patrząc ani przez chwilę na konia. Gapił się na nią jak zaczarowany i czuł, że krew w jego ciele jest bliska wrzenia. Ta kobieta wołała do rumaka, a on miał wrażenie, że słowa te są kierowane do niego.

– Cyklamen, boski mój, pędź do zwycięstwa, pędź co sił, dla mnie, dla mnie, mój najdroższy koniku. Tak, tak, pięknie, proszę jeszcze szybciej, jeszcze, jeszcze, daj z siebie, ile zdołasz. Zrób to, proszę, zrób, mój ty piękny, mój ty jedyny, mój ty cudowny ogierze!

Spojrzał na tor. Cyklamen na ostatniej prostej był już o łeb przed Opalem, kolejnym koniem w stawce. Pozostałe były dwie długości za nimi. Teraz ostateczna rozgrywka toczyła się już tylko między tymi dwoma. Dżokeje stali w strzemionach, okładając końskie zady palcatami, ale ich rumaki i tak dawały z siebie wszystko.

– Tak, uderz, jeszcze uderz, niech mknie jak Pegasus! Boski, boski Cyklamenie, ból to rozkosz, rozkosz spełnienia. Tak, jesteś boski, tak, proszę, o tak, mój piękny, o tak, jeeeest! – krzyknęła gromko, gdy Cyklamen pierwszy przekroczył linię mety.

Oskierko wciąż na nią patrzył. Oddychała szybko, jakby sama uczestniczyła w gonitwie, a na jej zgrabnym nosku pojawiły się kropelki potu. Wsparła się dłonią o stalową barierkę.

– Droga pani, czy dobrze się pani czuje? – zapytał z autentyczną troską w głosie. Uśmiechnęła się do niego promiennie jak spełniona kochanka.

– Dobrze to za mało powiedziane, ja się czuję piramidalnie dobrze, po prostu horrendalnie pięknie, mój drogi panie. I to pańska zasługa.

– Moja, jak to?

– No przecież stał pan tu przy mnie przez całą gonitwę, którą obserwowałam przez pańską lornetkę. To pan przyniósł mi szczęście.

– Ależ ja nic nie zrobiłem.

– Tak pan tylko mówi, ale podświadomie czuje pan, że w tym wszechświecie, w którym spotkały się nasze dwie samotne planety, nie ma nic z przypadku. Pańska musiała trafić na moją trajektorię, by przynieść mi... dziś szczęście.

– Bardzo się cieszę, że mogłem...

– Wie pan, ile płacą za Cyklamena? Nie był faworytem, więc aż dziesięć do jednego. A ja postawiłam sto złotych. Przyzna pan, że to kosmiczna wygrana.

– Czy pozwoli pani... – Chciał zapytać, ale zaraz pokręciła głową.

– Może pan ucałować moją dłoń na pożegnanie.

Podawała mu rękę. Gdy ją chwycił, poczuł, że coś trzyma między palcami. Jakiś kartonik. Złożył pocałunek, a karteczka została w jego dłoni.

– To mój bilet wizytowy z numerem. Można dzwonić rano, od jedenastej. Zazwyczaj o tej porze bywam sama.

Odwróciła się i odeszła, kręcąc zalotnie biodrami. Już mu się wcale nie wydawało, że są zbyt mało okrągłe. W tej chwili była nieskończonym pięknem, wypełnionym po brzegi *sex appealem*. A gdyby wtedy przypomniał sobie, że na początku wcale tak bardzo mu się nie podobała... Jakby wtedy otrzeźwiał i zrozumiał, że ona wówczas była zapowiedzią katastrofy, której nie potrafił właściwie odczytać...

Dziś niczego nie wyczytał z twarzy Niemca, który nie mówił po polsku. Może dlatego, że nie zrozumiał, o co mu chodzi. Ale wtedy, na tym Służewcu, doznał jakiegoś zamroczenia umysłowego i dzisiaj stało się podobnie. Wówczas przyczyną otumanienia była kobieta, dziś – niezrozumienie języka obcego. Trzeba było się w młodości uczyć języków, a nie ganiać po polu wierzchem. Ach, gdyby tylko posiadał w sobie jakiś zmysł przenikliwości i umiejętności właściwej oceny faktów,

gdyby jego wzrok potrafił przebić powłokę ludzką, odczytać tajniki duszy i mózgu. Nie miał tej siły magicznej za grosz, co właśnie sam sobie udowodnił. I co gorsza, udowodnił też swojemu przełożonemu, inspektorowi Lisowskiemu.

– Czyś pan postradał zmysły, panie Oskierko? Pan chcesz wywołać międzynarodowy skandal?

– Melduję, panie inspektorze, że on nie mówił, że jest międzynarodowym dyplomata. Zresztą nie wyglądał jak dyplomata. Nie miał nawet cylindra.

– To pan se myślisz, że dyplomata musi chodzić w cylindrze, tak?

– No nie. – Oskierko pokręcił głową, choć rzeczywiście ten cylinder był dla niego nieodłącznym atrybutem dyplomatycznego szyku.

Lisowski wykrzywił nabrzmiałą od złości, jakby ulaną z szarej gutaperki twarz.

– To o czym żeś pan w ogóle myślał, gdy kazałeś wyrzucić tego człowieka na pysk?

– O teutońskiej bucie, o krzyżackiej arogancji, o podłym nikczemniku komturze Zygfrydzie de Löwe, okrutnym komturze ze Szczytna, tym, co kazał porwać Jagienkę, a później zwabił do siebie i upokorzył...

– Juranda ze Spychowa – wszedł mu w słowo komendant, uśmiechając się przy tym złowieszczo.

– Bo właśnie ci Niemcy...

– *Sapristi!*^[26] – wykrzyknął inspektor i jednocześnie uniósł dłoń, nakazując podwładnemu milczenie. – Na Jowisza, pan jesteś cymbał... Co tam cymbał, pan jesteś narodowy cymbał, czyli cymbał grzmiący, który przez swoją cymbałowatość zamierza wywołać *casus belli*^[27].

– Słucham?

- Wojnę polsko-niemiecką, drugą wojnę światową!
 - Ja... nie, bo...
 - Pójdiesz pan teraz do konsulatu na Zwierzynieckiej i przyjmiesz pan zeznania pana nadradcy Gebharda, i przeprosisz go pan za swoją głupotę, i poprosisz o wybaczenie...
 - Kiedy ja... bo ja, panie inspektorze, nie wiem, jak to zrobić, bo nie rozumiem po niemiecku.
 - To się pan naucz po drodze. A teraz proszę wyjść, bo pańska głupota jest obelgą dla zdrowego rozsądku – powiedziawszy to, Lisowski wyciągnął rękę i władczym gestem wskazał Oskierce drzwi.
- Ten, spuściwszy głowę, wyszedł wolno, jakby właśnie prowadzono go pod katowski topór. Niestety nie było nigdzie w pobliżu Danusi, która zarzuciłaby mu na głowę śnieżnobiałą nałęczkę.

Godzina 2.30 po południu

Antoni Fischer zamierzał dziś zjeść obiad w domu. Tak właśnie umówił się z żoną, że przyjdzie do ich mieszkania na Matejki, mieszczącego się w pięknej kamienicy położonej na wprost parku Wilsona, nazwanego tak na cześć amerykańskiego prezydenta, który przyczynił się do wskrzeszenia Polski. A skoro się umówił, to nie mógł zawieść, tym bardziej że wiedział, jak bardzo się starała, aby wszystko było przygotowane perfekcyjnie. Czekala zawsze na takie okazje, kiedy Antoni wiedział z góry, że dzień w pracy zapowiada się spokojnie i nie planuje się żadnych przeglądów ani inspekcji posterunków. Tak właśnie miało być dzisiaj. Na

szczęście dla jego rodzinnych, obiadowych planów kwestię oględzin miejsca zbrodni na Grochowych Łąkach udało się szybko zamknąć, wydał polecenia swoim ludziom i mógł ruszyć do domu. Po obiedzie zamierzał jeszcze wrócić do pracy, aby przyjąć meldunki od wywiadowców i założyć teczkę sprawy, ale na razie jego myślami zawładnęły niepodzielnie bitki cielece w szarym sosie, z pyzami i buraczkami, a przedtem ulubiona zupa pomidorowa. Rozmyślając o uczcie, która powinna się była rozpocząć za niecałe pół godziny, przemierzał parkową ścieżkę, idąc od ulicy Marszałka Focha i wzdłuż cmentarza żydowskiego w kierunku swojego domu. Nie wziął dorożki, bo szkoda mu było pieniędzy. W końcu z Prezydium Policji do niego, na Łazarz, nie było wcale tak daleko, ledwie pół godziny spokojnym krokiem. Po drodze miał czas na przemyślenia niektórych kwestii związanych z porannym, a właściwie nocnym morderstwem. Było w nim coś dziwnego. Stróż Hildebrandt, z tego, co zdołał się o nim dowiedzieć, był człowiekiem, który w zasadzie nie powinien nikomu zawadzać. Poza tym jego mieszkanie składające się z pokoju i kuchni nie wyglądało na zamożne, a on sam na bogatego człowieka, więc motyw rabunkowy również można było wykluczyć. Jego monotonne życie toczyło się na podwórku, w mieszkaniu i na chodniku przed domem, tym codziennie przez niego zamiatanym. A to przecież nie wyprawa na Czarny Łąd, pełna niebezpieczeństw i ekstremalnych doznań. Zwykła, przewidywalna i mechanicznie powtarzana seria codziennych działań zakończonych każdego wieczora magicznym doświadczeniem ucieczki w odrealniony świat wyczarowany przez kilka sznapsów. Co zatem miał w sobie Hildebrandt, że ktoś postanowił pozbawić go życia? Być może kryła się za tym jakaś tajemnica dotycząca jego przeszłości. Jakieś niedomknięte stare porachunki, które mogły

sprowadzić nieszczęście na jego głowę. Może to zdjęcie, które włożył do swojej kieszeni przed wyjściem, było powiązane ze sprawą. Z jakiegoś powodu trzymał je oprawione na szafonierce na widoku, tak jakby miało mu przypominać o czymś ważnym. A może po prostu był sentymentalny i fotografia z wojska stanowiła zwyczajną pamiątkę z czasów, kiedy był młodszy i szczęśliwszy? Zastanawiał się nad tym, mijając przeszkloną konstrukcję palmiarni. Wszedł w szeroko otwartą bramę i znalazł się na chodniku ulicy Matejki. Pod drugiej stronie ciągnął się rząd pięknych, modernistycznych kamienic, które stawiano tu na przełomie wieków, kiedy w sztuce zdobniczej niepodzielnie panował secesyjny duch. Także dom, w którym znajdowało się jego mieszkanie, był pięknie zdobiony zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. Ściany klatki schodowej wyłożone były emaliowanymi kaflami, a sufity ozdabiały plafony z malowidłami przedstawiającymi roślinne motywy.

Przeszedł na drugą stronę ulicy po jezdni wyłożonej równą jak stół, bo dobrze oszlifowaną kostką brukową. Minał sklep rzeźniczy Majdańskiego, w którym jeszcze nigdy nie był, bo nie zajmował się sprawunkami, a poza tym nie wypadało, żeby mężczyzna chodził do rzeźnika po kiełbasę. Jego kamienica była następna. Nie doszedł jednak do niej. Z bramy, którą właśnie mijał, wyskoczył znany mu z widzenia i codziennego uchylania kapelusza mecenas Dubois, o którym wiedział tylko tyle, że zajmuje się niezwykle kosztownymi rozwodami kościelnymi. Nie potrzebował takich usług, więc nie miał specjalnych powodów, żeby nawiązać z mecenasem jakiś bliższy kontakt. Przypadkowe uprzejmości to było dotąd wszystko, bo jeszcze się nie zdarzyło, by ze sobą rozmawiali.

– O, pan szanowny komisarz Fischer, jakże się cieszę, że pana widzę.

Antoni przystanął zdumiony, bo Dubois wyglądał na autentycznie zadowolonego.

– Bardzo mi miło, panie sąsiedzie.

Uniósł swój kapelusz o nieco szerszym niż zwyczajowo rondzie, który był lekko stylizowany na te noszone na Dzikim Zachodzie. Fischer lubił filmy westernowe o przygodach kowbojów, zwłaszcza z Tomem Mixem. Wielkie wrażenie zrobił na nim też obejrzany dwa lata temu *Wicher* z Lillian Gish i Larsem Hansonem[28]. Podobała mu się ta atmosfera miasteczek zagubionych w bezkresnej prerii i ci twardzi ludzie budujący nową rzeczywistość, zmagający się z dziką przyrodą i dzikimi Indianami... Zazdrościł trochę Amerykanom, że mogą tworzyć od podstaw nowy kraj. Było w tym trochę podobieństwa do tego, co działo się tu, na miejscu, w Polsce, kiedy to z trzech różnych, rozdartych niegdyś połaci wspólnego organizmu na powrót trzeba było stworzyć jedną budowlę, która przetrwa wszelkie dziejowe zawieruchy. A kapelusz przypominający przedstawiane w filmach zmagania Amerykanów był fanaberią, zdawał sobie z tego sprawę, ale na szczęście nieszkodliwą, z którą dobrze się czuł. Gdy zobaczył go na wystawie w sklepie kapeluszniczym Marciniaka przy ulicy Ratajczaka, wszedł tam wiedziony impulsem, a po chwili wychodził już z nowym nakryciem głowy.

– Nie ma pan pojęcia, jakże bardzo w porę się pan zjawił. O, niech pan spojrzy na to, zaraz, gdzieś to tu mam, o... – Mecenas otworzył czarną skórzaną teczkę i wydobyl z niej płachtę bibuły. Komisarz spojrzal zdumiony na papier, bo adwokat podsuwał mu pod nos kartkę, na której widać było podeszwę jakiegoś buta.

– A cóż to, miarę od szewca chce mi pan zaprezentować? Nie bardzo się na tym znam, więc nie wiem, jakbym mógł szanownemu panu pomóc...

– Gdzie tam miarę. To nie żadna miara. To jest, panie szanowny komisarzu, *corpus delicti* w najczystszej postaci.

– Aha. – Pokiwał głową Antoni, doszedłszy do wniosku, że adwokat najprawdopodobniej oszalał. – Rozumiem, że prowadzi pan jakąś skomplikowaną sprawę rozwodową i to jest odcisk buta kochanka – spróbował zażartować, ale mina mecenasa mówiła jasno, że wcale mu nie jest do śmiechu.

– Ależ o żaden rozwód się nie rozchodzi, panie komisarzu. To całkiem inna kwestia i to nie moja, ale pańska. Już miałem właśnie brać dorożkę i jechać na najbliższy komisariat, żeby osobiście to zgłosić, ale skoro pan akurat tu się pojawił, to jakby palec Boży. I właśnie pan się musi zająć sprawą kidnapingu.

– O czym pan mówi, panie mecenasie? – zapytał zniecierpliwiony, wyciągając jednocześnie z kieszeni swój złoty zegarek. – Wie pan, chętnie pomogę, ale żona właśnie na mnie oczekuje. Nie mogę się spóźnić, bo tam wszystko na stole...

– Panie komisarzu, pan jeszcze, zdaje się, nie rozumie powagi sytuacji. To nie jest zwykłe porwanie. To kwestia międzynarodowa. Myśmy nawet zupełnie *ad hoc* powołali komisję międzynarodową, żeby to ona, a nie ktoś prywatnie wszedł do mieszkania wicekonsula. I co? Weszliśmy, a tam pusto, nikogo, ani żywego ducha, w gabinecie pootwierane szuflady i bałagan, jakby burza przeszła, czyli ktoś czegoś tam szukał w pośpiechu, i do tego wszystkiego jeszcze ten ślad...

– Aha, ktoś namalował ślad buta atramentem na bibule, a pan sądzi, że to dowód rzeczowy?

Dubois szybko pokręcił głową.

– To odcisk mokrego buta. Ktoś wszedł do mieszkania wicekonsula von Pieskow i zostawił mokre ślady. A że mogły wyschnąć i zniknąć, zastosowałem metodę atramentową. Należy tylko w mokre powierzchnie wprowadzić nieco

atramentu, a potem przyłożyć bibułę na całość i oto jest: ślad buta wicekonsula von Pie...

– Zaraz, zaraz, panie mecenasie, gdzie Rzym, a gdzie Krym? O czym my w ogóle mówimy? Ślad rozumiem, ale co z tym wszystkim ma wspólnego jakiś konsul?

– Wicekonsul von Pieskow mieszka w tej właśnie kamienicy, w której ja mieszkam na drugim piętrze, a on na pierwszym. To konsul Niemiec, co jest w Poznaniu dopiero od miesiąca. No i właśnie ów mężczyzna zaginął dziś, być może w drodze ze swojego mieszkania do konsulatu na Zwierzynieckiej. Taka właśnie historia. Widzi pan ten samochód? – Wskazał czarnego mercedesa stojącego niemal naprzeciw wejścia do kamienicy, po przeciwnej stronie ulicy. – To jest wóz niemieckiego konsulatu, którym przyjechał szofer z poleceniem odnalezienia wicekonsula i sprawdzenia, czy mu się co nie stało. No i ten właśnie kierowca chciał wejść do środka, ale stróż był nieugięty, bo się bał skandalu, więc na szczęście pojawiłem się ja, rozumie pan, i powołałem do życia komisję trójstronną, na której czele, oczywiście, sam stanąłem jako prawnicza siła, a w jej skład weszli kierowca i stróż. I w ten sposób dostaliśmy się do środka, ale tam nie było wicekonsula. Po prostu jakby się rozpułnął w powietrzu. I właśnie chciałem zawiadomić...

– Kto jest w mieszkaniu?

– Kierowca, kucharka i stróż, ale on chyba już poszedł.

– Idziemy na górę – zakomenderował policjant i ruszył przodem.

Dubois podążył za nim. Po chwili byli już w mieszkaniu. Dwaj członkowie międzynarodowej komisji siedzieli w kuchni przy dużym, stojącym na środku pomieszczenia stole. Przed każdym stał kubek z parującą kawą i pusty kieliszek. Widać

kucharka, która krzątała się przy piecu, sprawdzając zawartość garnka wielką nabierką, zadbała o gości.

– A oto i nasz sąsiad, komisarz Fischer z policji – przedstawił go prawnik. – On już najlepiej wyjaśni wszystkie wątpliwości.

– Zobaczymy, co jest do wyjaśniania na ten moment – stwierdził policjant, przyglądając się zebranych. Mężczyźni wyglądali na zmartwionych, kobieta na zirytowaną. – To w takim razie kto tu ma najwięcej do powiedzenia? – zapytał komisarz Fischer, spoglądając na twarze zebranych w kuchni osób.

– Oni tu wleźli bezprawnie, i kto wie, może to oni zrobili tą gemelę^[29] w gabinecie pana konsula? – Pośpieszyła z wyjaśnieniem gruba kucharka Genowefa Kapusta, której się wydawało przez chwilę, że nakryła w domu swoich państwa złodziejską szajkę. Ale gdy się zorientowała, że to niestety ten sąsiad prawnik, co mieszka piętro wyżej, i do tego jeszcze stróż, a z nimi kierowca konsulatu, to zrobiło się jej smutno, że żadnej sensacji z tego nie będzie. – I jeszcze podłogę upaprali jakąś farbą. I kto to teraz będzie sprzątał?

– Nie farbą, ale atramentem, pani Kapustowa – wyjaśnił mecenas Dubois, robiąc przy tym pobłażliwą minę, bo przecież już jej tłumaczył, że atrament z drewnianej podłogi schodzi niesłychanie łatwo, gdyż już nie raz w jego kancelarii się wylał, zrzucony ze stołu nieostrożną ręką, i jakoś żadna plama po tym nie została.

– Wzięlibyście się, babo, za ścierę, toby już dawno śladu nie było, a tu ino pyskujecie po próżnicy – rzucił stróż Leszczyk.

– Ja tam niczego sprzątać nie będę, żeby pokazać panu, jak wróci do chaty, o co było całe zamieszanie. Na szczęście pani pojechała do Berlina wczoraj i nie widzi tej sodomii i gomorii w swoim domu, boby jeszcze dostała ataku apopleksji.

– Jak whóci – rzucił kierowca Joseph Schulte. – Bo jak ja dzwoniłem do konsulatu przed kwadhanssem, to jego jeszcze nie było. A pan nadhadca Gebhaht, co mnie tu wysłał, mówił, że to skandal miedzynahodowy jest i że jakieś głowy za to polecą.

– Polecą, czy nie polecą, zobaczymy – stwierdził Fischer. – Najpierw jednak trzeba ustalić fakty. Wiemy, że pan von Pieskow...

Naraz przypomniał sobie o czymś, co w pierwszej chwili umknęło jego uwadze. To nazwisko było tak charakterystyczne. Nie znał konsula, ale znał osobę, która nazywała się dokładnie tak samo. Marlena von Pieskow była współpracowniczką niemieckiego wywiadu, kochanką kapitana Mikołajewskiego, przez którego została zwerbowana do współpracy z polską Dwójką[30]. Była więc podwójną agentką mieszkająca w Königsberg i dość często bywającą w Poznaniu. Czyżby to był przypadek i tylko zbieżność nazwisk? Takie rzeczy raczej się nie zdarzają, pomyślał komisarz, a jego policyjna intuicja mówiła mu, że trzeba dokładnie przyjrzeć się sprawie. Jednak najpierw musiał zrobić coś znacznie ważniejszego.

Spojrzał na kierowcę konsulatu ubranego w ciemnozielony uniform, przypominający mundur wojskowy.

– Za pół godziny proszę czekać na mnie na dole w samochodzie. Pojadę z panem do konsulatu – powiedział to kategorycznym tonem, jakby wydawał rozkazy podwładnemu.

Ten natychmiast poderwał się z krzesła i stanął na baczność.

– Tak jest, panie komisarzu – potwierdził rozkaz i zasalutował do gołej głowy, bo czapka z daszkiem leżała na blacie stołu.

– Pański ślad, mecenasie, zabieram, bo może być bardzo przydatny. Gratuluję pomysłowości. Na razie nie będzie pan już potrzebny.

– A ja? – zapytał stróż.

– Może się pan zająć swoimi sprawami. Ale proszę mieć oczy szeroko otwarte.

– Jak najbardziej – potwierdził, choć nie wiedział, dlaczego ma mieć otwarte oczy, bo zawsze miał otwarte za dnia.

Zamykał je tylko w nocy albo wtedy, gdy darła się na niego żona. A robiła to przynajmniej kilka razy dziennie, gdyż miała parszywy charakter, czyli jak sam stróż mówił, była wyjątkową cholera z ryjem do samej podłogi.

– A co ze mną? – Genowefa Kapusta też oczekiwała specjalnych poleceń.

– Pani niech gotuje obiad.

– A pewnie, że ugotuję, bo niby kto ma to zrobić?

Fischer skinął wszystkim głową i wyszedł z kuchni. Musiał się śpieszyć, zostało mu bowiem zaledwie 29 minut na dojście do domu i zjedzenie obiadu.

Godzina 3.10 po południu

– Nigdzie nie pojedziesz!

– Ady nie krzycz, Krychna.

– A co mam nie krzyczeć, jak ty chcesz nas zostawić i jechać gdzieś hen do Niemiec.

– Po pierwsze to wcale nie chcę, ale mus to mus. A po drugie...

– A coś ty jest urzędnik jaki, że może ci ktoś tam kazać co robić? Zawsze żeś gadał, żeś wolny jest człowiek, a nie

pracownik na pensji.

– Prawda, że nie na pensji, i to bardzo dobrze. Ale człowiek wolny, czy chce czy nie, ma jeszcze swoje obowiązki, że musi je wypełniać. I to jest po drugie właśnie, że to jest obowiązek, od którego się migać nie wolno. Co nie, Zenuś?

– Tak właśnie jest. To jest obowiązkowe, że jak dowództwo każe, to trzeba robić i nie ma gadki.

– Chłopy to zawsze muszą znaleźć jaką wymówkę, żeby sobie gdzie pojechać daleko od domu i żonę samą zostawić.

– He, he, wcale nie chcę zostawić, a i te Niemcy niedaleko całkiem. Ty wiesz, że do tego Stettin to się jedzie koleją trochę ponad pięć godzin?

– Tato, a gdzie jest ten Stettin? – zapytał Stefek, przerywając na chwilę wznoszenie wieży z drewnianych klocków na podłodze.

– Na północy – wyjaśnił Tolek, tak jakby to była sprawa najbardziej oczywista. Tyle że siedmiolatek nie bardzo znał się na kierunkach geograficznych.

– Na jakiej północy? – pytał dalej niestrudzenie.

– Północ to jest tam. – Ojciec wskazał ręką ścianę, w której znajdowały się drzwi prowadzące do sypialni.

– Nie, północ musi być tam. – Zenuś Brodziak pokazał na okno. Tolek pokręcił głową. – Tam to jest zachód. Teraz nie widzisz, ale to tam widać słońce w naszym domu pod koniec dnia.

– No tak, bo takie to mamy mieszkanie, że słońce wpada tylko wieczorem przed samym zachodem – odezwała się Kryśka, która w kuchni przygotowywała jedzenie. – Tolek, taki wielki pan, a jego rodzina w ciemnej norze przez cały dzień siedzi. A dzieciaki to takie blade jak papier. A ja nieraz, jak dużo roboty jest do zrobienia, to i tydzień słońca nie widzę

i nawet z nawlekaniem nitki na igłę się męczę, bo oczy coraz gorzej widzą.

– Ady już nie narzekaj, Krychna, bo na swoim jesteśmy. Mieszkanie ciasne może, ale własne i w mieście. Ty wiesz, że jak by my je sprzedali, to mogliby my kupić chatę, nawet większą, gdzie na Górczynie albo Wildzie. Ale ja tam się z Poznania na wieś ruszać nie mam zamiaru. Jak się jeszcze trochę odłoży bejmów, to się kupi większe.

– No niech się odłoży, niech się odłoży. Ale gdyby nie moje szycie gaci, to już nie raz nie byłoby za co kupić mleka dla dzieciaków.

Tolek spojrzął na Zenusia i uśmiechnął się krzywo. Obaj wiedzieli dobrze, w czym rzecz. Tak to już było w tym złodziejskim fachu, że raz pieniędzy w bród, a innym razem bieda, że nawet na piwo nie starczało. Może on takich kłopotów nie miał, ale Zenuś i bracia Kaźmierczakowie, czyli pozostali członkowie ich przestępczej szajki, często bywali spłukani, bo nie mieli rodziny na utrzymaniu. Tolek natomiast zawsze starał się mieć coś odłożone na czarną godzinę i nigdy nie wydałby ostatniego grosza na piwo, gdyby wiedział, że dzieci nie mają co jeść. Dlatego doskonale rozumiał Kryskę, że przy takim niezbyt pewnym życiu ze złodziejem pod jednym dachem wolała mieć jeszcze jakiś dodatkowy zarobek w postaci własnych, zdobytych przez siebie uczciwą pracą pieniędzy. Jako że miała dryg do precyzyjnej roboty, zajmowała się na co dzień reperacją bielizny. Cerowała dziurawe gacie, podkoszulki i skarpety – początkowo tylko sąsiadom. Jednak od jakiegoś czasu jej klientela znacznie się poszerzyła, bo i zapotrzebowanie na taką usługę było znaczne. Wielu było bowiem samotnych mężczyzn, którzy jeszcze nie mieli albo już nie mieli żon mogących zadbać o ich garderobę. A ta niestety od długiego noszenia darła się na potęgę.

Przetarte kalesony i dziurawe skarpetki trzeba było więc naprawiać, dopóki się dało. Zwłaszcza teraz, gdy czasy były niepewne i ludzie mówili, że lada moment nadciągnie kolejny kryzys. Ponoć już nadchodził wielkimi krokami z Ameryki i na szczęście dla nas zatrzymał się na razie w Niemczech.

– A na to jedzenie to jeszcze długo trzeba będzie czekać? – zapytał Tolek, żeby zmienić drażliwy temat.

– Chleb kroję, a kiełbasy jeszcze się nie gotują – odpowiedziała Kryśka. – Bigos już gotowy jest. Coś mnie tknęło wczoraj, żeby zacząć go robić, tak jakbym przeczuła, że jaki gość do nas wleci na obiad.

– Pani Krysia to ma intuicję – odpowiedział Zenuś, unosząc kieliszek, który przed chwilą napełnił Tolek.

Gospodarz uniósł swój, stuknęli się i wypili.

– Ino nie pijcie tam za dużo. Najpierw jedzenie, bo na pusty żołądek to picie nie jest dobre. Jeszcze chwila i będę podawać.

– Widzisz, Zenuś, do kobiet to trzeba mieć szczęście. Jak ja swoją Krychnę wypatrzyłem, to od razu wiedziałem, że ona najlepsza na świecie. I widzisz, że ugotuje i dzieciakami się zajmie, i jeszcze jak trzeba, to lompę nareperuje. Powiadam ci, od razu wiedziałem, że będzie najlepsza, i innej nie chcę.

– A skąd tatko wiedział, że mamusia będzie najlepsza? – zapytał Stefek, przerywając zabawę klockami.

– Takie przeczucie miałem, he, he. Spojrzałem jej pierwszy raz w oczy i miałem pewność, że musi być moja.

– I dlatego tatuś musiał ukraść mamusię. – Dziecko złodzieja natychmiast zrozumiało prostą prawdę. Skoro coś się podobało, to trzeba było to ukraść.

– He, he, to nie tak. – Tolek naraz zrozumiał, że właśnie padł ofiarą swoich wymyślonych opowieści, tworzonych na potrzeby rodziny po to, by ukryć prawdę o dramatycznych okolicznościach poznania Kryśki.

– To jak to było? – Dziecko domagało się wyjaśnień.

Ojciec nie miał więc wyjścia i musiał dalej brnąć w słodką opowieść o początkach miłości.

– Mamusia się ofiarowała Bogu i była w zakonie. Ale jak ja ją zobaczyłem po raz pierwszy, to od razu wiedziałem, że ona tam nie pasuje, bo za piękna na zakonnicę. Bo tam same brzydkie i krzywe idą, co ich żaden chłop nie chce. No tom se pomyślał, że trzeba ją wykraść, bo tam się zmarnuje całkowicie. A wykraść było trzeba, boby zakonnice same jej nie oddały. No tom się zakradł w nocy do serafitek na Bednarską, weszłem do celi, w której mieszkała...

– A jak tatuś otworzył bramę? – Chłopak lubił w tej opowieści szczególnie informacje o konkretnych rozwiązaniach złodziejskich.

– No jakby inaczej. Wytrychem otwarłem, rach-ciach i już była furta otwarta. A potem w tej celi wziąłem mamusię na rękę, a ona tak spała, że nie wiedziała, co się dzieje, i zaraz w nogi, żeby te stare ropuchy nie narobiły larum. I szybko na Mostową ją zaniósłem, bo tam wtedy miałem swój pokój na poddaszu. I położyłem ją do łóżka, i jak się obudziła, tom jej powiedział, że już jej nigdy nie oddam nigdzie, i musiała zostać...

– A gdzie kwiatki? – zapytała Julka, która w trakcie opowieści przysła z kuchni i usiadła przy stole.

Tolek już ze sto razy musiał opowiedzieć tę historię porwania i zawsze coś tam próbował przeinaczyć lub o czymś zapominał, ale dzieci były czujne. Dziś zapomniiał o kwiatkach.

– Prawda, że na mamusię wysypałem wszystkie płatki róż, com je zjuchcił, he, he, he, z klasztornej ogrodu, żeby miała jak w raju.

– Przecie tatuś mówił, że najpierw nasypał płatków, a potem mamusię na nie położył, żeby miała miękko jak na chmurce –

przypomniała mu córka.

– Tatuś już stary jest, to mu się w głowie wszystko miesza – stwierdziła Kryśka, wchodząc do pokoju z talerzami i sztucami.

Zenuś też dobrze znał tę historię. Od razu dostrzegł zaczerwienione oczy Kryśki. Musiała przed chwilą zetrzeć łzy, które zawsze się pojawiały, kiedy słyszała opowieść Tolka. Kawał drania z niego, myślał chłopak o swoim szefie, ale serce ma złote. Bo prawda o ich związku była całkiem inna i młody wojak znał ją z opowieści członków ich bandy, świadków i uczestników tych wydarzeń. Osiem lat temu Kryśka była młodą dziewczyną, która ze wsi przyjechała do miasta za pracą. Gdy wyrzucili ją ze szwalni, musiała jakoś zarobić na życie, żeby nie umrzeć z głodu, i w ten sposób trafiła na ulicę. Tam poznała podobną do siebie dziewczynę, daleką kuzynkę Tolka. Zamieszkały razem. I tę jej koleżankę zamordował na moście Chwaliszewskim pewien drań. Później ten sam zwyrodnialec dopadł Kryśkę. Nie zabił jej, ale wykorzystał i pobił do nieprzytomności. I wtedy na scenę wkroczył Tolek, początkujący złodziej i szef niewielkiej szajki składającej się wtedy prócz niego z dwóch braci Kaźmierczaków. Znaleźli oprawcę i wymierzili mu sprawiedliwość, oczywiście po swojemu, więc wyrok mógł być tylko jeden. Jego ciała nigdy nie znaleziono. A Tolek, ogarnięty wyrzutami sumienia, że nie uchronił od śmierci kuzynki, zaopiekował się Kryśką. Wziął ją do siebie do domu i zakazał pracy na ulicy. Miała odtąd prowadzić mu dom. No i prowadziła do dziś.

– Ale pachnie ten bigos! – stwierdził Zenuś, zadowolony, że wreszcie po koszarowej diecie zje coś domowego.

Tam, owszem, robiono bigos, ale nikt go specjalnie nie doprawiał. Kucharze wrzucali do wielkiego kotła kapustę, kawałki mięsa, niekiedy kiełbasę i kilka puszek marmolady

śliwkowej dla dodania smaku. Potem solili, pieprzyli i gotowali przez cały dzień. Prawda, był smaczny i pożywny, ale gdzie mu tam do domowego.

– Bigos, jak dobrze przyprawiony, to musi pachnieć. Jest jałowiec w nim i maryjanek, i pieprz jeszcze... – wyjaśniła kucharka. – O, ktoś tam puka. – Odwróciła się w kierunku kuchni, z której wychodziło się na schody.

– To pewnie Krystek! – ucieszył się Zenuś, który stęsknił się za swoim przyjacielem. Tolek zaprosił go na obiad, żeby obgadać ważne sprawy.

– Aż na podwórku pachnie bigosem, pani Krysiu! – zawołał od progu najmłodszy z braci Kaźmierczaków. – A ten rudzielec piegowaty, w kółko golony, to już pierwszy wyczuł te zapachy i jak go znam, to pewnie siedzi rozwalony jak basza przy stole.

– Pewnie, jest, jest. A wygląda jak sam marszałek, bo gęba mu się upała na wojskowym wikcie.

– Pani da ten gar, ja zaniesę, bo się pani Krysia jeszcze podźwignie – zaoferował się Krystek i zaraz wkroczył do pokoju z kotłem bigosowym w rękach.

– No proszę, a panowie to już flaszkę otworzyli beze mnie – zawołał na widok siedzących za stołem.

Zenuś poderwał się z krzesła i gdy garnek stanął na stole, chwycił Krystka w ramiona i wycalał go po bratersku.

– Aleś zmężniał – stwierdził, przyglądając się uważnie koledze.

– Chodzę na zapasy. Znaczą ćwiczę, bo trzeba być krzepkim, co nie?

Grubiński pokiwał głową, przyglądając się z zadowoleniem swoim wychowankom. Sam przecież namówił Krystka, żeby się wybrał do cyrku Olimpia. Tam jego znajomy, zapaśniczy trener, wziął chłopaka w obroty.

– Mistrz Wielaga powiada, że będą z niego ludzie, bo jest solidnej budowy. Ino trzeba go tylko porządnie futrować, żeby nabrał masy, bo jeszcze mu trochę brakuje – ocenił chłopaka Tolek.

– Jeśli się rozchodzi o futrowanie, toś, Krystek, przyszedł w dobrym momencie – rzucił Zenuś, siadając za stołem.

– Uwaga, wursty niosę! – zawołała Kryśka i niemal natychmiast pojawiła się w drzwiach z miską wypełnioną parującymi kiełbasami. Tolek jako gospodarz wziął w rękę drewnianą łyżkę i zaczął nakładać bigos na talerze.

– No to opowiedz, Krystek, Zenusiowi, jak to z twoimi bracholami było.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy chłopaka.

– Po co go zadręczasz? – Kryśka stanęła w jego obronie, ale zupełnie niepotrzebnie. Zenuś musiał wiedzieć, w czym rzecz, zanim zabiorą się do roboty.

– Jak się o mnie rozchodzi, pani Krysiu, to ja nie mam nic naprzeciwko. – Krystek uśmiechnął się do gospodyni krojącej właśnie kiełbaski na małe kawałki, żeby dzieciom ułatwić jedzenie. – Jak ma się głupich bracholi, to przecież nie jest moja wina.

– No właśnie. Najważniejsze, żeś ty się nie wtrącił, bobyś tu z nami dziś nie siedział – zgodził się z nim Tolek.

– To co z nimi jest? – niecierpliwił się Zenuś.

– Siedzą ćwoki sakramenckie. Siedzą dwa bałwany. Wszystko przez Leona. Bo on usiadł do kart w knajpie U Okonia z jakimś przyjezdnymi zasrańcami. I w trakcie gry się połapał, że robią go na szaro, znaczy oszukują jak ta lala. No to wywalił stolik i powiada: „Dawać moje bejmy, wy śmierdzące knury!”, no to oni się za noże wzięli i dalej na niego. A dwa stoliki dalej siedział Walek. I jak zobaczył, że na brachola się rzucają dwaj frajerzy, to zamiast po bożemu

zabrać im te knypy[31] i mordę obić, to ten baran wyciągnął gnata, żeby ich nastraszyć. Kazał im rzucić te majchry, a oni już mieli taką lejtę[32], że nie posłuchali i rzucili się na nich, no to Walek kropnął tego, co był najbliżej, i do drugiego też strzelił, ale ten drugi uciekł i jeszcze Leona dziabnął w bok. Wiara zaraz z knajpy uciekła, a Walek wziął tego nieboszczyka i chciał go wrzucić do Warty, ale niefartownie napatoczył się na szkiełków, co akurat przechodzili niedaleko na patrolu, i go zwinęli, i Leona tak samo. No i siedzą teraz dwa ćwoki i szybko z puszek to oni nie wyjdą.

– No właśnie, że wyjdą. – Tolek uśmiechnął się pod wąsem. – Właśnie, że wyjdą.

– Jak? – zdziwił się Krystek. – Nie dadzą rady.

Rozmawiał niedawno z jednym adwokatem i ten mu powiedział, że Walek w najlepszym razie wyjdzie dopiero w czterdziestym piątym roku.

– Normalnie, przez bramę na Młyńskiej. Po to żeśmy cię właśnie wołali na obiad, żeby ci powiedzieć, że dogadali my się dziś z kapitanem Mikołajewskim, który nas ciągnie na robotę do Niemiec. Zenuś musi jechać, bo jest żołnierz i ma obowiązek się słuchać rozkazów, ale ja nie muszę. No tom mu powiedział, że pojedę tam, ale nie za darmo. Muszą mi zapłacić.

– Żeby było na papugę? – domyślił się Krystek.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Tolek pokręcił głową.

– No właśnie, że nie. Powiedziałem, że oprócz bejmów, co mi da po robocie, ma jeszcze ich wyciągnąć z pudła.

– I... – Najmłodszy z braci Kaźmierczaków aż otworzył usta ze zdumienia.

– No, Zenuś, polej. – Tolek klepnął żołnierza w ramię. – Musimy się napić przed jutrzejszym wyjazdem.

– I... co? – wybąkał w końcu zdeorientowany Krystek.

- Ano to, brachu... - Zenuś napełnił stojący przed nim kieliszek. - To, brachu, że jak się już najemy i napijemy, musisz iść do domu się umyć i spakować, i przygotować porządne lomy, znaczy ancug, mantel i kapelutek, tak jak do kościoła, bo jutro o szóstej rano wyjeżdżamy do Szczecina.

[20] *Mein Name ist Marius Gebhardt* (niem.) - Nazywam się Mariusz Gebhardt.

[21] *Ja, natürlich, bin ich Deutscher* (niem.) - Naturalnie, jestem Niemcem.

[22] *Natürlich, verstehe ich Polnisch* (niem.) - Naturalnie, rozumiem po polsku.

[23] *Weil ich Deutsch spreche, weil ich Deutscher bin, und da ich ein deutschen Diplomaten bin und als Beraters für den deutschen Konsulats in Posen arbeite* (niem.) - Ponieważ jestem, Niemcem, a także niemieckim dyplomata, dlatego mówię po niemiecku.

[24] *Je ne parle pas français, je suis allemand et diplomate allemand* (franc.) - Nie mówię po francusku, jestem Niemcem i niemieckim dyplomata.

[25] *Wer sind...* (niem.) - Kim pan jest i po co pan tu przyszedł? - Wreszcie ktoś, kto mówi normalnym językiem. Co to za polski bałagan? Żeby oficer dyżurny w urzędzie nie mówił po niemiecku? To skandal. Powiedzcie mu, że jestem radcą w konsulacie niemieckim w Poznaniu. Przybyłem poinformować, że dziś rano zaginął pan wicekonsul Republiki Niemieckiej Albrecht von Pieskow. To skandal dyplomatyczny!

[26] *Sapristi* (franc.) - do diabła, do licha

[27] *Casus belli* (łac.) - przypadkowy pretekst do wywołania wojny.

[28] *Wicher* (tytuł oryginalny *The Wind*) - amerykański, niemy film fabularny z 1928 roku, ukazujący historię morderstwa w niedobrym małżeństwie. Oparty na fabule wiatru jako elementu głównego tego dramatu. Jeden z najlepszych filmów amerykańskich w reżyserii Victora Sjöströma.

[29] *Gemela* (gwar.) - bałagan.

[30] *Dwójka* - Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego zajmujący się wywiadem.

[31] *Knypy* (gwar.) - noże.

[32] *Mieć lejtę* (gwar.) - być pijanym.

Rozdział IV

Godzina 3.20 po południu

Aspirant Walenty Oskierko stanął przed witryną cukierni w kamienicy Franciszka Łączkowskiego przy Świętym Marcynie i spojrzał na własne odbicie w lustrze zainstalowanym wewnątrz okna wystawowego. Wymalowano na nim herb piekarni z rokiem założenia 1897 i rogalem marcińskim otoczonym pszenicznym wieńcem. Rogal prezentował się okazale, podobnie jak gipsowe ciastka i torty pomalowane jaskrawymi kolorami, które wyglądały niemal jak prawdziwe. Za to on prezentował się niezbyt apetycznie z tą swoją bladą, a właściwie można by powiedzieć nawet bladoszarą twarzą człowieka przegranego, którego życie właśnie się kończy. No bo w zasadzie, myślał Oskierko, na co mu to życie przegrane, w którym nic już się nigdy nie wydarzy. Nie ma kompletnie żadnego powodu, żeby coś się mogło przytrafić oprócz katastrofy dramatycznej, jaką będzie zapewne jego śmierć pod kołami tramwaju, gdy za kilkanaście minut zostanie wyrzucony z niemieckiego konsulatu. Bo na co mu to nikomu niepotrzebne życie wiecznego pechowca, który sam zniszczył swoją świetnie zapowiadającą się karierę

wojskową, a teraz właśnie roztrzaskał w drobny mak karierę policyjną. Jakby chciał gdzie jeszcze szukać pracy i możliwości, to chyba już tylko na kolei. Albo na poczcie... Cóż to za upadek kompletny, z którego raczej już nigdy się podnieść nie zdoła. Przecież nie zostanie konduktorem czy listonoszem. Bo jakby na takich mundurach wyglądał jego Krzyż Walecznych? Jak pawie pióro wystające z dupy.

A jeśli nie zginę? Naraz przyszła mu do głowy myśl straszna, która sprawiła, że zaczął zupełnie inaczej patrzeć na swój akt desperacji. Bo co się stanie, jeśli rzucając się pod tramwaj, upadnie tak nieszczęśliwie, że koła odetną mu dwie nogi albo jedną i przeżyje? Co się wtedy stanie? Będzie jeździł na wózku albo chodził po mieście z drewnianą protezą, podpierając się kulą i stukając po bruku jak pirat z *Tajemniczej wyspy*. Nie, nie mógł dopuścić do takiego blamażu. Postanowił więc za sprawę zabrać się całkiem inaczej, po wojskowemu...

W jednej chwili podjął decyzję, która sprawiła, że otrząsnął się z marazmu i zaczął działać. Wszedł dziarskim krokiem do cukierni i poprosił o rogała marcińskiego. Te, co prawda, wypieka się w mieście na Świętego Marcina, czyli na jedenastego listopada, ale w dobrych cukierniach mają je cały rok. Oskierko bardzo się rozsmakował w tych niezwykłych, występujących tylko w Poznaniu i okolicach ciastkach nadziewanych białym makiem, mocno lukrowanych, z posypką z orzechów. Kupował je, gdy tylko była ku temu sposobność, czyli dość często, bo takie okazje sobie sam tworzył. No więc teraz podjął męską decyzję, że jeśli ma dziś umrzeć, to najpierw zje ostatniego w życiu rogała.

Po wyjściu na ulicę odwinął natychmiast papier i ruszył sprężystym krokiem w kierunku mostu Uniwersyteckiego, zagryzając ciastko. Gdy był na wysokości narożnej kamienicy przy zbiegu Świętego Marcina i Garncarskiej, w której mieścił

się sklep żelazny, a nad nim dość marnej reputacji Hotel National, minął go zielony tramwaj zwieńczony trójką na białym kole. Oskierko przystanął i przez chwilę patrzył na pojazd zmierzający w kierunku dworca kolejowego.

– Ależ ze mnie głupiec – powiedział sam do siebie. Czy ja, bohater wojenny, który nie bał się szarżować z szablą w ręku na bolszewików, mam zginąć jak pies na ulicy, rozjechany przez szynowego potwora? Ha, ha, ha, Walenty Oskierko rozjechany na ulicy? Nie, nigdy. Jak mnie te Szwaby wyrzucą z tego swojego konsulatu, to pójdę do domu i się zastrzelę. Tyle że najpierw trzeba będzie napisać list pożegnalny, w którym całemu światu się wytłumaczy, dlaczego powziął taką desperacką decyzję i że jest to jedyne, honorowe wyjście, bo innego się znaleźć nie dało. No właśnie, tylko ten list musi być dobrze skomponowany, tak żeby nie było żadnych wątpliwości co do intencji. Coś takiego poetycznego i zarazem patriotycznego, żeby widać był całą głębię duszy autora, który cierpiał za życia jak młody Werter.

Drodzy i kochani moi przyjaciele i wy wszyscy, którzyście mnie kochali, a także ci, którzy mnie nienawidziliście...

Zaraz, a tak po prawdzie, to kto mnie nienawidzi?

Zatrzymał się na moście przechodzącym nad torami kolejowymi i spojrzął w dół. Od północy jechał akurat pociąg osobowy zmierzający w stronę dworca. Czarna lokomotywa, buchając kłębami pary, ciągnęła za sobą pięć brudnozielonych wagonów drugiej i trzeciej klasy, co mogło oznaczać, że był to skład lokalny, bo do dalekobieżnych dodawano zawsze jeszcze pierwszą klasę. Ale aspirantowi nie w głowie były teraz pociągi. Pożegnanie ze światem musiało wypaść jak najlepiej, więc list powinien być napisany pięknie, tak jakby to zrobił Żeromski albo ten Dołęga Mostowicz nawet. No to on by pewnie napisał tak:

Ci, którzy doszliście do przekonania, że skrywaną w waszych zimnych sercach nienawiścią można obdarzyć właśnie mnie...

To oczywiście dotyczy komendanta Lisowskiego. Już on to właściwie odczyta i pojmie, że to jest właśnie szpila wbita w jego nieczułą dupę.

...człowieka o otwartym sercu i szczerzej duszy, któren wszystko poświęcił dla dobra umiłowanej ojczyzny, nie bojąc się dla niej narażać na śmierć, co doceniono w trakcie bolszewickiej nawały, awansując mnie w polu z podchorążego na plutonowego i jeszcze zawieszając na mej piersi dumny Krzyż Walecznych, którego to nie dostaje się za siedzenie w sztabie, ale poświęcenie dla sprawy...

Para z komina lokomotywy wypłynęła spod mostu i wiała się na chodnik. Uciekł przed nią, przyśpieszając kroku. Konsulat był po drugiej stronie wielkiego skrzyżowania z ulicą Marszałka Focha. Tam zaczynała się ulica Zwierzyniecka, słynna z tego, że przy niej mieściło się miejskie zoo. Oskierko lubił tędy chodzić na spacer i oglądać egzotyczne zwierzęta, szczególnie małpy, które przypominały mu niektórych ludzi.

...i właśnie dlatego uważam, że życie jako wartość nadrzędną i niepodlegającą dyskusji warto poświęcać w imię obrony prawd uniwersalnych takich jak wolność czy ojczyzna. Ale jedna jest tylko rzecz w życiu narodów, państw i ludzi, która jest całkowicie bezcenna. Tą rzeczą jest honor. I właśnie w imię tego honoru nie mogę pozostać obojętny na krzywdę i niegodziwość, jaką mi wyrządzono tylko za to, że należycie wypełniałem swoje obowiązki i ani na jotę nie złamałem służbowych regulaminów, do których zawsze podchodziłem z należyłą starannością i atencją. I dlatego, zostawszy niesprawiedliwie potraktowany, nie mam wyjścia...

– Nie masz pan wyjścia? A dokąd chcesz pan wychodzić?

Usłyszał naraz znajomy głos. Spojrzał zdumiony w lewo. Przy chodniku zatrzymał się czarny mercedes, z którego wysiadł komisarz Antoni Fischer. Kierowca w uniformie przypominającym wojskowy mundur zasalutował policjantowi i pobiegł w kierunku wejścia do najbliższej kamienicy.

– Przepraszam, że co? – Oskierko jeszcze nie skojarzył, co się dzieje, ale po chwili zrozumiał, że jego przełożony musiał usłyszeć... Zaraz, to znaczy, że on to, co układał sobie w głowie, czyli treść tego listu pożegnającego, mającego dawać świadectwo prawdzie i krzywdzie mu wyrządzonej, mówił na głos? – Ja właśnie tak sobie w głowie układam list do komendanta... Gdyż zostałem niesprawiedliwie...

– Nie ma mnie pół dnia w biurze, a tu już jakaś afera się zrobiła. Gadaj pan, w czym rzecz, bo muszę do konsulatu. – Policjant wskazał secesyjną kamienicę bez bramy wjazdowej, ale z bocznymi drzwiami prowadzącymi zapewne do klatki schodowej.

Zdobiła ją szachulcowa wieżyczka przykryta cebulowatym hełmem, doklejona do rzeźbionej attyki wieńczącej cztery piętra z wielkimi oknami. Wejścia obramowanego rzeźbionym piaskowcem pilnował policjant z paskiem od czapki zapiętym pod brodą. Widać to miejsce musiało mieć szczególne znaczenie, skoro policja wystawiała tu całodzienną wartę.

– Bo przyszedł do biura jakiś człowiek, co wcale nie mówił po polsku, a chciał sprawę urzędową w polskim urzędzie załatwić. I się jeszcze odgrażał po niemiecku, no to kazałem, żeby klienta awanturującego się wyprowadzono grzecznie, bo nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam...

– I co, poszedł się poskarżyć do konsulatu? – domyślił się Fischer.

Oskierko spuścił głowę i wbił spojrzenie w czubki swoich wyczyszczonych na błysk oficerskich szklanek[33].

– Niestety nie, panie komisarzu. To sprawa szyta znacznie grubszymi nićmi. Mam wrażenie, że to coś w rodzaju prowokacji niemieckiej w Gdańsku, kiedy to...

– Gadaj pan, do licha ciężkiego, o faktach, bo ja nie mam czasu na domysły. A interpretację pozostaw pan mojej inteligencji, może jakoś sobie poradzi.

– No więc on, znaczy ten Niemiec wyrzucony przeze mnie, to, jak się okazało, jakiś nadradca z tego konsulatu.

Fischer z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Toś pan wojnę polsko-niemiecką wywołał przez przypadek. Gratuluję, bo niewielu ludzi ma takie umiejętności.

– No w razie wojny to byśmy im pokazali...

– Gołą dupę, panie kolego, póki co gołą dupę możemy im co najwyżej pokazać. Ale do rzeczy, Lisowski się dowiedział?

– Melduję, że tak, bo nadradca zadzwonił do niego osobiście i na mnie doniósł. Po niemiecku doniósł...

– Poskarżył się więc, a komendant kazał panu iść przeprosić i załagodzić sprawę.

– Tak jest w istocie – przyznał aspirant, robiąc przy tym cierpiętniczą minę.

– No to dalej, chodźmy! – Fischer wskazał wejście, gdzie stał policjant przyglądający im się z obojętną miną.

– Kiedy ja właśnie...

– O co się rozchodzi?

– O to, panie komisarzu, że ja nie wiem, jak to zrobić, bo nie znam niemieckiego.

– To przeprosisz pan po francusku. To język dyplomacji, który tam doskonale rozumieją.

– Ale ja niestety francuskiego...

– Też pan nie zna? Coś pan, do licha, robił w szkole?

Oskierko wzruszył ramionami.

– Toś pan jesteś w czepku urodzony, żeś pan mnie tu spotkał. Idziemy!

Gdy się zbliżyli do wejścia, wartownik wyprężył się jak struna i zasalutował. Fischer uchylił kapelusza, a aspirant nawet go nie zauważył. Weszli po schodach na półpiętro. Po lewej stronie, za szybą osadzoną w drewnianej boazerii, mieściła się portiernia.

– A panowie to niby co?

– Do radcy... jak się nazywa ten pana radca?

– Gebhardt – przypomniał sobie Oskierko.

– A jak do nadradcy, to na pierwsze piętro. Pytać w sekretariacie.

Amfiladowy korytarz ciągnął się wzdłuż całej długości budynku. Drzwi do pokoi były po prawej. Na żadnych nie zauważyli tabliczki informacyjnej. Nie musieli jednak pukać do każdego po kolei. Jedne, szeroko otwarte, były na samym końcu. Gdy weszli do środka, sekretarka w okularach o czarnych oprawkach przerwała pisanie na maszynie. Kobieta ubrana była w białą koszulę, na którą założyła czarne zarękawki. Jej pomarszczoną twarz szpecił dodatkowo grymas niechęci, wykrzywiając usta w podkówkę.

– Panowie są umówieni z kimś w konsulacie? – zapytała matowym głosem.

– Pan nadradca Gebhardt zapewne ucieszy się z naszej wizyty – zapewnił ją Fischer.

– Pan radca jest bardzo zajęty i właśnie...

– Proszę mu powiedzieć, że przyszedł komisarz Fischer w sprawie zaginięcia pana wicekonsula von Pieskow.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się wyraz z troskania. Szybko podniosła się z krzesła i podeszła do drzwi obitych skórą. Zapukała we framugę i zaraz weszła do środka. Piętnaście sekund później drzwi znów się otworzyły. Zaraz za

sekretarką pojawił się znany już Oskierce mężczyzna. Spojrzał tylko przelotnie na młodego policjanta i od razu podszedł do Fischera.

– Bardzo się cieszę, bardzo, że to właśnie pan zajmie się sprawą zaginięcia. Już mi w tej sprawie meldował nasz szofer... – zaczął szybko mówić po niemiecku.

– Postaram się sprawę wyjaśnić wnikliwie, szanowny panie – odpowiedział mu policjant doskonałą niemiecką. Twarz nadradcy rozjaśnił szczery uśmiech. – Ale zanim przejdziemy do sprawy, chciałem jeszcze wyjaśnić jedną kwestię. Ten tu obecny młody człowiek chciał pana nadradcę najmocniej przeprosić.

– Pies z nim tańcował. Przeprosiny przyjęte. Chodźmy do mojego gabinetu. Zapraszam pana, a ten żandarm może sobie trochę poczekać.

– Zrozumiał pan, co? – Komisarz odwrócił się do Oskierki. Ten bezradnie pokręcił głową. – Pan nadradca przyjął pańskie przeprosiny. Siadaj pan i czekaj, bo ja się teraz z nim muszę naradzić.

Obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami gabinetu, a Oskierko siadł na krześle jak cierpliwy petent, drobny kupiec czekający na audiencję u urzędnika magistratu.

Godzina 5.20 po południu

Seweryn Gil, policyjny wywiadowca z najdłuższym przebiegiem służby w poznańskiej policji, uśmiechnął się zadowolony. Jako smakosz uwielbiał te momenty, kiedy to stawiano przed nim talerz z zamówionym, pachnącym jedzeniem. Dziś w gospodzie u Szymańskiego zaordynował grochówkę na wędzonym

boczku z grubymi plastrami kiełbasy. To była jego ulubiona zupa, ale nie w każdej knajpie w Poznaniu robiono ją w tak perfekcyjny sposób jak na Starym Rynku, a dokładniej na wąskiej uliczce o gastronomicznej nazwie Kurza Noga, przechodzącej między nowym a starym ratuszem. Grochówkę podawano tu nie w zwykłych talerzach, ale w fajansowych misach, które samym swoim widokiem sprawiały wrażenie solidności i przede wszystkim wielkości. Do tego na stole stały talerze z chlebem, którego można było zjeść, ile się tylko chciało. Oczywiście, nikt nie był w stanie zjeść więcej niż kilka kromek, ale sama świadomość, że można brać bez ograniczeń, powodowała, że ta jadłodajnia była najpopularniejsza w okolicy. W dodatku poza atutami smakowymi i ilościowymi podawane tu jedzenie było dość tanie. Obiad z trzech dań, czyli zupa, potrawa mięsna, przeważnie pieczeń lub sztuka mięsa w sosie chrzanowym, i do tego jeszcze kompot – to wszystko kosztowało tylko złotówkę. Dlatego Gil lubił tu przychodzić, bo wiedział, że zawsze wyjdzie stąd najedzony, no i opity, bo do takiego jedzenia zamawiał zazwyczaj wódkę i piwo. Zawsze powtarzał, że taki zestaw rozjaśnia mu myśli, a te klarowne przydawały mu się przy prowadzonych właśnie sprawach. Choć dziś niespecjalnie potrzebował tej jasności, bo tak naprawdę kwestią zabitego stróża nieszczególnie się zainteresował. Od razu trafił na ślad przestępcy w okularach i szykownym przebraniu, był więc przekonany, że ten gość szybko trafi za kratki. Takich cudaków nie widywało się codziennie i prędzej czy później się go znajdzie i wsadzi. Nie było to więc śledztwo skomplikowane, w którym trzeba się wykazać specjalnym śledczym sprytem. Poszedł na obiad do Szymańskiego, żeby odetchnąć od spraw policyjnych, gdyż wiedział, że tu raczej przestępcy nie przychodzą. Tutaj jadal przede wszystkim urzędnicy magistratu, bo z ratusza mieli

najbliżej, a prócz nich studenci, którzy nigdy nie śmierdzieli groszem.

– Daj pan jeszcze setkę w dwóch stopkach i kufel jasnego huggera – polecił kelnerowi ubranemu w popielaty fartuch zawiązany na białej koszuli.

– Tak jest, panie komisarzu. Już przynoszę w try miga.

– He, he, ino żeby wódka zimna była!

Pogroził chłopakowi palcem, ale nie było w tym geście nic groźnego. Raczej był to przejaw uznania dla kelnera, który wiedział, jak się powinien zachować wobec tak poważnego policjanta. Bo Gil nie był komisarzem i o takiej randzie mógł tylko marzyć jako człowiek bez średniego wykształcenia, który swoją edukację skończył w szkole powszechnej po piątym oddziale. Gruntowną i praktyczną wiedzę, tak potrzebną w jego pracy, zdobył na ulicy, obracając się wśród ludzi, badając dogłębnie ludzką tkankę miasta, tę najczęściej niewidoczną dla tych, którzy nie umieją bacznie obserwować i wyciągać wniosków.

Kelner wrócił i postawił przed nim wódkę i piwo.

– A pan komisarz to pewnie słyszał o tym morderstwie na Grochowych Łąkach? – zapytał chłopak, ścisząc głos, tak żeby nikt nie usłyszał pytania wykraczającego poza zakres jego obowiązków.

– He, he, he! Coś tam słyszałem, jak tam byłem na wizytacji. I żeśmy tam wszystko oglądali – wyjaśnił chełpliwie. – A ty niby skąd wiesz o morderstwie?

Kelner wzruszył ramionami.

– No przecie już każdy wie. W popołudniowym „Kurierze” napisali i nawet dali fotografię trupa.

– Co? Jak fotografię?

– No zabitego, co leży na wyrku i nie żyje.

– A to psie krwie jedne. Masz tą gazetę?

- Jak bym mógł nie mieć. Zaraz panu komisarzowi przyniesę.

Gil chwycił za łyżkę i zaczął pochłaniać grochówkę. Ale nie delectował się, jak to zazwyczaj zwykł robić. Jadł szybko i nerwowo, zastanawiając się, jak to się stało, że jakiś fotograf wlaźł do środka i wykonał zdjęcie.

- O, pan szpycnie, panie komisarzu. Jest truposz...

- Nieboszczyk - poprawił go Gil, spoglądając z zaciekawieniem na otwartą płachtę gazety.

Zdjęcie rzeczywiście przedstawiało leżącego na łóżku nieboszczyka w pozie bardzo widowiskowej i niewątpliwie zachęcającej do kupna popołudniówki. Dzięki temu nakład musiał dziś pójść mocno w górę. Gazeciarze biegający po mieście na pewno krzyczeli, że w środku można znaleźć sensacyjne fotografie z miejsca zbrodni z trupem na widoku. Zresztą tytuł mówił sam za siebie.

Okropne morderstwo na Grochowych Łąkach. Sprawca jak dotąd nieznan

Dziś w godzinach nocnych w oficynie domu numer 6 dokonano brutalnego mordu na osobie stróża posesji, Hildebrandta. Ofiarę zabito ciosem noża prosto w serce i pozbawiono ją życia w jednej sekundzie. Mieszkanie stróża, którego był wdowcem i mieszkał samotnie, gdyż dzieci oddał na wychowanie siostrze, zostało splądrowane, ale nie wiadomo jak dotąd, co zginęło, bo nikt nie wiedział, co stróż mógł mieć w swoich szafach schowane. Być może miał on u siebie coś cennego i dlatego właśnie został pozbawiony życia. Bo przecież doświadczenie uczy nas, że mordercy są zazwyczaj desperatami, zabijającymi dla zysku, a nie dla przyjemności. Stąd nasuwa się wniosek, że stróż Hildebrandt z pozoru był niebogatym człowiekiem, a prawda o nim była zgoła inna. Mógł więc być bogaczem, co chowa swoje skarby w biednym mieszkaniu dla niepoznaki i zachowania tajemnicy. Jednak okazało się, że ta tajemnica wyszła na jaw, bo dowiedział się o niej morderca. Tę zagadkę jednak musi jednakowoż

wyjaśnić policja, która od rana była na miejscu i badała wszystkie ślady. Co w tej kwestii morderstwa ustalono, na razie nie wiemy, bo policja nie wydała jeszcze żadnego oświadczenia w sprawie.

Za to nam udało się ustalić, że w nocy na terenie posesji był widziany człowiek obcy, którego nikt nie zna, a ubrany był bogato i statecznie i do tego miał jeszcze okulary. Pełny opis tego osobnika postaramy się zamieścić na naszych łamach, jak tylko taki szkic postaci przekaże nam policja.

Kolejne nasze ustalenia mówią, że śledztwem zajmuje się poznańska grupa pościgowa i osobiście sam komisarz Antoni Fischer, znany doskonale w Poznaniu specjalista od morderstw, w czym upatrywać należy dobrego znaku, bo jak wiemy, Fischer nic nie zostawia przypadkowi i jako człowiek skrupulatny zazwyczaj doprowadza sprawy do końca, a wysłedzeni przez niego sprawcy trafiają za kratki. Mamy więc nadzieję, że i tym razem tak będzie i publiczność miejscowa nie będzie musiała się obawiać o swoje bezpieczeństwo, zagrożone chodzącym na wolności mordercą z bagnetem.

Tekst Adolf Mężydło

– Ciekawe, skąd wiedzą, że to akurat bagnetem go sprawili?
– mruknął pod nosem Gil. – I w ogóle skąd te cholery tak wszystko wiedzą?

– Ci pismacy to dużo wiedzą, panie komisarzu – stwierdził kelner. Dopiero teraz policjant dostrzegł, że ten cały czas stał przy stole, czekając zapewne na swoją gazetę. – Tu do nas przychodzi jeść taki jeden redaktor. I jak on przychodzi, to zawsze coś opowie ciekawego, czego nawet w gazetach nie ma, bo niektórych spraw się ponoć nie daje, boby i tak cenzura nie puściła.

– Prawda, że o wszystkim pisać nie wolno i cenzura jak najbardziej jest potrzebna – zgodził się z nim Gil. – Bo co to by było, jakby pismaki sobie pisali o wszystkim, co im się podoba. Byłoby to niebezpieczne, bo o wszystkim ludzie

wiedzieć nie muszą. Przecież gazeta nie jest po to, żeby wywlekać wszystkie brudy i je publicznie prać. Weźmy, na ten przykład, władzę. O władzy zawsze trzeba pisać dobrze, a źle to można o opozycji. A o władzy zawsze najlepiej, bo jak ona już jest władzą, to znaczy, że to, co robi, robi dobrze i najlepiej jak może, dla dobra całego kraju. A jakby tak prasa chciała źle o tej władzy pisać, to znaczy, że by robiła źle władzy, a co za tym idzie całemu krajowi. Dlatego jak pisać o rządzących, to tylko najlepiej, bo nie po to rządzą, żeby byle pętał się ich czepiał. A jak kto chciałby pisać źle, to lepiej jest, żeby nie pisał, bo takie pisanie przeszkadza. A władzy przeszkadzać nie wolno. I dlatego cenzura jest potrzebna.

– To znaczy się, że ja mogę już gazetę zabrać? – zapytał kelner, którego najwyraźniej znudził wykład o cenzurze wygłoszony przez Gila.

– Bierz, bom już wszystko przeczytał. – Policjant stuknął palcem w fotografię i naraz zamarł.

– Ale jak pan komisarz nie weźmie palca, to ja nie wżnęę...

– Zaraz, poczekaj ino!

Gil wziął gazetę w obie dłonie i podsunął pod nos. Oczy miał dobre i nie musiał nosić okularów, ale gdy chciał dostrzec jakiś szczegół, musiał zbliżyć obraz.

– A niech to diabli! – Niemal wykrzyknął.

– A co, panie komisarzu, a co?

Gil nie odpowiedział. I tak ten młodzieniec by nie zrozumiał. Zresztą nie mógł przecież z byle kim dzielić się tajemnicą śledztwa. A to, co zobaczył, to była dość tajemnicza sprawa. Bo zdjęcie, na którym leżał martwy stróż, pokazywało go w całej okazałości na czarnym metalowym łóżku. Łóżko zajmowało niemal całą przestrzeń obrazu, ale widać było też kawałek podłogi pod nim. To tam wywiadowca dostrzegł mały podłużny przedmiot, który wyglądał jak patyczek. To szczegół,

na który nikt pewnie nie zwrócił najmniejszej uwagi, ale on zwrócił. Bo ten przedmiot to była lufka z kości słoniowej, którą Fischer zawinął w chusteczkę i schował do kieszeni. Tyle że zrobił to w trakcie przeszukania i zabezpieczania śladów. Więc fotograf musiał być tam wcześniej... Ten pismak był tam przed policją. A z tego, co się udało Gilowi ustalić, to na miejscu zbrodni najpierw pojawił się Maślak ze studentem, a potem policja, i nikogo tam więcej nie było... To znaczy, że fotograf musiał tam być, zanim trupa odkrył wozak. Tylko skąd w takim razie wiedział, że trup tam jest? Może bezpośrednio od mordercy?

– Gazetę muszę od ciebie wypożyczyć, bo to jest bardzo ważna fotografia. Albo nie, nawet ją od ciebie odkupię.

– Ale – jęknął kelner, który liczył na to, że dzięki artykułowi będzie mógł jeszcze przeprowadzić szereg interesujących rozmów z innymi klientami, informując ich o niebywałej zbrodni. Jednak dowód w sprawie właśnie został mu odebrany.

– I weź grochówkę do odgrzania, bo mi przez tą gazetę całkiem wystygła, i przynieś kolejną seteczkę.

Musiał się jeszcze napić. Przecież wiadomo powszechnie, że nic tak nie robi dobrze na jasność myśli, jak polska czysta wódka.

Godzina 7.30 wieczorem

Mieszkanie kapitana Mikołajewskiego przy ulicy Grottgera na poznańskim Łazarzu nie było zbyt wielkie, jak to na garsonierę nieżonatego mężczyzny przystało. Składało się z czterech pokoi, czyli gabinetu, salonu, który mógł pełnić rolę jadalni,

i dwóch sypialni. W jednej, gościnnej, stało szerokie małżeńskie łóżko, rzadko wykorzystywane, bo i też niebyt często Mikołajewski gościł w swoim domu kogoś, kto zostawałby na noc. Druga sypialnia była prywatna, a w niej stało proste posłanie przypominające swoją konstrukcją wojskową pryczę. Kapitan nie był szczególnie wymagający i nie dbał o luksusy, więc wystarczał mu taki niewyszukany mebel, którego jedyną ozdobą były toczne mosiężne kule w czterech narożnikach. Kule miały również pewien praktyczny wymiar. Każdą z nich można było łatwo odkręcić. Ale gdyby ktoś podjął próbę odkręcenia tej w prawym górnym narożniku, miałby nie lada problem. Kręcenie nią nic nie dawało, a kula była jak przyspawana. To Zenuś Brodziak wpadł na ten prosty trik. Gdy jakiś czas temu przysłano go do Mikołajewskiego, żeby zrobił mu skrytkę na ważne papiery pod parapetem w salonie, chłopak dość szybko uwiął się z robotą, przerabiając ścianę zakrytą blatem drewnianego parapetu w schowek. Mogła się w nim zmieścić niewielka walizeczka na dokumenty, a także przynajmniej dwa pistolety.

Gdy Zenuś skończył, jego uwagę zwróciło mosiężne łóżko wykończone kulami. Tak z ciekawości odkręcił jedną z nich. Udało się z łatwością. Okazało się, że kula jest w środku pusta. Sprawdził więc gwinty i już wiedział, co powinien był zrobić. Odkręcił pręt, na którym trzymała się kula, i poszedł z nim do warsztatów w pobliskich koszarach kawaleryjskich przy Ułańskiej. Znał tam kaprała Sarnę, specjalistę od ślusarki.

- Masz gwintownicę? – zapytał.
- A co miałbym nie mieć? – odpowiedział Sarna.
- A jakąś mosiężną śrubę?
- Mam szajbki mosiężne, takie o... – Majster pogrzebał w drewnianym pudle i wydobył z niego kilka okrągłych

metalowych podkładek. Położył je na warsztatowym stole, a Zenuś uważnie im się przyjrzał.

– No dobra, nadają się – potwierdził chłopak. – To daj tygielek do topienia cyny i wkładamy je do pieca.

Wskazał na kozę stojącą pod ścianą i dobrze już rozgrzaną, bo była to akurat pora zimowa, więc Sarna palił w swoim warsztacie, gdyż inaczej nie dałoby się pracować. Często musiał topić cynę do lutowania przerdzewiałych puszek czy wiader, więc miał specjalny żelazny tygiel osadzony na pręcie. Wystarczyło postawić go na piecu, by po chwili cyna była już roztopiona. Temperatura nie musiała być wysoka, by zmienić drut cynowy ze stanu stałego w płynny.

– Mosiądzu to nie da się tak łatwo stopić jak cyny – stwierdził Sarna, bo jako syn wiejskiego kowala na topieniu metali się nieco znał.

– Prawda – zgodził się z nim Zenuś. – Dlatego musimy zdjąć fajerki i wsadzić tygiel do środka, do pieca, i jeszcze obłożyć go węglem. Wtenczas zrobimy tu temperaturę jak w kuźni i dodatkowo podmuchamy miechem od dołu. Pójdzie raz-dwa.

I rzeczywiście, pół godziny później na dnie tygla pojawił się płynny mosiądz. Zenuś szybko zanurzył w nim pręt od łóżka i zaraz wsadził go do wiadra z wodą. Z kulą było nieco trudniej, bo trzeba było płynnym metalem oblać krawędzie otworu. Umieścili ją więc w stalowym imadle, a Brodziak z niezwykłą precyzją przelał mosiądz, zalewając gwint. Kula po chwili też wylądowała w kąpielu. Ostygłe już elementy oszlifowali starannie pilnikami, a potem każdy z nich został na nowo nagwintowany, tyle że odwrotnym gwintem.

Gdy wieczorem Mikołajewski wrócił do domu, Zenuś zaprezentował mu najpierw skrytkę.

– Gdyby przypadkiem kto trącił, to nie odpadnie ten parapet? – zapytał oficer na wszelki wypadek.

Brodziak pokręcił głową.

– Nie ma takiej możliwości. Bo pan zobaczy, tu jest do parapetu dodany taki bolec, doczepiony od spodu z jednej i drugiej strony, i jak się parapet chce na powrót włożyć, to trzeba tymi bolcami trafić w te nawiercone dziury i wtedy nie ma siły, żeby go ruszyć. A ruszy go ino ten, co wie, jak to zrobić, znaczy się pan i ja. Nikt więcej tego mechanizmu nie widział i nie będzie mieć pojęcia, jak to zadziała. A otwiera się prosto, bo trzeba tylko w dwie ręce wziąć z dwóch boków i dźwignąć do góry. O tak, widzi pan kapitan?

– Bardzo pomysłowe – stwierdził z uznaniem Mikołajewski. – Teraz to, co ważne, a co będę miał w domu, będę mógł chować i nikt nie będzie wiedział, gdzie tego szukać.

– Te wszystkie duże rzeczy to może pan tu składować, ale jakby pan miał co małego, jaki pierścionek z brylantem, to ja wew międzyczasie zrobiłem jeszcze jedno schowanko.

– Tak? A niby gdzie? Pod drugim parapetem? – domyślił się kapitan.

Zadowolony Zenuś machnął dłonią.

– To za proste by było, jakby dwa parapety były ze schowankami. Tu trzeba było zrobić co inne. Tak żeby nawet ten, co patrzy na to, nie wpadł na pomysł, że tam co może być. Albo jak już wpadnie, to nie będzie wiedział, jak się do tego dostać, i nie otworzy nigdy za chińskiego boga.

– No to mów wreszcie, gdzieś to ukrył.

– Na widoku. W pana łóżku.

Kapitan uśmiechnął się pod wąsem.

– Moje łóżko to ja dobrze znam. Nic się tam nie da schować. Znaczy można by w rurkę wrzucić, jakby się kulkę odkręciło, ale jak tam co włożyć, to polecą na sam dół i będzie po ptokach, jak to się tu w Poznaniu mówi.

– No i właśnie o to chodzi. Na schowanko trzeba przeznaczyć kulę, ale tak żeby nic nie zleciało do rury.

– Zatkales rurkę? – Mikołajewski już nawet kiedyś o tym myślał, ale doszedł do wniosku, że to kiepski pomysł, bo te gałki aż prosiły się o odkręcanie. Więc potencjalny złodziej czy agent wywiadu pewnie spróbowałby tam zajrzeć.

– Niech pan sam zobaczy.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Zenusia, więc oficer wyczuł, że ten szykuje mu jakiegoś psikusa. No ale cóż, znał chłopaka od pół roku, od chwili, gdy przygotowywał akcję Wózek, w której Brodziak brał udział jako ślusarz otwierający zamki w niemieckim wagonie pocztowym. Wiedział więc, że ten lubi żartować. Być może więc postanowił go nabrać dla kawału. Jeśli tak jest w istocie, to trudno. Skoro już dał się wciągnąć w tę grę, musiał ją poprowadzić do końca.

– Te kule łatwo się odkręca. To chyba za proste dla złodzieja.

– No to niech pan kapitan spróbuje sam.

Zenuś był coraz bardziej zadowolony.

Kapitan podszedł do łóżka i z łatwością odkręcił jedną, potem drugą, w końcu trzecią. Robił to z namaszczeniem, powoli, do każdej z nich zaglądał do środka, sprawdzał też rurkę, czy aby w niej czegoś nie ma, a wszystko z teatralną przesadą, jak aktor popisujący się przed widownią. Wreszcie chwycił czwartą. Ta ani drgnęła.

– Co jest, do licha? – Użył więcej siły i nic się nie stało. Kula tkwiła na swoim miejscu. Spróbował ponownie, ale osiągnął tyle, że tylko przesunął łóżko. – Nie, nie da się. Musiała się jakoś zapiec. Kiedyś ją odkręciłem, ale to było dawno temu. Może wilgoć się dostała i rdza się wdała, to i się nie da... Zaraz, zaraz, to twoja sprawka, diable? – domyślił się, widząc szeroki uśmiech na ustach chłopaka.

Ten wysunął ręce do przodu, ukazując puste dłonie jak przygotowujący się do sztuczki prestidigitator.

– Szanowna publiczności, oto przed wami numer stulecia, a w nim wystąpi słynny magik Zenon Bombolini z Italii. Patrzcie i podziwiajcie, i jeszcze gęby z podziwu otwierajcie, ino uważajcie, żeby muchy wam nie wpadły do papuchy. Raz, dwa, trzy i oto pan się patrzy...

Zasłonił całym sobą narożnik łóżka, tak że Mikołajewski nie widział przez chwilę jego dłoni, ale zaraz je zobaczył, gdy chłopak odwrócił się do niego z kulą w rękach.

– I oto, szanowne państwo, już po widowisku, bo mistrz Zenon ma w łapach czarodziejską kulę.

Podał ją kapitanowi, a ten, zdumiony, zaczął dokładnie się jej przyglądać. Niczego dziwnego jednak nie dostrzegł. Wsadził nawet palec do środka, żeby sprawdzić, czy sprytny włamywacz i wojskowy ślusarz w jednej osobie nie umieścił tam jakiegoś mechanizmu. Ale kula była dokładnie taka sama jak inne. Pusta w środku i... z jakąś zaklętą w sobie tajemnicą.

– Jak żeś to zrobił, czarodzieju?

– He, he, he! Najprostsze mechanizmy są najlepsze, bo niezniszczalne, a i też nie da się ich łatwo rozszyfrować. My tylko z moim koleśkiem z koszar nagwintowali rurkę i kulę.

– I teraz się zacina?

– Nie. – Brodziak pokręcił głową, cały czas się uśmiechając.

– Zrobili my gwint odwrotny, znaczy taki, co się go nie da normalnie odkręcić. Każdy, kto się bierze za odkręcanie, tak jak pan kapitan, odkręca w lewo i w ten oto sposób jeszcze mocniej dokręca kulę.

– To jest świetne! – zwołał Mikołajewski. – To naprawdę jest tak proste, że aż genialne w tej swojej prostocie. Ty to ale masz łeb, Zenuś. Ciebie by trzeba na studia politechniczne wysłać,

to jeszcze statek kosmiczny skonstruujesz i będziemy mogli polecieć na księżyc.

– Co tam, panie kapitanie, przecie to prosty gwint – odpowiedział skromnie młody żołnierz.

Kapitan był z tego wynalazku Zenka bardzo zadowolony i od czasu do czasu rzeczywiście przechowywał tam jakieś ważne, niewielkich rozmiarów przedmioty, takie choćby jak mikrofilmy. Dziś też miał taki mikrofilm do przechowania, zanim wyśle go kurierem do Warszawy do szczegółowej laboratoryjnej analizy. Przywiózł mu go pewien zaufany kolejarz z Königsberga, a autorką zdjęć była jego bardzo bliska znajoma Marlena von Pieskow. Włożywszy film do kuli, zakręcił ją i poszedł do salonu. Tu głównym meblem był okrągły dębowy stół, bardzo rzadko używany. Właściciel jadał bowiem na mieście, a gości w zasadzie w ogóle nie przyjmował. Tych, którzy go odwiedzali, podejmował w gabinecie, bo tam miał wszystko, co potrzebne. Przy biurku stał niewielki barek z alkoholami i cygarami, a pod oknem, na prawo, stolik o kwadratowym blacie, obciągnięty zieloną skórą. Poprzedni właściciel musiał używać go do gry w karty. Mikołajewski natomiast stawiał na nim kieliszki z koniakiem i popielniczki.

W salonie miał też zainstalowany kupiony całkiem niedawno radioodbiornik marki Philips. O tej porze Radio Poznań nadawało koncerty muzyczne transmitowane z nocnych lokali. Dziś miała być muzyka na żywo z restauracji Tivoli przy ulicy Wrocławskiej, gdzie grał amerykański jazz-band. Mikołajewski jako miłośnik dobrej muzyki, alkoholu i damskiego towarzystwa nie oparłby się takiej atrakcji i poszedłby tam dzisiejszego wieczora, ale jutrzejszy poranny wyjazd krzyżował mu skutecznie rozrywkowe plany. Na szczęście było jeszcze

radio, które starało się być na bieżąco z ważnymi wydarzeniami kulturalnymi. Włączył więc odbiornik, a w czasie, gdy nagrzewały się lampy, poszedł do gabinetu, by nalać sobie koniaku. Po chwili wrócił do salonu z cygarem w zębach oraz z kieliszkiem i popielnicą w dłoniach, akurat w momencie, gdy z radia zaczął wydobywać się głos znanego spikera Ludomira Budzińskiego, który zapowiadał dzisiejszą muzyczną atrakcję. To on rok wcześniej, w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej, prowadził pierwszą w Polsce transmisję meczu piłkarskiego między miejscową drużyną Warty a holenderskim zespołem Philips Eindhoven, wygranego przez poznaniaków pięć do dwóch.

Mikołajewski rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił cygaro, upił pierwszy łyk koniaku i już czekał tylko, by dać się porwać pierwszym taktom muzyki jazzowej, gdy naraz usłyszał dzwonek do drzwi.

– A niech to jasny szlag trafi! – powiedział do siebie i wstał z fotela. – Kogo tam jasna cholera nosi! – złorzecząc nieznanemu natrętowi, podszedł do drzwi.

Nie wyjrzał przez judasza, od razu otworzył, by nawymyślać temu, który ośmielił się zakłócić mu wieczorny relaks... Pociągnął klamkę ku sobie i spojrzał na postać stojącą przed nim. Prędzej by się mógł spodziewać tu bolszewika z zakrwawionym nożem w zębach niż jej. W progu stała Marlena von Pieskow.

Godzina 8.15 wieczorem

– No, panowie, wygląda na to, że mamy poważny kryzys – stwierdził prezydent Poznania Cyryl Ratajski, postawny

mężczyzna ubrany w dwurzędowy garnitur, białą koszulę i wiśniowy krawat.

Jego twarz była jak wyciosana z grubego klocka drewna, przykryta siwymi włosami, obciętymi krótko, po wojskowemu, i ozdobiona wąsem przypominającym szczotkę ryżową.

– Ja bym nie nazwał tego kryzysem, panie prezydencie – stwierdził zastępca komendanta miejskiego Teodor Lisowski. – Na razie nie mamy przecież jeszcze informacji najgorszej. Wiemy tylko, że ten jegomość się zwyczajnie rozplątał i może za chwilę cały i zdrowy wróci do domu z jakiegoś burdelu, a może z mieszkania swojej kochanki. Przecież panowie dobrze znają życie i wiedzą, że niektórzy dżentelmeni...

– Oczywiście, pan komendant może mieć rację, ale na wszelki wypadek dobrze jest znaleźć zawczasu jakieś antidotum na kryzys, jeśli on się pojawi.

Ratajski wstał zza swojego wielkiego biurka i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na zachodnią pierzeję rynku z dominującym w ciasnej zabudowie Pałacem Działyńskich. Prezydent Poznania miał do swojej wyłącznej dyspozycji dwa gabinety. Jeden reprezentacyjny, z wielkim biurkiem i stołem konferencyjnym, znajdował się w starym ratuszu. Tam przyjmował ważne delegacje związków, kółek i bractw, bo takie spotkania musiały mieć odpowiednią, niemal pałacową oprawę. Drugi, znacznie mniejszy gabinet mieścił się w nowym ratuszu, który wybudowano w dziewiętnastym wieku, gdy niemiecka administracja rozrosła się tak bardzo, że urzędnicy nie mogli się już pomieścić w starym budynku. Tego gabinetu prezydent Ratajski używał na co dzień i tu spotykał się ze swoimi współpracownikami, a także osobami chcącymi przedłożyć mu jakąś pilną sprawę. Dwaj policjanci właśnie z taką sprawą przyszli. Gdy prezydent dowiedział się, w czym rzecz, bo

Lisowski zadzwonił do niego, gdy tylko Fischer wrócił do Prezydium Policji ze świeżymi informacjami, natychmiast poprosił ich obu do siebie w celu szybkiego naradzenia się w wiadomej sprawie.

– Też tak sędzę, panie prezydencie – zgodził się z nim inspektor. – Tym bardziej że sprawa jest bezprecedensowa. Bo jak dotąd nie zaginął nam jeszcze żaden zagraniczny dyplomata, oprócz tego Hiszpana, ale on to chyba zupełnie inna historia.

Ratajski machnął ręką. Prawda, że wtedy było zupełnie inaczej. W zeszłym roku bowiem Poznań był organizatorem wielkiej wystawy prezentującej na Poznańskich Targach dorobek dziesięciolecia odrodzonej Rzeczypospolitej. W ciągu sześciu miesięcy, bo tyle trwała PeWuKa, zwiedziło ją cztery i pół miliona ludzi, w tym ponad dwieście tysięcy gości zagranicznych. Czymże było więc wobec tej masy, która stanowiła nie lada wyzwanie dla organizatorów, krótkotrwałe zaginięcie pewnego attaché kulturalnego z Hiszpanii, który tak zaszalał w poznańskich knajpach, że odnalazł się dopiero na trzeci dzień od opuszczenia hotelu. Kompletnie nie rozumiał, czego od niego chce jakiś policjant, odnalazłszy go w Moulin Rouge na Kantaka, pijanego i niezwykle wesołego, w towarzystwie dwóch fordanserek. Gdy w końcu udało się mu wyjaśnić, że od kilku dni szuka go cała poznańska policja, nie mógł uwierzyć, że z tak błahaego powodu jak jego wyjście na dancing zarządzono jakieś niepotrzebne poszukiwania.

– Rzeczywiście to inna historia. – Ratajski mówił cały czas wpatrzony w przestrzeń rynku i zdawać by się mogło, że ze skupieniem obserwuje ulicznych ruch. On jednak rozważał wszelkie ewentualności, które mogły się pojawić w związku ze zniknięciem wicekonsula. – Panowie, prawda jest taka, że to nie jest jakiś gorączokrwisty Hiszpan. To jest Niemiec,

przedstawiciel sąsiedniego kraju, z którym w zasadzie cały czas jesteśmy w stanie konfliktu. To prawda, że nie prowadzimy z nim wojny i formalnie żyjemy na pokojowej stopie, ale ten konflikt wojenny, mam wrażenie, tylko przygasał. Niemcy nigdy nie zapomną nam tego, że odebraliśmy im Pomorze, Wielkopolskę i część Śląska. Oni uważają, że mają nadal niezbywalne prawo do tych ziem. Więc dla mnie oczywiste jest, że jeszcze przyjdzie nam stanąć w szeregach, by bronić tego, cośmy im słusznie odebrali. Oni gromadzą siły i gdy poczują się dostatecznie mocni, by nie obawiać się Francji i Anglii, uderzą na nas, a my musimy być na ten cios gotowi. Ale w chwili obecnej nie jesteśmy. Gdyby teraz na nas ruszyli, zapewne zatrzymaliby się dopiero na granicy dawnej Kongresówki. Tyle że aby ruszyć, potrzebny im jest pretekst, jakieś wydarzenie, które mogłoby być iskrą rozpalającą lont wsadzony w beczkę prochu. Przecież Niemcy przez cały czas utrzymują z nami stan permanentnego konfliktu, w sztuczny sposób podsycając wojnę celną. A od takiej wojny towarowej tylko krok do wojny prawdziwej, która potrzebuje *casus belli*. Zaginiony dyplomata, nawet niezbyt wysokiego szczebla, jest doskonałym pretekstem. Dlatego, panowie, musimy tego człowieka znaleźć żywego, i to jak najszybciej.

– Już wydałem w tej sprawie polecenia – rzucił szybko Lisowski. – Patrole policyjne jeszcze dziś otrzymają fotografie zaginionego, którą dostarczył nam komisarz Fischer prosto z konsulatu. Już w tej chwili to zdjęcie zostało przekazane do fotografa w celu powiększenia i zrobienia odbitek. W trybie nagłym potroiliśmy liczbę patroli dzisiejszej nocy. Nasi ludzie odwiedzą każde miejsce, w którym mógłby być ten człowiek. I tym razem zaczniemy go szukać od razu po knajpach i burdelach.

– Bardzo dobrze, inspektorze, to bardzo dobrze. – Prezydent podszedł do biurka, otworzył drewniane pudełko na papierosy, wydobył jednego, ale zreflektowawszy się, że nie jest sam, wziął je do ręki i wraz z solidną biurkową zapalniczką osadzoną w polerowanym marmurze, przeniósł na blat stołu, przy którym siedzieli dwaj policjanci.

– Proszę bardzo się częstować, panowie.

Fischer, mimo że palił fajkę, wziął prezydenckiego papierosa, bo przecież Ratajskiemu nie wypadało odmówić.

– Pan, komisarzy, rozmawiał z przedstawicielem konsulatu. Co oni o tym wszystkim uważają? Czy wyczuł pan może swoim policyjnym nosem, że jest to sprawa, która może się przerodzić w coś więcej? Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Tak, oczywiście, panie prezydencie. Jeśli chodzi o jakieś groźby z ich strony, to mogę śmiało powiedzieć, że takowe nie padły. Raczej dało się wyczuć konsternację i troskę.

Gdy wszedł do gabinetu nadradcy Gebhardta, niezbyt wysokiego mężczyzny z wyraźną nadwagą, łysiejącym czołem i okazałymi wąsami, podwiniętymi fantazyjnie do góry, ten od razu wskazał mu głęboki skórzany fotel. Sam usiadł naprzeciwko, lecz zaraz klepnął się w kolano.

– Cóż za gospodarz ze mnie, że niczego panu nie zaproponowałem. Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko przez roztrzęsienie i nerwy. Czego się pan napije? Może koniaku albo jägermaistera, a może czystej wódki?

– Koniak poproszę.

– Oczywiście, jak też chętnie coś wypiję dla uspokojenia nerwów. Co to za dzień, co za dzień. Najpierw to zaginięcie, a potem jeszcze ten cymbał w Prezydium Policji.

– Jeszcze raz najmocniej przepraszam, panie nadradco. Młody człowiek, to i głupi, i bez większego doświadczenia.

W każdym razie dziękuję, że zechciał pan puścić ten godny pożalowania incydent w niepamięć. – Fischer przypomniał mu na wszelki wypadek deklarację sprzed kilku chwil.

– Tak, tak, jak najbardziej – potwierdził Niemiec, nalewając martella do dwóch kieliszków. Zaraz postawił je na niewielkim kawowym stoliczku i wrócił na swój fotel. – Nie ma o czym mówić. Skupmy się raczej na tym, co tu i teraz. Pańskie zdrowie, komisarzu.

Uniósł kieliszek i upił spory łyk. Fischer ledwie zamoczył usta. Lubił koniak, szczególnie martella, ale na razie wolał mieć niczym niezmacony umysł.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że to właśnie pan prowadzi śledztwo. Wiele dobrego o panu słyszałem. Studia w Berlinie, szkoła oficerska, a potem front we Francji i do tego jeszcze Żelazny Krzyż za bohaterstwo. To rzeczywiście świadczy o tym, że do pruskiej armii trafiali najlepsi oficerowie. Także dla Polaków byliśmy szeroko otwarci.

– Tak, to prawda, dlatego powstanie w Poznaniu wygrali polscy żołnierze w niemieckich mundurach, wyszkoleni w szeregach cesarskiego wojska. A oficerowie, którzy nimi dowodzili, byli rzeczywiście świetnie przygotowani. U nas mówi się, że to była wojna, którą z generałami wygrali porucznicy. Wie pan, dlaczego? Bo nie mieliśmy kapitanów, majorów ani pułkowników. W armii pruskiej Polacy mogli być tylko niższymi oficerami, nawet pomimo zdolności i kwalifikacji.

– Stare dzieje. – Gebhardt machnął ręką. Temat nie był zbyt wygodny, więc wolał od razu go uciąć. – Było, minęło a teraz się trzeba zająć tym, co tu i teraz. A teraz mamy zaginięcie wicekonsula. Trzeba go więc jak najszybciej odnaleźć, bo Berlin będzie szalenie zaniepokojony...

– No cóż, panie nadradco, mogę tylko zapewnić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę mi tylko odpowiedzieć na

kilka pytań, bo te odpowiedzi mogą ułatwiać poszukiwania.

– Oczywiście, to zrozumiałe. Proszę pytać. – Gebhardt był gotowy do współpracy.

– Czym zajmuje się pan wicekonsul von Pieskow?

– No wie pan, różnymi kwestiami. Jak to w konsularnej placówce bywa. Ale przede wszystkim kwestiami handlowymi i kulturalnymi. Tak naprawdę dopiero wchodził w wir spraw bieżących, bo jest tu od niedawna.

– Jaki stopień wojskowy miał wicekonsul? – zapytał komisarz obojętnym tonem.

– A jakież to ma, u licha, znaczenie! – Gebhardt wypalił opryskliwie, a Fischer już wiedział, w czym rzecz. Facet od kultury był w istocie rezydentem wywiadu? – Pan wybaczy, ale nie mówił nic o wojsku ani o wojnie.

No tak, Gebhardt nie musiał zapewne o to pytać. Wiedział, że ten nowy wicekonsul to w istocie niemiecki agent. Fischer był o tym przekonany. A to jest poważny kłopot, bo nie dość, że dyplomata, to jeszcze szpieg zaginiony w Poznaniu. Czyli podejrzenia mogą od razu zostać skierowane w stronę polskich służb kontrwywiadowczych.

– A czy ostatnimi czasy nikt mu nie groził, nie dostał czasami jakiegoś listu z pogrózkami?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Gdyby ktoś mu groził, od razu zgłosilibyśmy to na policję. My w takich kwestiach jesteśmy niezwykle wyczuleni i broń Boże ich nie lekceważymy. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

– Jakbyśmy byli na wojnie – zażartował Fischer.

– Drogi panie komisarzu, naszą rolą jest zasypywać rowy, a nie je wykopywać.

– To zrozumiałe. – Fischer uśmiechnął się pod nosem. – A gdzie pan konsul bywał? Myślę o salonach poznańskich, teatrach, kinach...

– O kinach i teatrach nic nie wiem. On się dopiero tutaj aklimatyzował. Ale jeśli chodzi o salony, to o ile wiem, miał kontakty z panią hrabiną Kossobudzką von Zanthier, wdową po pułkowniku Zanthierze. Bardzo zacną kobietą z polsko-niemieckiej rodziny. I do tego jeszcze prowadzącą otwarty salon spirytystyczny. Tak, ona może coś wiedzieć o tym, gdzie przebywa nasz drogi wicekonsul.

– Czyli że są zaniepokojeni, ale jeszcze nie zaczną z tego powodu wojny – stwierdził prezydent Ratajski.

– No cóż. – Fischer uśmiechnął się lekko. – Dyplomacja, panie prezydencie.

– A ten zaginiony dyplomata to czym się zajmował?

– Kulturą – odparł policjant.

– Aha! To znaczy, że nasza zguba to człowiek od wywiadowczej roboty – domyślił się prezydent.

– Nie mam jeszcze pewności, ale nabierzemy jej, gdy skontaktujemy się z naszym kontrwywiadem. Oni powinni coś na ten temat wiedzieć, a ja, panie prezydencie, mam tylko niejasne przeczucia.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Lisowski. – Przeczucia zazwyczaj komisarza nie zawodzą.

– Jeśli tak, to, drodzy panowie, mamy znacznie poważniejszy kryzys, niż nam się na początku wydawało – stwierdził cierpko Ratajski. – Więc nie pozostaje nam nic innego, jak szukać tego człowieka i modlić się jednocześnie, żeby nic mu się nie stało.

Godzina 10.30 w nocy

Anastazy Olkiewicz machnął na stojącego za bufetem, wielkiego jak kłoda i smutnego jak wypłowiwały kondor z poznańskiego zoologu Edmunda Feliksiaka. Właściciel knajpy U Okonia, mieszczącej się w suterynie kamienicy położonej vis-à-vis protestanckiego kościoła Świętego Krzyża, nudził się, bo ruch był dziś niezbyt duży. Na szczęście ci dwaj policjanci wpadli tu zakończyć dzień kilkoma piwami, choć i tak już mieli poważnie w czubie. Ale Feliksiakowi to w żaden sposób nie przeszkadzało. Po to ma się knajpę, żeby spragnionych napoić. Każdy może pić, ile mu się podoba, jeść do tego wszystko, co w barze można kupić, pod warunkiem, że płaci bez gadania. A gdyby były jakieś kłopoty z uregulowaniem rachunku, to gospodarz Feliksiak miał prawie dwa metry wzrostu i krzepę w rękach taką, że najtęższego pijaka potrafił wyprowadzić na zewnątrz, używając siły swoich słownych argumentów albo dobrze leżącej w dłoniach pałki z kauczuku, którą odkupił kiedyś od jakiegoś klienta. Ten twierdził, że jest to pałka policjantów z Ameryki. Może i była, a może nie, grunt, że dobrze leżała w dłoni i jeszcze lepiej wpasowywała się w tyłki i plecy awanturujących się obwiesi.

Ale dzisiaj było nadzwyczaj spokojnie, bo oprócz Olkiewicza i Okonia przy solidnych stołach, do których dostawiono ławy z oparciem, siedziało zaledwie kilkunastu piaskarzy. Zapewne dziś otrzymali wypłatę, bo każdy z nich szastał pieniędzmi na prawo i lewo, a piwo lało się strumieniami. Nie było U Okonia za to stałych bywalców tego przybytku, czyli Tolka Grubińskiego i braci Kaźmierczaków, którzy to tu najczęściej załatwiali swoje interesy, omawiali plany i spotykali się z potencjalnymi zleceniodawcami. Feliksiak natomiast, mimo że formalnie nie należał do tej złodziejskiej szajki, był kimś w rodzaju barmana pierwszego kontaktu albo złodziejskiego

spowiednika. Jeśli bowiem ktoś miał interes do obgadania z Grubińskim i jego ludźmi, czyli chciał im zlecić jakąś robotę, musiał najpierw przekonać do tego Feliksiaka, bo z nikim wchodzącym prosto z ulicy w ogóle nie rozmawiali. Feliksiak stanowił pierwsze sito i to on decydował, czy potencjalny oferent jest osobą poważną i solidną i czy warto się z nim zadawać. Jeśli nie wzbudził zaufania właściciela knajpy, nie miał szansy na to, by zainteresować swoją ofertą ludzi Grubińskiego i przede wszystkim jego samego.

Dziś Feliksiak miał dość poważny problem, bo musiał odrzucić dwie propozycje. W zasadzie to jedną odłożył na później, nie dając żadnej konkretnej odpowiedzi, ale robiąc nadzieję informatorowi, że możliwa będzie realizacja w przyszłości, tyle że bliżej nieokreślonej, bo sprawa wymaga głębszego zastanowienia. Tę propozycje przyniósł pewien lokaj z Wildy, mający jakiś uraz do swojego pracodawcy, więc w ramach rewanżu chciał zorganizować bezpieczne wejście do mieszkania i przeprowadzenie gruntownego czyszczenia wszystkiego, od sreber i porcelany zaczynając, a na meblach kończąc. Oczywiście pod nieobecność gospodarzy, którzy mieli wkrótce wyjechać na kurację wodną do Baden-Baden.

Druga oferta była znacznie mniej atrakcyjna. Jakiś zapijaczony ksiądz, potrzebujący na gwałt pieniędzy do spłacenia swoich pijackich długów, zaproponował otwarcie kościoła i opróżnienie tabernakulum z monstrancji.

– Coś się szanownemu wielebnemu pokiełbało w głowie. Tu nikt się na kradzieżach nie zna – wytłumaczył mu grzecznie Feliksiak.

– Jak nie zna, jak ja dobrze wiem, że tu się umawia skoki. I nawet wiem, że to jakiś Gruby, czy jakoś tak, przyjmuje robotę i się dzieli z tym, co ją naraił.

– Ja tam żadnego Grubego nie znam.

– Jak nie, jak mi powiadali...

– Kto powiadał? No niech ksiądz ino powie kto, to zaraz to się sprawdzi, kto takie głupoty wygaduje. Jak takiego dopadnę, to marny będzie jego zasrany los.

– No powiadał mi taki jeden, ale kto, to powiedzieć nie mogę.

– No to ja też nic zrobić nie mogę w sprawie tego Grubego.

– No pod Bogiem przysięgam, że prawdę gadam. Powiedział mi taki jeden, ale mnie obowiązuje... no wiecie... tajemnica...

– Rozumiem, księże wielebny, ale każdy ma swoje tajemnice. I jak tak, to ja nic nie wiem, a w ogóle to co mi tu ksiądz gada o jakimś złodziejstwie. To jest porządny lokal, w którym żadnych złodziejów się nie przyjmuje, a tylko samych ludzi z dobrego towarzystwa. – Wskazał na stoliki, przy których siedzieli goście o twarzach ogorzałych od rzecznej bryzy, nosach czerwonych od wódki i spojrzeniach nieżycziwych od ciągłych egzystencjalnych kłopotów.

– To co, nie przekażecie mojej propozycji Grubemu? – zrozumiał duchowny, który musiał czuć się dość mocno zdesperowany. Liczył bowiem, że na podlanie interesu barman postawi jakąś flaszkę. A ten nie dość, że nie postawił, to jeszcze najwyraźniej nie miał zamiaru niczego wraz z nim przedsięwziąć.

– Ja nie znam nikogo takiego – warknął Feliksiak, chcąc zakończyć rozmowę.

– Jak nie znacie, jak znacie? Przecie ja to wiem dobrze, że znacie. Jesteście łgarz i oszust!

– Posłuchaj, katabasie, tu się podaje wódkę i piwo, a jak kto głodny, to może się i najeść, i jak kto chce się napić, to można do woli, ale o żadnych złodziejskich szwindlach to ja nic nie wiem. A jak się księdzowi coś nie podoba, to może sobie ksiądz co najwyżej pogwizdać.

– To tak, to ja zaraz powiem na policji, że tu się złodziejstwo organizuje!

– A powiedz se komu chcesz, klecho sparszywiały, ale nim co powiesz, to poczujesz, jak smakuje moja pała.

Złapał go za kołnierz i wyprowadził na zewnątrz. Nie użył pałki, a jedynie zwykłego kopniaka, który sprawił, że ksiądz-złodziej poleciał prosto do rynsztoka. Nie mógł ryzykować i przyjmować takiej propozycji od elementu tak niepewnego jak ksiądz grzesznik, który nie potrafi dochować tajemnicy spowiedzi. Rozważywszy szybko sprawę, doszedł do wniosku, że nie ma co pakować się do jakiegoś nędznego kościoła, skąd ten pijanica już dawno musiał wynieść i sprzedać złote i srebrne wota, zamieniając je na wódkę, a kielichy pewnie były pozłacane i nie przedstawiały wielkiej wartości. A przy tym okradzenie kościoła postawiłoby na nogi całą policję, bo w tym katolickim kraju zamach na własność kościelną traktowany był jak największe świętokradztwo, choć ksiądz pijak gwałcący dzieci nie wzbudzał niczyjego oburzenia. Po to właśnie był tutaj w swojej knajpie cerberem, żeby nie dopuszczać ryzykownych zleceń i odrzucać je od razu.

Feliksiak wrócił do środka knajpy, ocierając dłonie o szary fartuch, jakby właśnie przed chwilą dotknął czegoś obrzydliwego. Nie lubił takich gości, którym proste prawdy trzeba było tłumaczyć przy użyciu siły. Nikt ze spożywających napoje nie zwrócił najmniejszej uwagi na ten malutki incydent. No bo w końcu cóż było w nim niezwykłego. Facet wyleciał z knajpy i tyle. Jediną godną uwagi zmianą był fakt, że powietrze, które dostało się do środka, uciekając, wysssało cały dym tytoniowy, zalegający gęstą chmurą ponad głowami biesiadujących. Dzięki temu polepszyła się widoczność i powróciwszy za swój bufet, właściciel knajpy dostrzegł, że Anastazy Olkiewicz macha na niego ręką. Nie musiał być

specjalnie domyślny, by zrozumieć, czego klient chce. Chwytał dwa kufle, sprawnie napełnił je piwem i podszedł do stołu, za którym siedzieli dwaj policjanci.

– Panie Feliksiak, siednij se pan. – Okoń wskazał mu wolne miejsce na ławie.

– Kiedy ja muszę za szynkwas...

– Nic pan nie musisz, jak władza prosi na słóweczko.

Musiał przyznać mu rację. Policji się nie odmawia, więc zasiadł na wskazanym skrawku ławy.

– A Tolek Grubiński to gdzie dziś przesiaduje? – zagadnął Okoń.

– A bo ja to wiem? – Karczmarz wzruszył ramionami.

– Tak mi się zdaje, że pan to wszystko wiesz – stwierdził Olkiewicz, uśmiechając się przyjaźnie. – Przecież pan wiesz, że jak ja pytam o niego, to nie jako policjant, ale jako kolega.

Feliksiak pokiwał głową. Wiedział, że Olkiewicz i Grubiński znają się od dziecka. Wychowani w tym samym fyrtku^[34] chodzili razem do szkoły, a ich drogi rozeszły się podczas wojny. Anastazy poszedł ze swoim pułkiem na front zachodni do Francji, a Tolka skierowano w ramach uzupełnienia do twierdzy Boyen na Mazurach. Ten pierwszy więc przeszedł prawdziwe wojenne piekło, a drugi przez cztery lata żył jak pączek w maśle. W grudniu osiemnastego roku obaj wrócili do Poznania i zaraz trafili w wir rewolucyjnej zawieruchy. Olkiewicz znów trafił na front, a Tolek dał się nieszczęśliwie postrzelić już pierwszego dnia, więc kilka miesięcy przeleżał w szpitalu. Gdy wyszedł, Anastazy wyjeżdżał właśnie na wojnę z bolszewikami, a Tolka zdemobilizowano, zostawiając go bez żadnych środków do życia. Zaczął więc utrzymywać się z tego, co potrafił najlepiej, czyli z gry w karty. Chodził codziennie na dworzec i grał z przyjezdnymi oczekującymi tu na przesiadkę. Wistował ostro i oszukiwał, ile wlezie, ale dzięki temu miał

z czego żyć. Później doszły jeszcze kradzieże i pierwsze włamania i w ten oto sposób Tolek Grubiński wkroczył na przestępczą ścieżkę. Anastazy Olkiewicz tymczasem po wojnie znalazł się w szeregach policji. Gdy w końcu cztery lata temu wrócił do Poznania, szybko się dowiedział, że jego stary kumpel jest cenionym w świecie przestępczym złodziejem. Ucieszył się więc nawet z tego powodu, bo doszedł do wniosku, że dzięki takiej znajomości od czasu do czasu będzie się mógł od niego dowiedzieć czegoś ciekawego. I dlatego dziś właśnie przyszli tu z Okoniem do knajpy U Okonia, która, bynajmniej, nie wzięła nazwy od nazwiska policjanta, ale nazywała się tak, zanim jego kolega przyszedł na świat. Chcieli wyciągnąć jakieś informacje od Grubińskiego. Ale ten, mimo że czekali już ponad godzinę, jak dotąd się nie pojawił.

– No niby że wiem, ale wiem też, że pan Tolek wyrusza jutro w ważnych sprawach za granicę, i wew związku z tym na tą chwilę kazał pozamykać wszystkie interesy.

– Tolek za granicę? – zdziwił się Anastazy. – A co, zamierza za granicą rozpocząć karierę, bo tam go jeszcze nie znają?

– Panie szanowny, czy pan se myślisz, że w takich sprawach to ja jestem informowany? Moja głowa, żeby wiedzieć, co się u mnie dzieje wew knajpie, a pan Tolek wyjeżdża z kapitanem Mikołajewskim i wew związku z tym ja nawet rozumiem, że to sprawa służbowa. I jeszcze jedzie z nim ten młody wojak Zenuś Brodziak i dodatkowo młody Krystek Kaźmierczak. Cała banda jedzie.

– A dwa stare Kaźmierczaki to nie jadą?

Feliksiak zrobił zdumioną minę.

– To pan nic nie wiesz?

– Że niby co?

– Że dwa Kaźmierczaki siedzą na Młyńskiej i nad głową mają sądową sprawę, bo potraktowali jednego gościa kulą, a ten

niestety złośliwie wyzionął ducha.

– Ożeż w mordę! To oni już dla świata straceni. Po dziesiątaku najmniej dostaną, i to jak udowodnią, że strzelali niechcący.

– Gość najpierw jednego z nich chciał nożem potraktować, to znaczy się strzelali w samoobronie. Świadkowie na to się znajdują. Tolek powiedział, że już o to zadba. No ale jest trup, i to nie jest dobrze.

– Na trupa nic nie poradzimy, ale wew tej sytuacji, panie Feliksiak, to my się musimy pana zapytać o jedną kwestię, jak z Tolkiem nie da się dziś pogadać.

– A niby jaką, bo ja niby to za dużo nie wiem. – Na wszelki wypadek próbował się zabezpieczyć, ale nic to nie dało. Obaj wywiadowcy wiedzieli, że właściciel knajpy to studnia bez dna, jeśli chodzi o informacje.

– Panie Feliksiak, pewnie żeś pan słyszał, że po sąsiedzku, na Grochowych Łąkach, zabito stróża – zaczął wyjaśniać Okoń głosem nieco ściszonym, żeby to, co mówi, nie dostało się do niepowołanych uszu.

– No – potwierdził karczmarz ostrożnie.

– Widziano tam gościa, co był odziany w drogie palto z borsuczym futrem na kołnierzu, elegancki melonik na głowie i bryle na nosie. Tyle że to wszystko pasowało do niego jak świni kamizela, bo nie był to żaden pan, ale zwykły szuszwol. Nie znasz go pan bez przypadek?

Feliksiak wzruszył ramionami i zaraz się uśmiechnął, przyglądając swój nastroszony długi wąs.

– Szukacie Rzeźnika.

– No prawda, że zaszlachtował tego bidoka jak rzeźnik jednym sztychem – potwierdził Olkiewicz. – Ino gdzie takiego szukać?

– No jak gdzie? Najlepiej u niego w chacie. Tu niedaleko, na Gołębiej.

Obaj policjanci aż zaniemówili, więc bufetowy pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Nazywają go Rzeźnik, bo robił kiedyś w rzeźni, ale go wylali na mordę, bo ponoć był okrutnikiem i zwierzętom lubił zadawać cierpienia, i ciął je jeszcze żywe. Taka więcj kanalia. I on mieszka na Gołębiej pod piątym i z tego, co wiem, to bierze każdą robotę, byle mieć tylko na gorzołę. A w lompach dobrych chodzi, nie, żeby kupował, ale wszystko to z juchty. Ludzi pod nożem rozbiera w mieście, jak mu się co z przyrodziewku spodoba, który człowiek ma na sobie. Taką gnię dobrze by było rozgnieść, bo jak z niego wsza wyrośnie, to się jeszcze bardziej rozbestwi. I dlatego wam o nim powiadam bez żalu, bo to ścierwo w ludzkiej skórze jest.

Okoń i Olkiewicz popatrzyli na siebie. Ci dwaj rozumieli się bez słów. Od razu, gdy tylko usłyszeli o tej kanalii, już wiedzieli, że tej nocy raczej nie pośpią, bo czeka ich robota. Ale póki co było jeszcze trochę za wcześnie.

– No to daj pan flaszkę żytniej, panie Feliksiak – poprosił Olkiewicz. – Bo my tu będziemy musieli jeszcze trochę posiedzieć, nim się zrobi dogodna pora na pogaduchy z tym zasrańcem.

[33] Szklanki – oficerskie buty do jazdy konnej, których wysokie cholewki świeciły się jak szklanki.

[34] Fyrteł (gwar.) – okolica.

Rozdział V

Godzina 11.10 w nocy

Radio ustawione na szafce ze szklaną witrynką grało amerykański jazz wykonywany przez murzyńskich muzyków z Nowego Jorku podczas koncertu na żywo w lokalu przy Wrocławskiej.

– Dobrze jest cię widzieć, najdroższy. Już nie mogłam się doczekać... więc skorzystałam z nadarzającej się okazji.

– Lubię takie niespodzianki, choć przyznać muszę, że czuję się nieco zakłopotany.

– No to jest zrozumiałe, pod warunkiem, że konsternacja nie bierze się z niechęci do mojej osoby.

– Nie, przecież wiesz, Marleno, że nie o tym myślę.

– A o czym?

– O tym, żeby czym prędzej wziąć cię w ramiona i zanieść do sypialni.

– Więc cóż stoi na przeszkodzie?

– Dobrze wiesz. Nie mogę przecież po tym, czego się od ciebie dowiedziałem, zostawić wszystkiego własnemu biegowi. Miałem jutro z rana jechać w ważnej sprawie, ale w tej sytuacji...

Kapitan Feliks Mikołajewski spojrzał w błękitne oczy Marleny i poczuł gwałtowny przypływ czułości, której u siebie raczej się nie spodziewał. W końcu był twardym żołnierzem, co z niejednego kotła groch jadł, i wydawać by się mogło, że nie jest typem romantyka wzdychającego do kobiety. Może dlatego dotąd pędził kawalerski żywot z powodu tej wojskowej twardości, która władała niepodzielnie jego duszą. Ale wszystko się zmieniło przed rokiem. Poznali się w Zoppot, w kasynie Grand Hotelu, gdzie Mikołajewski przegrał dość znaczną kwotę. Panna Marlena, czarująca młoda osoba, która przysiadła się do niego w barze, gdy opijał swoją tragiczną przegraną, opowiedziała mu własną dramatyczną historię rodzinną o stracie rodziców i spalonym majątku ziemskim na pograniczu niemiecko-rosyjskim, który jak na złość po wielkiej wojnie został po polskiej stronie granicy, gdzie rozparcelowano go i oddano na własność chłopom. A ona wyjechała do Królewca do ciotki.

– Kochana moja.

Wziął ją za rękę, złożył na niej pocałunek i zaraz usiadł na szeszlunku, wpatrzony w tę kobietę o pięknych oczach, pełnych ustach o kształcie tatarskiego łuku podkreślonych delikatnym rysem szminki, noskiem obdarzonym delikatnymi, ledwie widocznymi na alabastrowej skórze piegami i w końcu włosami splecionymi w gruby warkocz. Marlena von Pieskow była piękna, więc nic dziwnego, że zwracała na siebie uwagę mężczyzn. Nie potrafił się jej oprzeć.

– Bardzo się cieszę z twojego przyjazdu, ale w tej sytuacji muszę jak najszybciej zrewidować swoje plany. Więc jeśli pozwolisz, najpierw wykonam telefon. Pocałował ją powtórnie, by zaraz wstać. – To zajmie dosłownie chwilkę – wytłumaczył.

Ona spojrzała na niego w ten charakterystyczny dla siebie sposób, przekrzywiając lekko głowę. Chciał ją wziąć w objęcia,

jednak najpierw musiał załatwić kwestie, których nie dało się odłożyć na później.

Skłonił się i wyszedł z pokoju do gabinetu. Usiadł za biurkiem i natychmiast chwycił do ręki słuchawkę telefoniczną. Kobięcy głos z centrali odezwał się błyskawicznie. O tej porze telefonistki nie miały zbyt wiele do roboty, bo użytkownicy telefonów w znakomitej większości już spali.

– Halo, centrala, Poznań.

– Poproszę Poznań dwa dwa jeden osiem.

– Łączę z dwa dwa jeden osiem.

– Hotel, słucham – odezwał się, tym razem męski, głos dyżurnego w garnizonowym hotelu dla młodszych oficerów.

– Proszę do telefonu podporucznika Pikułę Piotra.

– Ale jest późno. Pan podporucznik zapewne już śpi i wew związku z...

– Kapitan Mikołajewski mówi. To jest tryb alarmowy. Jeśli śpi, to go obudźcie, a jeśli nieprzytomny, to mu wylejcie wiadro wody na głowę, ale zaraz ma być przy telefonie bez zbędnej zwłoki. Rozumiecie?

– Tak jest, panie kapitanie. Rozumiem. Już biegnę!

Usłyszał jeszcze oddalający się stukot podkutych butów i w słuchawce zaległa cisza. Wiedział, że ma kilka minut, zanim jego podwładny pojawi się na wartowni. Mógł więc teraz spokojnie przeanalizować sytuację. Marlena jako współpracowniczka niemieckiego wywiadu, która chciała go pozyskać kilka miesięcy temu do swoich wywiadowczych celów, wpadła we własne sidła i nie dość, że nie został jej współpracownikiem działającym na rzecz Niemiec, to stało się zupełnie odwrotnie. To ona zaczęła zbierać informacje dla Mikołajewskiego, czyli dla polskiego wywiadu.

Prócz tego tych dwoje połączyła nie tylko współpraca wywiadowcza, ale także i płomienne uczucie. Widywali się

niezbyt często, ale ich spotkania zawsze były pełne napiętności. Feliks wiedział, że tak będzie i tym razem, ale już na samym początku, gdy tylko weszła do jego mieszkania, powiedział jej, że niestety wcześniej rano musi wyjechać, a ona oczywiście może zostać u niego, jak długo będzie tylko chciała.

– Niestety nie wiem, moja droga, kiedy wrócę. Myślę, że za dwa albo trzy dni.

– Nie możesz nigdzie jechać – stwierdziła kategorycznym tonem.

– To nie jest kwestia moich chęci, Marleno. Sprawa służbowa, bardzo dużej wagi. Jadę do Niemiec.

– Ach tak. Rozumiem, mimo to nie możesz jechać.

– Dlaczego? Powiedz jasno, o co chodzi?

– Chcą zabić mojego stryja – powiedziała to, robiąc smutną minę. – On jest w niebezpieczeństwie.

– Zaraz, jak to twojego stryja? O czym ty mówisz?

– Życie mojego stryja wisi na włosku. Dowiedziałam się o tym zupełnie przypadkowo. Podśluchałam pewną rozmowę u nas w sztabie okręgu.

Mikołajewski skinął głową ze zrozumieniem. Marlena często miała okazję przysłuchiwać się rozmowom ważnych ludzi. Pracowała bowiem w sztabie Pierwszego Okręgu Wojskowego Prusy Wschodnie. Ale żeby ktoś przy niej rozmawiał o jej stryju... Coś tu było nie tak.

– W dalszym ciągu nie rozumiem. Przy tobie konferowano na temat planów zabicia twojego krewniaka? To niedorzeczne.

– Nie przy mnie. W pokoju, do którego mam dostęp przez sekretariat. Byłam w pracy do późna, bo zostało mi sporo korespondencji do zapakowania w pakiety do wysyłki. Musiałam jeszcze zabrać teczkę z sekretariatu generała von Boldta. To był już wieczór, więc weszłam tam, bo mam dodatkowy klucz. No i chciałam zabrać papiery... W pokoju

generała paliło się światło, więc zajrzałam tam z ciekawości. Dostrzegłam von Boldta i jakiegoś człowieka. Nie znam go, ale zapamiętałam dobrze jego twarz, gdyż siedział przed nim odwrócony do mnie profilem. To był cywil z wąsami zabawnie podwiniętymi ku górze. Jednak to, co mówił, wcale nie było zabawne. Pewnie zaraz bym się stamtąd wycofała, ale usłyszałam moje nazwisko. I ten cywil mówił, że potrzebują pretekstu. Że taki zamach na wicekonsula jest doskonałą okazją do postawienia stosunków na ostrzu noża. I w tej sytuacji można poświęcić jednego pionka na szachownicy, by wygrać całą partię. Tym bardziej że, według tego wąsacza, mój stryj jest człowiekiem o niezbyt dobrej reputacji. Podobno są wokół niego jakieś niejasności w związku z jego majątkiem. Niby że wzbogacił się podczas wojny na jakimś niegodnym oficera czynie. Nie wiem, o co może chodzić...

– Zaraz, Marleno, nic nie rozumiem. Kim jest twój stryj?

– Jak to, nie wiesz? Przecież myślałem, że się domyśliłeś od razu, jak tylko usłyszałeś to nazwisko...

Naraz zrozumiał, o czym, a właściwie o kim ona mówi. Von Pieskow. Przecież to rzadkie szlacheckie nazwisko. To nie jakiś tam Mayer czy Schmidt, których jest w Niemczech, a nawet i w Polsce na pęczki. To, że nowy wicekonsul nosi takie samo nazwisko, co jego kochanka, od razu zwróciło jego uwagę. Miał nawet przy najbliższej okazji zapytać o niego Marlenę, czy aby to nie jest jakiś jej daleki krewny. Ale nie było sposobności od czasu przyjazdu dyplomaty do Poznania. No i teraz dowiadywał się właśnie, że to jest krewny, a do tego jeszcze stryj, czyli osoba bardzo bliska. I w dodatku zagrożona jakimś spiskiem. Ktoś go chciał pozbawić życia, żeby doprowadzić do pogorszenia polsko-niemieckich stosunków. Ale po co? Założywszy, że ten wicekonsul zostanie zabity, to co to może oznaczać dla Polski? No oczywiście kłopot. Tyle że z powodu

takiego kłopotu nie rozpoczyna się zaraz wojny. Przecież to nie Sarajewo i arcyksiążę Ferdynand... Choć gdy Gavrilo Princip z serbskiej nacjonalistycznej organizacji Czarna Ręka strzelał do następcy austro-węgierskiego tronu, zapewne ani on, ani nikt inny nie przypuszczał, że będzie to iskra padająca na beczkę prochu i prowadząca do wojny światowej. Jednak tu, u nas, w naszych warunkach zabicie wicekonsula nie powinno stać się pretekstem do poważniejszego konfliktu. Chyba że się udowodni, że to było morderstwo polityczne inspirowane przez polski wywiad albo bezpośrednio przez polski rząd.

– Halo, panie kapitanie! – Z tych rozważań wyrwał go dobrze znany mu głos podwładnego.

Podporucznik Pikuła trzy lata temu przeniesiony został z poznańskiej policji bezpośrednio do Mikołajewskiego. Pracował, co prawda, w koszarach przy Ułańskiej i prowadził tam biuro intendentury, ale to była tylko przykrywka dla pracy kontrwywiadowczej. Mikołajewski zabrał go od Fischera, bo młody człowiek był dość bystry i w policji się marnował. A poza tym prócz analitycznego umysłu miał jeszcze jedną bezcenną umiejętność. Jak człowiek pochodzący z Gdańska doskonale znał język niemiecki. Mówił biegle do tego stopnia, że mógł ze spokojem uchodzić za rodowitego Niemca. Dlatego akcję, którą mieli przeprowadzić w Szczecinie, w najdrobniejszych szczegółach przygotowywał właśnie on pod kierunkiem Mikołajewskiego. Znał każdy jej szczegół.

– Panie poruczniku, jestem. Mam nadzieję, że nie jest pan zbyt... zmęczony?

– Melduję, że nic nie piłem, panie kapitanie.

– Ano to świetnie. Bo rozumie pan, zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności, o których nie mogę mówić przez

telefon, i właśnie te niespodziewane okoliczności stanęły na przeszkodzie mojemu wyjazdowi.

– Tak jest. Rozumiem doskonale. To znaczy, że odwołujemy akcję?

– Nie, broń Boże. Niczego nie odwołujemy.

– To doskonale. Tylko jak bez pana oni sobie poradzą?

– Tego się właśnie obawiam. I dlatego jutro rano, a właściwie chyba już dzisiaj o szóstej minut trzydzieści, pan mnie zastąpi.

– Ja? – spytał z niedowierzaniem podporucznik.

– Tak właśnie. Tak jak podczas wojny, gdy nie ma w pobliżu dowódcy, a wymaga tego dobro podejmowanych działań, dowództwo przejmuje najstarszy stopniem oficer. W tym wypadku to pan. Bilety dla całej grupy, niezbędne pieniądze i broń dostarczy wam na stację nasz Zielonka. On panu wszystko przekaze. Ale jeśli chodzi o szczegóły operacji, to pan przecież wie wszystko doskonale. Sam pan był na obserwacji w Szczecinie, więc nic pana nie zaskoczy.

– Tak jest, tylko że ja...

– O co chodzi, poruczniku?

– Jeszcze nigdy nie dowodziłem taką akcją.

– No to najwyższy czas się sprawdzić podczas wykonywania zadania.

Skończywszy rozmowę, wstał z fotela. Trochę się niepokoił o Pikułę i ludzi, którzy mieli z nim jechać, ale z drugiej strony nie mógł im towarzyszyć, a oni przecież są fachowcami. Tak, na pewno sobie poradzą...

Miał właśnie przejść korytarzem do salonu, w którym zostawił Marlenę, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Zdziwił się, bo o tej porze raczej nie spodziewał się żadnego gościa. No ale cóż, zdarzały się przecież sytuacje

wyjatkowe. Może to któryś z jego ludzi o czymś sobie przypomniał i przybiegł tutaj, by wyjaśnić wątpliwości.

Podszedł do drzwi, chwycił za klamkę i pociągnął ją ku sobie. Na korytarzu stał Antoni Fischer.

– No, całe szczęście, nie śpisz jeszcze, doskonale! – rzucił od drzwi i zaraz wkroczył do środka. – Bo widzisz, sprawa jest pilna i cholernie ważna. Wyobraź sobie, że dziś rano zaginał niemiecki dyplomata Albrecht von Pieskow. Rozumiesz, wicekonsul Niemiec rozpułynał się jak duch. Nigdzie go nie ma, szukamy, ale nie ma po nim śladu. A najlepsze, że on nazywa się jak ta twoja ukochana. Ona przecież też jest von Pieskow. Może to jakiś jej krewny?

– Tak, Anton, to jest mój krewny. Albrecht von Pieskow to mój stryj – powiedziała Marlena, pojawiając się jak duch w drzwiach prowadzących z salonu na korytarz.

Godzina 11.30 w nocy

Głośna muzyka jazzowa wylewała się z lokalu dancinowego o wdzięcznej nazwie Tivoli przy ulicy Wrocławskiej i rozpułynała po okolicznych uliczkach Starego Miasta, docierając na pobliską Gołębią. Tu, w bramie, ukryty w półmroku stał policyjny wywiadowca Olkiewicz i bacznie przyglądał się nielicznym spóźnionym przechodniom. Zapalił papierosa, a płomień zapałki przez chwilę oświecił mu twarz. Nie przejął się tym jednak specjalnie. Raczej wolał nawet być widoczny, żeby żaden potykający się o własne sznurówki, pijany szuszwol nie zawracał mu głowy. Czekał bowiem na niejakiego Wincentego Gargulca, mieszkającego w domu naprzeciwko, na poddaszu prawej oficyny. O tym, gdzie dokładnie mieszkał

Gargulec, nazywany też Rzeźnikiem, Olkiewicz dowiedział się od Stefana Przylepy, stróża pilnującego porządku w aż trzech przylegających do siebie kamienicach na Gołębiej, ciągnących się od bazyliki kolegiackiej do ulicy Wrocławskiej. Właściciele tych niezbyt okazałych budynków, jako że mieli na tyłach niewielkie, wspólne podwórko, ze względów oszczędnościowych zatrudniali jednego stróża, by ten dbał o porządek i komfort życia wszystkich mieszkańców. Okazało się, że zarówno Olkiewicz, jak i Okoń całkiem dobrze znają tego ciecia, ponieważ był on płatnym konfidentem poznańskiej policji, a z jego usług już nie raz zdarzyło się im korzystać.

– No, panie Przylepa, nie zarobisz pan na chleb, jak nie będziesz czujny – rzucił Okoń, gdy ujrzał zaspaną twarz stróża po tym, jak ten otworzył bramę środkowej kamienicy oznaczonej tabliczką informacyjną.

„Dzwonek elektryczny nocny na stróża płatny 50 groszy”

– O, pan przodo...

– Zawrzyj dziób, pierdoło! Bo my tu w charakterze incognito – pouczył go Olkiewicz.

– Od nas pięćdziesięciu groszy nie dostaniesz, co najwyżej w zęby można zarobić – wyjaśnił od razu Okoń.

– Ale gdzieżbym ja śmiał się od szanownych panów wziąć złamanego grosza. Ja przecie już jestem płacony co miesiąc za konfidencję. Znaczy się służbowo.

– No to jak żeś płacony, to my właśnie wew ważnej sprawie przyszli.

– A to się rozumie przez się samo, że panowie w nocy nie budzą człowieka dla napicia, ale żeby się czego wywiedzieć.

– A niech cię diabli wezną, Przylepa. Daj no onemu kielicha
– Anastazy zwrócił się do Okonia, ten bowiem miał w kieszeni butelkę żytniówki.

– A jak ja onemu mam dać, jak nie ma w co nalać. Z gwinta nie dam, bo flaszkę uślompra[35].

– To ja kielonki zaraz przyniesę – zaoferował ochoczo stróż.

Na wieść o wódce wyraźnie poprawił mu się humor i natychmiast senność zastąpiły chęć i gotowość do współpracy.

Nie czekając na zgodę, zniknął błyskawicznie w bramie i po chwili wrócił z trzema szklaneczkami w dłoni.

– Kielonki się już dawno wytłukły, ale są, te, no jak tam one się nazywają...

– Literówki, od litra – stwierdził Olkiewicz z pełnym przekonaniem.

– Niech się nazywają, jak se chcą. Trzymaj no prosto, żebym mógł rozlać. – Okoń wydobył z kieszeni płaszcza butelkę, wyciągnął korek zębami i nalał wódkę.

– A z jakiej to okazji pijemy? – zainteresował się cięć, podając szklanki policjantom.

– Z tej okazji, panie ładny, żeś nie zameldował, jaki tu drań mieszka na Gołębiej. A jakby my wiedzieli, to może by się i jakichś nieszczęść dało uniknąć. A tak, Przylepa, co ojczyzna kochana ma z tego, że co miesiąc ci płaci konfidencyjne, jak ty się nie wywiązujesz ze swoich obowiązków?

– Ja nigdy w życiu bym się nie wywiązał, pod Bogiem, panie przodow...

– Trzym ryj, bo już powiadałem, że my są w tajemniczej misji – przerwał mu Olkiewicz.

– Tak jest, ma się rozumieć. A z tym draniem to, o kogo się niby tak mniej więcej rozchodzi?

– Taki gnojek, co jego nazywają Rzeźnik. Znasz go?

- Rzeźnik? Nie, rzeźnik u nas żaden nie mieszka...
- Taki z okrągłą gębą, wielkim klubrem^[36] i wew brylach, a ubiera się jak elegant z Mosiny, wew palto i melon...
- Łe, no to trzeba było od razu gadać, że się rozchodzi o Gargulca, znaczy się Wincentego Gargulca, co tu mieszka od zawsze. Ale on kłopotów nie robi, ino chleje dużo. Zasadniczo codziennie.
- A skąd ma pieniądze na chłanie?
- No przecie ja pisałem już o nim i meldowałem w raportach moich, że to jest złodziej, co bierze wszystko, co mu w łapy wpadnie, ale drobny złodziej i żaden fachowiec. To nie doliniarz, co potrafi komuś z kieszeni zegarek wyciągnąć albo portfel. Ten to jest taki, co na rympał idzie. Zobaczy, że kto ma ładny kapelusz, to mu z głowy zdejmnie albo w łeb przywali i palto zjuchci. Taki więcej szuszwol, a nie artysta.
- Meldował żeś o nim? – zdziwił się Olkiewicz, bo dotąd wydawało mu się, że zna większość bandziorów w okolicy, ale o tym słyszał po raz pierwszy w życiu.
- No będzie tak mniej więcej od czasu, jak go z rzeźni wywalili, to już trzy razy meldowałem, ale nikt się mu nawet nie przyjrzał. No tom se myślał, że za mały z niego kaliber, żeby policji się chciało go ruszać, bo mała szkodliwość...
- To znaczy się, że wcześniej, jak pracował, to nie wywijał? – domyślił się Okoń.
- Łe, wcześniej to nie. Ino z tą gadziną, to zawsze coś tam narobił...
- Z jaką gadziną?
- On taki więcej jest zawzięty na zwierzaki jak na ludzi. Kociambry w okolicy wszystkie wyłapał i ogony im poobcinał i nawet psa jednego też zaszlachtował, ale za tego kejtra to sznupe^[37] mu obtrzaskali chłopaki z Wrocławskiej, bo to był

pies od jednego z nich, no i tak dostał, że przez tydzień leżał w chacie i się trochę uspokoił...

– Czyli że teraz nigdzie nie robi? – zapytał Okoń.

Stróż pokręcił głową.

– Będzie już z pół roku, jak się za robotę żadną nie chycił, ino za chłanie.

– A teraz jest w chacie? – Olkiewicz miał nadzieję, że może jest pijany i śpi, więc z aresztowaniem nie będzie żadnych problemów.

– Nie ma, poszedł precz. Ale się opowiadał, że będzie przed północą, żeby mu drzwi otworzyć. Gadał, że da złotówkę. Miałem czekać...

– Nie czekałeś. – Olkiewicz uśmiechnął się pod nosem. – To zrobimy tak, ja się zasadzę w tej bramie naprzeciwko, ty, Władek, wejdiesz w bramę tutaj, do Przylepy, i będziesz tam czekał. Jak się pojawi ten nasz ptaszek, to ja poczekam, aż zapuka, a ty, Przylepa, otworzysz mu drzwi i powiesz do niego wyraźnie po nazwisku, tak żeby my słyszeli, że to on, i jego wpuścisz. I wtedy ja już będę wchodził za nim, a Władek go od przodu. I w trymiga jego na ziemię, i wiążemy. Władek, masz kajdanki?

– Ma się rozumieć, że mam. Gnata też mam. – Okoń poklepał się po kieszeni, ale w tej akurat była flaszka. Wyciągnął ją. – No to na drugą nogę i akuratnie się rozleje do końca – zaproponował.

Nikt nie miał nic przeciwko. Wypili, a potem rozeszli się, każdy na swoje stanowisko.

Nie musieli długo czekać. Gdy Olkiewicz kończył palić papierosa, od Wrocławskiej w Gołębią skręciła dorożka. Koń szedł spokojnie, noga za nogą, wystukując na bruku rytm podkutymi kopytami. Jednak stukot zagłuszany był przez

słowa popularnej piosenki, którą pasażer śpiewał mocno bełkotliwym, pijackim głosem:

Tę chusteczkę, coś mi dała,
Na onuce będę miał.
Na onuce będę miał.
Żebyś sobie, kurwo, nie myślała,
żem cię, kurwa, w sercu miał!

Dryndziarz leniwie machnął batem, ale chyba tylko po to, żeby nie zasnąć.

– Panie, pod który numer mam jechać? – Odwrócił się do pasażera, lecz ten zdawał się nie słyszeć jego pytania. Widać, że śpiew pochłaniał go bez reszty.

Ten list, coś mi napisała,
Do latryny będę miał.
Do latryny będę miał.
Żebyś sobie, kurwo, nie myślała,
żem się, kurwa, żenić chciał!

Dorożkarz pociągnął lejce ku sobie.

– Prrr. Stój, Basia! No stój, mała! Też, panie, to połowa ulicy. Zaraz będzie fara. A w farze chyba pan nie mieszka? Mam jechać dalej czy jak?

Słowa te najprawdopodobniej nie dotarły do pieśniarza, bo ten, rozochocony, wydzierał się dalej z wyraźną radością w głosie.

Jak zagrzmiały nasze działa,
z wrogiem, kurwa, było źle.
Z wrogiem, kurwa, było źle.

I sam cesarz wszystkich nas pochwalił
a poklepał, kurwa, mnie!

– Ej ty, gościu jeden, zawrzyj ten dziób i płać, bo ja nie mam zamiaru tu czekać całą noc. Ja muszę jeszcze jakich klientów złapać, żeby mnie się opłacała ta szychta. No dalej, bierz się za portfel i wyskakuj z piniądza.

– Co?

– Panie, do cholery! Tej!

– Zapomniałem, co było dalej. A pan, panie dryndziarz, pamiętasz, co było dalej?

– Dawaj pan zapłatę i jazda z dryndy!

– Na Gołębią pięć!

– A co to Wronia? Jest Gołębia jak byk!

– A pan, panie dryndziarz, wiesz, jakiego to Gołębia? Bo ja, panie, znam dwóch, Franka Gołębia i Jacka Gołębia, ale to chyba jakiś znaczniejszy Gołąb musiał być, że jemu ulicę dali, bo ten Franek to ino garbarz zwyczajny, a ten drugi... to jest taki wywijas, że lepiej nie gadać.

– Panie, wysiadka, bo jest właśnie ulica Gołębia, tak jak żeś pan chciał.

– A to pardonsik. Już wysiadam, bo ja właśnie jestem w domu. Masz pan tu pięć złociszy i dziękuj Wszechmogącemu, żeś złapał takiego klienta, co płaci jak za zboże i jeszcze pięknie piosenki śpiewa.

Zszedł ostrożnie po stopniach dorożki, trzymając się uchwytu, bo nie miał zaufania do stabilności bruku, który mógł go zaatakować w każdej chwili. Wyciągnął z kieszeni banknot i podał go dryndziarzowi. Ten natychmiast schował pieniądze do kieszeni. Za taką sumę wybaczyłby nawet, gdyby ten gość narzygał mu w dorożce, więc darował mu też tę paskudną piosenkę.

– Na postoju w lagerflasze... – rzucił i strzelił batem nad końskim zadem. Basia ruszyła rażno, stukając podkownikami o bruk.

– No oczywista! Na postoju... – Ucieszył się z podpowiedzi pasażer i ruszył w kierunku kamienicy oznaczonej numerem pięć.

Na postoju w lagerflasze
tom gorzałkę, kurwa, lał.
Tom gorzałkę, kurwa, lał.
Żeby ja się, kurwa, nie przeziębiał
kiedy wiater będzie wiał... [38]

Podszedł do bramy i zaczął pukać. Osadzone w niej drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Tak się pan drzesz, panie Gargulec, żem już dawno zdążył dojsć do furtki. Zachodź pan, panie Gargulec!

Rzeźnik zrobił krok w przód i w tym momencie usłyszał za sobą głos.

– Łapy do góry, łachudro, bo kulka w łeb będzie...

Olkiewicz nie zdążył dokończyć. Mężczyzna błyskawicznie się odwrócił, a nóż, który nie wiadomo jak znalazł się w jego ręce, uderzył w policjanta. Ostrze sprężynowca weszło gładko w brzuch, przebijając płaszcz i marynarkę. Anastazy jęknął i osunął się na kolana. Rzeźnik kopnął go w twarz i ruszył biegiem w kierunku Wrocławskiej. Okoń wyskoczył z bramy z pistoletem w dłoni. Naprowadził muszkę lugera na plecy uciekającego i zaczął strzelać. Ale widać, zbyt duża ilość wypitej tego dnia wódki osłabiła znacznie jego strzelecką sprawność. Nożownik zniknął za rogiem.

– Kurwa, uciekł! – warknął przodownik i spojrzał na leżącego na bruku przyjaciela. – Anastazy!

– Żyję, goń go, do cholery! – powiedział z wysiłkiem Olkiewicz.

– Przylepa, wołaj lekarza czy kogokolwiek! – polecił Okoń i pognął za uciekinierem.

Jazz-band z Nowego Jorku grał właśnie piosenkę *Georgia on my mind* skomponowaną przez Hoagy'ego Carmichaela, a Anastazy Olkiewicz zdążył jeszcze pomyśleć, że to całkiem ładna melodia, zanim jego myśli odpłynęły w ciemność.

Godzina 11.45 w nocy

Hrabina Eliza Kossobudzka von Zanthier prowadziła dom otwarty, nie miała więc w zwyczaju chodzić zbyt wcześnie spać. Często zdarzało się więc, że bridże, które organizowała w swoim salonie, przeciągały się do późna, kończąc się nad ranem następnego dnia. Zaproszeni goście przychodzili zawsze na godzinę siódmą wieczorem, zajmowali miejsca przy jednym z pięciu okrągłych stolików karcianych, zaś osoby towarzyszące, niekoniecznie zainteresowane grą, mogły oddawać się urokowi konwersacji, siadając na kanapach, fotelach i krzesłach przy stolikach zastawionych kieliszkami z winem, wódką oraz likworami. Do tego podawano wykwintne zakąski w postaci tartinek z wędliną, rybą i kawiozem, do wyboru, na chlebie lub francuskim cieście. Nie było za to dań ciepłych, bo gospodyni uważała, że bridż nie jest grą barową, ale salonową, a na salonach się nie jada, ale co najwyżej dla zachowania sił witalnych zakąsza.

Gracze w przerwach między robami wstawali od przykrytych zielonym sukniem stolików, by nałożyć sobie przekąski i zabrać coś do picia, tak żeby w trakcie gry móc się

nieco posilić. Właśnie przy stoliku gospodyni zakończył się rober, w którym ona i jej partner karciany i życiowy, adwokat Marian Siekierczyński, ponieśli sromotną klęskę. Wszystko przez to, że hrabina licytowała ostro cztery bez atu, mimo iż nie miała żadnej silnej karty. Nie udało się nic im ugrać, więc Eliza zarządziła przerwę w grze dla posilenia, się, a tak naprawdę dla ochłonięcia.

– Licytowałaś jak jakaś idiotka! – syknął jej do ucha Siekierczyński.

– Ależ, Mario, nie bądź chamski – odpowiedziała mu z uśmiechem. – Nie przystoi ci taka impertynencja. Bądź co bądź jesteś kimś!

– Może i jestem kimś, ale ty na pewno zagrałaś jak... – przez chwilę zastanawiał się nad znalezieniem odpowiedniego słowa – zagrałaś jak dyletantka.

– Po pierwsze, mój drogi, moja gra nie jest dyletancka, ale przemyślana, a po drugie moja licytacja jest odpowiedzią na twoją licytację. Czyżbyś nie wiedział, na czym polega licytacja w bridżu, mój drogo Mario?

– Na Boga, przecież ja powiedziałem „jeden bez atu”! A ty na to od razu dałaś cztery. Po coś tak ostro zawistowała?

– Jak to po co? Przez ciebie, Mario drogi. Przez ciebie.

– Jak przeze mnie? Cóżem ja takiego uczynił?

– Mrugnąłeś.

– Ja?

– A kto? Szach perski? Przecież ja z tobą grałam, głuptasie.

– No ze mną, ale nadal nie rozumiem, o czym mówisz?

– Mówię o tym, że powiedziałam „cztery bez atu”, ale dopiero po twoim mrugnięciu. Pilnie cię obserwowałam i policzyłam, że po „raz bez atu” zamrugałeś trzy razy. I wtedy zrozumiałam, że idziemy na całość.

– Ależ ja wcale nie mrugałem.

– Mylisz się, mrugałeś, a ja liczyłam.

– Może... zrobiłem to nieświadomie.

– Ach, więc się przyznajesz! Wprowadziłeś mnie w błąd, przez to ja źle odczytałam twoje intencje i w ten oto sposób doszliśmy do owej sromotnej porażki. A przyczyną jej jesteś ty. Nie ja, ale ty i twoje nieodpowiedzialne zachowanie. W związku z tym natychmiast mnie przeproś, bo czuję się urażona twoim... prostackim wybuchem.

Przez chwilę milczał, wpatrzony w podłogę. Widać, jak rasowy adwokat przeprowadzał na szybko analizę zysków i strat. W końcu uniósł spojrzenie ku górze, spojrzął jej w oczy i powiedział:

– Pani hrabina wybaczy. Postąpiłem nierozsądnie i wręcz głupio. Nie powinienem...

– Mój drogi Mario, wybaczam, ale bądź tak miły i na przyszłość staraj się opanowywać swoje zachowania, bo mogą stać się przyczyną nieszczęść takich jak ta nasza klęska.

– Oczywiście, droga Elizo. – Skłonił się i pocałował ją w wyciągniętą dłoń. – Czy życzysz sobie sandwicza z łososiem? – zapytał pojednawczym tonem.

– Och, mój drogi, nie używaj tych barbarzyńskich anglosaskich określeń. Przecież nie myślisz chyba, że w moim domu będzie się czciło pamięć tego karciarza i hazardzisty lorda Sandwicha tylko dlatego, że był zbyt leniwy, żeby wstawać od stołu karcianego, i kazał sobie przynosić kanapki. W moim domu ta niby angielska sznytka jest jak najbardziej francuską tartinką. A tego leniwego Sandwicha niech czczą Amerykanie, bo to jego lenistwu zawdzięczają niepodległość[39].

Hrabina, podobnie jak jej świętej pamięci mąż, niezbyt przepadała za Anglikami. Natomiast francuski był jej drugim językiem, tym wyniesionym z domu rodzinnego, zaraz po

polskim. Na początku swojego małżeństwa jeszcze niezbyt dobrze mówiła po niemiecku, więc z Hermanem często porozumiewała się właśnie w tym języku.

– Poproszę tartinkę z kawiozem i drugą z tuńczykiem – zwróciła się do swego totumfackiego.

– Jak najbardziej. I lampkę mozelskiego?

– Przynajmniej w kwestii win rozumiemy się bez słów, mój drogi Mario.

Uśmiechnęła się do niego i zaraz odwróciła w prawo, bowiem dostrzegła kątem oka jakiś ruch przy drzwiach prowadzących do obszernego westybulu pełniącego rolę poczekalni dla gości, którzy musieli odsiedzieć obowiązkowe kilka minut, by po zaanonsowaniu gospodyni miała czas na odpowiednie ich przyjęcie.

Postawny kamerdyner Alfons Kuśmider starannie zamknął za sobą drzwi i szedł właśnie w kierunku swojej pani z niewielką srebrną tacą służącą do podawania korespondencji i biletów wizytowych. Hrabina nie spodziewała się o tej porze żadnego listu, a więc taca w rękach Alfonsa mogła oznaczać tylko jedno, że ktoś nieproszony przyszedł do niej o tak nietypowej porze. Bo nawet jeśli odbywa się tu bridż, to rozpoczęcie było zaplanowane na siódmą, a nie na... spojrzała na wiszący ścienny zegar Junghans... za kwadrans dwunastą. Ponadto nikt z gości nie informował, co niekiedy się zdarzało, że przyjdzie później.

– Tak, Alfonsie.

– Pani hrabinio, przybył jakiś Niemiec, co nie gada po naszymu – wyjaśnił kamerdyner, który jakoś nie miał głowy do języków obcych i nie miał nawet szczęścia nauczyć się niemieckiego, bo jako człowiek wychowany w okolicach Kalisza chodził do szkoły, gdzie uczono, zresztą z dość

marnym skutkiem, rosyjskiego. W związku z tym władał tylko polskim, i to nie najlepiej.

Wzięła z tacki wizytówkę, przeczytała imię i nazwisko, a potem pełnioną przez gościa funkcję oraz miejsce pracy. To, czego dowiedziała się z tej niewielkiej karteczki, wywołało u niej szczere zdumienie.

Nadradca Marius Gebhardt
Attaché ds. Handlowych Konsulatu Generalnego
Rzeszy Niemieckiej

– Powiedział, czego chce? – spytała.

Kamerdyner wzruszył ramionami.

– Coś tam szwargotał, ale kto by zrozumiał. Powiadał po polsku ino, że chce się z panią hrabiną widzieć, i tylko wew związku z tym nie wykopałem go na schody, bo to przecie wiadomo, że o tej porze się gości nie przyjmuje, jak pani hrabinia sama nakazała, żeby od razu takiego łachudrę gonić, bo jak kto po nocy łązi, to nic dobrego z tego nie wynika.

– Nie spuścił go Alfons ze schodów?

– Siedzi jak trusia na krześle, tak jak mu nakazałem.

– Bardzo dobrze. W takim razie niech go Alfons wprowadzi do biblioteki. Tam go przyjmę. Tylko proszę mu dać do zrozumienia, że robię to tylko ze względu na jego rangę dyplomatyczną.

– Dyplom co?

Machnęła ręką. Nie było sensu tłumaczyć. Dobry był chłop z tego Alfonsa, ale niestety inteligencją nie grzeszył. Za to był silny, postawny i dobrze się prezentował w pasiastej kamizelce.

Do biblioteki, będącej jednocześnie gabinetem jej męża, można było przejść z salonu lub bezpośrednio z westybulu.

Weszła do środka, zamykając za sobą starannie drzwi, by nikt z karcianych gości nie mógł usłyszeć tego, co mogło być tu powiedziane. Jako kobieta obyta w rzeczywistości wojskowej, a więc zbliżonej do dyplomacji, wiedziała bowiem, że dyplomaci nie przychodzą do wytwornych salonów w środku nocy ot tak, dla zwykłego kaprysu.

Stała pośrodku biblioteki, na bordowo-zielonym dywanie, w miejscu, w którym jej mąż zawsze witał specjalnych gości. Minutę później rozległo się charakterystyczne pukanie do drzwi. Trzy razy i to dość zdecydowanie pukał Alfons, gdy wiedział, że pani czeka. Natychmiast po wybrzmieniu ostatniego stuknięcia jedna połówka drzwi się otworzyła i kamerdyner wkroczył do środka.

– Pani hrabinio, pan Marius Geb... kar przybył do nas.

– Prosić.

Odwrócił się, wyszedł na zewnątrz i ogłosił donośnym tonem.

– Pani hrabiania Eliza Kossobudzka von Zanthier pana szanownego przyjmą.

W przejściu pojawił się korpulentny, około pięćdziesięcioletni człowiek ze staromodnie podkreśnionym wąsem pod nosem. Nie wyglądał jak dyplomata, a raczej jak rzeźnik ubrany w dwurzędową marynarkę wybierający się do kościoła. Mówił za to piękną, śpiewną niemczyzną.

– Najmocniej przepraszam, pani hrabino, że ośmielam się niepokoić ją o takiej porze, jednak dowiedziałem się, że grywa pani w bridża właśnie w czwartki, a znając tę grę, wiem dobrze, że bridż rozgrywany przez prawdziwych miłośników tej szlachetnej rozrywki nigdy nie kończy się przed północą, pozwoliłem więc sobie... Nie, co ja mówię, ośmieliłem się przyjść do pani, bowiem sprawa, która mnie tu sprowadza, to sprawa wagi państwowej, istotna dla stosunków niemiecko-

polskich. A że wiem, iż pani hrabina jest patriotką dwóch naszych zaprzyjaźnionych ze sobą krajów, pomyślałem, że nie zechce mnie pani potraktować jak komiwojażera sprzedającego kieliszki i przyjmie mnie mimo niestosownej pory.

– Ależ, drogi nadradco, zbyt dobrze znam się na dyplomatycznych kwestiach, by wiedzieć, że nie pora jest istotna, a sprawa.

– Pięknie to pani ujęła. To myśl, którą warto zapamiętać. A sprawa w istocie ważna, dlatego musiałem się z panią spotkać.

– Pięknej niemczyzny pan używa, panie radco. Proszę mi wybaczyć, ale czy aby nie jest pan Austriakiem?

– To aż tak się czuje?

– No cóż, jak pan wie, w moim domu bywali oficerowie z różnych niemieckich krajów i szybko nauczyłam się odróżniać ich akcenty, akcenciki i słówka charakterystyczne dla ich rodzinnych stron. I dlatego wiem, jak mówi się w Saksonii, Nadrenii, a jak w Prusach. Więc wiem też, że najczystszy, najbardziej śpiewny niemiecki to język Austriaków.

– Miło mi to słyszeć, pani hrabino. W istocie pochodzę z Wiednia, choć większość swojego życia spędziłem w Belinie, a teraz los zagnał mnie do Posen, gdzie już powoli zapomina się języka niemieckiego.

– Och, niechże pan nie przesadza. Tu większość ludzi mówi po niemiecku. A poza tym, jak pan widzi, i ja także posługuję się językiem Goethego.

– Pani hrabino, chylę głowę przed tym, w jaki sposób pani to robi, bo i w pani mowie nie słyhać żadnych obcych akcentów.

– No cóż, w końcu prowadziłam i w zasadzie jeszcze prowadzę niemiecki dom. No ale, panie radco, nie o języku

chyba mamy dyskutować?

– Oczywiście, jak najbardziej. Sprawa, z którą przychodzę do pani, jest nadzwyczaj delikatna...

– Proszę śmiało mówić. Potrafię dochować tajemnicy.

– Otóż, pani hrabino, dziś... rano wyszedł z domu i dotąd nie wrócił wicekonsul Albrecht von Pieskow.

– Mój Boże! – Eliza zakryła dłonią usta. – Mój Boże... a więc wszystko się sprawdziło. Mój Boże. To wszystko była prawda.

– A więc potwierdza pani, że na seansie w pani domu przywołany duch szanownego małżonka zapowiedział, że von Pieskow wkrótce umrze?

– Skąd pan o tym wie?

– Pan wicekonsul sam mi o tym powiedział. Nawet śmiał się z tego i mówił, że już więcej nie da się namówić, na te, jak to ujął, bzdury.

Kobieta zadecydowanie pokręciła głową.

– Jak pan widzi, to nie bzdury, drogi panie. Żadne bzdury.

– Czyli medium...

– Nie medium, ale dusza mojego męża. To on zapowiedział, że von Pieskow umrze. I proszę, miał całkowitą rację.

– Ale on na razie tylko zaginął i pomyślałem, że może pani wie, gdzie mógłby się znajdować...

– Panie nadradco, nie mam pojęcia, gdzie się może znajdować. Ale jedno wiem na pewno. Pański wicekonsul Albrecht von Pieskow z całą pewnością nie żyje. Zresztą ten wiersz mówi chyba sam za siebie.

– Jaki wiersz?

– Ten słynny, co go w siedemnastym roku publikowały wszystkie gazety w Niemczech, znaleziony przy nieznanym żołnierzu. Mój mąż go wyrecytował, znaczy... duch męża. Zresztą zrobił to bardzo przekonująco, jakby był aktorem. Za życia nigdy bym go nie podejrzewała o takie zdolności. Jeszcze

teraz słyszę ten głos i przyznam, że aż mnie ciarki przechodzą po plecach na to wspomnienie:

Gdy oczy wreszcie zmęczone zamknę,
mą twarz okryją zwiewnym szalem...
A uśmiech mój zastygnie martwy
pod śmierci ulotnym woalem.

Wyrecytowała i przymknęła oczy, jakby chciała na dłużej zachować tę magiczną chwilę z niezwykłego seansu.

Godzina 11.50 w nocy

Wymierzył bardzo dokładnie w coraz mniejszą sylwetkę uciekiniera, wstrzymał oddech i... nie pociągnął za spust. Z bramy po prawej wyszli jacyś ludzie i stanęli dokładnie na linii strzału. Nie mógł ryzykować, że zrani któregoś z nich.

– Żeby was chudy pies wyruchał! – zaklął szpetnie, patrząc, jak mężczyzna dobiegł do końca Wrocławskiej i skręcił w prawo.

Teraz mógł być już wszędzie, biec przez Podgórną w kierunku placu Wolności, a może zawrócić w Szkolną, żeby dostać się na Stary Rynek. Albo właśnie przecinał plac Świętokrzyski, kierując się na Strzelecką lub Półwiejską, albo... Możliwości było tyle, że praktycznie nie było szans go znaleźć. Ale nie mógł ot tak odpuścić. Władek Okoń należał bowiem do ludzi, którzy łatwo się nie zniechęcają i właściwie nie poddają się nigdy, gdy jest choć cień szansy na to, że walka ma jakiś sens.

*

Tak było wtedy, w lipcu, na Lubelszczyźnie^[40] podczas bezładnego wycofywania się na Zachód, gdy bolszewicy napierali wielką siłą, a front praktycznie się załamał. Całe masy rozbitków z polskich jednostek wycofywały się, chcąc jak najszybciej dotrzeć do jakiegokolwiek pasa zorganizowanej obrony, żeby odpocząć, najeść się, nabrać sił i opatrzyć rany. Na tle tego bezładnego marszu rozbitków wycofywanie się 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty wyglądało jak zorganizowany przemarsz podczas ćwiczeń. Doskonale wyszkoleni żołnierze, weterani spod Verdun i Ypres, w mundurach polskich szytych z niemieckiego sukna feldgrau i w wysokich rogatych czapkach mimo zmęczenia prezentowali się świetnie. Dowodzący nimi generał Daniel Konarzewski chciał za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której jego dywizja poszłaby w rozsypkę. Toteż odwrót w tej rzece chaosu musiał być mądrze i racjonalnie planowany. Dywizja szła marszem ubezpieczonym, gotowa w każdej chwili podjąć obronę okrężną, ale wróg nie odważył się na atak bezpośredni, prowadząc tylko działania nękające, polegające na krótkich, ale bolesnych akcjach zaczepnych wzdłuż drogi przemarszu. Bolszewicy czuli respekt przed owianymi morderczą sławą „rogatymi diabłami”. Ci zaś wiedzieli, że w odwrocie najważniejsza jest dyscyplina i nieuleganie panice. Dlatego w miejscach strategicznych dla całego marszu, takich jak przeprawy, trzeba było szczególnie mieć się na baczności i zabezpieczać je najsolidniej, jak tylko można było to zrobić, zważywszy na warunki.

– Z przeprawą jest tak jak z robieniem kiełbasy – tłumaczył swoim żołnierzom sierżant Okoń.

– Czyli że taka ona dobra? – zażartował strzelec Palacz z Mosiny.

– Taka ona trudna. Kto z was sam robił kielbasę na świniobiciu, ten wie, ile trzeba mieć wprawy, żeby mądrze nałożyć mięsa do środka. No kto z was robił kielbasę, a kto ino patrzył i się oblizywał, jak rzeźnik się męczył?

Większość jego ludzi to byli chłopci z podpoznańskich wsi. Wszyscy z doskonałym doświadczeniem bojowym z wielkiej wojny i powstania, świetnie obeznani z żołnierską robotą. Okoń zdawał sobie sprawę, że jeżeli chciało im się coś przekazać, trzeba było odwoływać się do realiów, które znali.

– No jak? – zdziwił się starszy strzelec Krawczyk z Wolsztyna.
– Kielbasę to my wszyscy robili.

– Wszyscy może i robili albo widzieli, jak się robi – zgodził się z nim Okoń. – Ale najpewniej to wszyscyście taką kielbasę jedli. Choć teraz po waszych chudych brzuchach widać, jakbyście jeszcze nigdy nie próbowali dobrej kielbasy z Poznania.

Odpowiedziało mu kilka dość niemrawych uśmiechów. Żarty z jedzenia w ostatnim czasie były nie na miejscu. Dywizja była w odwrocie już dwudziesty ósmy dzień i nie zapowiadało się, że w najbliższym czasie ta sytuacja może się zmienić. Żołnierze byli głodni i wymęczeni, ale nikt z nich nie myślał o tym, żeby się poddać mimo bolszewickiej propagandy sypiącej się z nieba. Wczoraj nad kolumną przeleciał samolot, z którego pilot zamiast bomb wyrzucił ulotki namawiające żołnierzy do złożenia broni i przyłączenia się do robotniczo-chłopskiej armii bolszewickiej, która chce wyzwolić robotników i chłopów całego świata spod kapitalistycznego ucisku.

Droogie bratia, polscy żołnierzy chłopci-robotniki.

Rzucajcie swoją broń. Panów oficerów stawiajcie pod mur i rozstrzelujecie bez litości, a potem przechodźcie do nas z rękami w górze. Powitamy was u nas jak braci. Dostaniecie od nas chleb, sól i wodę i karabiny do ręki i współ z nami, towarzyszami z bolszewickiej Rosji, ramię w ramię pójdjecie wyzwalać swój kraj spod pańskiego buta. Rabotnicy i chłopi polskiej pańskiej armii, damy wam jedzenie i picie i przymiemy jak bratów.

Żołnierze bardzo szybko wyzbierali kartki, ale nie z powodu treści. Tę obśmiali natychmiast, szydząc z prymitywnej propagandy i ordynarnych błędów w pisowni. Ale pozbierali je i poupychali w kieszeniach i plecakach.

– Na co wam te ulotki? – zapytał Okonia zdziwiony Fischer, widząc jak ten pakuje całą ich garść do chlebaka.

– No jak to, panie poruczniku? Przecież szkoda, żeby się po polach walały. Papier dobry, to się przyda. W sam raz do dupy! Bo ile można się trawą podcierać.

No a poza tym z tego cienkiego papieru można było robić skręty, bo wiadomo, że żołnierz na wojnie może nie mieć co jeść, ale bez palenia nie wytrzyma.

Okoń był człowiekiem praktycznym, więc praktyczne przykłady lubił najbardziej, a technologię wyrobu kiełbasy znali wszyscy i taki przykład mógł do nich dobrze przemówić.

– No to jak już napchacie mięsa do maszynki, a z drugiej strony nałożycie flak i zaczniecie powoli kręcić korbą, to mięso będzie powoli wchodzić do środka flaka i wypełniać go równo. I trzeba to robić dokładnie i powoli, bo jakby to robić za szybko, to co by się stało? No, Krawczyk, ty na pewno wiesz, boś już niejedną kiełbasę zrobił.

Zadowolony z pochwały żołnierz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jakby za mocno pchać, znaczy korbą kręcić, toby się za dużo napchało na raz i flak by pękł, i mięso wyleciało. Czyli robota na marne. Trzeba pchać równo i delikatnie.

– No właśnie. I wy wszyscy to wiecie, że jak się jaką robotę robi za szybko i bezładnie, to zawsze jest do niczego, bo byle jaka praca w gówno się obraca. No to teraz se wyobraźcie, że ta maszynka do mięsa to jest nasz most, co my jego trzymamy. I przez ten most, znaczy przez naszą maszynkę, musi przejść nasza cała dywizja i jeszcze te wszystkie biedne łachudry z innych rozbitych oddziałów. Jakby się za szybko to towarzystwo pchało w tą wąską rurę, to co by się stało?

– Flak by się rozerwał! – zawołał strzelec Palacz.

– Właśnie o to się rozchodzi. I tak to jest, panowie, że kacapy, co za nami idą, chcieliby wyrwać nam z ręki tę korbę, co my nią kręcimy powoli i miarowo. I jakby wyrwali, toby nią zakręcili i wszystko by nam się rozsypało, a tabory, konie i ludzie by się przemielili na miazgę. A nam się rozchodzi o to, żeby pod Warszawą mieć nie poznańską miazgę, ale porządnie ubitą i gotową kiełbasę z Poznania. Dlatego nie możemy pozwolić, żeby nam jaki bolszewik brechtał w naszym świniobiciu. I wiecie co, panowie? My im musimy tu, na tych przedpolach, przed tym mostem, zrobić ich własne świniobicie. Wyrzniemy wszystko, co tylko będzie chciało podejść bliżej. A jak już wszyscy nasi przejdą przez ten most, spokojnie zabierzemy nasze rzeźnicze noże, przejdziemy na drugą stronę i wysadzimy most w powietrze. No i co, jak się panom ten plan podoba?

– Jak tak, to zobaczą, jaką im tu rzeźnię przygotowują rogate diabły! Jebać Ruskich! – zawołał starszy strzelec Krawczyk, a kilkudziesięciu jego kolegów z trzeciej kompanii, siedzących na poboczu drogi, po której toczyły się wolno dywizyjne tabory, podchwyciło butny, pełen pogardy dla wroga okrzyk.

– Trzecia kompania, taścić dupy w górę. Idziemy zająć pozycje! – zawołał sierżant Olkiewicz, który nie był tak wygadany jak Okoń i nie potrafił tak dobrze tłumaczyć żołnierzom, co mają robić.

On za to doskonale sprawdzał się w dowodzeniu podczas walki, bo nigdy, nawet pod silnym ostrzałem, nie tracił głowy. Wiedział też, jak rozlokować swoich ludzi w obronie, dlatego nie lubił tracić czasu na takie pogawędki i wolał zająć się konkretną robotą.

– Musiałeś o tej kiełbasie gadać? – zapytał Okonia, gdy odeszli na bok.

– A co, nie lubisz kiełbasy, takiej prosto ze świniobicia, świeżo parzonej?

– Ady już mi nic nie gadaj. Teraz już o niczym innym nie będę myślał, ino o tej kiełbasie.

– I o to właśnie się rozchodzi. Oni wszyscy będą myśleć o kiełbasie. I ja też. I dlatego tą naszą robotę wykonają najlepiej, jak potrafią, myśląc o świniobiciu, jakie zrobią w domu na ich cześć po powrocie.

– I dlatego tu też urządzają świniobicie. Ty to masz ten łeb nie od parady – pochwalił go Anastazy.

– I dlatego wiem, że musimy tu wytrzymać i dać szansę naszym, żeby przeszli na drugą stronę.

Wytrzymali i dali szansę. Dywizja się wycofała, a wraz z nią cała rzesza maruderów i rozbitków z innych jednostek. Utrzymali przyczółek mostowy do późnej nocy i wycofali się przed samym świtem. Ostatni przez most przeszedł Okoń, czekając, jak długo się dało, i wypatrując, czy aby ktoś jeszcze się nie nawinie do przejścia. Gdy był już pewny, że nikogo nie widać w pobliżu, przeszedł na drugi brzeg i sam odpalił lont podłączony do ładunków wybuchowych zainstalowanych pod przęsłem.

Teraz przez chwilę poczuł się tak jak wtedy na moście, sam na sam ze sobą, ostatni żołnierz wypełniający zadanie. Był zdany tylko na siebie, a jego wróg ukrywał się gdzieś, jak ci bolszewicy wśród drzew i nadrzecznych zarośli. Musiał więc ruszyć do ataku.

Wybiegł z ulicy Wrocławskiej, skręcił w prawo i po chwili był na placu Świętokrzyskim. Przystanął i zaczął się rozglądać. Spóźnieni przechodnie przemierzali tę wielką przestrzeń, w której łączyły się rozciągnięte ramiona ośmiu ulic. Naraz dostrzegł dwóch policjantów patrolujących miasto.

– Ej, wy dwaj! – zawołał i machnął na nich. Odwrócili się i naraz na ich obojętnych dotąd twarzach pojawił się wyraz zdumienia. – Uciekał tu jeden taki w palcie i melonie? No dalej! Coście tak zaniemówili?

Ten starszy, z jedną belką na pagonach, szybko zareagował, tak jak powinien to zrobić policjant na służbie. Zdjął z ramienia karabin, odbezpieczył go i wycelował w kierunku Okonia. Ten niższy zrobił dokładnie to samo.

– Połóż się na chodnik i ani słówka, bo odstrzelę ci łeb!

– I rzuć ten pistolet, bo będziem strzelać – zawtórował mu młody nieco zbyt wysokim głosem.

W tym momencie Okoń uświadomił sobie, że cały czas trzyma w dłoni swojego lugera i to nim wymachiwał w kierunku policjantów. Nie ma co, potrafili zachować zimną krew, tak samo jak moi żołnierze, pomyślał. Przez sekundę poczuł nawet dumę z tych młodziaków. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że jeśli któryś z nich się wystraszy, to już jest po nim. Odstrzelą mu łeb i już będzie po Władku Okoni. Dlatego zrobił, co mu kazali. Rzucił pistolet, podniósł ręce i powoli uklęknął na obu kolanach.

– Czemu żeś chciał zastrzelić tego człowieka, co uciekał? – zapytał starszy szeregowy.

– Bo to jest bandyta, co właśnie przed chwilą wbił sprężynowy nóż w brzuch przodownika policji Anastazego Olkiewicza. Dlatego chciałem go złapać.

– He, he, he! Dobrze znamy takich cwaniaków, co chcą policję wprowadzić w błąd. A możeś to ty chciał właśnie zabić policjanta?

– To pomyłka, ja jestem z policji. Ścigam groźnego przestępcę...

– Ani słowa więcej. Kładź się i pokaż jakiś dokument!

Wiedział, że dyskusja jest bezcelowa. Musiał ich przekonać ostatecznie i nieodwołalnie.

– Dobra, w prawej kieszeni kurtki mam policyjną blachę. Mogę ją wyciągnąć?

– Wyciągaj.

Włożył rękę do kieszeni i zaraz wymacał zimny, okrągły znaczek, przypięty do krótkiego skórzanego paska, który w razie potrzeby można było szybko przypiąć do guzika na zewnątrz. Wyciągnął i pokiwał nim w powietrzu.

– Posterunkowy Dąbek, sprawdź go – polecił wyższy, cały czas mierząc do Okonia. Niższy opuścił broń, podszedł bliżej i przez chwilę wpatrywał się w blachę.

– I co? – zapytał jego kolega.

– Wygląda jak prawdziwa, ta blacha, ale ciemno jest...

– Ja pierdolę, nie ma czasu na ksiuty[41]. Jestem przodownik Okoń z grupy pościgowej od komisarza Fischera. Bandyta właśnie ranił nożem moją koleżkę, który leży na ulicy i się wykrwawia, a wy mnie tu trzymacie pod bronią!

Widać ten wybuch i nazwisko znanego wśród wszystkich poznańskich policjantów oficera sprawiły, że obaj poczuli wątpliwości. Młodszy szybko się schylił, podniósł leżącego na

chodniku lugera, otarł go rękawem i jeszcze na wszelki wypadek nań podmuchał, po czym podał go Okoniowi i stanął na baczność. Jego kolega opuścił karabin do nogi i zasalutował.

– Starszy posterunkowy Glapa Józef melduje się na rozkaz. Melduję, że podbiegł do nas taki jeden, taki okularnik w palcie i meloniku, i powiedział, że go goni jeden wariat z bronią, i uciekł.

– Gdzie pobiegł?

– Złapał dryndę, co akurat jechała, i pojechali tam. – Glapa wskazał ulicę Podgórną.

– Za mną! – zakomenderował przodownik i ruszył biegiem. Młodzi policjanci podążyli jego śladem.

Godzina 11.55 w nocy

Nie tak miało to wszystko wyglądać. Najwyraźniej pokpił sprawę. Co mu powiedział ten Niemiec? Że ma spokojnie siedzieć w domu i czekać, bo w ciągu dwóch najbliższych dni będą wystawione na niego dokumenty i będzie mógł na niemieckim paszporcie przekroczyć granicę jak najbardziej legalnie jako obywatel Rzeszy Niemieckiej. Ale nie wytrzymał, musiał iść na kurwy. A jak się idzie na dziewczynki, to wiadomo, że się człowiek napije. No i być może dlatego właśnie go namierzyli. Bo gdyby siedział w chacie i nosa z niej nie wystawiał, to pewnie mogliby go szukać jeszcze rok albo i dłużej. A on w tym czasie już dawno byłby w tej Ameryce. Miał obiecany paszport, pieniądze i bilet na statek do Nowego Świata, ale nie usiedział w domu i wyszedł. Jednak kto by nie wyszedł, mając w kieszeni dwieście złotych zaliczki. Trzeba

było coś z tymi pieniędzmi zrobić, bo w końcu złotówki nie będą mu już do niczego potrzebne. Jutro czy pojutrze będzie miał kieszonkę pełną dolarów. Oczywiście pod warunkiem, że go nie złapią. Choć było blisko. Ten pierwszy, co go zaszedł od tyłu, był łatwym przeciwnikiem. Trzeba było go tylko zaskoczyć, co też się w pełni udało. Jeden szybki cios w brzuch i człowiek jest niezdolny do jakiegokolwiek wysiłku. Wiedział dobrze, jak to wygląda, wszak na wojnie niejednemu wsadził w bebechy bagnet. Tutaj zabrakło czasu, bo powinien jeszcze się raz odwinąć i przejechać mu po szyi. Gdyby tylko miał chwilę, tamten byłby już całkowicie sprawiony, bo tętnica szyjna przecięta nożem to pewna śmierć. Ale nie było czasu na zabawę. Trzeba było uciekać, bo był jeszcze ten drugi. Na szczęście okazał się marnym strzelcem. Jedna z wystrzelonych za nim kul tylko przeszła po ramieniu i rozerwała mu rękaw płaszcza, przypalając skórę.

Gdy wbiegł na plac Świętokrzyski, niemal wpadł na dwóch policjantów. Na szczęście miał na tyle oleju w głowie, że zareagował właściwie. Powiedział im, że goni go jakiś szaleniec z pistoletem. Nim zdążyli się zdziwić, już odjeżdżał w dorożce, która akurat skręciła z ulicy Strzeleckiej. Siedząc wygodnie na miękkiej kanapie, mógł teraz przez chwilę zastanowić się, co dalej.

– To dokąd, panie, jechać? – Dryndziarz odwrócił się i spojrzał na niego w blasku latarni elektrycznej, których długi rząd zdobił ulicę Podgórną.

– Jedź pan przed siebie, na razie na plac Wolności, a potem powiem gdzie...

– A może szanowny pan sobie winszuje panienkę jaką? Znam kilka niezłych. – Powiedziawszy to, woźnica uśmiechnął się obleśnie.

- Ja tam w takich z ulicy to nie gustuję - rzucił, bo wcale nie miał ochoty na damskie towarzystwo. Już zresztą dziś nadużył nawet uroków pewnej dziewczynki do tego stopnia, że dla świętego spokoju za to, że uderzył ją kilka razy niechcący w twarz, musiał jej zapłacić dodatkowo dwadzieścia złotych. Nie chciał, ale wielki cerber z burdelu, do którego ta dziwka poleciała na skargę, wyrwał mu portfel, odliczył z niego kwotę kary, a potem powalił go jednym ciosem w splot słoneczny, odbierając na chwilę oddech i zdolność myślenia. Jeszcze teraz czuł ból podczas oddychania. Ale wtedy w tym burdelu niedaleko Jeżyckiego Rynku odpłacił mu pięknym za nadobne. Kiedy ten pochylił się i chciał go podnieść, by wyrzucić na schody, on wyciągnął z kieszeni nóż i dziabnął go w udo. Wykidajło zawył jak ranny dzik, a on, poderwawszy się z podłogi, pchnął go jeszcze raz w bok, po czym najspokojniej w świecie wyszedł z lokalu, obiecując sobie, że już nigdy jego noga tam nie postanie.

- A kto szanownemu panu powiada, że o jakąś ulicznicę się rozchodzi? Ja mam tylko dowóz do najlepszych panienek, czystych i pachnących, co do łaźni chodzą przynajmniej raz na tydzień. Dlatego można z nich korzystać do woli. A jedną to mam miód-malina, bo dla lepszych gości, tak mi się widzi w sam raz dla szanownego pana. Niech se pan szpycnie. O, zaraz zatrzymam dryndę pod latarnią, żeby pan se mógł zobaczyć, jaka to cud-dziewica.

Widać musiał na poważnie zajmować się rajfurzeniem, bo wyciągnął spod kozła plik fotografii, wybrał jedną i podał pasażerowi. Ten wziął ją w rękę i korzystając ze światła latarni oświetlającej wejście do Muzeum Narodowego, zlustrował uważnie. Przedstawiała nagą piękność spoczywającą na szezlongu w pozie greckiej bogini, o czym świadczyć miał

jedyny element jej stroju, czyli wieniec laurowy na głowie. Za dziewczyną stała grecka kolumna zamykająca pionowym akcentem całą kompozycję. Odwrócił zdjęcie na drugą stronę. Odręczny napis informował, że panna Helena Trojańska przyjmuje panów na intymne seanse i pokazy wdzięków połączone z masażem odprężającym codziennie w swoim buduarze przy ulicy Święty Wojciech.

– Nienajgorsza całkiem ta Helena – stwierdził pasażer i oblizał wargi. – Właściwie to i tak nie mam nic do roboty, a do chaty mi się nie śpieszy.

– Co tam niezła? Ona jest najlepsza, tylko dla panów z dobrego towarzystwa. Na byle łachudrę to nawet nie splunie, ale na szanownego pana to polecą jak mucha do miodu.

– A droga jest? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek.

– Zależy jak dla kogo, ale jak patrzę na pana szanownego, z pana człowiek dostatni, to będzie tyle, co kot napłakał. Nawet pan nie odczujesz wydatku, za to sama satysfakcja i radość, że pan szanowny jeszcze nie raz do niej się wróci. Taka jest ta Helena Trojańska, że palce lizać.

– No to jedź pan... – przerwał, bo naraz gdzieś z tyłu, od Podgórznej, z której przed chwilą wyjechała ich bryczka, wytoczyła się kolejna drynda i właśnie z niej padł strzał głośny jak huk armatni. Jego echo poniosło się po pustych ulicach i odbiło od ścian kamienic stojących tu wszędzie w ciasnych i wysokich rzędach.

– Łe jery, ady ktoś tam strzela! – krzyknął przestraszony dorożkarz.

– Jedź pan! Dalej, ruszaj!

– Ale przecie...

– Jedź, do cholery!

W dłoni pasażera pojawił się naraz rewolwer browning. Machnął nim przed nosem dryndziarza i ten już wiedział, że

sprawa jest poważna. Strzelił batem nad końskim zadem i młody wałach ruszył z kopyta. Bryczka potoczyła się rażno naprzód i wtedy padł kolejny strzał.

– Stać, policja! – Usłyszeli głos za sobą.

W pierwszym odruchu woźnica chciał się zatrzymać, ale lufa rewolweru wbita w plecy sprawiła, że dokonał najwłaściwszego w tej chwili wyboru. Gdy wóz toczył się w dół ulicy, pasażer przyklęknął na kanapie i wychyliwszy się, wymierzył w dorożkę podążającą jego śladem. Dostrzegł w niej dwóch umundurowanych policjantów z karabinami w dłoniach i jeszcze jednego mężczyznę w cywilu. Na woźnicę nie zwrócił najmniejszej uwagi. Naprowadził muszkę na największy cel i pociągnął za spust trzy razy. Wtedy zdarzyło się coś, co dotąd widywał tylko w filmach, bo jeszcze nigdy nie dane mu było ujrzeć konia, który w pełnym biegu uniósł najpierw prawą nogę, potem lewą, ale tej prawej nie zdołał już wyprostować. Zwierzę zważyło się na kolana, a potem jak w zwolnionym tempie uderzyło łbem w bruk, by zaraz przewrócić się na bok. Siła tego upadku była tak wielka, że porwała za sobą dwa dyszle, do których koń był zaprzężony, a za dyszlami poleciała dorożka. Pojazd przewrócił się na bok, a z jego wnętrza jak pluszowe lalki wysypali się ludzie, upadając na ręce, plecy i nogi, by potoczyć się w kierunku chodnika.

– Skręcaj pan w prawo, w prawo, na plac Sapieżyński, szybko!

Dorożkarz zwolnił nieco przed zakrętem, by i jego wóz nie przewrócił się na bruku, co sprawiło, że przez moment ustawił się prostopadle do Alei Marcinkowskiego, na której przed chwilą doszło do katastrofy. Ten moment wykorzystał policjant Dąbek. Posterunkowy upadł na tyle bezpiecznie, że nic mu się przy tej wywrotce nie stało. Miał ponadto w rękach karabin. Gdy dorożka z bandytą skręciła, on wycelował jak na

strzelnicy, mierząc w głowę złoczyńcy. Nie był jednak zbyt dobrym strzelcem i często podczas ćwiczeń zdarzało mu się, że jego kule zносиło w prawo. I tak było tym razem. Chciał trafić przestępcę, ale strzał niemal zmiotł z kozła woźnicę. Dorożka potoczyła się jeszcze kilka metrów i zatrzymała w miejscu niewidocznym dla ścigających, zasłoniętym przez narożny gmach poczty. Bandyta, niewiele się zastanawiając, zeskoczył z kanapy pasażerskiej i jak mógł najszybciej, pognął w kierunku placu Sapieżyńskiego.

– Żyje pan, panie przodowniku? – policjant Glapa potrząsnął ramieniem Okonia. Ten otworzył oczy i popatrzył na chłopaka nieprzytomnym wzrokiem.

– Co się dzieje?

– Wypadliśmy z dryndy. Ten bandyta zabił nam konia.

– Nie wam zabił, tylko mi! Mojego kasztanka zabił pierdolony! Z czego ja teraz będę żyć? No z czego? Mój biedny konik. A taki był piękny i mądry. Gdzie ja takiego drugiego dostanę? Nie dostanę nigdy. I skąd weznę bejmy na nowego, jak ja ledwie koniec z końcem wiązę? O, ja nieszczęsny...

– Jakiej dryndy, do cholery? – Okoń nadal nie wiedział, w czym rzecz.

– Ścigali my bandytę, co pana kolegę przejechał nożem...

– A, Olkiewicza. Co z nim?

– My nie wiemy, my ino z panem w tej dryndzie...

– O, ja biedny, o, ja nieszczęśliwy. Mój kasztanek zabity. Kto mi zapłaci...

– Bądźcie cicho, ojciec. Policja wam zapłaci odszkodowanie, boście w policyjnej akcji brali udział – pouczył go Glapa, choć nie miał żadnej pewności, że tak jest naprawdę. – Prawda, panie przodowniku, że będzie odszkodowanie?

– Prawda – potwierdził Okoń, trzymając się za rozbitą głowę. Z rany na czole krew spływała mu szerokim strumieniem,

zalewając oko.

– A co z tym bandytą? – zapytał mundurowego.

– Uciekł na girach, bo dryndę my zatrzymali. Znaczy się Dąbek strzelił, ale bandyty nie dosięgła kula, tylko dorożkarza, i to na śmierć. – On już taki jest, że jak co zrobi, to robi tyle, że nie dobrze, ale do dupy. Taki więcej Jonasz z niego.

– Cholera!

– Ale chciał dobrze... – próbował wytłumaczyć kolegę starszy posterunkowy.

Zupełnie niepotrzebnie, bo nie było przed kim tłumaczyć. Przodownik bowiem przymknął oczy, potem jego ciało zwiotczało. Chłopak pomyślał nawet, że to tak, jakby naraz ten solidny chłop stracił, nie wiedzieć czemu, kilka kilo żywej wagi.

Na chodnikach wokół dorożki naraz nie wiadomo skąd zaczęli pojawiać się ludzie przyglądający się zajściu. W końcu nie co dzień na jednej z głównych ulic miasta dochodzi do strzelaniny i zabicia konia dorożkarskiego. A poza tym ten widok był znacznie ciekawszy niż wszystko inne dookoła, znane miejscowym tak dokładnie, że nie było na czym zawiesić oka.

Z okna na pierwszym piętrze, z którego wychylała się zaciekawiona ulicznymi hałasami gruba kobieta w papilotach na głowie, wyływały delikatne dźwięki muzyki jazzowej nadawanej przez poznańskie radio wprost z sali dancinowej. Piosenka Cole'a Portera *Love for sale* była na tyle nowa, że jeszcze nie stała się jazzowym standardem.

[35] Uśłomprac (gwar.) – pobrudzić.

[36] Kluber (gwar.) – nos.

[37] Sznupa (gwar.) – twarz.

[38] Piosenka wojskowa, autor nieznany.

[39] John Montagu, czwarty hrabia Sandwich (1718–1792). Brytyjski arystokrata i polityk, pierwszy lord Admiralicji i minister północnego departamentu. Uważa się, że jako niezbyt sprawny szef marynarki brytyjskiej przyczynił się do zdobycia niepodległości przez Stany Zjednoczone. Przypisuje mu się wymyślenie sandwicz.

[40] W lipcu 1920 r., gdy rozpoczęła się sowiecka ofensywa, dywizja zmuszona była przeprowadzić odwrót z Bobrujska szosą słucką na dawne okopy niemieckie. Jednostki cofały się od 50 do nawet 75 km dziennie! Na szczególną uwagę zasługuje mało znana bitwa pod Janowem Podlaskim. Sowieci sforsowali Bug i wyszli na tył 14 WDP. Wojska Wielkopolskie rozpoczęły marsz na Gnojno, Stary Bubeł i Łukowiska, aż 4 sierpnia zajęły Janów Podlaski i wyrzuciły sowietów za Bug. 6 sierpnia jednostki otrzymały jednak rozkaz odwrotu do szykującej się bitwy warszawskiej. Bitwa ta spowolniła marsz 16 Armii Nikołaja Sołłohuba na Warszawę, zadała jej wiele strat, a także wyczerpała zużycie amunicji, co w konsekwencji miało duży wpływ na morale i waleczność tej jednostki podczas kontrofensywy znad Wieprza.

[41] Ksiuty (gwar.) – sprawy mało istotne.

Rozdział VI

Piątek
25 kwietnia

Godzina 4.20 rano

Szyper Marceli Puchacz splunął do wody, bo na pokład nie było można. Każdy szanujący się marynarz wiedział, że to przynosi pecha. Trzeba więc było pluć tak, żeby nie zapeszyć. A bez plucia nie mogło się obejść, bo jak ktoś palił skręty, nie wsadzając ich do lufki, choćby najprostszej, szklanej, to musiał wypluwać te tytoniowe paprochy przylepiające się do ust i języka. Było to trochę uciążliwe i do tego jeszcze obrzydliwe, ale co było robić, jak się chciało palić.

Pochylił się i chwycił w dłonie długą, solidną deskę. Pociągnął ją ku sobie i zaczął powoli przesuwać do przodu, w kierunku betonowo-ceglastego nabrzeża. Tam stał już Stachu Zachciał, jego brodaty pomocnik i jednocześnie brygadzysta piaskarzy, zajmujący się organizacją pracy i zatrudnianiem ludzi pracujących na barce. Marceli Puchacz jako szyper i właściciel barki w te organizacyjne sprawy się nie wtrącał. Nie obchodziło go to w ogóle, bo najważniejsze było

wypłynąć rano na któreś z pobliskich zakoli warcianych w miejsce, gdzie leniwy nurt nanosił czysty piasek. Musiał tam podpłynąć i tak się ustawić, żeby można było w dogodny sposób dosięgnąć specjalnymi czerpakami dna, a potem sprawnie podnosić piach i nasypać go na dno barki. On w tym czasie miał wolne i siedząc na burcie, mógł sobie łowić ryby i popijać piwo. Dopiero po południu, gdy ładownie były już pełne czystego piachu, wyruszał w powrotną drogę do portu rzecznoego, by zacumować przy nabrzeżu, które od wypłynięcia piaskarzy było przez pół dnia jak wymarłe i naraz, w okolicach czwartej godziny, zapełniało się ludźmi. Piaskarze brali się wtedy do wywożenia piachu z barki taczkami i wysypywania go na stertę. Z tej kupy odbierali go pracownicy branży budowlanej, których wozy już od południa ustawiały się w długą kolejkę. Bo piasek był towarem bardzo potrzebnym na wszystkich budowach w mieście. Bez niego nie mogła się obejść dobra zaprawa murarska do spajania cegieł czy coraz bardziej popularny nowoczesny beton, którym zalewało się różnego rodzaju konstrukcje. Każda ilość wydobytego przez kilkanaście barek z dna rzeki piachu była natychmiast wchłaniana przez miasto. Poznań z powodzeniem był w stanie przyjąć jeszcze więcej.

Owszem, można było dostać piach przywożony do miasta z okolicznych zwirowni. Jednak ten nie był tak bardzo ceniony przez fachowców, jak czysty i bardzo miękki piasek z dna rzeki, idealnie wprost wypłukany przez wodę. Skoro było zapotrzebowanie, barki wypływały codziennie o świcie i dzięki temu kilkuset bezrobotnych miało tu zapewnioną dorywczą robotę. Przychodzili na nabrzeże jeszcze po ciemku, wyczekując na okazję. Szyprowie, którzy zazwyczaj spali przez cały sezon, od wczesnej wiosny do późnej jesieni, w specjalnych kajutach na swoich barkach, o świcie zaczynali

się krzątać, sprawdzać wszystko, co było potrzebne do wypłynięcia, a ich pomocnicy na brzegu mustrowali załogę.

– Pochwalony, Marceli – zawołał Stachu, przykładając dłoń do kaszkietu.

– Na wieki wieków, Stachu. A jak tam zdrowie?

– Bardzo dobrze, bom wczoraj nawet nie poszedł do gospody. Jakoś mnie się odechciało piwa.

– He, he! Jak się ma młodą żonę, to człowiek myśli ino o tym, żeby jej pod pierzynę wskoczyć, a nie o piwie z kolegami. Ale to przejdzie.

– Co niby przejdzie?

– No to ruchanie codziennie. He, he, he!

– Ady tam, jakie ruchanie!

– No a co ty, Stachu, se myślisz, że jak ja na barce śpię, to nie wiem, w czym rzecz? Na początku to chłop by co dzień swoją babę obracał, a później myśli, jak by co dzień do gospody uciec, bo już mu się nie chce tych radości zażywać.

Przesunął deskę w przód, potem, stanąwszy na krawędzi szerokiego pasa biegnącego wzdłuż burty, podniósł ją, ustawił na sztorc, by po chwili puścić. Poleciała jak most zwodzony w dół i plasnęła o beton nabrzeża, tuż obok nóg Stacha. Ten tymczasem naburmuszony zastanawiał się, ile Marceli ma racji w tym, co mówił, bo wcale mu się to nie podobało. W swoją niedawno poślubioną Jadźkę patrzył jak w obrazek i nie spodziewał się, żeby kiedykolwiek zabrakło mu ochoty na ich wspólne figle w łóżku. Może to przyjdzie za jakiś czas, jak się pojawią dzieciaki. Kto wie, czy wtedy nie będzie chciał wyjść od czasu do czasu na piwo do Okonia. Ale na pewno będzie wracał do domu każdej nocy. Na szczęście nie jest właścicielem barki i nie musi tak jak Puchacz siedzieć na niej przez większość roku, by pilnować, żeby mu jej nie ukradli. Szyper przecież też miał żonę i dzieciaki, ale odkąd dorobił się

tej swojej pięknej łajby, musiał zmienić styl życia i dać się do niej przywiązać. Ciekawe, czy gdyby jej nie miał, też by był taki mądry. Może tylko tak gadał, żeby sobie z niego zrobić szyderę? W każdym razie postanowił, że nie da się wciągnąć w jałowe pogaduchy.

– Pogoda powinna być ładna – zwrócił się do Puchacza, zmieniając temat. Ten splunął do wody i spojrzał w jaśniejące gdzieś tam daleko, za Ostrowem Tumskim i przysadzistymi wieżami katedry, lekko różowe niebo.

– No byle nie padało, bo robota będzie do dupy.

– Chmury nienabrzmiałe, to i na deszcz się nie zanosz – stwierdził Stachu.

Praca w deszczu przy wybieraniu piasku nie była tak wydajna jak przy dobrej pogodzie. Raz, że ludzie przemoknięci pracowali gorzej i przede wszystkim wolniej, a dwa, że piach wydobyty z dna, już i tak mokry, wilgotniał jeszcze bardziej, tak że barka szybko się napełniała piaskiem pomieszany z wodą. Dlatego kończyło się robotę szybciej, a zysk był zdecydowanie mniejszy.

– Dawaj tych zuchów! – Puchacz wskazał na grupkę piętnastu mężczyzn stojących nieopodal w oczekiwaniu na pozwolenie wejścia na pokład. Nikt bowiem samowolnie na barkę wejść nie mógł. Zezwolić na to musiał jej właściciel.

– No dalej, lenie, pan szyper zaprasza – zawołał brygadzysta.

Piaskarze nieśpiesznie zaczęli rzucać niedopałki do wody, a przekleństwa w powietrze, by po chwili znaleźć się przy trapie. W większości byli to bezrobotni szukający jakiegokolwiek zajęcia, byleby tylko coś zarobić. Przy piachu nie zarabiano się kokosów, ale przynajmniej był to zarobek pewny i codzienny, bo szyprowie płacili każdemu dniówkę, której wysokość określano już przy werbunku. Gdy na nabrzeżu pojawiał się Stachu, kilku znających go ludzi od

razu podchodziło do niego, by zgłosić swoją chęć do roboty. Miał już taką pewną dziesiątkę tych, co z nim pracowali od kilku lat. Pozostałych pięciu wybierał z grupy nowicjuszy. Dziś też było całkiem sporo nowych. Takich, których by nikt nigdy nie posądził, że mogą się nadać do jakiegokolwiek roboty, a tym bardziej piaskarskiej. Wziął tych, którzy wyglądali najsolidniej.

Przepuścił przodem dziesięciu starych wyjadaczy i zatrzymał przed trapez pierwszego z nowych.

– Słuchajcie, pracujemy na wodzie mniej więcej do trzeciej. Potem wracamy na nabrzeże, gdzie się piach sprzedaje na pniu. A jak już sprzedamy, to dostaniecie wypłatę dniówki, tak jak żeśmy się umawiali na trzy złote. Ci, którzy weszli przed wami na pokład, robią u nas stale, to jakby co było niejasne, zawsze pytajcie się tych starszych albo mnie. Pana Szypra o nic nie pytać, bo i tak nie odpowie. On się takim sprawami nie zajmuje i obchodzi go tylko ta łajba i woda. No to co, jakie pytania macie?

– A to o której tak mniej więcej skończymy robotę? – zapytał jakiś wysoki blondyn wyglądający na zredukowanego urzędnika fabrycznego.

– Jak będzie koniec, to skończymy. Ale o szóstej po południu to mu już mamy fajrant.

– No to będzie ponad dwanaście godzin – rzucił stojący obok blondyna, niższy od niego o głowę mężczyzna z pokaźnym wąsem, dzięki któremu wyglądał jak suseł.

– Jak się nie podoba, to nikt siłą nie zmusza.

– Ale zgodnie z dekretem z osiemnastego roku w Polsce obowiązuje ośmiogodzinny dzień pracy – twierdził ten wysoki.

Stachu z niedowierzaniem spojrzął na niego.

– Jak ty się nazywasz?

– A co to ma za znaczenie?

– No powiedz jak?

– Bednarek Kazimierz

– No to słuchaj, Bednarek, nie wiem, czy ty wiesz, że my tu mamy dekret o tym, że jak kto robi bolszewicką propagandę, to my jego zaraz na policję mamy podać. To jak ty będziesz tu ludzi pracy podburzał, to my się zaraz zgłosimy do najbliższego parolu i za sianie bolszewizmu wsadzą cię do Wronek.

– Kiedy ja tylko chciałem zwrócić uwagę na aspekt prawny...

– W dupie mam aspekty prawe i inne lewe. Bierzesz się do roboty i mordę na kłódkę albo ciągnij mi stąd w podskokach.

Agitator spuścił wzrok i bez zbędnego gadania ruszył trapem na barcę. Pozostali czterej raczej nie ulegli agitacji, bo poszli za nim. A Stachu postanowił, że bacznie mu się przyjrzy podczas roboty i raczej już go więcej do piachu nie weźmie. Bo po co mu kłopoty? Tak naprawdę musiałby jeszcze dziś zameldować na policji, że pojawił się taki jeden, co chciał ludzi podburzać swoją bolszewicką gadką. Ale nie bardzo mu się chciało łączyć na komisariat i tracić czas na podpisywanie jakichś protokołów. Najlepiej więc będzie o wszystkim zapomnieć. Trzeba mieć tylko nadzieję, że nikt z tych, co słyszeli tę rozmowę, czyli z tych czterech pozostałych nowych, nie jest policyjnym szpiclem. Swoich starych pracowników mógł być pewien, bo nie raz już żartowali sobie z marszałka i innych polityków rządowych i to w sposób dość niewybredny, jak choćby ostatnio, gdy Kuśnierek, były marynarz, a obecnie jego najbardziej zaufany piaskarz, zadał zagadkę:

– Jeżeli Rzeczpospolita to wielki burdel, konstytucja to prostytutka, a posłowie to kurwy, to kim jest Piłsudski?[\[42\]](#)

Nikt nie odpowiedział, a wszyscy spojrzeli wyczekująco na Kuśnierka.

– To on jest burdelmama! – wyjaśnił i zaczął sam się rechotać.

Ale widać dowcip się spodobał, bo piaskarze zawtórowali mu głośnym śmiechem. Wtedy na barce wszyscy słuchający dowcipu byli swoi i pewni, więc nie trzeba się było bać, że ktoś doniesie. Ale teraz tych pięciu nie znał wcale. Może ten wysoki to wcale nie bolszewik, ale prowokator policyjny? I teraz to on zamelduje na mnie? A jak kto inny jest szpiclem i słyszał agitatora Bednarka, i doniesie na niego, że agitował, i na mnie, że nie doniosłem, myślał Stachu, ściągając cumę z żelaznego pachotka. Odebrał ją jeden z piaskarzy na barce. Pobiegnął szybko do cumy rufowej, zdjął ją i...

Już chciał rzucić, gdy naraz jego oczom ukazał coś dziwnego. Coś tam pływało w wodzie między burtą a ceglanym murem nabrzeża.

– No rzucaj – zawołał piaskarz Wrona, widząc, że Stachu zastygł jak słup soli. Przyjrzał mu się uważnie, a potem spojrział w dół, tam gdzie patrzył szef.

– Kurwa, tam ktoś pływa!

– Ludzie, tu jest topielec! – Stachu wreszcie oprzytomniał. Dawać bosaki i sieć, musimy go wyciągnąć!

Szyper Puchacz zablokował ster i najszybciej, jak potrafił, przyskoczył do burty.

– To naprawdę jakiś utopiec! – wykrzyknął, ujrawszy szeroko rozłożone ręce, jakby dryfujący tam gość zastygł tylko na moment i za chwilę miał nimi ruszyć, by popłynąć gdzieś przed siebie. Ale nie ruszył.

Kilku mężczyzn z bosakami w dłoniach i tyczkami gruntowymi stanęło na szerokim obrzeżu burty. Sieć okazała się niepotrzebna. Topielec był co prawda dość ciężki, ale czterech piaskarzy zaczepiło zakrzywionymi częściami bosaków o ubranie i czym prędzej wciągnęło go na pokład. Ciało mężczyzny nieprzyjemnie plasnęło o deski. Szyper

podszedł bliżej i pochyliwszy się, zaczął uważnie przyglądać się twarzy.

– Ja jego nie znam. A ktoś z was go kiedy widział? – Wszyscy patrzyli, ale nikt nie rozpoznał topielca.

– Dobrze ubrany – zauważył Wrona.

– Pewnie bogacz jaki – stwierdził Kuśnierek, przyglądając się wełnianemu paltu z kołnierzem z karakułów. Gdyby go był sam odnalazł w tej wodzie, pierwsze, co by zrobił, to rozebrał truposza do naga, a rzeczy schował. Potem ewentualnie by zawiadomił kogo trzeba. Ale tu rozbierać się nie dało, bo za dużo ludzi. Więc mu szkoda było, ale co miał zrobić. Jak pech, to pech.

– Pewnie z miłości skoczył do wody – domyślił się Stachu, który jako człowiek szaleńczo zakochany wiedział, że dla miłości można zrobić wszystko. – To co z nim robimy? – zapytał szypra. Ten wzruszył ramionami.

– Trzeba go przede wszystkim przenieść na nabrzeże – zdecydował Puchacz. – Wy dwaj, weźcie go i tam połóżcie, na tej skrzyni – polecił.

– I co dalej? – chciał wiedzieć Stachu.

– Trzeba zawiadomić policję. – Puchacz znał się na tych sprawach, bo już niejednego topielca z wody wyciągnął i dlatego orientował się, że są określone procedury z tym związane. Gdyby to było gdzieś na rzece, to truposz poleżałby sobie do czasu, aż barka wróci do portu, i potem by się zgłosiło. Ale że to jeszcze przed wypłynięciem, to sprawa była całkiem inna.

– Ktoś musi tu z nim zostać i powiadomić policję, i powiedzieć, co i jak.

– To znaczy się, że my nie zostaniemy, aż policja przejdzie? – zdziwił się Stachu, który jeszcze nie znał wszystkich sposobów postępowania w awaryjnych sytuacjach.

– Jasne, że nie. My płyniemy do roboty, bo nam dniówka przepaść nie może. Ty zostaw tu jednego człowieka i niech on wszystko powie szkiełom.

Stachu skinął głową. To nie było głupie rozwiązanie. A i dodatkowo mógł w ten sposób załatwić pewien problem, który nie dawał mu spokoju.

– Ty, Bednarek – wskazał na agitatora – zostajesz z trupozsem. Jak przyjdzie policja, to powiesz im, co i jak.

– Ale...

– Chciałeś mieć krótki dzień pracy, to proszę bardzo. Tak ci się właśnie udało. No już, złaż na nabrzeże i pilnuj topielca!

Godzina 5.50 rano

– Ej ty, elegant, wstawaj już!

– Co?

– No dalej, podnoś się. Już koniec tego wylegiwania. Noc się skończyła. Ja już muszę wstawać i do łaźni iść...

– Cicho bądź!

– Co cicho! U siebie jestem, to mogę se być głośno, nie? No dalej, wstawaj.

– Jak już żeś się podniosła, to zrób lepiej jakie śniadanie.

– Co? Widział go kto? Jaśnie pan chce śniadanie. Może jeszcze mu do łóżka podać?

– No do łóżka to podać można co inszego, he, he. No chodź ino tu, Helena. Chodź i pokaż mi te ładne cycuszki.

– Zaraz ci pokażę. Figę z makiem ci pokażę. Najpierw zapłacić, tak jakżeśmy się umawiali. Za całą noc to będzie jeszcze dwadzieścia złotych. A jak już zapłacisz, to wtedy ... –

Wysunęła nogę spod czerwonego szlafroka i położyła mu stopę na brzuchu. Chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– No powiedz, Helena, że było ci dobrze.

– Puszczaj!

– Nie puszczę, póki nie powiesz, jak ci było. Dobrze czy nie?

– Dobrze. Puszczaj!

– Nie tak, bo to wymuszone. Powiedz mi, Helena, jak ci było?

– No dobrze. Bardzo dobrze.

– Tak jak z innymi?

– No coś ty! Pewnie, że lepiej.

– No to dobrze, bo wiesz, ja to umiem tak dogodzić kobiecie jak mało kto.

– No wiem przecież. – Pogłaskała go po brzuchu, a gdy poczuła, że wypuszcza z wielkiej łapy jej nogę, szybko zeskoczyła na podłogę.

Podeszła do okrągłego stolika, na którym stała otwarta butelka wódki. Przyniósł ją w nocy ten gość leżący w łóżku. Miał ze sobą jej zdjęcie, które, jak powiedział, dostał od dorożkarza, od tego jej sąsiada z parteru, Wantucha. Miała z nim sztamę od roku i oboje dobrze na tym wychodzili. On jej dowoził klientów, a ona odpalała mu dziesięć procent od każdego obsłużonego. Dzięki temu nie musiała wystawać na ulicy i mogła odgrywać rolę lepszej panienki dla porządnych gości. A Wantuch zarabiał każdej nocy nie tylko za kursy, ale jeszcze za wskazanie brał od gościa złotówkę, a od dziewczyny w zależności od sytuacji, ale najczęściej dwa złote od łebka. Wszystkim się więc opłacało i każdy był zadowolony, łącznie z klientami.

Ten, który przyszedł tej nocy, na pierwszy rzut oka wydał się jej człowiekiem majątnym, ale maniery miał zwyczajne, takie jak wszyscy, którzy mieszkali tu dookoła. Dlatego na samym początku powiedziała mu, że może liczyć na dobrą zabawę pod

warunkiem, że zapłaci jej z góry dwadzieścia złotych. No więc dał te dwadzieścia i powiedział, że dołoży jeszcze raz tyle, jeśli będzie mógł zostać do rana. Byłaby głupia, jakby się nie zgodziła. W końcu było już po północy, gdy do niej trafił, i wcale nie było pewna, czy jeszcze kogoś dorożkarz jej przywiezie. Także było trzeba brać, co dają.

No i efekt był taki, że facet leżał w jej łóżku i nie chciał się ruszyć, a poza tym był jej winien dwadzieścia złotych. Musiała się go jakoś pozbyć, bo była zmęczona. Ujeżdżał ją przez całą noc i dopiero jakąś godzinę temu udało się jej złapać trochę snu. Musiała więc odespać tę męczącą robotę, by wieczorem znów być świeżą i gotową do pracy.

Odsunęła butelkę na bok i sięgnęła po papierosa.

– No dalej, wstawaj, bo musimy się policzyć. Bo jak nie, to zawołam zaraz mojego...

– Dobra, już się nie unosz. Już ci płacę. Weź no włóż rękę do mojej marynarki. Do wewnętrznej kieszeni. Tam jest portfel.

Marynarka wisiała na krześle. Wydobyła portfel i zajrzała do środka. Wewnątrz natrafiła na jeden banknot, za to nie było jaki.

– Tu jest stówka tylko.

– Słuchaj, Hela, ja muszę u ciebie jeszcze trochę zostać.

– Co? Ale ja nie mogę, bo...

– Cicho bądź i słuchaj. Dzisiaj albo jutro wyjeżdżam. Ale muszę na razie gdzieś przeczekać do tego czasu. Weź tą stówę. Jest dla ciebie.

– Co?

– Piniądze za mieszkanie na dzień czy dwa. No i ma się rozumieć za... – Złapał się za krocze i wykonał dwa szybkie ruchy biodrami.

– No nie wiem, bo może...

– Nie gadaj nawet, że zarobiłabyś więcej, jakbyś miała klientów dziś i jutro. No chyba żeby stali tu na schodach do ciebie w kolejce. To co, chcesz zarobić czy nie?

– No... chcę.

– To pieniądze są twoje. Ale jeszcze coś...

– Niby że co?

– Pójdiesz do sklepu i kupisz co do jedzenia. Wiesz, chleb, kiełbasę i może jeszcze masło i ser. A do tego wódkę. Ze dwie flaszki najlepiej by było.

– A pieniądze?

– No przecie wzięłaś.

– To za nocleg i za przyjemności. Ale jedzenie kosztuje...

– Co za wyrachowana baba z ciebie.

– Gdybym nie umiała liczyć, to dawno bym z głodu zdechła.

– A niech cię diabli. Niech ci będzie. Weź no z kieszeni w spodniach, powinno tam być jeszcze trochę drobnych.

Rzeczywiście, kieszeń miał pełną monet. W sumie było tego ze trzydzieści złotych. Odliczyła dziesięć, a resztę zostawiła na stole.

– No dobra, pójdę. A powiedz mi, jak ty się właściwie nazywasz?

– Ja? – Spojrzał na nią, jakby w tym pytaniu było coś niestosownego. – Ja się nazywam... Wincenty, znaczy Wicek.

– To się odwróć, Wincenty, bo ja się ubieram.

Nie odwrócił się. Patrzył na nią zachłannym wzrokiem głodnego psa.

Helena Trojańska, czyli tak naprawdę Helka Jagódkówna, do Poznania przyjechała rok temu spod Kaźmierza. Dziewczyna wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, mimo że miała dopiero siedemnaście. Była brunetką o ładnie zaokrąglonych biodrach i kształtnych piersiach, wzrostu całkiem słusznego jak na kobietę, bo dochodzącego stu sześćdziesięciu centymetrów.

Patrzył na nią, jak wciąga grube pończochy, majtki, halkę i oblizywał przy tym spierzchnięte wargi.

– Nie gap się tak, bo od oskomy zęby się psują – rzuciła, wciągając przez głowę szarą, codzienną sukienkę, w której nie wyglądała wcale jak pani do towarzystwa, ale jak pomoc domowa albo posługaczka w składzie konfekcyjnym.

Włosy spięła skromnie w kitkę, narzuciła na głowę zieloną chustkę, wiążąc ją pod brodą, po czym włożyła proste sznurowane buty i płaszcz z szarego materiału.

– Teraz wyglądasz jak zwyczajny wróbel.

– Bo wróbelki są skromne, a ze mnie skromna dziewczyna jest za dnia. Wieczorem zmieniam się w rajskiego ptaka.

– Ha, ha, ha! Prawda, że tak mi było jak w raju. Wracaj szybko, najemy się, napijemy i idziemy do łóżka, bo już mi się tam wszystko podnosi.

– To daj psu do polizania, hi, hi!

Chwyciła wiklinowy koszyk i wyszła na korytarzyk prowadzący do wyjścia. Gdy była na schodach, pomyślała, że właściwie powinna zamknąć drzwi na klucz, bo jeszcze ten Wincenty może jej coś ukraść. A miała przecież w domu sporo pochowanych w różnych miejscach pieniędzy. Nie wierzyła w PKO, bo nie bardzo rozumiała, jak to jest możliwe, że jacyś obcy ludzie mogli zajmować się jej ciężko zarobionymi złotówkami. Dlatego w domu trzymała zwitki banknotów w mące, kawie i przede wszystkim w szafie bieliźnianej między prześcieradłami i poszwami.

Myśl o tych oszczędnościach, które miały być jej zabezpieczeniem na resztę życia, kiedy już rzuci to zarabianie w łóżku i kupi sobie sklep w swoich rodzinnych stronach, sprawiła, że podjęła decyzję. Na wszelki wypadek cofnęła się do drzwi, włożyła klucz do zamka i przekręciła go dwa razy.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże, pomyślała, schodząc w dół, zadowolona, że jednak pomyślała o zabezpieczeniu majątku.

Na parterze panował jakiś ożywiony ruch. Dziwni ludzie wchodzili i wychodzili z mieszkania dorożkarza Wantucha. Może tak tu było zawsze? Przecież prawie nigdy nie wstawiała tak wcześnie, żeby widzieć, co się dzieje na dole. O tej porze zazwyczaj jeszcze spała, bo dla niej to był dopiero środek nocy.

Zaniepokoiła się dopiero, gdy wyszła na zewnątrz. Na podwórku stali dwaj policjanci uzbrojeni w karabiny, z paskami czapek zapiętymi pod brodą na znak, że są służbowo, a nie z prywatną wizytą.

– A co się tu dzieje? – zapytała, podchodząc do mundurowych.

– Panienska to z tego domu? – zainteresował się pyzaty młodzik

– No.

– To nie wolno tu łązić, ino czekać w chacie – wyjaśnił.

– Na co czekać?

– Aż pan śledczy przyjdzie się rozpytać.

– O co rozpytać?

– Się panienska dowie, jak przyjdzie – rzucił drugi, starszy, o ogorzałej twarzy, ozdobionej wąsami

– Ale tak mniej więcej o co?

– Tajemnica służbowa – rzucił wąsacz.

– No to jak tajemnica, to ja muszę po chleb do składu iść.

– Nie wolno teraz. – Rumiany zrobił groźną minę.

– A co to, do więzienia mnie zamkną?

– Nie wolno i tyle – wytłumaczył najprościej, jak potrafił.

– No to mnie łapcie – rzuciła i pobiegła przez podwórko. Ten młodszy chciał nawet za nią gonić, ale jego kolega złapał go za mankiet, a potem popukał się w czoło.

– Gdzie leziesz, łachudro?

– No jak, za nią. Przecie ucieka.

– A co ty żeś jest pies, żeby za kotką gonić, bo ucieka? Ty żeś jest policjant i masz tu stać, gdzie ci kazali.

– Ale kazali też nikogo nie wypuszczać.

– No to nie wypuszczasz.

– A ona? – Wskazał na dziewczynę znikającą w bramie wiodącej na ulicę.

– Co ona? Przecie jej tu nie ma. Widzisz kogoś?

– Nie.

– A wypuściłeś kogo?

– Nie.

– No to stój i pilnuj, tak jak ci przykazali. A ona wyszła i co z tego? Przeciw powiedziała, że tylko do składu po chleb, znaczy się zaraz wróci, to jest tak, jakby nigdy nie wychodziła.

Ta, co „nigdy nie wychodziła”, ruszyła przez Wolnicę pełną ludzi sprzedających i kupujących mięso z własnego uboju, na rozciągający się w pobliżu plac Sapieżyński. Tutaj odbywało się co dzień wielkie targowisko rolne, na którym można było dostać wszystko to, co nie miało jakiejś specjalnej marki handlowej, ale było równie dobre, a często nawet lepsze od renomowanych produktów. Okoliczni chłopcy sprzedawali na placu swoje kiełbasy, wędzone boczkami i mętny, ale mocny samogon, zaś wiejskie baby oferowały chleby z własnej mąki, pieczone w domowych piecach, i ciasta drożdżowe z kruszonką.

Początkowo chciała zajrzeć do składu przy Działowej, żeby kupić to, czego zażyczył sobie ten Wincenty, ale po drodze doszła do wniosku, że lepiej przejść się między straganami, kupić tam towary znacznie taniej i do tego jeszcze posłuchać, co ludzie gadają. Zawsze to dobrze wiedzieć, co się w świecie dzieje, bo przecież zamknięta w tych swoich czterech ścianach nie miała pojęcia, czym żyła ulica.

Nie musiała się jednak wcale zagłębiać w żywą tkankę rynku, by usłyszeć najnowszą nowinę:

– Widzisz, pani, tą kamienicę, tam na rogu, co stoi na końcu Wolnicy, gdzie Małe Garbary się łączą ze świętym Wojciechem?

– mówiła jakiejś skromnie odzianej babinie kobieta sprzedająca kapustę kiszoną wprost z beczki, wskazując przy tym za siebie.

– No tam, gdzie szewc Mitura ma swój zakład?

– Ten sam, pani, ten sam.

Helenka przystanęła, słysząc, że kobiety rozmawiają o domu, w którym mieszkała. Coś się tam musiało wydarzyć, skoro byli policjanci i jacyś dziwni ludzie. A ta od kapusty najwyraźniej wiedziała wszystko.

– To tam mieszka jeden dorożkarz, co się nazywa... pamiętałam, jak Boga kocham pamiętałam, ale mi wyleciało z głowy!

– Dorożkarz się nazywa Wantuch Fryderyk – podpowiedziała Helena.

– Bóg ci zapłać, dziecko. Wantuch się nazywa. No to tego Wantucha w nocy zastrzelili, jak uciekał dorożką z jakimś bandytą. Cała policja ich goniła. Ten woźnica to zginął na miejscu, a bandyta uciekł. Był tu u mnie policjant i pytał, czy go nie znam, ale nie znam. Bo niby skąd mam znać jakiegoś bandziora, co się nazywa Wincenty Gargulec z Gołębiej. To niezły wywijas jest, bo w nocy jeszcze postrzelił jednego szkieła, a drugiego ranił nożem. Jak go złapią, to jak nic dostanie czapę i pan Maciejowski^[43] będzie musiał się z wizytą do Poznania wybrać...

Dalej już Helena nie słuchała. Była na tyle bystrą osobą, żeby połączyć fakty. Jej współpracownik nie żył, a bandzior, z którym jechał dorożką w nocy, siedział u niej w mieszkaniu zamknięty na klucz. I co miała teraz biedna zrobić?

Godzina 6.20 rano

Pociąg osobowy złożony z pięciu wagonów, czterech trzeciej klasy i jednego klasy drugiej, wjechał na peron trzeci położony na samym skraju dworca, przy wyjściu zachodnim. Pasażerowie klasy trzeciej rzucili się do drzwi, rozpychając się łokciami, tobołkami i walizkami, by zająć jak najlepsze miejsca na drewnianych siedzeniach. Szczególnie pożądane były te przy oknach, bo dawały komfort patrzenia na przesuwane się za oknem widoki, atrakcyjne, bo zmieniające się jak na kinowym ekranie. Gdyby wiedzieli, że prócz tych niewątpliwych atrakcji pociąg mógł zaoferować jeszcze jedną w postaci aktorów szpiegowskiego spektaklu, jadących w klasie drugiej, pewnie nikt by w to nie uwierzył. Bo historie szpiegowskie mogły się rozgrywać w filmach czy dziesięciogroszowych powieściach w odcinkach, drukowanych jako dodatki do gazet, a nie w prawdziwym życiu.

O szczegółach planów wyjazdowych kapitan Mikołajewski miał opowiedzieć w pociągu. No ale teraz okazało się, że niczego nie opowie, bo zamiast niego jedzie ten młody oficerik Pikuła. I to niby on miał dowodzić całą akcją? Tolek Grubiński miał wątpliwości, przyglądając się młodemu podporucznikowi, który przyszedł na peron kilka minut temu wystrojony jak na wycieczkę w szary płaszcz, cyklistówkę i spodnie do kolan, zapięte na łydkach okrytych kraciastymi kolanówkami. Jednym słowem wyglądał jak turysta wyruszający w góry. Brakowało mu tylko jeszcze góralskiej ciupagi. Przyprowadził go do nich Zielonka, najbliższy współpracownik

Mikołajewskiego, który miał dostarczyć im dokumenty podróżne.

– Panie Tolek, zaszły małe zmiany w ciągu nocy, bo pan kapitan ma ważne zadanie tutaj i w związku z tym ten oto podporucznik Pikuła przejmuje dowodzenie akcją, jako że się w tej sprawie orientuje tak dobrze jak pan Mikołajewski.

Tolek obrzucił go badawczym spojrzeniem. Znał Pikułę jeszcze z czasów, gdy ten pracował w policji u Fischera. Wiedział też, że odszedł do Kółek Rolniczych Mikołajewskiego, a to mogło znaczyć, że musiał być specjalistą w jakiejś dziedzinie, bo kapitan byle kundla by do siebie nie przyjął. Wszyscy jego ludzie byli fachowcami wysokiej klasy i każdy był specem w jakiejś dziedzinie. Ciekawe tylko, na czym znał się ten turysta? Może na wspinaczce wysokogórskiej?

– Kapitan miał nam powiedzieć, co i jak. – Grubiński wskazał na chłopaków ze swojej bandy, zajętych paleniem papierosów i obserwowaniem pań czekających na peronie na pociąg.

Pewnie słyszeli tę rozmowę o zmianie dowódcy, ale nie wykazali większego zainteresowania tym faktem. Najwyraźniej zarówno Zenusiowi, jak i Krystkowi było całkowicie obojętne, kto będzie organizatorem ich wycieczki. Tylko Tolek nie był przekonany do tej zmiany.

– Kapitan wszystko przekazał panu porucznikowi. On zna wszystkie szczegóły, co nie, poruczniku? – wyjaśnił Zielonka.

– W istocie tak jest. – Pikuła pokiwał głową. – Wszystkie kwestie omówimy w pociągu. – Oczywiście, jeśli będą po temu warunki. Ale z tego, co widzę, to nie powinniśmy mieć kłopotów z nadmiarem pasażerów. – Rozejrzał się wokół. Na peronie było tłoczno, ale mało kto wyglądał na osobę na tyle zamożną, by stać ją było na bilet drugiej klasy.

- Ci jadą do roboty do tych pipidówek pod Poznaniem - stwierdził Zielonka. Znał się na rzeczy, bo pociągi do Krzyża często były przez niego wykorzystywane do przewożenia ludzi i towarów. Nic więc dziwnego, że poznawał nawet konduktorów i maszynistów. Wiedział też, co za ludzie jeżdżą na tej trasie. - Będą wysiadać w Kiekrzu i Rokietnicy do roboty u ogrodników. Oni tam nigdy nie mają dość ludzi, więc miastowe bidusy jeżdżą do nich do roboty. Za to w Rokietnicy wsiadają ci, którzy pracują w Szamotułach, w cukrowni, olejarni i meblarni. Sporo narodu tam ciągnie. No i jeszcze na każdej stacji na tej trasie wsiadają kobiety z kobiałkami pełnymi jedzenia i jadą do Wroniek w odwiedziny do swoich chłopów, co siedzą w pierdlu. Jak się rozejrzycie, to zobaczycie na peronie sporo takich więziennych „wdów”. No i na tej trasie ostatnia stacja to już Krzyż, po stronie niemieckiej. Do Niemiec też jeżdżą Polacy na saksy. Ale nie w tygodniu. W niedzielę jeżdżą ci, co pracują u bauera albo w lasach, bo tam spore lasy, to potrzebni są ludzie do wyrębu. No i ci drwale jeżdżą tam na tydzień, rąbią te niemieckie sosny i do chaty wracają w sobotę wieczorem, a wracają znowu w niedzielę. I tak w koło Macieju. Ci drwale to dobre chłopcy i znamy się z kilkoma, co wożą nam różne rzeczy za granicę, a do nas szmuglują chociażby łożyska kulkowe, co u nas ich nie idzie dostać, a w Niemczech można je kupić, ale są objęte zakazem eksportu do Polski. To my je skupujemy od producentów, znaczy nasi handlowcy niemieccy kupują, a my przewozimy do Krzyża, a nasi drwale pakują do swoich walizek te łożyska i przewożą do nas.

- A na co nam to? - zdziwił się Tolek, który nigdy nie widział łożyska kulkowego, więc nie mógł wiedzieć, do czego się ich używa.

– Do wszystkiego, panie Tolek, do wszystkiego, do czołgu, samolotu i nawet do armaty. Te łożyska to dobry towar.

– A dużo tego trzeba by przewieźć, żeby to było opłacalne? – zainteresował się Grubiński.

– He, he! Ci nasi drwale to detaliści. Oni od jednego łożyska dostają złotówkę. I wożą do nas po kilkanaście sztuk, bo to nie są zbyt lekkie zabawki. Żeby na tym interesie zarobić, panie szanowny, to trzeba by hurtowo zrobić interes. Na pojedynczych sztukach się pan nie dorobisz.

Pociąg osobowy z Poznania do Krzyża w Niemczech podstawi się na tor przy peronie szóstym. Proszę wsiadać i drzwi zamykać, bo niedługo będzie odjazd. W trakcie jazdy nie wychylać się przez okna i nie wyrzucać butelek ani papierosów. Powtarzam, pociąg osobowy do Krzyża przez Rokietnicę, Szamotuły, Wronki podstawi się...

– To chyba nasz – zauważył Tolek, wysłuchawszy komunikatu odczytanego przez peronowe megafony. – To co, masz pan co dla nas? – zapytał Zielonkę.

Ten uniósł kolano i oparł na nim swoją brązową urzędniczą teczkę. Wydobył z niej dużą szarą kopertę.

– Pan porucznik weźmie to i już w przedziale rozda te flepy chłopakom. To są paszporty na fałszywe nazwiska wystawione. Musicie się ich teraz nauczyć na pamięć i nie wolno się pomylić, jak was zapytają.

– Kto nas zapyta? – zainteresował się Zenuś Brodziak.

On już miał fałszywy paszport na nazwisko Leon Kacperek, na którym kilkakrotnie przekraczał granicę, i liczył na to, że Zielonka przyniósł mu właśnie ten jego.

– Ktoś może was zapytać. W końcu jedziecie za granicę.

– A ja mam ten swój? – zapytał z nadzieją.

– Nie, nazwiska są nowe, żeby nie było, że ktoś taki już jeździł do Niemiec.

– A ja też będę miał paszport? – zdziwił się Krystek Kaźmierczak.

– Jasne jak słońce odparł Zielonka. – Bez paszportu nie da się wjechać do innego kraju.

– A skąd niby moje zdjęcie w tym paszporcie?

– He, he! A pamiętasz, jak my se robili fotografię w czasie PeWuKi? – przypomniał mu Zenuś.

– No robili, ale to było zdjęcie, jak my siedzimy w samolocie.

– W samolocie była twoja gęba, to się ją wycięło i z tego nasz fotograf zrobił ci zdjęcie urzędowe do paszportu, a pan Zielonka paszport.

Ludzie odsunęli się od krawędzi peronu, bo w tumanach pary wtoczyła się po torze czarna lokomotywa, ciągnąc pięć ciemnozielonych wagonów. Zadowolony wąsaty maszynista wystawił głowę przez okienko, by zobaczyć, ilu pasażerów będzie miał dziś do przewiezienia. Sprawdzał z czystej ciekawości, bo dla jego maszyny nie miało to większego znaczenia. Ona uciągnęłaby jeszcze z dziesięć dodatkowych wagonów wypełnionych ludźmi, tyle że na tej krótkiej trasie nie było potrzeby dodawać miejsc. Wszyscy mieścili się bez problemu.

Gdy tylko pociąg stanął, ludzie ruszyli szturmem na wagonowe drzwi. Ale kilku mężczyzn nie uczestniczyło w tej przepychance. Oni czekali, aż zrobi się trochę luźniej na peronie, bo pchać się do trzeciej klasy nie musieli. Po chwili, gdy pierwszy impet ataku na pociąg ustał i ci najsilniejsi byli już w środku, po schodach, trzymając się poręczy, zaczęli wchodzić starsi i kobiety z dziećmi.

Zielonka machnął ręką przy kapeluszu, jakby chciał zaszalutować, ale widać się zreflektował, że żołnierski obyczaj

nie przystoi cywilowi. Podporucznik Pikuła skinął mu głową i ruszył przodem. Trójka złodziei poszła z nim. Chwilę później siedzieli już w zamkniętym przedziale na wygodnych, miękkich, obitych brązowym materiałem fotelach.

Pikuła otworzył kopertę i wydobył z niej cztery paszporty. Sprawdziwszy fotografie, rozdał je właścicielom.

– Bula Franciszek, syn Karola – ucieszył się Krystek, odczytawszy swoje nowe nazwisko. – A ta fotka to rzeczywiście ja jestem z tego aeroplanu, he, he.

– U nas specjaliści od fotografii najlepsi są – stwierdził pełen dumy Zenuś Brodziak. – O, a ja jestem Kaleta Antoni, he, he! Znam jednego Kaletę, ale on jest z trzeciej kompanii. Może ja teraz jestem jego brat, co?

– Musicie szybko nauczyć się waszych danych, wszystko tak jak w paszporcie – pouczył ich Pikuła. – Nie możecie się zastanawiać, kiedy żeście się urodzili albo jak ma na imię wasz ojciec. Jasne?

– Jasne, jasne – odpowiedzieli chłopcy.

Tolek nie odpowiedział, bo uznał, że to poniżej jego godności. On dobrze wiedział, jak powinien się zachować.

– To co, panie poruczniku, powie pan, co to za robota? – zapytał, spoglądając przez okno na ceglasty mur dworcowego budynku.

Tam, w otwartych drzwiach restauracji, stał jakiś człowiek z kuflem piwa w dłoni. Tolek pomyślał, że też by się napił. Ale na to musiał poczekać, gdy będą mieć przesiadkę w Krzyżu. Tam spróbuje niemieckiego piwa. Ciekawe, czy będzie takie dobre jak pilzner Huggera?

Podporucznik wstał ze swojego miejsca i podszedł do drzwi przedziału, by sprawić, czy dobrze są zamknięte. Nie znalazłszy najmniejszej szparki, zasunął zasłony, by nikt

niepowołany nie mógł zajrzeć do środka. Powróciwszy na miejsce, usiadł i spojrzał w oczy Tolkowi.

– Panie Anatolu, jak już nadmieniał pan kapitan Mikołajewski, sprawa jest banalnie prosta. Będzie trzeba otworzyć kasę ogniotrwałą za pomocą wytrychów. Kasa nie jest zbyt skomplikowana. Więc, jak mówił kapitan, dla pana to kilka minut roboty. Tyle że problem polega na tym, że do tej kasy musimy się najpierw dostać.

– No to zrozumiałe, kasy najczęściej są w miejscach, do których trzeba się włamać. A co to za miejsce, jakieś mieszkanie czy co?

– No właśnie w tym jest problem. Bo to miejsce, panie Anatolu, to jest sztab niemieckiego pułku piechoty.

– Co?

– Sztab w wojskowych koszarach.

Tolek aż otworzył usta ze zdumienia. Bywał już w niemieckich sztabach w czasie wielkiej wojny i wiedział, że takie miejsca są najpilniej chronionymi obiektami. Dostanie się tam nie będzie łatwe. Co tam niełatwe. Ono może być całkowicie niemożliwe...

Godzina 7.30 rano

– Więc powiada, że on jest u niej? – zapytał wywiadowca Gil, robiąc przy tym groźną minę.

– No a po co by miała kłamać? – zdziwił się posterunkowy Kucharek.

– Właśnie. Niby po co by miała... – mruknął pod nosem Gil, niezadowolony z tego, że musiał od świtu uganiać się po mieście.

No ale sprawa była gardłowa i cała grupa pościgowa została postawiona w stan najwyższego pogotowia. W końcu to dwaj bardzo ważni jej członkowie zostali dzisiejszej nocy ranni, a ten, który to zrobił, był cały czas na wolności. Do poszukiwań bandyty zaangażowano ponad setkę policjantów ze wszystkich komisariatów, a także słuchaczy szkoły policyjnej. Wszyscy oni patrolowali miasto, wyposażeni w fotografię znaną w mieszkaniu bandyty. Znano więc jego wygląd, imię i nazwisko, a nawet policjanci wiedzieli, jak był ubrany, bo dokładnego opisu dostarczył im stróż z ulicy Gołębiej. Wydawać by się więc mogło, że złapanie człowieka, który wymknął się Olkiewiczowi i Okoniowi, to tylko kwestia czasu. Jednak bandzior jakby zapadł się pod ziemię.

Do przełomu doszło przed chwilą, kiedy to policjant patrolujący plac Sapieżyński natknął się na tę dziewczynę. Doszedł do wniosku, że być może mówi prawdę, więc przyprowadził ją do komisariatu przy Marcinkowskiego, gdzie urządzono na szybko sztab akcji poszukiwawczej. W obszernym holu ustawiono stół i kilka krzeseł, a na blacie rozłożono płachtę planu Poznania. Akcją poszukiwawczą kierował komisarz Fischer, bo to w końcu była sprawa honorowa dla jego zespołu.

– Posterunkowy Kucharek na rozkaz. Ja melduję, panie komisarzu, że przyprowadziłem tu taką jedną. – Wyprostował się i zaszalutował zamasyście, stając przed Fischerem.

Komisarz uśmiechnął się pod nosem, usłyszawszy ten osobliwy sposób meldowania. „Ja melduję” było dokładnym tłumaczeniem z niemieckiego wojskowego meldunku „*Ich melde*”. Polscy weterani wojenni z pruskiej armii, którzy w grudniu osiemnastego roku chwycili za broń, przyłączając się do powstania, znali wojskowe komendy jedynie po niemiecku. Szybko więc na własny użytek przetłumaczyli je

sobie na język polski i w ten oto sposób powstał zwrot „ja melduję”. Z czasem został wyparty przez używany w polskiej armii zwrot „melduję posłusznie”. Ale wielu byłych żołnierzy jakoś nie potrafiło się przestawić na nowe tory i cały czas używali sformułowania, którym posługiwali się przez lata.

– Powstaniec, co?

– Tak jest! – Kucharek odpowiedział z dumą. – Od pierwszego dnia, od dwudziestego siódmego.

– Czyli w Poznaniu walczyliście i w okolicy...

– W okolicy, na Ławicy!

– Też byłem na Ławicy.

– Pamiętam pana porucznika, jak pan jeździł, żeby namówić ich do poddania. Jakby się poddali, toby ludzie niepotrzebnie nie zginęli.

– Prawda, zginęli niepotrzebnie. Ale chyba wtedy tak było trzeba...

– Że niby jak?

– Honorowo.

*

– Dlaczego mi nie powiedzieliście, że Niemcy zgodzili się przyjąć kapitulację? – zapytał Fischer lotnika. Sierżant Pniewski wzruszył ramionami.

– Oni chcieli z honorami, że niby mogą wyjść z bronią. Tak sugerowała część rady żołnierskiej. Ale nie wszyscy z tym się zgadzali – wyjaśnił podoficer.

– Ja rozmawiałem z dowódcą niemieckim – stwierdził podporucznik Paluch. – Szczerze powiedziawszy, to przyzwoity człowiek i bardzo czuły na kwestie honorowe. On w zasadzie przystałby na kapitulację, ale ma tam sporo takich mocno

zacierzewionych, co mu ciosają kołki na głowie. Pomyśleliśmy, że może rozmowa z panem będzie w stanie go przekonać.

– Jak pan uważa, czy pański kuzyn jest skłonny do ustępstw? – zapytał major Taczak, wkładając papierosa do ust. Paluch podał mu zaraz ogień.

Wszyscy czterej siedzieli przy okrągłym stole w hotelowym pokoju, oddanym przez właścicielkę Leokadię Świtalską na potrzeby wojska. Sztab powstańczy zajmował całe piętro w kamienicy przy Świętym Marcinie trzydzieści osiem, znanej doskonale poznaniakom z powodu destylarni win i likierów, która od lat mieściła się w tym budynku. Podczas tej narady jednak nikomu nie przyszło nawet na myśl, by skorzystać z bogatych zasobów piwnic hotelowych. Mężczyźni pili kawę.

– Mój kuzyn z radością przystałby na honorowe rozstrzygnięcie. Jeżeliby żołnierzom pozwolono na wyjście z koszar z bronią...

– To wykluczone – rzucił major. – Nie możemy pozwolić, żeby zabrali broń. To wszystko, co mają obrońcy, potrzebne jest naszym oddziałom. Wszędzie w okolicy tworzą się samorzutnie lokalne oddziały złożone z polskich weteranów. Mają mundury i chęć walki, ale nie mają karabinów. Każdy więc jest na wagę złota. Rozumie więc pan, poruczniku Fischer, że nie możemy się zgodzić na spełnienie tego postulatu.

– Rozumiem i dlatego wiem, że niestety nie da się uniknąć walki. Chociaż proszę się nie spodziewać silnego oporu – stwierdził Fischer, uśmiechając się tajemniczo.

– Jak to? – Sierżant Pniewski zdawał się zaskoczony tą informacją. – Przecież tam jest ponad setka ludzi. Część z nich jest zdeterminowana.

– To jest właśnie to rozwiązanie honorowe, panowie – zaczął powoli wyjaśniać podporucznik Fischer. – Oni będą się bronić,

a my będziemy atakować, tyle że nie zostaną użyte karabiny maszynowe.

– Jest pan pewny?

– Tak, najzupełniej. Gdy nasze wojska ruszą do ataku, obrońcy zaczną strzelać, ale karabiny maszynowe będą milczeć – zapewnił zebranych.

– Czyli dojdzie do pozorowanej bitwy? – stwierdził Paluch.

– Tak, ale bitwa jako taka musi zostać stoczona – tłumaczył dalej Antoni.

– Rozumiem. Pański kuzyn, poruczniku, wykazał się dużym rozsądkiem – ucieszył się Taczak.

– To u nas rodzinne, panie majorze. – Fischer uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy z Alfredem. Ten wiedział, że obrona lotniska to niepotrzebny wysiłek, który nie przyniesie nikomu żadnych korzyści. Problem jednak trzeba było jakoś rozwiązać. – I jeszcze jedna kwestia, panowie. Przed atakiem należy odciąć koszary od połączeń telefonicznych. Dowództwo lotniska nie może połączyć się z Berlinem. To warunek konieczny, by nasz plan się powiódł.

– To nie będzie trudne. Ławica podpięta jest pod miejską centralę. Wystarczy tylko odłączyć wtyczkę – stwierdził podporucznik Paluch.

– Panowie, zarządzam atak na jutro rano, godzina szósta trzydzieści. – Major Stanisław w Taczak, wydając rozkaz do ataku, zamknął odprawę. Pniewski i Paluch wstali z miejsc i wyszli z pokoju.

– Panie poruczniku – komendant przywołał jeszcze Fischera.

– Pan sobie zdaje sprawę, co się stanie, jeśli na drodze atakujących wojsk zostanie ustawiony karabin maszynowy?

– Oczywiście, panie majorze. Mój kuzyn też to wie.

– Więc wyłączenie telefonu jest niejako sygnałem dla niego, że się zaczyna atak.

– Tak jest w istocie.
– Więc jeśli...
– Ręczę za niego, panie majorze. Zresztą... jeżeli pan pozwoli, przyłączę się do oddziału, co pójdzie w pierwszej linii.
– Dziękuję, poruczniku. Może pan odejść.
Fischer strzelił obcasami i skinął głową. Musiał złapać jeszcze trochę snu przed porankiem.

– Wtedy pan porucznik szedł razem z nami o świcie – przypomniał sobie Kucharek. – Z karabinem, jak zwykły żołnierz.

– A co, jak kto jest oficerem, to już nie może iść do ataku? Przecież nie mogłem się kryć za czyimiś plecami. No ale dość tych wspomnień, bo tu ważne sprawy się toczą. Kogoście tu przyprowadzili, Kucharek?

– Taką tam jedną.
– Co to za jedna?
– Ja melduję, że to panienka.
– Jaka panienka?
– No zwyczajna, mówi, że jest kurwą.
– prostytutką, posterunkowy, prostytutką! Nie wyrażajcie się brzydko, boście są w urzędzie państwowym, a tu obowiązuje kultura. Zrozumieliście?
– Ja melduję, że zrozumiałem.
– To dobrze. I co ona wam powiedziała?
– No to mnie powiedziała, że jest kurwą, znaczy się prostą tą, no, tutką, co ma u siebie w domu klienta i ten klient to musi być ten, co jego poszukujemy, bo ma na imię Wincenty.
– A powiedziała, czemu go chce wydać?
– Powiedziała, że go chce wydać... Nie powiedziała czemu. Tylko gadała, że on jest ten morderca.
– No to przyprowadźcie ją tutaj – polecił komisarz.

Po chwili posterunkowy Kucharek podszedł z dziewczyną do stołu. Wywiadowca Gil swoim policyjnym, prześwietlającym jak promienie rentgena spojrzeniem patrzył na tę skromnie ubraną kobietę i jakoś nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że to panienka sprzedająca się za pieniądze. Wyglądała tak zwyczajnie, że pewnie nikt nie obejrzałby się za nią na ulicy.

– A skąd niby wiesz, że to jest ten, którego szukamy? – zapytał ją Gil.

– Bo mu źle z oczu patrzy – wyjaśniła najprościej, jak się dało.

– I jak mu źle patrzy, to mimo to wpuściłaś go na noc?

– A co, jak płaci, to ja się nie będę obrażać, że ktoś ma krzywą głowę.

– I jest zamknięty na klucz, powiadasz? – pytał dalej wywiadowca.

– No musiałam się jakoś ubezpieczyć.

– Dlaczego?

– Żeby mi nie opędzłował chaty i nie uciekł.

– To znaczy, że masz tam pewnie jakie skarby – zadrwił Gil. Ale widząc jej minę, zrozumiał, że dobrze trafił. Dziewczyna bała się, że może stracić coś cennego. – Nic się nie martw. Nie pozwolimy, żeby uciekł. Mamy z nim swoje rachunki do wyrównania – zapewnił ją wywiadowca.

Fischer skinął na starszego przodownika. Ten właśnie przyszedł z kamienicy, w której mieszkał zabity dorożkarz. Jego ludzie już dyskretnie obstawili cały teren. Na podwórku i ulicy nie było widać policjantów. Mieli zachowywać się najdyskretniej, jak to możliwe, żeby nie spłoszyć bandyty.

– Nikt nie ma prawa wyjść z tej kamienicy, dopóki nie skończymy. Czy to jasne?

– Tak jest, panie komisarzu – potwierdził rozkaz przodownik.

– Mamy tam w tej chwili dwudziestu ludzi. Mysz się nie

prześlizgnie.

– Doskonale. A panna jak się nazywa?

– Helena Jagódkówna – odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się do komisarza.

– Panna Jagódkówna musi nas poprowadzić. To znaczy tak, żeby on myślał, że panna jest sama. Otworzy nam drzwi kluczem i zawoła do środka, że już wróciła. Jak wygląda to mieszkanie? Niech panna opisz, co jest za drzwiami.

– Za drzwiami jest taki korytarzyk malutki, a z tego korytarzyka się wychodzi w lewo na kuchnię, a w prawo na pokój. W pokoju jest łóżko, na środku stół i cztery krzesła, a po prawo szafa z dwoma drzwiami, a na wprost drzwi są dwa okna, a między oknami stoi toaletka z lustrami na dwóch skrzydłach, tak że jak się wchodzi do pokoju, to się od razu widzi siebie w lustrze.

– A z okien nie da się wyjść na dół? Zeskoczyć gdzieś?

Pokręciła głową.

To trzecie piętro. Jakby wyskoczyć, to od razu można się meldować u Świętego Piotra.

– No to wygląda na to, że mamy ptaszka w klatce – ucieszył się Gil i zatarł ręce zadowolony.

Godzina 8.10 rano

– Nie rozumiem, czemu mnie nie wezwali na tę akcję poszukiwawczą. – Aspirant Oskierko był najwyraźniej rozżalony. Gdy przyszedł do pracy na siódmą trzydzieści, okazało się, że w biurze grupy pościgowej nie ma nikogo. Wszyscy, którzy tu pracowali, Gil, Olkiewicz, Okoń i jeszcze kilku wywiadowców, przepadli jak kamień w wodę. A raczej

wcale ich tu jeszcze nie było, bo w tym dużym służbowym pokoju nie czuć było tytoniowego zapachu. Gdy się wchodziło tu z korytarza, nowo przybyłego natychmiast uderzały w nos obłoki tytoniowego dymu. A tymczasem dziś od rana nikt tu nie zapalił ani pół papierosa. I to było podejrzane. Dlatego Oskierko podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił dwie jedyne, by połączyć się z podoficerem dyżurnym.

– Aspirant Oskierko mówi. Czy komisarz Fischer już przybył do urzędu? – zapytał niby obojętnym głosem, w którym próbował ukryć napięcie. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało, więc postanowił sprawdzić, co się dzieje.

– Komisarz Fischer jest na akcji pościgowej.

– Co? Gdzie ta akcja?

– Gdzie, to ja tego w tej chwili nie wiem, ale w Poznaniu jest.

– Aha, no tak. Musi być w Poznaniu. Wczoraj coś pan komisarz nadmieniał...

– To nie było nadmienione, bo to się wydarzyło w nocy, a dokładniej nad ranem, wtedy się okazało, że panowie Olkiewicz i Okoń zostali zranieni podczas próby zatrzymania jakiegoś gnoja i komisarz zarządził akcję pościgową i wew chwili obecnej ona trwa. A pan aspirant to ma z dyżuru zdarzenie utopienia nad Wartą. Więc jakby co, to samochód czeka i może pan jechać, bo tam teraz są czynności odbywane przy oględzinach. Doktor Tchórzewski już pojechał i musi być tam oficer śledczy, to znaczy się pan aspirant.

– Dobrze, już schodzę – rzucił jeszcze i odłożył słuchawkę.

Więc wszyscy są już w akcji, a on ma oglądać jakiegoś topielca. Co za podły los. Może Fischer w ten sposób dawał mu do zrozumienia, że się nie nadaje na policjanta? Bo pokpił sprawę z tym niemieckim dyplomatą i zachował się jak ostatni cymbał. Więc to komisarz musiał za niego wyciągać kasztany z ognia, a on tam tylko siedział na krześle, w tym konsulacie,

i patrzył się w okno jak kiepski uczeń na nudnej lekcji, szukający na zewnątrz jakiejś odmiany. No i odmiana rzeczywiście pojawiła się dziś rano. Zamiast być w centrum wydarzeń, on właśnie jechał nad tę śmierdzącą rzekę, by babrać się w kloacznych nieczystościach. Kwadrans później był już na miejscu. Od razu podszedł do prowadzącego oględziny lekarza.

– No co, panie aspirancie, nie lubi pan patrzeć na topielców?

– Doktor Tchórzewski lubił sobie żartować, szczególnie podczas oględzin zwłok, bo te nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Jako lekarz wojskowy i weteran wielkiej wojny, powstania i wojny z bolszewikami napatrzył się już na tyle śmierci żołnierskich, że te cywilne były mu niemal całkowicie obojętne.

– Utopienie w tym szambie nie jest chyba przyjemne – stwierdził Oskierko i splunął do wody. A ta w istocie była brudna i paskudnie śmierdząca. Bo do rzeki płynęły szerokim strumieniem nieczystości z rur wychodzących z pobliskich domów, wyrzucających swoją ubikacyjną zawartość w spokojny warciany nurt. Zresztą to zlewanie wszystkich miejskich paskudztw wprost do rzeki miało tu wiekową tradycję. Pobliska ulica, ciągnąca się wzdłuż rzeczno-koryta, nosiła dumną nazwę Wielkie Garbary. Tu bowiem już w średniowieczu usadowiły się miejskie garbarnie, wykorzystujące do wybarwiania skór ludzki mocz. Kadzie na ten niezwykle cenny w rzemiośle garbarskim płyn stały na ulicy, a garbarze z wdzięcznością patrzyli na każdego mieszczanina, który zechciał opróżnić swój pęcherz do któregoś ze zbiorników. W tych pojemnikach trzymano świńskie skóry, by nabrały odpowiedniej sprężystości i koloru, a gdy już doszły do właściwego zaawansowania, garbarnicze

siuśki wylewano na ulicę, po której szerokim strumieniem płynęły sobie wprost do rzeki. Nic więc dziwnego, że Wielkie Garbary i pobliskie zaułki były najbardziej smrodliwym zakątkiem Poznania.

Większość garbarni zniknęła z miejskiego krajobrazu, ale dwie pracowały w taki sam sposób jak przed wiekami, wykorzystując naturalne sposoby garbowania skór. Nadal więc w okolicy unosił się nieprzyjemny zapach ludzkich odchodów, do którego swoją cegiełkę dokładały nowoczesne kamienice oferujące mieszkańcom ubikacje i łazienki z bieżącą wodą, spływającą po użyciu rurami do rzeki. A prócz nich największy miejski truciciel wody, czyli pobliska rzeźnia, z której codziennie wielką rurą płynęła do Warty gęsta maź złożona z krwi, fekaliów i wnętrzności.

– Może i nie jest przyjemnie, ale jemu to było i tak wszystko jedno, gdzie się zamoczy – stwierdził lekarz.

– A niby dlaczego?

– Bo, panie aspirancie kochany, ten tu jegomość zanim wpadł do wody, został pozbawiony życia poprzez wbicie noża w serce. Więc jak już wyzionął ducha, to ktoś się zwłok pozbył i wyrzucił je do rzeki. Tyle że głupio zrobił, znaczy morderca to osioł patentowany.

– Tak, a w jakim sensie? – Oskierko stał się czujny.

Nie miał zamiaru uronić ani słówka z tego, co miał do powiedzenia ten doświadczony lekarz. Chciał poznać wszystkie szczegóły, ponieważ jego stosunek do tych zwłok zmienił się diametralnie. Od kompletnej obojętności połączonej z obrzydzeniem do zainteresowania doprawionego entuzjazmem. Bo ten trup dawał mu wielkie możliwości. Podczas gdy jego koledzy uganiali się po mieście za jakimś mordercą, on miał tu przed sobą człowieka zamordowanego.

A to oznaczało, że jako oficer śledczy był zobowiązany do poprowadzenia śledztwa i wykrycia sprawcy.

– Bo ten morderca, jakby był trochę bardziej mądry, toby wyrzucił zwłoki do rzeki, płynącej rzeki, a nie do stojącego, portowego kanału. I gdyby tak zrobił, jak mówię, to ten truposz popłynąłby spokojnie z nurtem i wkrótce znalazłby się w Niemczech w stanie nieco nadgryzionym przez ryby i praktycznie nie do identyfikacji, a potem wypłynąłby sobie gdzieś w Szczecinie. A tam jakiś mój kolega po fachu z niemieckiej policji spojrzalby na niego, skrzywił nos z odrazą, bo po dwóch czy trzech tygodniach w wodzie gość wyglądałby jak galareta z zimnych nóżek, mocno już nieświeża, i zawyrokowałby, że w zasadzie nic nie widać na tym ciele, boby mu się nie chciało nawet z obrzydzenia dokonywać sekcji. Wrzucono by delikwenta do jakiegoś komunalnego grobu i byłoby po sprawie. A tu co się dzieje? Mamy nieżywego człowieka, którego zabito najdalej wczoraj i wrzucono do wody. Zwłoki się jeszcze nie zestarzały, więc możemy go pokroić, żeby sprawdzić, jak głęboko wszedł nóż, i od biedy określić jego rodzaj. Do tego rysy twarzy nie są wcale zmienione, więc jeśli się go obmyje z tego całego gówna i jakby go uczesać, to da się zrobić mu zdjęcie, na którym będzie wyglądał jak żywy. No i jutro te fotografie dostaną wszystkie posterunki policji w Poznaniu i jestem przekonany, że pojutrze będziemy wiedzieli, kto to jest, a pan się dowie, jakich miał wrogów i dlaczego go mogli chcieć zabić. W tej sytuacji, panie aspirancie Oskierko, wróżę panu dość szybki sukces śledczy w postaci ujęcia sprawcy w przeciągu najbliższych kilku dni. No popatrz się pan na ten ubiór. To nie jest ktoś z miejscowych szuszwoli. To człowiek majątny, bo jaki prostak pozwoliłby sobie na wypruwkowy kołnierz do płaszcza.

– Jaki? – Nie zrozumiał Oskierko. – Parówkowy?

– Wypruwkowy. Nie słyszał pan tego słowa? – zdziwił się lekarz. – Wypruwki to inaczej karakuły. Po polsku wypruwki od wyprucia.

– Nic nie rozumiem. Jakiego wyprucia?

– Karakuły, panie kolego, to są skóry owcze, które pozyskuje się z owczych płodów. Gdy mała owieczka ma się urodzić i wygodnie czeka sobie w brzuchu matki na poród, na scenę jej nierozpoczętego żywota wkracza człowiek z nożem. Rozpruwa brzuch matki i wyciąga płód z nierozwiniętym jeszcze futerkiem, takim właśnie jak to na kołnierzu tego dżentelmena. Więc uśmierca się ciężarną matkę i jej nienarodzone dziecko po to, żeby taka jak ta łachudra mogła sobie chodzić w szykownym płaszczyku.

– To okropne – rzucił z odrazą w głosie aspirant.

Dotąd myślał, że karakuły to jakiś specjalny rodzaj kóz czy owiec, ale nigdy by nie przypuszczał, że ich futra pozyskuje się w tak makabryczny sposób.

– Mój drogi panie, większość rzeczy, jakie robi człowiek, ma odrażający charakter. Spuszczanie nieczystości do wody, którą potem pijemy, nie jest odrażające? Od dziś będzie pan spoglądał na damy chodzące w karakułowych futrach zdecydowanie inaczej niż dotychczas. Wystarczy, że pomyśli pan, że aby ona dobrze wyglądała, trzeba było zabić trzydzieści owiec i trzydzieścioro ich dzieci...

– To jest potworne.

– No dobra, nic tu po mnie. Uciekam do szpitala, panie aspirancie, a pan niech zamówi do kostnicy fotografa. Trzeba dobrze przygotować tę facjatę do ostatniego zdjęcia, na jakim dane będzie jej właścicielowi wystąpić.

Doktor klepnął Oskierkę w ramię i ruszył w kierunku ambulansu. Na ten widok dwaj sanitariusze, stojący przy

samochodzie, chwycili rozkładane nosze i podeszli do zwłok, by zabrać je do samochodu. Dopiero gdy położyli je na plecach, aspirant podszedł bliżej, by rzucić okiem na twarz trupa. Nie był specjalnie zainteresowany wyglądem topielca, ale chciał popatrzeć tak dla świętego spokoju. W końcu zamierzał w pewien sposób związać swoją karierę zawodową z rozwikłaniem zagadki śmierci tego nieszczęśnika. Bo aspirant Oskierko postanowił, że to będzie sprawa, w którą zaangażuje się całym sobą, że nie będzie jadł ani spał, ale będzie analizował, śledził i gonił złoczyńców, i nie spocznie, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione...

– Mój Boże – wyszeptał, gdy natrafił na szkliste spojrzenie nieżywego człowieka, który patrzył, nic nie widząc. Jednocześnie było w tym spojrzeniu coś nierzeczywistego, jakieś oskarżenie. „Tyś jest winien mojej śmierci. To twoja wina, że ja jestem teraz martwy i nigdy już moje usta nie wyrzekną ani słowa. To tyś przyczyną mojego nieszczęścia, aspirancie Oskierko”, mówiło martwe spojrzenie. Bo mimo że Oskierko nigdy wcześniej nie widział tego człowieka żywego, tę twarz znał doskonale. Od wczoraj bowiem wpatrywał się w zdjęcie tej facjaty każdy poznański policjant. Fotografia, którą rozdano policjantom, przedstawiała wicekonsula Rzeszy Niemieckiej Albrechta von Pieskow.

I dlatego właśnie aspirant Oskierko pomyślał w tej chwili, że jego życie, kariera i cała świetlana przyszłość właśnie legła w gruzach i nic nie jest już w stanie go uratować.

– Dobrze się pan czuje, panie aspirancie? – zapytał go kierowca służbowego samochodu, starszy posterunkowy Gdula. – Bo się pan zrobił biały jak prześcieradło. To jak trzeba, pomogę dojść do samochodu...

– Dam radę – wyszeptał Oskierko i padł na cementowe nabrzeże, jakby go piorun trafił.

Chmury wiszące nad miastem naraz się przerzedziły i słoneczne promienie oświetliły ciemną rzeczną toń, tak że ta z szarobrunatnej stała się świetlista i urokliwa, jakby namalowała ją ręka mistrza impresjonisty. Ale smrodu nic nie było w stanie rozgonić. Wisiał nad rzeczonym korytem jak ciężkie poczucie winy, które przygniotło młodego aspiranta Policji Państwowej i powaliło, pozostawiając bez zmysłów.

[42] „Rzeczpospolita to wielki burdel, konstytucja to prostytutka, a posłowie to kurwy!” – słowa wypowiedziane przez marszałka Józefa Piłsudskiego.

[43] Stefan Maciejowski – pierwszy kat cywilny II Rzeczypospolitej.

Rozdział VII

Godzina 8.30 rano

Niezbyt wysoki, za to dobrze umięśniony mężczyzna, ubrany w mocno już zużyty płaszcz oraz czarną czapkę z daszkiem typu hamburskiego, przystanął na chodniku, wpatrzony w bramę wiodącą na podwórze na tyłach kamienicy pod numerem pierwszym. W ustach miał papierosa osadzonego w szklanej lufce. Tak jak pozostali gapie, a było ich w sumie może pół setki, patrzył na policjantów strzegących wejścia. Gdyby nie oni, ta ludzka ciżba wlałaby się niechybnie na podwórko, ale policjanci znali swoją robotę i wiedzieli, jak trzymać gapiów na dystans. Trzeba było tylko karabiny ustawić przy nodze i robić groźne miny. To zawsze skutkowało.

Ludzie stali i patrzyli, ale nie do końca wiedzieli na co, bo w tej gapiowskiej grupie zdania były podzielone.

– Tego dorożkarza to zabił taki jeden, co policji uciekł, i oni onego teraz obtoczyli w mieszkaniu – stwierdziła gruba kobieta z koszykiem przewieszonym przez ramię.

Pewnie chciała iść na targowisko, ale zatrzymała się, zwabiona przez sensację, o której będzie można opowiadać wszystkim znajomym.

– Ady, gdzie tam. – Machnął ręką starszy mężczyzna w szarym kaszkiecie i mocno wytartym, lichym palcie z wojskowego sukna. – Dorożkarza zabili policjanci, a nie bandyci. A ci, co jechali dorożką, uciekli już dawno z Poznania. Teraz policja chce aresztować kochankę jednego bandziora, co mieszka w tej kamienicy.

– To nie kochanka, ale panienska do towarzystwa – poprawiła go babina w czarnej chustce na głowie. – Ja to ją znam, bo ona kupuje jedzenie w składzie u Musielaka na Wolnicy, o tutaj, zaraz za rogiem. – Bardzo grzeczna dziewczynka i zawsze taka uśmiechnięta.

– Jakby wam co noc dobrze robiło dziesięciu chłopów, to też byście się tak uśmiechali – rzucił ten w kaszkiecie, a tłum wybuchnął śmiechem.

Tylko kobieta w chustce niezbyt była zadowolona z żartu, jednak nie na tyle, by się obrazić i odejść.

– Nie jej wina, że musi tyłkiem zarabiać. – Staął w obronie dziewczyny jakiś młodzieniec w studenckiej czapce. – Jakby w kraju nie było bezrobocia i wszyscy ludzie mieli zapewnioną pracę, to problem prostytucji wcale by nie istniał. Ale u nas się o ludzi nie dba, tylko o kapitalistów. Ale to się w końcu zmieni, jak klasa robotnicza przejmie władzę i wtedy...

– A idźże do cholery, bolszewiku jeden! – obruszyła się kobieta z koszykiem. – Z agitacjami bolszewickimi nam tu nie wyjeżdżaj, mądralo, bo zaraz policji zamelduję i cię do Moskwy ciupasem wyekspedują!

– Jaki ja bolszewik? – próbował bronić się chłopak, ale groźny pomruk tłumu dał mu wyraźnie do zrozumienia, że lepiej zrobi, jeśli zaraz stąd zniknie.

– O, patrzcie się, ten w kapeluszu kombojskim to jest sam komisarz Fischer. – Mężczyzna w zielonym palcie wskazał palcem na idącego szybkim krokiem postawnego człowieka,

otoczonego przez kilku funkcjonariuszy w mundurach. – To jest szef poznańskiej grupy pościgowej – wyjaśnił pozostałym, z kim mają do czynienia. – Jak on się tutaj pojawił, to zaraz będzie gorąco.

– To by znaczyło, że szykują się do ataku – powiedział gość w hamburce. Wydmuchał z lufki resztkę dopalonego papierosa, włożył ją do kieszeni, a potem odszedł nieśpiesznym krokiem, najwyraźniej niezbyt zainteresowany tym, co się będzie za chwilę działo.

Tymczasem komisarz Fischer przemierzył podwórko i wszedł do klatki schodowej oficyny. Helena już czekała na niego. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu tym samym.

– Nie boi się panienka? – zapytał.

– A bo co mi się może stać? Przecie ja tam nawet nie wejde.

– No właśnie. O to chodzi, żeby panienka tylko odkluczyła i zawołała coś do środka.

– A co zawołać?

– No obojętnie co. Najlepiej, że „już wróciłam i mam zakupy”. Co tam on kazał kupić?

– Kazał kiełbasę kupić i chleb, i gorzołę. Dwie flaszki gorzoły.

– No to niech panienka krzyknie, że już zrobiła zakupy.

– Aha, no dobrze. Tak zawołam.

– I jak już panienka krzyknie, to proszę od razu zejść na schody, i na dół. Bo gdyby się, nie daj Boże, wyslizgnął, to nie powinien na panienkę natrafić, bo może jeszcze uderzyć albo co.

– Ja się tam nie boję byle łachudry – odpowiedziała hardo.

– Bandziorów trzeba się bać.

– A pan się boi?

– Boję się, bo wiem, do czego mogą być zdolni źli ludzie. No, panowie, teraz po cichu na górę za panienką idziemy. – Fischer wydał polecenie czterem policjantom i sam ruszył

pierwszy, uważając, by nie narobić zbyt dużego hałasu. Mundurowi poszli jego śladem. Helena zatrzymała się na podeście trzeciego piętra przed pomalowanymi na zielono drzwiami i wydobyła z kieszeni klucz. Nie włożyła go jednak do dziurki, czekając na polecenie komisarza. Ten wyciągnął z kieszeni pistolet Parabellum. Jego ludzie zrobili to samo.

– Tak samo jak na Ławicy w pierwszym szeregu – szepnął mu do ucha posterunkowy Kucharek, który wyprosił, żeby go komisarz wziął ze sobą na akcję.

Fischer nie miał nic przeciwko temu. Wolał mieć przy sobie ostrzelanego dobrze weterana niż któregoś z tych młodziaków, którzy aż się palili do wzięcia udziału w strzelaninie, nie rozumiejąc jeszcze, że w takich sytuacjach można łatwo stać się martwym bohaterem.

*

Dwie armaty ustawione na berlińskim wzgórzu, w północnej części lotniska, wystrzeliły jedna po drugiej. Pociski były dobrze wymierzone i wbiły się z wielkim hukiem niemal w sam środek koszarowego dziedzińca. Po chwili artylerzyści powtórzyli salwę, celując tym razem w pustą wieżę kontroli lotów. Jeden pocisk uderzył w ścianę, wyrywając w niej solidną dziurę.

Gdy armatnia kanonada się zakończyła, dowodzący akcją podporucznik Andrzej Kopa wystrzelił z pistoletu sygnałowego i po chwili nad koszarami pojawiła się czerwona raca. Żołnierze trzech kompanii Służby Straży i Bezpieczeństwa ruszyli przed siebie z odbezpieczonymi karabinami. Niemieccy wartownicy przy głównej bramie, widząc nadchodzących Polaków, oddali kilka strzałów, na co napastnicy odpowiedzieli

ogniem. Kilku Niemców padło, a pozostali rzucili karabiny i podnieśli ręce.

Podporucznik Fischer z mauserem w dłoni szedł przed siebie, mając nadzieję, że żaden z obrońców nie wpadnie na pomysł otwarcia ognia z karabinu maszynowego. Bo gdyby tak się stało, mógł ich wszystkich zmieść jedną długą serią. Po chwili byli już na dziedzińcu. Niemieccy żołnierze zaczęli wybiegać z budynku koszarowego. Żaden z nich nie miał ochoty walczyć. Swoje karabiny zaczęli samorzutnie odkładać pod mur. Najwyraźniej nie mieli zamiaru umierać za to lotnisko.

Do podporucznika Kopy podjechał żołnierz na koniu.

– Panie poruczniku, melduję, że nasz oddział kawalerii zajął hangary. Strat własnych zabitych nie ma, rannych nie ma.

– Dziękuję w imieniu służby. Przekażcie dowódcy, żeby rozesłał patrole do wszystkich obiektów. Jeńców rozbroić i przysłać tu, do koszar.

Kawalerzysta zasalutował i odjechał do swoich ludzi. Do podporucznika zaczęli podchodzić dowódcy kompanii i meldować o sytuacji w oddziałach. Szybko okazało się, że największe straty odniosła kompania, w której był Fischer. Chaotyczny ogień wystraszonych strażników dosięgnął kilku żołnierzy. Jeden zginął, a pięciu zostało rannych. Odpowiedź Polaków spowodowała, że dwaj niemieccy wartownicy zginęli, a kilkunastu odniosło niegroźne rany.

Kopa porozsyłał poszczególne drużyny do zabezpieczenia budynków i hangarów ze sprzętem. Grupy te prowadzili żołnierze, Polacy służący na Ławicy, a więc znający doskonale teren i specyfikę miejsca. Fischer tymczasem podszedł do kilkudziesięcioosobowej grupy niemieckich jeńców. Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– Panowie, jesteście jeńcami polskiej armii powstańczej – zaczął wyjaśniać im ich położenie w czystej niemczyźnie. – Nie uważamy was jednak za wrogów. Słusznie zrobiliście, oddając broń, bo dzięki temu nie przelało się więcej krwi. Niepotrzebna strzelanina przy bramie spowodowała, że straty poniosła jedna i druga strona. Zupełnie niepotrzebne straty. No ale cóż, stało się. Panowie, gdy koszary zostaną zabezpieczone, możecie pójść do swoich sal wojskowych, by się spakować. Wkrótce zorganizujemy transport samochodowy. Ciężarówki odwiozą was na dworzec w Poznaniu, gdzie poczekacie na pociąg jadący do Niemiec. Jeszcze dziś przed wyjazdem każdemu z was wypłacony zostanie z kasy pułkowej żołd, abyście mieli pieniądze na podróż.

Ta ostatnia informacja spotkała się z pomrukiem aprobaty.

Do przodu wystąpił wąsaty kapral.

– A jak kto nie chce jechać do Niemiec? Tu jest kilkunastu Polaków ze Śląska i z Pomorza, panie poruczniku.

– Polacy mogą tak samo jak Niemcy jechać, dokąd chcą. Mogą też przyłączyć się do naszych oddziałów. Po odwiezieniu na dworzec kolejowy wszyscy, panowie, przestajecie być jeńcami.

Podporucznik Kopa podszedł do Fischera.

– No cóż, panie kolego, chyba czas odebrać kapitulację od pańskiego krewniaka.

– Porucznik Fischer już na nas czeka. – Antoni wskazał drzwi prowadzące do sztabu.

Dowódca ruszył przodem. Weszli na pierwsze piętro do pustego sekretariatu. Nie było tu nikogo, a drzwi do gabinetu dowódcy były szeroko otwarte. Kuzyn Antoniego siedział za biurkiem i palił cygaro. Na widok dwóch oficerów odłożył je do popielniczki i wstał. Wziął do ręki leżącą na stole szpadę oficerską, a do drugiej pistolet.

– Który z panów jest dowódcą? – zapytał.

– Podporucznik Andrzej Kopa – przedstawił kolegę Antoni.

– W związku z tym, panie poruczniku, oddaję w pańskie ręce moją broń i życie moich ludzi. Walkę uważam za zakończoną. Zdobyliście, panowie, dwadzieścia sześć sprawnych samolotów i siedemdziesiąt w konserwacji. Ponadto w hangarze na Winiarach jest trzysta rozłożonych na części maszyn.

Kopa wziął z rąk niemieckiego dowódcy pistolet i wręczył go Antoniemu.

– Zdaje się, że to obu panom zawdzięczamy, że nie doszło tu do niepotrzebnej bitwy i straty są minimalne. Dziękuję. Szpadę proszę zatrzymać, panie poruczniku. Może się pan teraz spakować i udać w dowolnym kierunku.

– Chyba pójdę do domu.

Porucznik Alfred Fischer uśmiechnął się pod wąsem.

– Poczekam na ciebie na dziedzińcu. A twój pistolet...

– Zachowaj go na pamiątkę naszego spotkania, Anton.

– Chodźmy na dół, poruczniku Fischer. Zanim pański kuzyn się przygotowuje, znajdziemy jakiś wóz, który odwiezie panów do miasta.

Dowódca lotniska założył czapkę, zasalutowował i wyszedł ze swojego gabinetu. Cygaro w popielniczce tliło się nadal, a smuga dymu unosiła się powoli ku oknu. Obaj polscy oficerowie wyszli na korytarz.

– Zdaje się, że nie przejdziemy do historii jako dowódcy heroicznych bojów, panie kolego – stwierdził Kopa, robiąc przy tym skwaszoną minę. – Ani to Termopile, ani nawet Somosierra.

– My osobliwie lubimy czcić hekatombę i ronić łzy nad klęskami. Ale o zwycięstwach, w których zwyciężył rozum, choćby były największym sukcesem, nie pamiętamy, tak jakby one się nam zwyczajnie należały – rzucił z goryczą Fischer. –

Ale cóż, drogi poruczniku, cieszymy się tym, co mamy. Może gorycz tego prawie bezkrwawego zwycięstwa osłodzi nam fakt, że zdobyliśmy kilka samolotów. Czy przypomina pan sobie zwycięstwo polskiego oręża, w którym zdobyto prawie czterysta maszyn? To chyba taki nasz współczesny obóz pod Wiedniem.

– Niech się pan nie łudzi. W szkołach nie będą o tym uczyć dzieci.

Na schodach prowadzących do mieszkania Helenki Jagódkówny panowała absolutna cisza. Komisarz Antoni Fischer uśmiechnął się do Kucharka, a potem spojrzał na swoje parabellum. To samo, które dostał w dniu zwycięstwa na Ławicy. Odbezpieczył broń i zaraz skinął głową Helenie. Ta włożyła klucz do zamka, przekręciła go i przycisnąwszy klamkę, otworzyła drzwi.

– To ja, już wróciłam. Mam kiełbasę i wódkę! Wstawaj! – zawołała i zaraz puściła się schodami w dół. Fischer ramię w ramię z Kucharkiem weszli do mieszkania. Na łóżku nie było nikogo, pod łóżkiem również. Szafa też była pusta. Szeroko otwarte okno wskazywało wyraźnie, jaką drogą ewakuował się ścigany przez nich złoczyńca. Z parapetu okiennego wspiał się na dach, a stamtąd albo na strych, albo na dach sąsiedniej kamienicy...

Godzina 8.40 rano

Władysław Okoń otworzył lewe oko, bo prawe jakoś mu się otworzyć nie chciało. Próbował, ale niewiele z tego wyszło. Rozejrzał się więc wokół tym jednym okiem i ze zdziwieniem

stwierdził, że jest w jakimś dziwnym, pomalowanym na biało pomieszczeniu. Sufit nad nim nie wyglądał najlepiej. Dokładnie nad jego głową farba była pomarszczona i pożółkła, tak jakby zniszczyła ją woda, przeciekając z pomieszczenia piętro wyżej. Leżąc tak na plecach, niewiele mógł dostrzec, więc uniósł się na łokciu i spojrzał w bok. Leżał na prostym metalowym łóżku, a na prawo od niego stało jeszcze pięć podobnych. Każde zajmował jakiś człowiek. Po drugiej stronie sali było tak samo. Leżący wyglądali dość kiepsko, a to oznaczało, że byli najprawdopodobniej w ciężkim stanie. Więc był w jakimś lazarecie albo szpitalu cywilnym... Ale dlaczego? Dotknął ręką głowy. Była zabandażowana. Oko też miał zabandażowane. Czyli musiał mieć jakiś wypadek...

Wypadek! I to ostatnie słowo otworzyło jakąś zatrzaśniętą klapkę w jego mózgu. Gdy ta rozwarła się szeroko, natychmiast przypomniała mu się noc, kiedy to ścigał przestępcę uciekającego dorożką. A wcześniej wspomniał serdecznego druha Olkiewicza, który padł zraniony nożem w brzuch. No właśnie, co z nim? Jak się czuje Anastazy? Skoro on trafił do szpitala, to i Olkiewicz musiał tu być.

Podniósł się, usiadł na łóżku i spuścił nogi na podłogę. Miał na sobie swoje własne kalesony i nieco już poszarzałą od używania podkoszulkę z długim rękawem. Więc nie przebrano go w szpitalne ciuchy. To mogło oznaczać, że nie mieli go zamiaru długo trzymać, jak tych tu leżących na łóżkach żywych truposzy.

Stanął na zimnej posadzce, przez chwilę przytrzymując się krawędzi łóżka, tak na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że ma zawroty głowy. Nie miał, więc się puścił i zrobił krok w przód. Nie wywrócił się, więc nie było tak źle. Tej nocy uderzył łbem o bruk, ale chyba nie miał pękniętej czaszki i mózg nie wylał mu się ze środka. Pewnie był tylko obity, więc

właściwie może się zaraz z kimś dogadać, odebrać swoje rzeczy i iść. Tylko gdzie ten Olkiewicz? W żadnym z tych leżących na łóżkach facetów nie rozpoznał Anastazego.

– A pan to dokąd się wybiera? – Usłyszał jakiś skrzekliwy kobiecy głos.

Spojrzał przed siebie. W drzwiach prowadzących na korytarz stała siostra zakonna w sędziwym wieku, ubrana na biało. Na jej piersi wisiał czarny krzyż zaczepiony na srebrnym łańcuszku, a na twarzy malowała się pewność siebie, podbudowana sporym doświadczeniem.

– Ja właśnie to chciałem...

– A doktor to pozwoliła wstać?

– Nie, nie. A jaki doktor? Tu żadnego doktora nie było.

– Nie było, he, he! A kto panu łeb pozszywał i wyczyścił ranę? Pani doktor Fischerowa pana oporządziła. I chyba dobrze to zrobiła, bo widać, że może pan się ruszać. A po takim wstrząśnieniu mózgu to ludzie i kilka dni nie mogą chodzić, bo im podłoga spod stóp ucieka.

– Pani doktorka Fischerowa? Siostra pana komisarza?

– Ta sama. Zna się na szyciu jak każda kobieta. Po jej igle to śladu nawet nie będzie na czole, jak się wszystko wygoi.

– A mój kolega?

– Jaki kolega?

– No też w nocy przywieziony być musiał. Policjant Anastazy Olkiewicz. Ranny od noża w brzuch.

– A ten nieborak...

– Co z nim?

– A leży tu na izolatce, bo cały czas nieprzytomny. Nasza doktorka też go pozszywała, ale najpierw mu brzuch roztworzyła, żeby sprawdzić, co ten nóż tam narobił. Zeszyła w środku flaki i potem zacerowała kałdun. Ona zna się na robocie.

– Będzie żył?

– Będzie, teraz śpi, nieboraczek. Dużo krwi stracił. Potrzebna była mu transfuzja.

Widząc niepewną minę Okonia, wyjaśniła mu, w czym rzecz.

– Jak się krew straci, to trzeba jej trochę dolać, bo w człowieku musi być tyle krwi, co pan Bóg zaplanował. No to onemu tej krwi dolali i teraz śpi jak zabity... – Szybko przeżegnała się. – Psia kość! Nie to chciałam powiedzieć. Śpi jak niemowlę i jak się obudzi, to się będzie lepiej czuć.

– A ta krew to niby skąd się wzięła?

– Niech się pan nie boi. Dostał dobrą, katolicką, od naszej siostrzyczki Teodozji. Bo ona ma taką samą grupę krwi, co ten kolega. Też ma grupę A, więc można było ją podłączyć do niego i podczas operacji jej krew płynęła do jego żył.

– To znaczy, że mój kolega ma teraz w sobie kobiecą krew?

– A co to, kobieca to gorsza? – Siostra zrobiła nadęsaną minę.

– Ja nie o tym, czy gorsza, ino o tym, czy z tą kobiecą krwią, no wie siostra, czy mu aby co nie wyrośnie albo nie odleci?

– A czy aby panu coś przez tę dziurę we łbie jakaś klepka nie wypadła?

– Muszę go zobaczyć! – rzucił zdecydowanie i ruszył w kierunku drzwi.

Jednak naraz nogi się pod nim ugięły i byłby upadł na kolana, gdyby nie refleks zakonniczy. Widać, że miała już sporo doświadczenia w pomaganiu pacjentom, bo choć była o głowę niższa od Okonia, sprawnie przytrzymała go w pionie, szybko wsunęła głowę pod ramię, a ręką objęła go w pasie.

– Za wcześnie jeszcze na bieganie, panie policjancie.

– Takoś mi się jakoś słabo zrobiło – wyjaśnił.

– Jak się ma wstrząśnienie mózgu, to może być słabo i przez kilka dni. Musi pan wrócić do łóżka.

Pokręcił głową.

– Wrócę się, jak zobaczę mojego kolegę. On tam sam leży i nie wie, co się dzieje. Muszę iść do niego.

– Uparciuch z pana policjanta. No dobrze. Zaraz podam jakąś laskę, żebyś się pan znowu nie wykopyrtnął. Oprzyj się pan tu o łóżko, a ja zaraz co przyniesę.

Chwycił się poręczy łóżka, na którym leżał jakiś starszy, nieogolony mężczyzna. Twarz miał poraną bruzdami zmarszczek, a pomarszczone dłonie rozłożył na wierzchu koca. Jedna ręka była podrapana, a może pokaleczona. Ale rany już się zagoiły, pozostawiając tylko zaschnięte strupy na wierzchu. Z oczu płynęły mu łzy.

– Co się stało, dziadku? – zapytał z troską w głosie Okoń.

– Zostawili mnie.

– Kto zostawił? – Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł tych, którzy zostawili starca.

– Moje dziecioki mnie zostawiły. Wzieni mnie na wóz i przywieźni tu, do umieralni.

– Do jakiej umieralni?

– No tutaj. Do szpitala przywieźni. Na śmierć zostawili.

– Na jaką śmierć? Tu się ludzi leczy.

– Ady tam zaraz leczy. Zascyk mi zrobili. Teraz to ja już umrę zostawiony sam. Zascyki są najgorsze. W nich jest diabeł schowany. – Szybko się przeżegnał i przy okazji przetarł zażawione oczy. – Już ja moich krówek nie zobaczę.

– A na co chorujecie, dziadku?

– Na wszystko. Tako mnie chłelera dusi za gardło i nie chce odpuścić. To doktorka powiadała, że zascyk trzeba dawać. A jakem nie chciał, to mię chycili i igłę w brzuch wsadzili. I teraz to ja już umrę i nie zobaczę moich świnek i kurek... Łostawili mnie wew tyj umieralni.

– Panie Skowron, nie gadajcie głupot! – rzuciła siostra od drzwi.

– Jo ino powiadam, że umierom tutaj.

– Ale też bajki opowiadacie, panie Skowron. Zastrzyki postawią was na nogi i za miesiąc będziecie mogli tańcować.

– Ale gdzie tam. Nie dożyję miesiąca. Olaboga, umierom!

Zakonnica podała Okoniowi kulę, na której mógł się oprzeć. Powoli ruszył do przodu, a ona za nim, asekurując go na wszelki wypadek.

– Na prawo. – Wskazała drogę, gdy wyszli na korytarz.

– Co mu jest? – zapytał, spoglądając na siostrę.

– Komu?

– Temu dziadkowi?

– A, Skowronowi... To w zasadzie nic mu nie jest. Ale jest podejrzenie, że może mieć wściekliznę.

– Jak to?

– To kłusownik, co chodzi z obrzynem po polach i strzela do zwierzyny. Jego pies pogryzł się z lisem, a on chciał psa ratować i lis go użarł w rękę. Widział pan, jakie ma zadrapania. Na szczęście ma mądrego syna, co wziął tego lisa, bo lisa ojciec zastrzelił, i zawiózł go do badania. No i wykazało, że ma wściekliznę. No to wsadził ojca do furmanki i przywiózł do nas. Stary ma szczęście, że jego syn czyta gazety i słucha radia. Dzięki temu wiedział, że ze wścieklizną nie ma żartów.

– Ale dziadek płacze, że go na śmierć przywieźli.

– A bo to pan nie wie, że ludzie starzy myślą sobie, że do szpitala się wiezie nie po to, żeby leczyć, ale po to, żeby umrzeć. Ten jakby mógł, toby uciekł już dawno, ale ma zapowiedziane, że jak nie przyjmie całej serii zastrzyków, to zapłaci karę i stanie przed sądem. Z wścieklizną nie ma żartów.

– A jakby tych zastrzyków nie dostał?

– No to by umarł.

– Od lisa?

– Od wszystkiego można umrzeć, panie policjant, od lisa, od wypadnięcia z bryczki i od noża. Życie zastawia na nas różne pułapki, a my musimy się modlić, żeby nie dać się złapać w którąś zupełnie niepotrzebnie, i pójść do Pana spokojnie na samym końcu naszej drogi.

– To ja już takich pułapek miałem na swojej ścieżce tyle, że ich nie zliczę, a ten mój koleżka tak samo doświadczony. – Podszedł do łóżka w izolatce. Leżał na nim blady jak ściana Anastazy Olkiewicz. Oczy miał otwarte.

– No, stary pierniku koszarowy, żyjesz, jak widzę.

– Złego diabli nie biorą! – powiedział cicho Olkiewicz, uśmiechając się niewyraźnie pod czarnym wąsem.

– Mnie tam o diabłach słuchać się nie godzi. Tak że już stąd idę. A pan, panie Okoń, niech no kolegi za bardzo nie męczy, bo siły to on na pewno za dużo nie ma, mimo że brzuch ma gruby.

– Spokojna głowa, siostró. Chwilkę pogadamy i wracam do wyrka – uspokoił ją Okoń.

– Całkiem dobrze wyglądasz – skłamał, pochylając się nad kolegą. Olkiewicz pokiwał głową.

– Gdyby nie zastrzyki z morfiny, tobym chyba wyciągnął kopyta z bólu. Taki mały knypek mi wbił, a tyle narozrabiał.

– Siostra powiadała, że flaki ci musieli zszywać. Ale żeś na dobrą krawcową trafił, bo to siostra naszego komisarza Fischera cię sfastrygowała. Ale najlepsze jest to, że jak była ta operacja, to ci przetoczyli krew. Dostał żeś krew od jednej siostrzyczki zakonnej.

– Jak od siostrzyczki?

– No normalnie. Masz w sobie babską krew.

– Nie może to być.

– Może, bo jest. Teraz tylko patrzeć, jak ci cycki wyrosną, he, he!

– Nie rozśmieszaj mnie, bo nie mogę się śmiać. Mam dziurę w brzuchu. A ten, co my go ścigali, to uciekł?

– Uciekł, skurwysyn, ale jak tylko stąd wyjdę, to ja już go dopadnę i wypatroszę jak szczupaka. To ja ci jako twój kolega mogę obiecać.

– Anastazy! – Od drzwi poniósł się głos Klementyny Olkiewiczowej. – Anastazy, co ci jest?

– Ady nic tam! – odpowiedział trochę przestraszony tym nagłym wtargnięciem. Miał nadzieję, że informacja o jego ranie nie dotrze do żony za szybko, że może pójdzie tam do niej Okoń, żeby jej nie straszyć, a tymczasem jakiś osioł musiał ją poinformować.

– Komisarz Fischer zadzwonił do mnie do pracy. I powiedział, żeś ranny.

– Nic takiego. Takie skaleczenie malutkie. Ani się obejrzymy i się zagoi... – powiedział Olkiewicz uspokajającym tonem i zasnął.

– Nic mu nie będzie, Klementynko. Anastazy to twardy chłop. Nie raz już kostusze spod topora uciekł, to i tym razem nie ma się co o niego bać. Niech se pośpi. Musi odpocząć. – Okoń próbował nieporadnie pocieszyć kobietę, ale ona, wpatrzona w twarz swojego męża, niczego nie słyszała, pogrążona w modlitwie, którą bezdźwięcznie wypowiadały jej usta.

Godzina 9.10 rano

Mężczyzna w czapce z daszkiem i szarym płaszczu stał pod kamienicą położoną vis-à-vis konsulatu niemieckiego, wpatrzony w okna na pierwszym piętrze. Niewiele było tam widać, ale i tak patrzył, bo nie miał nic ciekawszego do roboty. Musiał się spotkać z pewnym człowiekiem, który tam, za tymi oknami pracował, ale nie wiedział, czy jest w środku, czy też dopiero przyjedzie. Jeśli jeszcze się nie pojawił, to sprawa będzie prosta. Gdy tylko go zobaczy, podejdzie, wciągnie gdzieś do bramy i tam mu o wszystkim opowie, to znaczy o tych niepowodzeniach ostatnich godzin. A on nie będzie miał wyjścia. Musi mu pomóc. Bo jak nie, to przecież może jeszcze pójść na policję i wszystko wyśpiewać... Nie, na policję nie pójdzie, bo go wsadzą. Na żadną współpracę policja się nie zgodzi. Za dużo się wydarzyło ostatniej nocy. No może gdyby nie ci policjanci, a dokładniej ten jeden, którego dziabnął nożem, to była jeszcze szansa na jakieś porozumienie. Swoją drogą ciekawe, czy przeżył? Takie ciosy nożem w brzuch są dość niebezpieczne. Wszystko się może wydarzyć. Może dojść nawet do jakiegoś zakażenia i po sprawie. Pamiętał z czasów wojennych, jak jeszcze służył we Francji, takich rannych, co dostali pchnięcie w brzuch bagnetem. Rzadko który z taką raną przeżywał. Prawda, że te rany były paskudne, bo żołnierze wiedzieli, jak je zadawać, żeby osiągnąć efekt. Wbijali bagnet w ciało przeciwnika i przekręcali karabin w bok, po czym wyszarpywali ostrze. Taka rana była praktycznie nie do zaleczenia. Obie strony tak robiły i nikt nie widział w tym niczego niestosownego. Była to normalna robota żołnierska, obliczona na wyeliminowanie przeciwnika. Wyeliminowanie jak najbardziej skuteczne, sprawiające, że zraniony żołnierz już nie będzie stanowił zagrożenia.

Ale w nocy nie miał czasu na takie zabawy. Pchnął nożem, żeby utorować sobie drogę ucieczki. Czyli zrobił to, co musiał.

No i mu się udało. Ale później sprawy się skomplikowały przez tę dziwkę. Powinien ją zatrzymać w domu, a nie wysłać na zakupy. Tyle że nie mógł przecież wiedzieć, że okaże się taką zdradziecką kurwą. Dostała tyle pieniędzy i zamiast być mu wdzięczna, poleciała zawiadomić policję. Ciekawe tylko, skąd wiedziała, że oni go szukają? Najlepiej by było pójść tam do niej, do tego mieszkania, i wszystko z niej wydusić. No a potem ukarać. Może by jej tak obciąć nos i uszy? Tak się przecież karze za zdradę, a ona go najnormalniej w świecie zdradziła i wydała szkiełom.

Bardzo mu się spodobała ta myśl o ukaraniu podstępnej Heleny. Bez nosa i uszu będzie się całkiem ładnie prezentować. Odbierze jeszcze od niej pieniądze, no bo jej się nie należą, a potem ją potnie tak, że zapamięta go sobie do końca życia. Tylko na to musi trochę poczekać. Przecież nie pójdzie tam dzisiaj. Musi się przyczaić i odczekać dzień czy dwa, jak się wszystko uspokoi. Tyle że za dwa dni może już być w Niemczech, tak jak mu obiecał ten człowiek. W takim razie, jeśli nie będzie czasu na porachunki przed wyjazdem, trzeba to wszystko przemyśleć. Najpierw niech tylko znajdzie tego Niemca. On musi pomóc.

Całe szczęście, że udało mu się wydostać z tego mieszkania. Ona zamknęła go na klucz i to wydało mu się podejrzane. Wyjrzał przez okno na podwórko, a tam Helena stała z dwoma policjantami. I wtedy wiedział już, że musi uciekać. Sprawdził, że z okna da się wejść na dach, trzeba się tylko podciągnąć. No więc stanął na parapecie, chwycił się rynny i wpełzł na płaski dach pokryty papą. Z tego dachu wszedł na drugi, należący do sąsiedniej kamienicy. Tam udało mu się dostać na strych przez niewielkie okienko. Zejście ze strychu nie nastroczało żadnych problemów. Musiał jeszcze tylko zadbać o coś do ubrania, bo swoje palto zostawił w mieszkaniu

Heleny, żeby mu nie przeszkadzało w ucieczce. Przecież nigdy by się nie wydostał w nim na dach, a poza tym nie było czego żałować, bo rękaw był przestrzelony. Potrzebny mu był strój, dzięki któremu będzie mógł się wtopić w otoczenie.

Miał sporo szczęścia, ponieważ drzwi prowadzące do jednego z mieszkań na ostatnim piętrze były otwarte na oścież. Czuć było zapach gotowanej kiszanej kapusty dolatujący z kuchni. Gospodyni pewnie celowo zostawiła otwarte, żeby zrobić przeciąg i wygonić te kwaśne smrody. Zajrzał do środka. Nie było jej przy piecu. Musiała pójść w głąb mieszkania. Na wieszakach obok drzwi wisiały jakieś łachy. Szary, znoszony płaszcz sam prosił się o wzięcie. Była tam też wypłowiała czapka hamburska z daszkiem. Ją także zabrał. W ten sposób odział się jak prawdziwy robotnik.

Wyszedł na ulicę i stanął w tłumie gapiów. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wyglądał dokładnie jak nikt. Jednak pomyślał, by ubierać się jak bogacz, miał swoje dobre strony. Wszyscy będą teraz szukać człowieka, który ubiera się elegancko. A na biednie odzianego robotnika nikt nawet nie spojrzy.

Pod konsulat podjechał czarny samochód. Przednie drzwi od strony pasażera otworzyły się i na chodnik wysiadł niezbyt wysoki mężczyzna w średnim wieku. Założył na głowę kapelusz i ze środka auta wydobył czarną teczkę. Zaraz zatrzasnął drzwiczki i ruszył w kierunku wejścia do budynku.

Obserwator stał jeszcze przez chwilę wpatrzony w auto, a upewniwszy się, że ten, który przyjechał, jest już w konsulacie, przeszedł szybko brukowaną ulicę, zbliżył się do samochodu i szarpnął tylne drzwi. Otworzyły się, więc wiele się nie zastanawiając, wskoczył do środka. Zdziwiony szofer się odwrócił.

- Co tu hobisz? Zwahiowałaś?
- Nie zwariowałem. Mam kłopoty.
- Wyjdź z auta. Zaraz whuci pan konsul.
- Co mnie obchodzi jakiś zasrany konsul. Mówię ci, że mam kłopoty. Mało mnie nie aresztowali dziś w nocy. Policja jest na moim tropie.
- To twój phoblem. Co mi do tego?
- Nie taka była umowa. Miałeś mnie przewieźć do Niemiec.
- No i tak żeśmy się umawiali. Masz już kupiony bilet na pociąg do Schneidemühl. Ale na pojuthze. Bo jutho dopieho będzie twój paszpoht gotowy. Jutho papiehy dostaniesz i obiecane pieniądze, a pojuthze hano jedziesz do Niemiec.
- A co mam teraz robić? Policja może mnie w każdej chwili złapać.
- Pewnie żeś się im sam wystawił. Miałeś siedzieć w domu i czekać.
- Oni przyszli do mnie do domu. Ktoś im powiedział, gdzie mnie szukać – kłamał jak z nut.
- Nie mam pojęcia, kto to mógł powiedzieć. Pewnie przypadek.
- I jak uciekałem, musiałem wszystko zostawić, czyli że nie mam pieniędzy.
- Choleha jasna! Skąd niby ja mam bhać pieniądze dla ciebie?
- No przecież musisz mi zapłacić. Tak jak żeśmy się umawiali.
- Dobha, poczekaj. Idź tehaz do zoo i poczekaj przy klatce z lwami. Wiesz, gdzie jest ta klatka?
- Jak mam nie wiedzieć? Pewnie, że wiem.
- Idź tam i czekaj. Zahaz skombinuję pieniądze.
- Tylko szybko, bo głodny jestem i nic dzisiaj jeszcze nie jadłem.

Wincenty Gargulec wyszedł z auta i zatrzasnął drzwi. Kierowca też wyskoczył z samochodu. Rzucił okiem za odchodzącym mężczyzną i zaraz pobiegł do drzwi wiodących do konsulatu. Musiał coś z tym nieodpowiedzialnym durniem zrobić. Bo jeśli ten głupiec będzie dalej chodził po mieście, to za chwilę złapią go policjanci i wszystko się wyda. Gdyby miał już ten paszport, to wsadziłby Gargulca dziś do pociągu i byłoby po sprawie. Ale paszporty podpisuje konsul, który dopiero przed chwilą pojawił się w konsulacie. Przyjechał rano wprost z Berlina. Przerwał urlop na wieść o zaginięciu wicekonsula.

Schulte wbiegł na piętro i ruszył do pokoju, w którym na co dzień urzędował. Był co prawda szoferem, ale nie jeździł przez cały dzień. Czekanie na wyjazd nie mogło być jednak bezproduktywne. Dlatego wymyślono dla niego zajęcie polegające na czytaniu listów od prywatnych osób przychodzących do konsulatu i wkładaniu ich do odpowiednich teczek. Każda miała na wierzchu adnotację, żeby się Schulte nie pomylił. Do najważniejszej wkładał sprawy pilne, czyli takie, z którymi jak najszybciej powinien się zapoznać któryś z urzędników, bo dotyczyły na przykład prześladowania Niemców przez Polaków. Teczka druga to kwestie mniej ważne, czyli prośby o wydanie paszportów czy zaświadczeń. One musiały się w urzędzie odleżeć, żeby ludzie nie myśleli sobie, że konsulat spełni każdą ich fanaberię tylko dlatego, że napisali list. Była jeszcze trzecia teczka. Do niej trafiały wiadomości śmieci, czyli korespondencja od wariatów domagających się rzeczy niemożliwych, takich jak prośba pewnego rolnika, by przysłano mu z kolonii niemieckich kilku Murzynów do pracy w polu, bo jako gospodarz chciałby mieć własnych niewolników do roboty.

W tej teczce prócz zwariowanych listów Schulte trzymał pomiędzy papierami swój pistolet. Idąc do biura, przemyślał całą sprawę i doszedł do wniosku, że łatwiej będzie pozbyć się Gargulca, bo jeśli ten osioł dalej będzie się pętał po mieście, to może wpaść i wtedy nastąpi katastrofa. Wyciągnął pistolet i sprawdził, czy w magazynku są kule. Były tam zawsze, ale wolał się upewnić, tak na wszelki wypadek. Włożył broń do kieszeni i wyszedł na korytarz. Niemal zderzył się z konsulem Richardtem von Zieglerem.

– Dobrze, że pana widzę, Joseph. Świetnie, jedziemy od razu. Nie ma czasu...

– Ale panie konsulu, ja właśnie muszę...

– Co pan musisz? Nic nie musisz. Musimy jechać do miasta. Do szpitala wojskowego.

– A czy coś się stało? – zdziwił się, bo konsul nie wyglądał na chorego.

– Dzwonił jakiś komisarz Fischer z policji. Mówi, że mają ciało wyłowione z rzeki. I jego zdaniem może to być wicekonsul. Ja już idę po płaszc...

Cholera jasna! Jednak go znaleźli, pomyślał przerażony. Co, jeśli wiedzą, że to Gargulec jest mordercą? A niby skąd mogą to wiedzieć? Nie ma co wpadać w panikę. A ten niech sobie tam poczeka i poogląda lwy. Przecież bez forsy nigdzie nie pójdzie.

– No dalej, Joseph, idziemy – przywołał go do rzeczywistości von Ziegler, ubrany już w palto.

– Tak jest! – Ruszył za swoim szefem.

Gdy podeszli do samochodu, otworzył tylne drzwi mercedesa, a dyplomata wsiadł do środka. Zamknął je za nim i obszedł auto, by usiąść za kierownicą. Spojrzał w kierunku ogrodu zoologicznego, ale nie dostrzegł stojącego między

drzewami Gargulca. Ten za to widział, jak pasażer i kierowca odjeżdżają dokądś w pośpiechu.

Godzina 9.40 rano

Kapitan Mikołajewski oparł głowę na łokciu, wpatrzony w leżącą na łóżku obok niego kochankę. Marlena odrzuciła w tył głowę, przymknęła powieki i rozchyliła lekko usta, nadając im wyraz rozkosznego zmęczenia. Była piękna. Błada twarz o regularnych, jak gdyby kutych misternym dłutem w alabastrze rysach, w aureoli jasnych włosów, upodabniała ją do mistycznej bogini greckiej. Smukła, biała szyja, delikatne ramiona i jędrne piersi tworzyły obraz, który zapewne chętnie utrwaliby niejeden znany malarz portrecista. Jednak ona nie miała zamiaru utrwalać swojej fizys na płótnie. Ten widok przeznaczony był tylko dla jej kochanka, bruneta o przenikliwym spojrzeniu miodowych oczu.

– Dobrze cię tu mieć przy sobie.

– Całą drogę w pociągu zastanawiałam się, jak też mnie przyjmiesz. Czy ucieszy cię mój widok?

– Skąd takie wątpliwości? Przecież wiesz, że związek z tobą to najlepsza rzecz pod słońcem, jaka mi się przydarzyła w życiu.

– Związek, jednakowoż na odległość. To nie jest dobre dla nawet najbardziej namiętnych relacji. Gdybyśmy tylko mogli żyć jak zwyczajnie, normalni ludzie. Gdyby nie to, że jesteśmy z innych światów, gdyby nie to, że dzielą nas granice. Ja przecież mogłabym być przy domu i wychowywać dzieci, a ty byś chodził co dzień do pracy w biurze, a potem wracał na obiad, który jedlibyśmy przy wielkim stole w jadalni.

W niedzielę chodzilibyśmy razem do parku, na lody i bitą śmietaną. Ty w kawiarni piłbyś piwo, a ja z dziećmi lemoniadę przez słomki.

– Ho, ho! Dziećmi? To ile tych dzieci byś chciała mieć?

– Chłopca i dziewczynkę.

– No proszę, jak to wszystko już masz zaplanowane. A imiona też już wybrałaś?

– Oczywiście. Chłopcu dalibyśmy na imię Adolf, bo to po moim tacie, a córce po mamie Brunhilda. I jak ci się podobają?

– Adolf to tak jak nasz znany aktor Adolf Dymśa. Imię całkiem zgrabne. Moglibyśmy mówić do niego Adi. A co do dziewczynki, to czy aby nie jest za bardzo poważne?

– Ależ skąd, mój kochany. Na mamę wszyscy mówili Bruni. Czyż nie brzmi pięknie?

Skinął głową. Ten Adolf był jeszcze do zaakceptowania, ale Brunhilda? Za bardzo germańska i Wagnerowska. Trzeba by dać drugie imię polskie.

– Brunhilda Wanda, imię po mojej mamie.

– Wanda, całkiem ładnie brzmi.

– Tak, tylko jak to zrobić? Przecież wiesz, że to będzie arcytrudne. Ja mam tu ważną pracę, a ty...

– Ja poświęciłam wszystko dla ciebie. Czy może być większy dowód na całkowite i bezwarunkowe oddanie się mężczyźnie, jak narażanie dla niego życia? Codzienne narażanie życia, mój najdroższy.

Pokiwał głową. Miała rację. Oddała mu się całkowicie duszą i ciałem, i jednocześnie dała zwerbować do pracy wywiadowczej. Jako osoba zatrudniona w sztabie Pierwszego Okręgu Wojskowego Prusy odpowiedzialna była za szereg dokumentów ekspediowanych z Königsbergu do Berlina. To ona przygotowywała pakiety z raportami o wykonaniu poleceń

dowództwa. Papiery zamykała w worki przewozowe i ekspediowała pociągami jadącymi z Prus Wschodnich do stolicy Rzeszy. Jeśli wśród nich było coś, czym mógłby się zainteresować polski wywiad, przekazywała wiadomość rezydentowi wywiadu, a ten niezwłocznie informował o tym konsulat. Stąd szła zaszyfrowana depesza do Bydgoszczy, gdzie natychmiast stawiano w stan gotowości grupę włamywaczy, którzy mieli za zadanie dostać się do zaplombowanego pocztowego wagonu jadącego przez „polski korytarz”, skopiować dokumenty i pozostawić je w takim stanie, w jakim były wcześniej. Akcja o kryptonimie Wózek toczyła się już od kilku miesięcy, a dzięki niej polska strona pozyskała sporo bardzo ważnych informacji. A wszystko dzięki temu, że Marlena była szaleńczo zakochana w Feliksie.

– A gdybyśmy tak wsiedli na statek i popłynęli do Ameryki? Tam moglibyśmy zacząć nowe życie, z czystymi hipotekami. Nikt by się nas nie pytał, jakiej jesteśmy narodowości. Tam ważne byłoby tylko to, że chcemy być Amerykanami i tworzyć ten wspaniały kraj.

– Ha, ha! Wyobrażasz sobie mnie na koniu w kowbojskim kapeluszu i z lassem w dłoni, jak ten aktor Tom Mix?

– Przecież nie musimy jechać na Dziki Zachód. Czytałam, że w Nowym Jorku klimat jest taki sam jak u nas. Czuliśmy się tam jak u siebie. Czytałam w gazetach sporo reportaży z Ameryki. To kraj wielkich możliwości dla ludzi, którzy chcą rozpocząć nowe życie.

– Wrócimy jeszcze do tego tematu, moja droga. Ale teraz pora wstawać.

– Czy aby na pewno? – Przeciągnęła się leniwie, ale i zachęcająco.

Pocałował ją w policzek i odsunął się, by wstać. Rozejrzał się po sypialni, szukając porzuconych wczoraj części garderoby.

Nic nie było w pobliżu. No tak, rozbierali się w pośpiechu, a ubrania zaczęli zrywać z siebie jeszcze w salonie. Gdy trafili do łóżka, byli już całkowicie nagi. Cóż, musiał pójść do drzwi rozebrany. Krępowowało go to nieco, ale cóż było zrobić. Ona za to nie czuła wstydu. Była jak *Maja naga* z obrazu Goi. Podparta na łokciu, wpatrywała się w jego plecy i pośladki, wyraźnie zadowolona.

– Jesteś pięknie zbudowany – stwierdziła z satysfakcją.

– Gdzież mnie się równać z tobą, moja bogini. Idę się umyć i ubrać. Ty też wstawaj. Pójdziemy zaraz do jakiej śniadalni, bo ja, jak się pewnie domyślasz, w spizarce mam formalnie pustki. Gdybym wiedział, że przyjeżdżasz, kupiłbym co do jedzenia...

– Kochany, nie zaprzataj sobie głowy niepotrzebnymi sprawami. Zjemy gdzieś na mieście. A potem co?

– Potem trzeba się spotkać z ciotką, żoną twojego stryja. To znaczy ty powinnaś się z nią spotkać i powiedzieć, czegoś się dowiedziała. A ona niech ci opowie wszystko, co wie na temat stryja. Może wiedzieć coś, czego nie chciałyby zdradzić policji...

Podszedł do szafy bieliźnianej w drugiej sypialni, tej z mniejszym łóżkiem, w której spał na co dzień. Może ona ma rację, myślał, spoglądając na swoje równo poukładane kalesony i koszule. Jego bieliznę raz na tydzień zabierała praczka i dwa dni później wszystko wracało zawinięte w papier, czyste i pachnące. On tylko układał to w szafie, a później brał codziennie to, co mu było potrzebne. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, że to pranie nie musiałyby wcale opuszczać domu i że takie obowiązki jak gotowanie czy sprzątanie mogłyby nadzorować jego kobieta. Jak to brzmiało: jego kobieta, jego żona, kapitanowa Mikołajewska. A może lepiej by brzmiało: Marlena von Pieskow-Mikołajewska. Tak,

ten arystokratyczny przedrostek von, oznaczający miejsce pochodzenia, dobrze się prezentował. Oznaczał, że jej przodkowie wywodzili się z jakiegoś Pieskowa albo Piaskowa. Niemieckie nazwisko, a w nim zamknięta cała prawda o złożoności i niezwykłości naszych stosunków na polsko-niemieckim pograniczu, gdzie słowiańskie nazwy utrwały się i zachowywały w nazwiskach arystokratów niemieckich, a niemieckie nazwiska były powszechne wśród wszystkich polskich warstw społecznych. W końcu jego najbliższy przyjaciel Antoni Fischer nosił nazwisko niemieckie, a był prawdziwym Polakiem i niewątpliwie polskim patriotą. Co ciekawe, jego żona Ursula była najprawdziwszą Niemką, która wcześniej wcale nie miała do czynienia z Polakami. Pokręcone te nasze tutejsze losy, zastanawiał się. Musiał pomyśleć, jak zrobić, żeby Marlena mogła być oficjalnie jego... No ale jeśli ona zostanie z nim, to polski wywiad straci tak cenny kontakt. I co wtedy? Nie będziemy mieć informacji o poczynaniach Niemców, a te są przecież kluczowe. Zwłaszcza w ostatnim czasie, gdy w niemieckiej polityce ważne miejsce zaczynają zajmować nacjonałiści, którzy marzą o rewizji polskich granic.

– Sprawa jest rzeczywiście dość dziwna – odezwała się, stając w drzwiach.

Odwrócił się. Była bezwstydnie naga. Nie mógł oderwać od niej oczu. Spojrzenie Marleny ześlizgnęło się łagodnie z jego brzucha nieco niżej. Poczł natychmiast mrowienie, a zaraz potem gotowość. Uśmiechnęła się i podeszła do niego lekkim krokiem.

– Chyba jednak jeszcze chwilę zostaniemy w domu – stwierdziła.

– To chyba nie jest zbyt odpowiedzialne. – Bronił się, ale bez większego przekonania. – Marleno! – jęknął w końcu i nachylił

się, by złapać ją za jędrne pośladki. Ona chwyciła go za kark i dała się unieść.

– O tak, najmilszy. O tak, chodź!

Posłuszny poleceniom, zaczął poczynać sobie coraz śmieiej. Nacierał i cofał się, a ona wyznaczała rytm rozkosznymi jękami.

Wczepiona w jego kark, sama zaczęła nadawać ton i prędkość, poruszając biodrami z każdą chwilą szybciej i bardziej zdecydowanie. To ona teraz stawiała się stroną atakującą, napierającą i zdobywającą go z każdą sekundą coraz bardziej bezwzględnie. Nie miał nic przeciwko temu. Oddał się jej całkowicie, a ona jak amazonka mknęła do przodu szybciej, mocniej, zbliżając się nieuchronnie do absolutnego spełnienia.

Naraz krzyk wyrwał się z jej gardła, nie bólu, nie strachu, ale pełen szczęścia, wyrażający najwyższą ekstazę zakończoną w jej wnętrzu. Przez chwilę trwali w absolutnym bezruchu, zatraceni w sobie, złączeni w jeden blok ciał jak tych dwoje zastygłych w kamieniu kochanków z rzeźby Augusta Rodina...

– Nie chcę żyć bez ciebie – wyszeptała Marlena.

– Przecież jesteśmy ze sobą – odpowiedział Feliks.

Przytuliwszy ją mocno, delikatnie przeniósł na łóżko. Usiadł przy niej, wpatrzony w jej twarz. Oczy Marleny zasnute były ledwie widocznym woalem rozkoszy, a na jej ustach nabrzmiałych od pocałunków błąkał się lekki uśmiech.

– Jeśli natychmiast się nie ubierzemy, nigdy nie wyjdziemy z domu, a sprawy mamy pilne.

– No przecież ciotka ma przyjechać dopiero po południu. Cała nadzieja w Fischerze, że już odnalazł stryja.

– Nie, Marleno. Czas iść. Ja skontaktuję się z Fischerem, a ty pójdziesz do mieszkania stryja, tak jak ustaliliśmy z Antonim. Stąd to zaledwie jakieś pięć minut drogi.

Rozmówisz się z ciotką i w razie czego zaoferujesz jej pomoc. Oczywiście nie moją. Lepiej, żeby w ogóle o mnie nie wiedziała. Zaoferujesz jej pomoc polskiego wywiadu.

Marlena uśmiechnęła się, położyła mu dłoń na karku i delikatnie przyciągnęła ku sobie. Gdy zwarli się w pocałunku, pomyślał, że nie nadaje się na oficera wywiadowcę.

Godzina 10.30 przed południem

– No to mamy poważny kryzys, panie Oskierko – stwierdził Fischer, sięgając po swoją ulubioną wiśniową fajkę.

Ubił tytoń, który wyciągnął z płóciennego woreczka, przybił stemplem i przypalił zapałką. Aromatyczny dym szybko wypełnił biuro komisarza.

Tę fajkę dostał od ojca, gdy po ukończeniu kursu oficerskiego wyjeżdżał na wojnę do Francji. Wtedy nawet jeszcze nie palił tytoniu, ale prezent przyjął, bo w końcu nie wypadało powiedzieć ojcu, że nie wie, co miałby z tą fajką o połyskliwym cybuchu zrobić. Dopiero na froncie zrozumiał, jak ważny był ten ojcowski podarunek. Fajka szczególnie przydawała się podczas artyleryjskiego ostrzału, gdy ludzie wariowali ze strachu, ukryci w transzejach. On, bądź co bądź oficer, powinien był świecić przykładem i opanowaniem, więc własny strach, rozrywający swoim ostrzem trzewia, skrywał pod pozorem obojętności palacza. Trzymał fajkę mocno w zębach, niemiłosiernie gryząc czarny ustnik. Gdy ktoś na niego spojrzał, wyglądał jak posąg młodego oficera w stalowym hełmie. Ten widok sprawiał, że jego podwładni czuli siłę spokoju, którą roztaczał wokół siebie.

Podobnie było podczas ataku, gdy jako dowódca kompanii musiał prowadzić swoich żołnierzy na wrogie okopy. I prowadził zawsze z nieodłączną fajką w zębach. Dziś ustnik wyglądał tak, jakby mu go obgryzły szczury, ale Antoni Fischer wcale się tym nie przejmował. To była jego fajka, dzięki której, tak mu się przynajmniej wydawało, przetrwał wielką wojnę, powstanie wielkopolskie i w końcu wojnę bolszewicką. Bo to ona w tym zwariowanym świecie śmierci sprawiała, że gryząc ustnik, trzymał się zębami życia jak statek trzyma się cumami nabrzeża. Dlatego właśnie za nic w świecie nie wymieniłby fajki na nowszą.

Aspirant Oskierko, siedzący u szczytu stołu, dokładnie na wprost komisarza rozpartego w swoim fotelu za biurkiem, pokiwał głową. Jednak wolał nie dzielić się z nikim własnymi przemyśleniami. Już wystarczająco dużo narobił zamieszania z tymi wszystkimi Niemcami, a dziś jeszcze na dodatek przyniósł wieść o śmierci zaginionego dyplomaty. Nie wiedział więc do końca, czy stwierdzenie o kryzysie jest tylko konstatacją faktu, który nastąpił, czy też jest rzuconym mu w twarz oskarżeniem. Ale coś odpowiedzieć przecież musiał.

– Tak jest – wybąkał cicho, jakby bojąc się własnego głosu.

– Cieszę się, że się pan ze mną zgadza. Pozostali panowie muszą zatem wiedzieć, że kryzys jest poważny, bo międzynarodowy. A do tego sprawa ma pełno niewiadomych i dlatego musimy jak najszybciej znaleźć wszystkie właściwe odpowiedzi. Czyli musimy wiedzieć, kto i dlaczego zabił niemieckiego wicekonsula. Musimy też znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ta sama osoba zabiła drugiego Niemca, żadnego polityka ani dyplomatę, ale zwykłego stróża. A dlaczego stawiam tezę, że być może to jedna i ta sama osoba? Ponieważ obaj zamordowani zginęli w podobny sposób. Dyplomata od ciosu w serce i stróż od takiego samego fachu pchnięcia.

Jeśli więc obu zabił ten sam łotr, to trochę nam się już poszczęściło, bo wiemy, kim jest ów człowiek. To ten sam osobnik, co dzisiejszej nocy wymknął się naszym ludziom, Olkiewiczowi, którego przy okazji pchnął nożem w brzuch, i Okoniowi, który ma rozbitą głowę. Mieliśmy go rano prawie w rękach. W mieszkaniu pewnej prostytutki chcieliśmy go aresztować, ale uciekł nam i rozpląnął się w porannej mgle. Teraz, panowie, chodzi o to, żebyśmy go jak najszybciej pochycili i wzięli w obroty. Bo niestety czas działa na naszą niekorzyść i za chwilę może wybuchnąć międzynarodowy, dyplomatyczny skandal.

Pociągnął dym z fajki, bo podczas tej jego eksplikacji nieco przygasła. Jego ludzie milczeli, bo nikt ich o nic jeszcze nie zapytał. Nauczeni doświadczeniem, czekali na polecenia. Najstarszy z nich, wywiadowca Gil, najspokojniej w wicie palił cygaretkę osadzoną w kościanej lufce. Dwaj młodszy od niego wywiadowcy nie mieli papierosów, więc nie palili.

Marian Stolarski, szczupły trzydziestolatek, wyglądał jak robotnik, który właśnie skończył szychę w fabryce i teraz czysty i zadowolony zamierza pójść na piwo. Ubrany był w drelichową kurtkę, a na kolanach położył kraciastą, szaroczną czapkę. Niższy od Stolarskiego o kilka centymetrów, za to o wiele postawniejszy i szerszy w ramionach, brodaty czterdziestolatek w okularach nosił prosty, grafitowy surdut. Na stole przed nim leżała czapka z daszkiem, dość już mocno znoszona. O nim można by na pierwszy rzut oka powiedzieć, że to zapewne człowiek wysokich aspiracji, ale z pustymi kieszeniami. Wziąć go można było za zredukowanego urzędnika. Podobnie jak jego kolega, Albert Krause również był człowiekiem, którego zadaniem było jak najlepsze wtapianie się w tłum.

Obaj wywiadowcy siedzieli na wprost Gila. Ten podczas narad u Fischera zawsze zajmował krzesło pod ścianą. Nad jego głową wisiał obraz w złoczonej ramie, oleodruk przedstawiający alpejski krajobraz z lasami porastającymi dolne partie skalistych gór. Landszaft powiesił tu poprzedni właściciel tego biura, niemiecki komisarz, który jak większość jego kolegów w dziewiętnastym roku wyjechał do Niemiec. Fischerowi w zasadzie malowidło się nie podobało i w pierwszej chwili gdy przejął ten pokój, chciał je zdjąć ze ściany. Właściwie to zrobił, ale zaraz powiesił z powrotem, by zasłonić brzydką poszarzałą połać, jaką zostawił na niej obraz wiszący tu od lat. Na malowanie biura na razie nie się zanosilo, więc szwarcwaldzki widok został na swoim miejscu, stanowiąc wątpliwą ozdobę skromnie urządzonego pokoju.

Krzesła dostawione do podłużnego stołu pasowały do siebie tak jak ten obraz do policyjnego biura. Każde z innej parafii, wykonane przez innego stolarskiego mistrza. Jednak wystarczyło się tylko dokładniej im przyjrzeć, by dostrzec, że żaden mistrz koło nich nawet nie przechodził. Były to kiepskiej jakości siedziska, produkowane masowo z materiałów marnej jakości takich jak sośnina czy olcha, oklejanych fornirem dębowym. Podobnie było z pozostałymi meblami zapełniającymi to pomieszczenie. Szafa na akta, biurko, stół czy nawet ten niewielki szezlong dla szczególnie ważnych gości, wszystko to świadczyło o tym, że w niemieckiej policji nie powodziło się zbyt dobrze. Ale w polskiej było podobnie i na zmiany nie było pieniędzy. Fischer powiedział nawet kiedyś Gilowi, że ten szajs będzie tu służył przez najbliższe sto lat, więc jest duża szansa, że jeszcze ich wnuki będą pracować przy tych samych biurkach.

Komisarz z fajką w zębach wstał z fotela, przemierzył czterema krokami pokój i zatrzymał się przed mapą Poznania zawieszoną na ścianie po lewej stronie od wejścia do pokoju. W ręce miał cienki patyk, którym mógł posługiwać się jak nauczyciel szkolnym wskaźnikiem. Plan miasta kupił jakiś czas temu w księgarni Świętego Wojciecha na placu Wolności, zaniósł do introligatora i kazał przykleić na miękkiej płycie pilśniowej, tak aby można było wbijać w niego pinezki z kolorowymi łebkami. Dzięki temu wynalazkowi łatwo mógł zorientować się w sytuacji, choćby takiej jak ta dzisiejsza.

– Tu jest ulica Matejki – pokazał miejsce na mapie i wbił weń pinezkę. – A tu, całkiem niedaleko, ulica Zwierzyniecka. – Ja również oznaczyłem. – W prostej linii to pewnie jakiś kilometr. Taką trasę mężczyzna w sile wieku, pozostający w dobrej kondycji fizycznej, jest w stanie pokonać w piętnaście minut, zakładając, że się nie śpieszy. No więc wczoraj, najprawdopodobniej rano, z mieszkania przy Matejki wychodzi wicekonsul von Pieskow i znika. Nie wiemy, o której wychodzi, nikt go bowiem nie zauważył. Żona konsula była w tym czasie w Berlinie. Otrzymała od nas telegram o zaginięciu męża, więc odpisała, że wraca dziś popołudniowym pociągiem. Jeszcze nie wie o tym, że jej mąż nie żyje. Ale wracajmy do spraw technicznych. Wiemy, jak wygląda trasa, którą przemierzał codziennie Pieskow. Na pewno nie korzystał z samochodu czy dorożki, bo jak mi powiedział nadradca Gebhardt, konsul dbał o zdrowie i te codzienne przechadzki traktował jako zdrowotny relaks dla sprężystości ciała. Nie wiemy natomiast, w którym miejscu zboczył z trasy. Bo że zboczył, to jest najzupełniej pewne. Wszak dziś rano aspirant Oskierko wyłowił go z wodnego nurtu, o tu mniej więcej, przy piaskarskim nabrzeżu. O, gdzieś właśnie tu. – Komisarz wcisnął szpilkę o czerwonym łebku w miejscu znalezienia zwłok. – I w ten oto

sposób mamy trójkąt, w którym zaginał Pieskow. A to oznacza, że musimy dokładnie przeanalizować sytuację i poszukać kogoś, kto coś widział. Bo przecież ten człowiek nie rozplynął się w powietrzu. Czyli, panowie, szukamy śladów w dwóch miejscach przede wszystkim. Zaczynamy od ulicy Matejki. Tutaj świadków będą szukać aspirant Oskierko i pan Gil. Drugie miejsce to nabrzeże Warty. Tym miejscem się zajmą panowie Stolarski i Krause. Wszyscy, oczywiście, możecie dobrać sobie tylu wywiadowców, ilu potrzebujecie. Sprawa ma absolutny priorytet, więc możecie zabrać ludzi nawet tych, którzy pracują nad czymś innym, i na czas potrzebny do poszukiwań zatrudnić ich w grupie pościgowej.

– Czego konkretnie się pan komisarz po nas spodziewa? – zapytał Krause.

– Żebyście weszli w każdą dziurę. Żebyście spytali każdego, kto mógł się tam pojawić, bo jest z tym miejscem związany albo tylko tamtędy przechodził. Dla was, panowie, sprawa jest o tyle trudna, że tam od świtu kręci się sporo ludzi. Ale zakładam, że zwłoki wrzucono do rzeki dzisiejszej nocy. Nie wiem jeszcze, o której mniej więcej godzinie Pieskow został zamordowany, ale być może stało się to rano, gdy szedł do pracy i został uprowadzony i zabity, a może też przetrzymywano go gdzieś i zabito w nocy, i wrzucono do kanału. Dużo pytań, ale na tę chwilę mało odpowiedzi.

– No i jest jeszcze kwestia buta – przypomniał Fischerowi Gil, który już w tej sprawie naradzał się z Fischerem.

– Tak, panowie o tym jeszcze nie wiedzą, ale mamy wyraźny ślad pozostawiony na podłodze przez kogoś, kto był w mieszkaniu konsula. Tego ranka padał deszcz i ta osoba weszła do mieszkania, i pozostawiła po sobie mokre ślady na posadzce. Jeden z sąsiadów, adwokat, zachował się bardzo przytomnie i ślad tego buta zabezpieczył pomysłowo i bardzo

fachowo. Dość powiedzieć, że mamy ślad kogoś, kto był w mieszkaniu i być może wyszedł razem z naszym dyplomatą.

– To trzeba by go porównać ze śladami wszystkich osób podejrzanych – wyrwał się Oskierko.

– Brawo, panie aspirancie. Tak właśnie zamierzam zrobić. Tyle że na razie nie mamy w ręku jeszcze żadnych podejrzanych.

– Więc szukamy kogoś, kto był rano w mieszkaniu i być może wyszedł razem z zaginionym – domyślił się Stolarski.

– Tak jest w istocie. Być może jest to ten sam człowiek, który zabił stróża. Jeśli tak jest, to mamy dokładny opis jego wyglądu, a także fotografię przedstawiającą jego facjatę, no i oczywiście imię i nazwisko.

– Jeśli to on wyprowadził z mieszkania von Pieskowa, to musiał mieć współnika.

– Tak, a dlaczego pan tak sądzi, panie Gil? – zainteresował się komisarz, który zawsze podczas narad słuchał tego, co mają do powiedzenia jego podwładni.

– Bo jak go wyprowadził z domu, to raczej nie poszli pieszo. Raczej założyłbym, że na dole czekał jakiś samochód, do którego zapakowano porwanego i powieziono nim w nieznane.

– To trafna uwaga, panie Gil. Zatem, gdy będziemy na Matejki, pytamy również o zaparkowany tam rano samochód. Ktoś mógł go zauważyć.

– A mniej więcej o której rano konsul wychodził zazwyczaj do pracy? – zapytał Oskierko. Mając przydzielone zadanie, poczuł się znacznie pewniej.

– Kucharka twierdzi, że... – komisarz zajrzał do swojego notesu – wychodził z domu równo jak w zegarku o siódmej minut czterdzieści.

– O, to doskonale! – ucieszył się aspirant. – To trzeba pytać dzieciaki.

– Co masz pan na myśli?

– Ano to, panie komisarzu, że jeśli przy chodniku stał... jakiś samochód, to dorośli spojrzą na niego i nawet go nie zauważą, ale dzieciaki to co innego. Jak auto stoi przy chodniku, to zaraz pojawia się przy nim jakiś mały łobuz i patrzy przez szybę do środka, żeby zobaczyć kierownicę.

– No ma pan rację, panie Oskierko. Trzeba tylko porozpatrywać w kamienicach...

– Po co tracić czas, panie komisarzu? Trzeba pójść do szkoły. Tam, na Berwińskiego, jest szkoła powszechna. Należałoby przejść się po klasach i zapytać dzieci. Kierownik szkoły na pewno pozwoli, a nauczyciele tym bardziej chętnie będą chcieli pomóc.

– Tym bardziej jak na lekcję wkroczy taki postawny policjant w mundurze. Ha, cóż, panie aspirancie, ma pan całkowitą rację. Więc zmieniam panu zadanie. Nie pojedzie pan nad rzekę, ale do szkoły. Proszę zrobić tam dobre wrażenie.

Oskierko uśmiechnął się zadowolony, jakby właśnie wygrał partię bilarda. Co jak co, ale dobre wrażenie potrafił robić. Dzieciaki będą nim zachwycone.

Rozdział VIII

Stettin

Godzina 12.40 po południu

Dworzec główny w Stettin wyglądał podobnie jak większość dworców. Były tu zwyczajne perony, chronione od góry przed śniegiem i deszczem. Stalowe słupy ciągnęły się w dwóch rzędach wyciągających ramiona wsporników, na których rozłożyła się konstrukcja dachu. Był też tunel łączący perony, ale dodatkowo budowniczowie pomyśleli o pewnym zabezpieczeniu. Ze względu na bliskość rzeki tunel mógł zostać zalany, dlatego połączono perony także kładką, która przechodziła nad nimi. Tak więc w słotne i wietrzne dni, a te ze względu na portowy charakter miasta zdarzały się dość często, pasażerowie wybierali tunel, a gdy robiło się ciepło, zdecydowanie przyjemniej było przespacerować się górą, zwłaszcza że z pomostu można się było przyjrzeć zarówno dworcowi, jak i całej okolicy.

Przyjechawszy do Szczecina, czterej podróżni wysiedli na peronie i od razu poznańskim zwyczajem puścili się w dół, bo nawet im do głowy nie przyszło, że można inaczej. Dworcowa

hala nie zrobiła na nich większego wrażenia. Tylko Zenuś tęsknym wzrokiem omiół drzwi do restauracji, skąd dochodziły smakowite zapachy mięsa, kartofli i kapusty, wabiące do środka jak syreny Odyseusza. Po tej podróży chłopak był głodny jak wilk. Co prawda w Krzyżu zjedli solidny obiad, ale on miał, widać, dobrą i szybką przemianę materii, bo po pięciu godzinach jazdy pożarłby konia z kopytami.

– Może tylko jaką sznytkę se kupię? – zapytał podporucznika Pikułę. Ten natychmiast pokręcił głową.

– Niedługo się najemy do syta. A tu lepiej się nie kręcić, żeby nas nie zapamiętali.

Chłopak musiał przyjąć jego rację, choć nie miał pojęcia, dlaczego mieliby go nie zapamiętać. Przecież niczego złego nie zrobił, a jak wszystko się powiedzie, to gdy będą wyjeżdżać, nikt nie będzie miał o nich pojęcia i wyjadą, tak jak przyjechali, przez nikogo nie niepokojeni. Bo co kogoś mogła obchodzić czwórka mężczyzn odzywających się do siebie po niemiecku. Ten stojący w wyjściu ze stacji policjant z krzaczastymi wąsami i paskiem przytrzymującym policyjne czako, zapiętym służbowo pod brodą, nawet na nich nie spojrział. Patrzył gdzieś w dal jakimś tęsknym spojrzeniem, jakby interesowało go tylko to, co dzieje się gdzieś tam hen na lewo od dworca.

Gdy wyszli na zewnątrz, Zenuś momentalnie zrozumiał, dlaczego ten mężczyzna patrzył przed siebie. Bo tam, na wprost, była brukowana ulica, a za nią murek i szeroka rzeka. Od razu uderzyły w ich nosy zmieszane zapachy wody, mułu i ryb.

– Jak pragnę zdrowia, tu się z pociągu można przesiąść na statek! – rzucił podekscytowany Krystek Kaźmierczak.

– Zamknij się, do cholery! – zgasił go Tolek Grubiński. – Jak chcesz coś powiedzieć, gadaj po niemiecku – syknął mu do ucha.

Ten skinął głową, ale widać było, że napomnienie wcale nie zgasiło jego entuzjazmu. Klepnął Zenusia w ramię.

– Chodź, zobaczymy, jak pachnie woda! – zawołał po niemiecku, a jego przyjaciel odpowiedział w tym samym języku.

– Patrz, tam statek stoi. O, i jeszcze jeden płynie, i ma komin. To jest parowiec!

Tolek spojrział na Pikułę. Ten tylko wzruszył ramionami. Przecież nie będzie za nimi się uganiał. Młodość miała swoje prawa, a ci dwaj dwudziestolatkowie po raz pierwszy w życiu widzieli taką rzekę, w której zmieściłyby się cztery poznańskie Warty.

Chłopcy pobiegli na drugą stronę ulicy i mało brakowało, a wpadliby pod nadjeżdżającą taksówkę. Kierowca na szczęście miał więcej refleksu niż oni czujności. Zatrzymał auto, otworzył drzwi i wystawiwszy głowę na zewnątrz, zawołał za nimi, grożąc zwiniętą w kułak pięścią.

– Ożeż wy, cholerne gnojki, już ja wam pokażę, jak się chodzi w mieście, wy wiejskie ćwoki. Za krowami wam chodzić, a nie po ulicy!

– Tylko nie ćwoki, pierdzidupo samochodowa! – odpowiedział mu Zenuś, pocałował swoją pięść i machnął nią w powietrzu. Szofer nie miał najwyraźniej ochoty na dalsze pyskówki z gówniarzami. Wsiadł i odjechał, tym bardziej że zdążyła się już ustawić za nim kolejka samochodów, a ich kierowcy ze zniecierpliwieniem zaczęli przyciskać swoje klaksony.

Przesadziwszy ulicę, dopadli balustrady. Okazało się, że ta odkryła przed nimi jeszcze więcej atrakcji. Poniżej był szeroki pas wybrukowanego nabrzeża, a na nim stały ciężarowe auta,

wozy i furmanki. Dalej dopiero zaczynał się rzeczny nurt, w miejscu, gdzie kończyło się kamienne zabezpieczenie brzegu. Tam właśnie cumowały niewielkie rzeczne statki i barki, z których uwijający się ludzie wynosili dowieszone do miasta rzeką towary. Tu wyładowywali je i przenosili na pojazdy. Z mniejszych kutrów wyładowywano skrzynie z rybami, których zapach niósł się po całym placu. Ruch był jak w ulu, ale to nie on przyciągnął zainteresowanie młodzieńców. Oni z niemym podziwem patrzyli na most położony na prawo od tego rzeczno-lądowego targowiska. Takiego kolosa w Poznaniu nie było – wielki i szeroki, zbudowany ze stalowych, łukowato wygiętych trzech przęseł. To najdalsze zaczynało się na wyspie zabudowanej magazynami z czerwonej cegły i ciągnęło się aż do drugiego brzegu. Wzdłuż, jak w osłoniętym od wiatru porcie, cumowały, burta w burtę, ogromne barki. Było ich tam osiem obok siebie. Olbrzymie i sprawiające wrażenie ciężkich, takich jakich w Poznaniu się nie widywało. Te warciane wyglądałyby przy nich jak małe łódki, pomyślał Zenuś, zauroczony tym niecodziennym widokiem. Zaraz jednak wrócił do obserwacji niezwykłego mostu. Dwa pozostałe przęsła, wielkie jak tamto trzecie, opierały się na dwóch oddalonych od siebie kamiennych przyczółkach, osadzonych na środku rzeki. Jeden i drugi zdobiły wieże przypominające zamkowe smukłe baszty. Ale dopiero to, co było między wieżami i przyczółkami, sprawiło, że chłopcy aż otworzyli usta ze zdumienia. Gdy bowiem w pobliżu mostu podpłynął wycieczkowy parowiec o nazwie Rugen, środkowa część mostu jakby pękła w środku, a potem obie połówki zaczęły się unosić z dwóch stron ku górze. Ich droga ku pionowi trwała może dwie minuty. A w tym czasie stateczek wypełniony pasażerami, którzy podobnie jak ludzie na nabrzeżu w napięciu obserwowali całą

operację, przepłynął wolną drogą między dwoma przyczółkami mostowymi i czterema wieżami, których tajemnica się właśnie wyjaśniła. Przynajmniej dla Zenusia sprawa była oczywista, gdy usłyszał przeciągły zgrzyt towarzyszący operacji otwierania mostu.

– W tych wieżach muszą być mechanizmy, znaczy wielkie koła zębate, co się poruszają i ciągną te połówki mostu w górę.

– To znaczy się, że tam ktoś korbą kręci – domyślił się Krystek.

– No coś ty. To za ciężkie dla korby. Tam wstawili wielkie silniki elektryczne. To prąd je wprawia w ruch i zwodzony most jest podnoszony.

– Jaki?

– No zwodzony. Nie czytał żeś książek o zamkach i rycerzach? Tam przecie zawsze są mosty zwodzone nad fosą, żeby byle łachudra się do środka nie przedostała. Tak samo jest tutaj. Dlatego te wieże zrobili takie jak w zamku, żeby było tak jak w dawnych czasach.

Krystek pokiwał głową na znak, że rozumie, choć w duchu musiał przyznać, że o żadnych zamkach i mostach zwodzonych nigdy niczego nie czytał, bo zasadniczo mało czytał. Gdy dziś jego towarzysze podróży zaopatrzyli się w Krzyżu w niemieckie gazety, on niczego nie kupił dla siebie. „Pommersche Zeitung”, czyli codzienną gazetę szczecińską, kupił podporucznik Pikuła, żeby, jak wyjaśnił, dowiedzieć się, czym żyje miasto, do którego jadą. Z kolei Tolek wziął ze stojaka przy budce gazetowej „Berliner Tageblatt”, by podobno mieć szerszą perspektywę na sytuację. Ale ta perspektywa zawężała się do ostatnich stron, na których można było poczytać o sporcie, kwestiach obyczajowych i kryminalnych. Artykuły na pierwszych stronach nie zainteresowały go

zbyttnio, bo przecież kryzys, który zaczął się w Ameryce kilka miesięcy temu i już mocno wgryzał zęby w niemiecką gospodarkę, nie bardzo go osobiście dotyczył. Za to Zenuś Brodziak zainteresował się zeszytowym wydaniem jakiegoś kryminału o francuskim włamywaczu, który nazywał się Arsen Lupin. Piękna to była opowieść o złodzieju dżentelmenie, który kradł kosztowności, a potem rozpływał się we mgle paryskich bulwarów nad rzeką Sekwaną. Dzięki temu Zenuś dowiedział się, że przez Paryż przepływa jakaś rzeka i że są ludzie, którzy zachowują klasę nawet podczas włamań. Trochę przypominał mu ten Lupin Tolka, bo on również starał się wyglądać bardzo modnie i szykownie. Ale nie miał żadnych kochanek z wyższych sfer. On kochał tylko swoją Kryskę i o innych babach nie chciał słyszeć. Szkoda, że już nie jestem juchciarzem, ale żołnierzem, bo gdybym dalej juchcił z chłopakami, to mógłbym zostać takim Lupinem z Poznania, myślał Brodziak, wczytując się w tę historię. No ale trudno, już swoje miejsce człowiek wybrał i nie ma co zmieniać, bo robota w wojsku też może być ciekawa. Jaki inny zawód pozwalałby mu jeździć za granicę, żeby uskutecznić włamanie, takie jak w tej książce, a kto wie, może nawet lepsze, bo jak najbardziej prawdziwe. Postanowił jednak, że historię francuskiego włamywacza pozna dogłębnie i w Szczecinie dokupi jeszcze kolejne zeszyty. Bo musiał przyznać, że tę opowieść czytało się doskonale. Tak mu się ta historia spodobała, że całe opowiadania przeczytał od deski do deski, od czasu do czasu tylko pytając podporucznika albo Tolka o jakieś trudniejsze niemieckie słowo. Krystka nie pytał, bo ten, jako że czytać nie za bardzo lubił, oddawał się podziwianiu widoków za oknem na przemian ze spaniem. To znaczy zasypiał, gdy patrzył już zbyt długo, a potem, gdy za długo spał, budził się i patrzył dalej. W końcu było na co.

Kawał zagranicy przejechali, aby w końcu wylądować w tym Szczecinie.

Gdy statek przepłynął, a obie płyty jezdni mostu opadły na dół, chłopcy mieli ochotę pognać do tych wież, ale jedno spojrzenie w tył przywołało ich do porządku. Tolek i podporucznik stali pod dworcem i rozmawiali z jakimś mężczyzną ubranym w zielonkawy płaszcz i jasny kapelusz. To musiał być ten łącznik, który miał ich odebrać z dworca. Gdy Tolek zauważył, że młodzi patrzą w jego kierunku, machnął na nich ręką. Co było robić? Musieli słuchać starszych. Przebiegali więc przez ulicę, tym razem uważając, żeby nie doprowadzić do jakiejś katastrofy.

– Ta wieża to katedra Świętego Jana, a budynek obok, też z czerwonej cegły, to miejska kasa oszczędności – wyjaśnił ich przewodnik, wskazując gmachy stojące przy bulwarze ciągnącym się wzdłuż dworca. – Ten wielki most nazywa się Dworcowy. Łatwo zapamiętacie.

– My już będziemy pamiętać, że on jest zwodzony – odezwał się Krystek.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Podobało się kawalerom, jak statek przepływał pod mostem?

– Pewnie – potwierdził Zenuś. – U nas takich mostów nie ma, a i rzeka mniejsza.

– Tu jeszcze kilka takich pięknych mostów jest. Tam dalej jest kolejowy, tam, gdzie jedzie tramwaj. – Wskazał na podążający w kierunku dworca biały pojedynczy wagon. – A zwodzone też są, choćby Zielony, nad kanałem Zielonym jest postawiony, czy podobny do tego tu Dworcowego, tyle że z dwoma basztami na środku, most Długi, nazywany też Hansabrücke. Jakbyście się spojrzeli na lewo, tam, gdzie ten

wielki budynek Urzędu Celnego jest widoczny, za tym mostem kolejowym, to go zobaczycie.

Dwaj młodzieńczy oczywiście wychylili głowy, ale widok się nie poprawił. Trzeba by podejść bliżej rzeki, ale na to już nie było czasu, bo podporucznik wziął sprawy w swoje ręce.

– Dziękuję, panie Krüger, za tę interesującą wycieczkę po mieście, ale czas byłby już stąd się zbierać. Nie sądzi pan?

Mężczyzna w kapeluszu się uśmiechnął.

– Rozumiem pańską ostrożność, ale niech pan popatrzy, co się tu dzieje. Ludzie wchodzą i wychodzą z dworca, po drugiej stronie ulicy ruch jak w ulu, bo tam, na nabrzeżu, wyładowują się statki, kutry i barki, towar już zamówiony pakuje się na ciężarówki i wozy, a to, co niezamówione, sprzedaje się na pniu. Do tego jeszcze przystanek tramwajowy, na który przyjeżdżają ludzie z różnych części miasta, i ruch aut i wozów po nadrzecznym bulwarze. To najbardziej ruchliwe miejsce. Jeśli panowie myślą, że ktoś zwróci uwagę na kilku dorosłych facetów wyglądających, jakby przyjechali tu na wycieczkę, to się mylicie. To jest Stettin, wielkie portowe miasto, przez nie codziennie przelewa się fala przyjezdnych. To brama do Europy, w której my to drobny pyłek. Więc proszę się nie przejmować, bo tak czy owak giniemy w tej ciżbie i naprawdę nikogo nie obchodzi, co robimy. Ludzie tu mają swoje własne sprawy.

– Ale i my mamy sprawy, panie Krüger – zauważył Tolek Grubiński. – To co, jedziemy tramwajem wtopieni w tłum czy może dorożką?

– A skądże znowu. Ja po was nie wyszedłem pieszo, ale luksusowo dowiozę was na miejsce samochodem – mówiąc to, wskazał na półciężarówkę z wielkim białym napisem „Möbel-transport Krüger Stettin”. – Dwóch panów zapraszam do kabiny, a młodzieńcy pojedą na pace. Chyba wiatr za bardzo

im czupryn nie rozwieje. Choć przyznać trzeba, że u nas od zalewu zawiać potrafi. Takie już to miasto, ten Stettin, ale piękniejszego na świecie nie znajdziesz.

– To nie jest wiatr od morza? – zdziwił się Krystek.

Ich przewodnik uśmiechnął się i jednocześnie pokręcił głową.

– Stettin to miasto portowe, rybackie i w zasadzie morskie. Ale do morza to stąd jakieś sto kilometrów. Na szczęście wodą, a nie lądem – dodał, widząc zdziwione miny chłopców, bo oni przecież byli przekonani, że przyjechali nad morze.

Poznań

Godzina 1.00 po południu

Tak naprawdę to nie miał pojęcia, dokąd iść. Do domu nie mógł wrócić, bo tam na pewno napatoczyłby się na kogoś znajomego. A po tym, co nawyprawiał z tym policjantem, to na pewno jakiś życzliwy sąsiad, zobaczywszy go, zawiadomiłby policję. Miał kilku znajomków, ale żaden z nich nie śmierdział groszem, więc nie było co liczyć, że pożyczycy od któregoś kilka złotych. A potrzebował pieniędzy, bo chciało mu się jeść. Najprościej byłoby więc zwyczajnie dać komuś w łeb i zabrać mu portfel. Tyle że musiałyby to być jakieś ustronne miejsce, w którym chodziłby ktoś z paroma złotymi w portfelu. Bo tak zwyczajnie na ulicy to dość spore ryzyko. Co innego wieczorem. W takiej nocnej robocie to on był najlepszy. Robił to w sposób sprytny i przemyślany. Ustawiał się w okolicy jakiejś w miarę dobrej restauracji w centrum miasta tak mniej więcej koło dwunastej. To była pora, kiedy porządni obywatele

kończyli już zabawę i wracali do domu z podkulonymi ogonami i świadomością, że czeka ich teraz poważna przeprawa z wściekłą żoną. Więc przed wyjściem strzelali jeszcze setkę dla kurażu, albo i nawet dwie, wychodzili z lokalu i szli do siebie. Jeśli taki zawiany facet wsiadał do dorożki, no to już po zabawie. Nie było najmniejszej szansy, żeby jechać za nim. Raz że dorożka kosztowała, a dwa, że w ten sposób zostawiłby za sobą ślad. A na to sobie pozwolić nie mógł. Dlatego czekał, aż z restauracji wyjdzie gość, który postanowi pójść pieszo, by przewietrzyć nieco otumanioną głowę. Gdy zobaczył takiego „jelenia”, ruszał za nim w odpowiedniej odległości. Sprawdzał, jakim tempem idzie i w jakim kierunku, powoli tworząc sobie w głowie plan działania. Znał wszystkie zaułki i uliczki w centrum miasta, więc nie było najmniejszego problemu ze stworzeniem najlepszej możliwej strategii. A te były zazwyczaj dwie. Albo wyprzedzał gościa i nagle zawracał, tyle że to mogło spłoszyć człowieka, gdyby ten dostrzegł, że ktoś szybko za nim idzie. Niektórzy krzyczeli, wołali ratunku, a element zaskoczenia przepadał. Drugi sposób był bardziej pracochłonny, ale dawał znacznie większą pewność sukcesu. Chodziło o to, by zaskoczyć ofiarę, zagrządzając jej drogę. Gdy widział, że facet idzie prosto w głąb jakiejś ulicy, wbiegał w którąś z bocznych uliczek, biegł równoległą i wypadał naprzeciw pijanego człowieka. Na ten manewr decydował się, gdy widział, że okolica jest pusta, a upatrzony przez niego frajer idzie wolno, ciągnąc nogą za nogą. Owszem, zawsze było niebezpieczeństwo, że gdy on obiegał trzy ulice, jego ofiara wchodziła w jakąś bramę i znikwała. Ale to było ryzyko zawodowe, które warto było ponieść, żeby stanąć oko w oko przed zaskoczonym frajerem.

Gdy zdziwiony człowiek zatrzymywał się, by nie wpaść na niego, on wyciągał z kieszeni zgrabną, idealnie pasującą do ręki pałkę i tą pałką walił w łeb. Niestety takie uderzenie defasonowało kapelusz ofiary. Dlatego gdy miał do czynienia z jakimś eleganckim nakryciem głowy, najpierw zrzucał je na ziemię, a dopiero potem walił pałką. Zaatakowany człowiek zazwyczaj padał na chodnik jak ścięte drzewo, choć bywali i tacy, którzy próbowali walczyć. Ale nie zdarzyła mu się jeszcze sytuacja, by któryś z jego przeciwników obronił się skutecznie. Ten pierwszy cios już sprawiał, że ofiara była jeśli nie ogłuszona, to przynajmniej na tyle oszołomiona, żeby być już na straconej pozycji. Drugi, a niekiedy trzeci cios pieczętował sprawę.

Leżącego delikwenta przeszukiwał dokładnie, zabierał mu portfel, porcygar^[44] i jeśli miał na palcu obrączkę, także ją zdejmował. Kapelusze, palta i marynarki to również był jego łup. Zabierał więc, co się dało, i uciekał, ile sił w nogach, żeby jacyś przypadkowi przechodnie nie narobili hałasu i nie wezwali policji. Na jednym takim kliencie zarabiał tyle, ile ten miał w portfelu, czyli przeważnie od pięciu do nawet niekiedy stu złotych, no i dodatkowo parę groszy wpadało za garderobę, sprzedawaną pewnemu handlarzowi starzyzną.

Przypomniawszy sobie skład na Wronieckiej i pomyślał, że w zasadzie to ten kupiec Marczak mógłby mu pożyczyć kilka złotych. A jak nie będzie chciał, to złapie go za łeb i tym łbem walnie o kontuar, wtedy zapewne zmieni zdanie. Tak, do tego Marczaka można iść, a potem wróci się do tego szofera, który najwyraźniej chce go oszukać. No ale jego nie jest tak łatwo wykiwać.

– Mamusiu, kup mi loda! – zawołał jakiś szkrab w marynarskim ubranku i czarnym berecie na głowie. Kobieta

trzymała go za rękę, prowadząc w kierunku klatki z lwami.

– Ależ mój kochany, czy ty chcesz sobie przeziębic język?

– Nie przeziębic, ja chcę loda!

– Lody Mewa! – rozległo się nawoływanie lodziarza, którego czujne oczy dziecka wypatrzyły na samym końcu alejki. – Lody Mewa, lody Mewa dla ochłody, lody Mewa dla osłody! – wołał lodziarz, przyciągając uwagę wszystkich dzieci w zoo. – Lody Mewa na śmietanie, proszę brać, panowie, panie. Komu loda, Mewę komu? Brać, wybierać, bo idę do domu!

– Ale to jeszcze nie pora na lody. Mamusia ci kupi ciepłego loda w cukierni. Takiego murzynka z pianą w środku.

– Nie chcę murzyna, chcę loda zimnego, nie ciepłego!

Lodziarz podszedł bliżej, słysząc wymianę zdań między mamą a dzieckiem.

– A paniusia szanowana to nie lubi lodzików? Taka piękna pani musi lubić! Ja dla pani mam specjalną zniżkę. Za dwa lody paniusia zapłaci tylko dwadzieścia groszy, bo jak dziecko prosi, to trzeba kupić.

– Ja chcę loda! – zawołał malec, a lodziarz już otworzył pokrywę drewnianej skrzyni, którą miał przewieszoną przez ramię.

– No dobrze, niech pan da dwa. – Matka skapitulowała. Zadowolony sprzedawca sięgnął do środka i wydobył dwa lody w białych papierkach. Podał je dziecku i kobiecie, a ta wręczyła mu dwadzieścia groszy.

Stojący nieopodal Gargulec przełknął ślinę. Właśnie przypomniał sobie, że od wczoraj nic nie jadł. A nie miał w kieszeni nawet grosza. Jak zwykle w takich sytuacjach zaczął coś robić, zanim to przemyślał. Działał pod wpływem impulsu. Podszedł do lodziarza, robiąc przy tym dość obojętną minę. Sprzedawca obrzucił go niezbyt przychylnym wzrokiem. Wiedział, że tacy jak ten, niezbyt elegancko ubrani ludzie,

rzadko wydają pieniądze na łakocie, bo wódka niedobrze znosi konkurencję. No ale każdemu trzeba dać szansę.

– Pan szanowny se życzy loda?

– Daj pan jednego – polecił Gargulec.

– Dziesięć groszy – rzucił lodziarz.

– No ale loda da pan.

– Piniądz z góry. – Lodziarz już wiedział, że z tym gościem o zaciętym pysku będzie kłopot. Zamknął więc skrzynkę okrągłą pokrywą i przesunął ją na bok.

– Bez piniędzy nic się nie dostanie.

– Ale w ryj można dostać! – Zdenerwowany Gargulec trzepnął lodziarza w ucho i byłby mu wyrwał pudło z lodami, ale naraz dostrzegł, że zbliża się mężczyzna w zielonym mundurze strażnika ogrodowego. Wolał więc nie ryzykować starcia z kolejnym człowiekiem. Lodziarz przewrócił się pod wpływem ciosu, ale skrzynki nie wypuścił z ręki.

– Ratunku! – krzyknął napadnięty.

– Policja, policja! – zaczął wołać strażnik, bo oceniwszy napastnika, doszedł do wniosku, że lepiej będzie go samemu nie atakować, gdyż był mniej więcej o dwie głowy wyższy, solidniej zbudowany i przynajmniej trzy razy młodszy. Gdyby więc doszło do starcia, efekt mógłby być podobny do tego z leżącym lodziarzem. Ale kobieta nie kalkulowała. Wzięła rozmach i uderzyła bandziora parasolką w głowę. Ten chwycił parasol, wyrwał jej z ręki i połamał na kolanie. Potem jednym susem doskoczył do dzieciaka, wyrwał mu z ręki loda na patyku, wsadził go sobie do gęby i pognał przed siebie w kierunku bramy prowadzącej do ogrodu. Byłby uciekł niechybnie, pozostawiając za sobą zirytowanych ludzi, gdyby nie pewna przeszkoda. Na jego drodze stanął bowiem mężczyzna w wieku dojrzałym, czyli po pięćdziesiątce, wyglądający jak gimnazjalny nauczyciel, który być może

w czasie przerwy w lekcjach przyszedł do zoologu zaczerpnąć nieco spokoju i ciszy, na którą w szkolnych murach pobliskiego gimnazjum Marcinkowskiego próżno było liczyć. Pod pachą miał książkę, na nosie okulary w drucianych oprawkach, a na głowie starty i już dość niemodny melonik. Mężczyzna ów stanął na drodze Gargulca wcale nie dlatego, że chciał bandziora zatrzymać. On znalazł się tu całkowicie przypadkowo i nie pomyślał nawet, żeby uciec przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. A gdy to zrozumiał, było już za późno.

Wielka pięść Gargulca wylądowała na jego szczęce. Drugi cios trafił go w skroń, zrzucając z głowy kapelusz. Trzeciego uderzenia już nie było. Bardziej zdziwiony niż przestraszony nauczyciel padł na parkową alejkę. Bandyta natychmiast się nad nim pochylił. Zdjął mu palto, sprawdził kieszenie spodni, w jednej z nich znalazł papierośnicę, i na koniec zdjął mu z nosa okulary. Miał całkiem dobry wzrok, ale lubił nosić szkła, bo te, choć pogarszały ostrość widzenia, to jednak sprawiały, że człowiek wyglądał na mądrzejszego. Dlatego z przyjemnością założył je na oczy, a rozejrzawszy się, stwierdził, że nawet nie najgorzej przez nie widać.

– Policja! Łapać bandytę! – Dobiegło go wołanie za plecami.

To musiał krzyczeć ten parkowy stróż. Szkoda, że nie wróciłem i nie przylałem mu w pysk, pomyślał Gargulec. Może jakbym mu złamał szczękę, toby tak ryja nie darł...

Założył na siebie profesorskie palto z aksamitnym kołnierzem, na głowę wcisnął melonik, który całkiem dobrze leżał, i podniósł jeszcze z ziemi książkę, którą upuścił poturbowany przez niego mężczyzna. Otworzył ją i ruszył przed siebie, udając, że zatopiony jest w lekturze. Ze strony tytułowej dowiedział się, że jest to książka autorstwa Heleny Mniszkówny, wydana w Poznaniu w ubiegłym roku przez

Wielkopolską Księgarnię Nakładową Karola Rzepeckiego. Jej tytuł *Powojenni* kompletnie nic mu nie powiedział. Przeczytał więc jeszcze pierwsze zadanie.

Światła elektryczne rzęsiłą kaskadą zalewały solidnie zastawiony stół, w dużej sali jadalnej, w ogromnym dworze, w Pochlebach.

Te słowa o jedzeniu sprawiły natychmiast, że poczuł doskwierający głód. Ale na szczęście teraz to już nie był jakiś problem. Ponieważ, jak sprawdził to dość dokładnie, w portfelu obrabowanego mężczyzny było prawie czterdzieści złotych. Wystarczy na jedzenie i picie, na prawdziwą ucztę. Musiał tylko wybrać jakąś śniadalnię tu, na Jeżycach.

Szedł ku bramie nieśpiesznym, spacerowym krokiem i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wiedział bowiem dobrze, że tę przyciąga tylko biegnący człowiek. Metoda się sprawdziła. Dwaj policjanci, którzy wpadli właśnie przez bramę, rozejrzeli się wokół, a usłyszawszy krzyki i wołanie od strony klatek z lwami, puścili się tam co sił w nogach. Żaden z nich nawet na niego nie spojrział. Mógł więc spokojnie pójść coś zjeść, bo pora ku temu była najwyższa. Przechodząc przez bramę, wyrzucił do śmietnika w kształcie ptaka z szeroko otwartym dziobem książkę.

– Naści, ptaszku, jedzenia! – powiedział i zaśmiał się głośno.

Wydało mu się bardzo zabawne, że taki niepotrzebny nikomu przedmiot, jakim niewątpliwie jest książka, został pożarty przez śmietnikowego potwora. To historia jak z jakiejś książki, pomyślał i ruszył na drugą stronę ulicy.

Stettin

Godzina 2.20 po południu

– To jest restauracja, w której możecie jeść i pić do woli i nikt, pies ze złamaną nogą się wami, co ja mówię, nami, nie zainteresuje. O tej porze, w taki pogodny dzień jak dzisiaj, jest tu, jak widać, sporo ludzi, tak że spokojnie możemy sobie siedzieć i rozmawiać o czymkolwiek. No i nikt nas nie podsłucha – wyjaśnił Krüger, rozglądając się wokół siebie.

Restauracja Forsthaus Julo była położona w malowniczym lesie, a dokładnie na leśnym wzgórzu w podszczecińskim Gotzlow. Ciężarówkę, którą przyjechali, pozostawili na dole, na leśnym parkingu, a dalej poszli pieszo malowniczymi ścieżkami. Po dziesięciu minutach spokojnego spaceru byli na miejscu.

– Jesteście turyści, więc tutaj nie będziecie wzbudzać niczyjej ciekawości – wyjaśnił ich przewodnik, wskazując na jeden z wolnych stolików na zewnątrz.

Ustawiono je przed jednopiętrowym budynkiem restauracyjnym między drzewami, które dawały przyjemny cień. Przy pozostałych stolikach siedziało kilkadziesiąt osób, ludzi wyglądających na spacerowiczów, którzy przyszli tu, by odpocząć po trudach dnia. Krüger miał całkowitą rację. Utonęli w tłumie.

Gdy tylko usiedli, od razu pojawiła się przy nich kelnerka ubrana w białą koszulę z bufiastymi rękawami i granatową spódnicę, na którą założyła czerwony fartuszek. Młoda blondynka włosy zaplotła w dwa warkocze zapewne po to, żeby fryzura wraz z ubiorem podkreślała sielskość tego miejsca, jak na obsługę wiejskiej, a właściwie leśnej restauracji przystało. Jej koleżanki uwijające się przy innych stolikach wyglądały dokładnie tak samo. Dziewczyna trzymająca w obu dłoniach

kufle z piwem uśmiechnęła się do wszystkich i nikogo jednocześnie w tak zawodowy sposób, że każdy z nich miał wrażenie, że ten uśmiech był przeznaczony specjalnie dla niego.

– Panowie piwo oczywiście piją? – zapytała, spoglądając na dwóch młodzieńców.

– Oni już są pełnoletni – wyjaśnił Krüger.

– Jak tak, to co do piwa będzie? – zapytała, stawiając kufle przed klientami.

– Niech nam pani da na razie parówki i paluchy z solą – zaordynował przewodnik, który widać dobrze znał tutejsze zwyczaje.

Dziewczyna skinęła głową i poszła szybkim krokiem do budynku, by złożyć zamówienie.

– Dobre piwo – stwierdził z zadowoleniem Tolek, ocierając wierzchem dłoni wąsy unurzane w pianie. – Trochę jakby przypomina naszego pilsnera huggerowskiego z Poznania.

– Widać, że z kolegi prawdziwy znawca piwnego tematu – ucieszył się Krüger. – Bo to w istocie jest pilsener, tyle że szczeciński z browaru Elysium. Wielki to browar i wiele różnych piw tu ważą. Wszystkich, żeby skosztować, wieczoru by nam nie starczyło. A ten pilsener najbardziej popularny i we wszystkich szczecińskich birstubach^[45] go leją razem z drugim, co się nazywa stołowe, a jak kto woli ciemne, to może sobie zamówić piwo karmelowe. Wszystkie one bardzo dobre i popróbować warto. Tyle że dziś za dużo wypić nie możemy, bo robota czeka.

– He, he, my se damy radę, co nie, Tolek? – stwierdził Krystek. Chłopak był pewny siebie, bo już nie raz brał udział we włamaniach, które organizował Tolek i jego dwaj starsi bracia. Zaczynał jako młody chłopak, stając na świecy i pilnując, czy skądś nie nadciąga zagrożenie dla pracujących

w mieszkaniu włamywaczy. Szybko do tej grupy dołączył jego najlepszy kolega, z którym razem chodzili do powszechniaka, Zenuś Brodziak. Właściwie „chodzili” to za dużo powiedziane. Oni powinni byli chodzić do szkoły, ale często uciekali na blaukę[46]. Przecież w mieście działo się tyle ciekawych rzeczy, że szkoda było czasu na nudę. Niekiedy jednak obaj byli zmuszani do porzucenia hulaszczego trybu życia i powrotu na szkolne łono. Działo się tak w chwilach, gdy najstarszy Kaźmierczak dowiadywał się o postępach najmłodszego w szkole. Wtedy w ruch szedł pas i nie było mowy o żadnej litości. Krystek następnego dnia wracał do szkoły i raczej starał się niezbyt intensywnie siedzieć w swojej ławce. Wtedy razem z nim na lekcjach pojawiał się też Zenuś, bo samemu nie chciało mu się włóczyć po mieście.

Starsi bracia Kaźmierczakowie postanowili, że młodego wyprowadzą na ludzi i wyuczą czegoś przydatnego. Ale w końcu dali za wygraną, gdy okazało się, że najmłodszy ma smykałkę do otwierania zamków i kłódek. Jednak prawdziwym specjalistą ślusarskim był Zenuś Brodziak, który uczył się tych sztuczek z dorabianiem kluczy od Tolka Grubińskiego. Więc Krystek niejako był skazany na taką robotę, bo chciał dotrzymać kroku swojemu przyjacielowi i też wziął się za robienie wytrychów. Wkrótce doszedł w tym do dość dużej wprawy i w ten sposób, gdy zabrakło w bandzie Zenusia po tym, jak został żołnierzem, to Krystek przejął po nim kwestie dotyczące otwierania wszystkiego, co zamknięte.

– Jak co trzeba otworzyć, to my z Zenusiem w try miga, co nie, Zenuś. – Klepnął kolegę w ramię, aż temu piwo poleciało nosem.

– Otwierać będzie pan Tolek, a wy macie dość ważne zadanie, bo będziecie stać na warcie.

– Jak to? My na świecy mamy stać? – zdziwił się Brodziak, bo uważał się za wielkiego specjalistę w swojej dziedzinie i nie miał zamiaru pełnić funkcji, które byłyby nieprzystające do jego niezwykle wysokiej, fachowej pozycji.

Krüger chciał coś powiedzieć, ale właśnie w tym momencie pojawiła się kelnerka z koleżanką. Każda miała w rękach tace zastawione talerzami z gorącymi, grubymi parówkami, kosze ze świeżymi bułkami i grubymi paluchami oblepionymi kryształkami soli.

– Parówki to mają tu najlepsze w mieście. – Przewodnik pochwalił restauracyjną kuchnię. – Jak zjecie je dziś, to już zawsze będą wam się śniły. Do tego musztarda, powiadam wam, palce lizać. Ale co ja będę opowiadał. Próbujcie, próbujcie!

Chłopcy natychmiast wzięli się do pałaszowania, starsi, nie mniej głodni, musieli to zrobić nieco wolniej i bardziej dostojnie, bo przecież im nie wypadało rzucać się na jedzenie. Parówki szczecińskie rzeczywiście były pierwszorzędne. Dość powiedzieć, że Krystek, gdy pochłonął już swoją porcję, zapytał, czy może zamówić jeszcze repetę.

– Oczywiście, że możesz. Ale lepiej tego nie rób – przestrzegł chłopaka Krüger.

– A czemu? Kiedy ja jeszcze głodny jestem.

– Bo my tu dopiero zaczynamy degustację. Parówki to była tylko przegryzka. Ale czeka nas jeszcze doskonała zupa fasolowa na boczku i drugie danie.

– To w takim razie poczekam – zgodził się z gospodarzem, smutno spoglądając na swój talerz. Piwo też mu się skończyło, więc zaczął rozglądać się za kelnerką. Ta, gdy tylko podchwyciła jego spojrzenie, natychmiast zrozumiała, w czym rzecz. Już po chwili była przy stoliku z pięcioma kuflami.

Gdy odeszła, Tolek sięgnął po swoją srebrną papierośnicę. Nie nosił jej na co dzień, bo była zbyt wiele warta, żeby ją byle gdzie załatwić po pijaku. Jednak na taki jak ten wyjazd musiał ją wziąć, żeby wszyscy widzieli, że jest człowiekiem z klasą. Zapalił, a potem spojrzał na Krügera.

– No to, panie, powiedz nam pan wreszcie, co my tu właściwie mamy do roboty. Zapytany uśmiechnął się, a potem spojrzał na Pikułę. Podporucznik przyzwalająco skinął głową.

– Do pana należy strona techniczna naszego przedsięwzięcia, panie Krüger. Więc ja tu nie mam nic do gadania – wyjaśnił wojskowy.

– Zadowolony przewodnik wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów Juno. Wydobył jednego, osadził go w szklanej lufce i zapalił.

– Panowie, to zadanie jest dziecinnie proste. Trzeba będzie tylko dostać się nocą do budynku, wejść do pomieszczenia, w którym jest kasa ogniotrwała, wyciągnąć z niej dokumenty, sfotografować je i włożyć wszystko z powrotem, tak jak było, a potem wyjść stamtąd, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

– To bułka z masłem – ucieszył się Zenuś Brodziak. – My sobie z takimi sprawami radzimy.

– Niby wszystko pięknie – stwierdził Tolek, robiąc przy tym skwaszoną minę. – Ale jakby to było takie proste, tobyście nas tu nie ściągali. Co to za chata, do której mamy wejść?

Nikt nie odpowiedział, bo do stolika podeszły kelnerki. Tym razem na tacach przyniosły miski z parującą fasolówką i kolejny koszyk z pieczywem. Tym razem zamiast bułek był ciemny razowy chleb.

– W tej fasolówce łyżka się nie utopi – stwierdził Krüger z uznaniem.

– U nas też się dobrą fasolówkę robi – rzucił Krystek, a kelnerka z blond włosami uśmiechnęła się z lekkim

niedowierzaniem.

– A skąd kawaler jest, bo może kiedyś bym spróbowała dobrej fasolowej? – zapytała, patrząc na zakłopotaną minę chłopaka. Pewnie myślała, że jest po prostu nieśmiały, ale on nie miał pojęcia, co ma jej odpowiedzieć, bo Krüger zabronił im mówić, że są z Polski. Nie mieli się przecież rzucać w oczy.

– Jesteśmy ze Schneidemühl – wyjaśnił Pikuła, uśmiechając się do kelnerki. – Jakby pani kiedyś była w mieście, to proszę wpaść pod Złotego Lwa, na nowym rynku. Tam fasolowa jest prima sort.

Dziewczyna nie miała zamiaru wchodzić w dyskusję z tym poważnym człowiekiem. Chciała tylko zaczepić młodzieńca, tak z czystej przekory.

– A co po zupce sobie panowie życzą? – zapytała, patrząc tym razem na Krügera, w którym wyczuła szefa tej wycieczki.

– Oczywiście, waszą specjalność, pstrąga z patelni z ziemniaczkami i zasmażaną kapustą z kminkiem.

Nie musiała tego notować. To było danie, z którego restauracja słynęła. Każdego dnia sprzedawało się tu ponad setkę pstrągów. Zapisała tylko na kartce leżącej na stole pięć zup i postawiła kolejnych pięć kresek, oznaczających następne wypite przez klientów piwa. Gdy odeszła, Krüger popatrzył jeszcze w ślad za nią, a potem spojrzał na Tolka.

– To takie specjalne miejsce, które nie jest zbyt dobrze pilnowane nocą – nie odpowiedział wprost, ale zaczął wyjaśniać kolejne kroki. – Będziemy musieli najpierw sforsować boczną stalową furtkę w ceglanym ogrodzeniu. Gdy się dostaniemy już na niewielkie podwórze, trzeba będzie otworzyć tylne drzwi do budynku. Na szczęście tej furtki ani drzwi nikt nie pilnuje. Będziemy wchodzić niejako od zaplecza, więc nie spodziewam się żadnych kłopotów, bo nie powinniśmy na nikogo natrafić. Tym bardziej że w nocy w budynku nie ma

nikogo poza trzema strażnikami, na których nie powinniśmy się natknąć, wchodząc od tyłu.

– A co będzie, jak już się dostaniemy do środka? – pytał dalej Tolek.

– No wtedy pozostaną nam zwykle wewnętrzne drzwi od jednego pokoju, a potem to już wszystko w pańskich rękach. Kasa ogniotrwała, którą zapewne pan otworzy bez większych problemów.

– Czy bez to nie wiem, ale się postaram.

– Gdy wyjmiemy dokumenty, musimy je przejrzeć. – Teraz zaczął wyjaśniać Pikuła. – Trzeba znaleźć to, co nas interesuje, zrobić zdjęcia i odłożyć wszystko na miejsce.

– Czyli czysta robota. – Tolek lubił takie nieskomplikowane akcje, w których wszystko było przygotowane przez jakiegoś współnika, kogoś, kto zlecał robotę. W takich sytuacjach nie musiał się specjalnie wysilać. Robił swoje, a potem inkasował gotówkę z kasy.

– Rozumem, że wie pan, gdzie mamy iść, znaczy się, do których pokojów, i co za drzwi otwierać.

– No oczywiście, że tak. Wszystko jest sprawdzone i mam też rozrysowany plan, żeby pan wiedział, co i jak. Tak na wszelki wypadek, bo przecież idę tam z wami jako przewodnik.

– A skąd pan to wszystko wie? – zapytał Grubiński.

– He, he! Ja tam wszędzie byłem i znam każdy zakamarek. Widzieliście mój samochód, zajmuję się handlem meblami. To ja właśnie dostarczałem wszystkie meble do tych biur. I sam je tam instalowałem.

– A to znaczy, że jakiś urząd będziemy pędzlować? – ucieszył się Krystek, bo dotąd jeszcze nie okradał nigdy żadnego urzędu.

– Poniekąd – przyznał Krüger.

– Czyli że co? – zapytał Tolek Grubiński.

– Bo ten urząd, panowie, to jest Sztab Trzeciej Dywizji Reichswehry. Można by nawet powiedzieć, że to jest serce armii w Szczecinie.

Przy stole zaległa całkowita cisza, która trwałaby jeszcze długo, gdyby nie kelnerka, która przyniosła talerze ze smakowicie pachnącymi i doskonale wyglądającymi pstrągami. Słysząc za to było doskonale Willy'ego Fritscha, którego głos płynął z patefonu. Artysta śpiewał swój niezwykle popularny szlagwort *Ich laß mir meinen Körper schwarz bepinseln*.

Godzina 3.15 po południu

Gdy pociąg z Berlina do Poznania wjechał na peron pierwszy, biegnący wzdłuż dworcowego budynku z czerwonej cegły, komisarz Fischer już stał na peronie wraz sąsiadem wicekonsula, adwokatem Dubois. Spotkał się dziś z nim w mieszkaniu von Pieskowów. Poszedł tam, by jeszcze raz obejrzeć gabinet, w którym zakazał ruszać czegokolwiek. Na schodach wpadł na adwokata, który chciał mu za wszelką ceną pomóc, dzieląc się swoimi przemyśleniami.

– Ktoś chciał coś stąd zrabować – mówił prawnik, który wszedł za Fischerem do mieszkania. – Niech pan zwróci uwagę, że z szuflad zostały wyciągnięte i otwarte teczki z dokumentami. Ten, kto tu był, szukał jakichś papierów.

– Zapewne, zapewne... – Fischer nie palił się do rozmowy, ale to nie zrażało adwokata. – A papiery to umowy, a być może też jakieś wartościowe kwity. Jedno jest pewne, panie komisarzu, ten ktoś szukał w pośpiechu i na pewno bez udziału

gospodarza, bo inaczej gospodarz by mu powiedział, gdzie szukać, gdyby go trzymano pod bronią...

Pokiwał głową. Dubois miał rację. Ktoś tu wszedł, gdy wicekonsula von Pieskow już nie było w domu, i zaczął przetrząsać jego papiery. Czy czegoś brakuje? Może na to pytanie odpowiedź będzie знаła żona wicekonsula. Komisarz od kucharki dowiedział się, że pani wraca dziś berlińskim pociągiem, a że czas przyjazdu akurat się zbliżał, postanowił pojechać po nią i od razu zawieźć ją do kostnicy szpitala wojskowego przy Cieszkowskiego, by zidentyfikowała zwłoki. Nie wiedział jednak, jak kobieta wygląda, a kucharce Genowefie Kapuście niezbyt składowanie szło objaśnianie jej rysopisu.

– Taka w sobie raczej będzie nie najgrubsza, ino normalna i z zaokrągleniami w dupie i cyckach. Całkiem młoda jeszcze, bo będzie miała tak trzydzieści pięć lat, czyli że już trochę stara, ale jeszcze nie za bardzo, bo gębę ma niezwiędniętą i całkiem jędrną skórę. A włosy to ma rude, takie nawet kasztanowe, ale nie widać ich, bo nosi kapelusze. Przecie włosy to wstyd pokazywać na ulicy jak jaka lafirynda, czyli że jest przyzwoita całkowicie i wzrostu to będzie ode mnie mniej o łeb – mówiąc to, pokazała ręką, dokąd sięga jej pani, czyli mniej więcej na wysokość jej szyi.

– A jak jest ubrana zazwyczaj? – Fischer próbował sobie wyobrazić tę kobietę, ale na razie nie bardzo potrafił.

– Normalnie, wew kapelusz, suknię i płaszcz. Ady co ja będę strzępić gębę po próżnicy. Przyniesę album z fotografiami – zaproponowała kucharka.

– Ale co też będzie pan komisarz ze zdjęciem wystawał na peronie – wtrącił się mecenas. – Chętnie przejdę się z panem na dworzec i poczekam na pociąg. A jak przyjedzie, to

przedstawię panu panią konsulową. W takim trudnym dla niej momencie raczej przyda się jej życzliwa dusza, która nie będzie tam po linii urzędowej i będzie ją mogła wesprzeć silnym męskim ramieniem.

Poszli więc obaj, by odnaleźć panią von Pieskow w tłumie. Ale najpierw znaleźli inną o tym samym nazwisku. Zdumiony Fischer rozpoznał ją stojącą na peronie i wpatrzoną w dal, tam gdzie za chwilę powinien pokazać się pociąg pośpieszny z Berlina.

– Dzień dobry, Marleno – powitał ją, podchodząc bliżej.

Odwróciła się natychmiast na dźwięk powitania w jej ojczystym języku.

– Och, Anton. Dobrze cię widzieć. Co za spotkanie na dworcu. Czyżbyś wyjeżdżał? Bo wiesz, że Feliks chciał się z tobą spotkać. Wybierał się nawet do ciebie, ale nie wiem, czy od razu, czy też chciał jeszcze co na mieście załatwić.

– Nie wyjeżdżam... Ja właśnie tu w sprawie... – Naraz przypomniał sobie o stojącym z boku adwokacie.

– Pani pozwoli, że jej przedstawię, mecenas Dubois. Panie mecenasie, to jest panna Marlena von Pieskow.

– O, jakże mi miło panią poznać. Wiele słyszałem o pani od pani ciotki.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy. – Podała mu dłoń do ucałowania.

Chwycił ją i pochylił się, nie dotykając jednak rękawiczki wargami. Widać, że Dubois miał odpowiednie maniery i adekwatne do nich potrafił się zachować, co nie zawsze wśród adwokatów było takie oczywiste.

– Jakżeby inaczej. Ciotka bardzo panią kocha.

Usłyszawszy to, wydeła lekko wargi, co nie uszło uwagi Fischera. Nie skomentowała jednak tego, co powiedział Dubois.

– Panowie wyszli na dworzec się przewietrzyć? Tu o czyste powietrze raczej trudno – zauważyła, pokazując w uśmiechu perłowobiałe zęby. Fischer pokręcił głową.

– Niestety moja, droga Marleno, jestem tu służbowo, a pan mecenas postanowił mi towarzyszyć niejako w ramach pomocy.

– Pan komisarz wraz ze mną chciał odebrać z pociągu pańską ciotkę.

– O, coś takiego. To znaczy, że czeka ją poważny komitet powitalny. Ale zaraz, czyżby...

– Bileciki do kontroli, szanowne państwo. – Usłyszeli tuż przy sobie głos.

Fischer odwrócił się. Za nim stał niewysoki konduktor z dziurkaczem do biletów w dłoni. Komisarz sięgnął do kieszeni i wydobyl niewielki kartonik peronówki, po czym podał go kontrolerowi. Ten spojrzal na wydrukowaną na nim datę i godzinę, po czym złapał bilet w kleszcze dziurkacza i skasował, przebiwszy na wylot. Podobnie uczynił z biletami Marleny i mecenasa, po czym zasalutował i ruszył ku kolejnym oczekującym na przyjazd pociągu.

Naraz do uszu wszystkich dotarł gwizd wydobywający się z lokomotywy, który ostrzegał, że kolos ciągnący dziesięć wagonów za chwilę wjedzie na stację. Ubrany w czerwoną czapkę zawiadowca stacji uniósł czerwono-biały lizak, tak żeby być widocznym z najodleglejszych miejsc na peronie, po czym zadał trzykrotnie w swój służbowy gwizdek. Ten sygnał oznaczał, że natychmiast należy odsunąć się od brzegu toru, bo pozostawanie w pobliżu wjeżdżającego pociągu może być niebezpieczne dla zdrowia i życia podróżnych. Nie raz już bowiem zdarzały się wypadki, że zniecierpliwieni pasażerowie jeszcze w trakcie jazdy otwierali szeroko drzwi od wagonów i przedziałów, a te uderzały w niespodziewających się

zagrożenia, stojących na peronie podróżnych i nawet wciągały ich pod koła pociągu.

– Odsunąć się od torów, bo zagrożenie niebezpieczeństwa życia! – zawołał jeszcze na wszelki wypadek zawiadowca i opuścił lizak. Widać był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, bo miał poważny stosunek do swoich obowiązków.

Tymczasem wielka czarna lokomotywa w kłębach białej pary wtoczyła się na tor, przejechała całą długość dworcowego budynku i z gwizdzącym zgrzytem stalowych hamulców, przywodzącym na myśl jęk potępieńczych dusz, zatrzymała pociąg. Rzeczywiście, kilkoro drzwi otworzyło się, zanim skład stanął. Wyglądali z nich ci najbardziej niecierpliwi, którzy, lekceważąc własne bezpieczeństwo, za wszelką cenę starali się wypatrzeć na peronie w tłumie oczekujących swoich bliskich. Machali kapeluszami i chustkami, by zwrócić na siebie uwagę, jednak trwało to zaledwie chwilę, bo zaraz napierający na nich tłum wysiadających wypchnął ich na zewnątrz, niektórych wprost w objęcia stęsknionych żon i kochanek.

Zobaczył, jak wysiada z pociągu, i od razu wiedział, że to ona. Wyobrażał sobie ciotkę Marleny jako osobę dość leciwą, o urodzie, która dawno przeminęła. Bo skoro ciotka, to siłą rzeczy musiała być stara. Tego, co mówiła mu o niej kucharka Kapustowa, w zasadzie nie przyjął do wiadomości. I dlatego na jej widok się zdziwił. Gertruda von Pieskow wyglądała nieco tylko dojrzalej od bratanicy swojego męża. Właściwie można powiedzieć, że była nawet do niej nieco podobna, bo twarz również miała piękną, o rysach mocnych i zdecydowanych, a przy tym wygładzonych nutą powabnej delikatności. W jej zielonych oczach można było dostrzec jakiś nieziemski magnetyzm, a spod białego kapelusza w kształcie muszli, ozdobionego z prawej strony sztucznymi kwiatami, wyzierał

figlarny kosmyk rudych włosów, który zdawał się celowo tak ułożony, aby być widocznym dla wszystkich.

– Marleno, a ty co tu robisz? – zawołała na jej widok ciotka.

– Nie mogłam siedzieć obojętnie w domu, gdy dowiedziałam się, że mojemu stryjowi grozi niebezpieczeństwo! Czym prędzej przyjechałam tutaj.

– Gdy się dowiedziałam, że mój Albrecht zaginał... Mój Boże, co się stało? Nic nie rozumiem. Dlaczego?

– To jest komisarz Anton Fischer z poznańskiej policji. – Marlena wskazała na policjanta. Ten skłonił się lekko i sprężył się, po wojskowemu. Podała mu rękę, nad którą się pochylił. – I pan mecenas Dubois.

– Witam, drogi sąsiedzie, znamy się z widzenia. – Uśmiechnęła się do adwokata i zaraz uważnie spojrzała na Fischera. – Panie komisarzu, rozumiem, że nie chciał pan tracić czasu i dlatego wyszedł do mnie na peron. Zapewne chce pan się wszystkiego dowiedzieć na temat mojego męża. Całkowicie to rozumiem. Jestem do pańskiej dyspozycji. A czy coś może wiadomo już w tej sprawie. Czy są jakieś ślady... jakieś ustalenia?

– Obawiam się, szanowna pani, szanowne panie – poprawił się, spojrzawszy na Marlenę – że nie mam dobrych wieści.

– Jak to? – szepnęła Marlena.

Fischer nienawidził tego momentu, w którym rolą policjanta było przekazanie złych wiadomości rodzinom ofiar. Nie lubił tego robić, bo zwyczajnie, po ludzku, współczuł tym, którzy w jednym momencie tracili nadzieję, a ich życie zmieniało się diametralnie. Jeszcze przed chwilą żyli w świecie, w którym bliscy byli niemal na wyciągnięcie ręki, a naraz ich poukładane życie waliło się w gruzy, bo osoba, którą kochali, stawała się tylko wspomnieniem, głosem pozbawionym ciała, pozostawionym w zakamarkach pamięci, i niewyraźną

postacią na wyblakłej fotografii, której widok i wspomnienie niekiedy wyciskało łzę.

Dlatego gdy już musiał być doręczycielem złych nowin, wolał zrobić to bez zbędnych ceregieli, by wieść o śmierci była szybka jak armatnia salwa.

– Bardzo mi przykro, ale pani mąż został dziś rano znaleziony martwy. Bardzo proszę panią ze mną w celu identyfikacji zwłok.

– Jak to martwy? – Podbródek Marleny zaczął się trząść. Łzy popłynęły po policzkach, ale ona nawet tego nie zauważyła. – To niemożliwe. To musi być jakaś pomyłka! – Nadal nie mogła w to uwierzyć.

– Jak to się stało? – zapytała rzeczowym tonem Gertruda.

– Jeszcze nic nie wiemy na pewno. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że zginął najprawdopodobniej od ciosu nożem.

– Chciałabym go zobaczyć. Czy to jest możliwe?

– Tak, szanowna pani. Chciałem, żeby wybrała się pani ze mną do szpitala wojskowego. Musimy mieć całkowitą pewność, że to pani mąż.

– Dobrze, jadę natychmiast. A ty, Marleno... – Spojrzała na nią i natychmiast dostrzegła nadzwyczajną bladość jej policzków. Marlena zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie czujny mecenas. – Och, Marleno! – zawołała ciotka, przykładając dłoń do ust. – Trzeba ją zawieźć do lekarza! – powiedziała, nie kierując tego do nikogo konkretnego.

– Pani Gertrudo, pozwoli pani, że zawiozę dorożką pannę Marlenę i pani bagaże do mieszkania – zaoferował Dubois. – Myślę, że sole trzeźwiące wystarczą. To wszystko emocje.

– Dziękuję, sama nie wiem, co robić...

– Jeśli pani chce, możemy pojechać najpierw na Matejki – stwierdził Fischer szarmancko, choć bez entuzjazmu, bo szkoda mu było czasu na mdlejące kobiety.

– Już dobrze, nic mi nie jest. Mogę pojechać do mieszkania. Tam poczekam. – Marlena najwyraźniej dochodziła do siebie. Tymczasem Gertruda wyglądała tak, jakby dopiero teraz zaczęła uświadamiać sobie, co właściwie się wydarzyło.

– Nie, panie komisarzu, nie ma co czekać – powiedziała łamiącym się głosem. – Jedźmy tam, niech mam to już za sobą. – Odwróciła się do bagażowego. – Proszę walizki zawieźć do dorożki tych państwa. – Wskazała na Marlenę podtrzymywaną przez mecenasa. A tu zapłata. – Podała mężczyźnie monetę dwuzłotową. Ten skłonił się nisko i zadowolony ruszył ku przystankowi dorożek.

– No to, panie komisarzu, możemy iść. – Chwyciła go pod ramię. – Proszę mi wybaczyć, ale niezbyt pewnie się czuję.

– Oczywiście, łaskawa pani – wybaczył natychmiast.

Chciał już ruszać w drogę, gdy naraz stanął przed nim jakiś mężczyzna, mniej więcej o głowę niższy od niego, o pucułowatej twarzy. Ta twarz była mu doskonale znana. Należała bowiem do jego kuzyna Alfreda Fischera.

– Anton, poznajesz mnie? – wykrzyknął uradowany Alfred.

– Na Boga, skąd żeś się tu wziął, bracie?

– Jak to skąd? Prosto z pociągu. Przyjechałem z Berlina. Patrzę, a na peronie mój kuzyn. Pani wybaczy. – Uchylił kapelusza przed Gertrudą. – Takie niespodziewane spotkanie.

– Rozumiem to doskonale. Jeśli pan chce, komisarzu, mogę pojechać do szpitala sama...

– W żadnym wypadku, szanowna pani. – Fischer pokręcił głową. Kuzyn pojedzie do mnie, a my tymczasem spełnimy ten przykry obowiązek.

– Drogi Antonie, masz plany związane z panią, nie zaprzętaj sobie mną głowy. Mam zarezerwowany hotel...

– W żadnym razie, kuzynie. Weź dorożkę i jedź na Matejki do mnie do domu. Wyciągnął bilet wizytowy i napisał na odwrocie

adres. – Jedź, a ja, gdy tylko załatwię wszystko z szanowną panią, zaraz przyjadę.

Kiedy siedział już wygodnie usadowiony w dorożce obok owdowiałej właśnie pani Gertrudy, odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na wsiadającego do kolejnej dryndy kuzyna. Nie widzieli się od jedenastu lat. Po walkach na Ławicy Alfred wyjechał do Berlina. Od czasu do czasu wymieniali się listami, w których prócz pozdrowień i serdeczności informowali się wzajemnie o swoim życiu. Krótko i treściwie, na tyle, na ile pozwalała objętość kartki pocztowej. W jednej z nich Alfred napisał mu, że pracuje w berlińskiej policji. Ciekawe, myślał Antoni, co się stało, że kuzyn po tylu latach przypomniał sobie o Poznaniu...

Godzina 4.05 po południu

Tak jak sądził, nie będą go przecież w nieskończoność trzymać w tym szpitalu. Wszak rozbity łeb to nic w porównaniu z tym, co przydarzyło się Olkiewiczowi. Doktor Tchórzewski sprawdził mu głowę, pomacał, czy aby na pewno jest cała, a potem stuknął młotkiem w jedno i drugie kolano i na koniec kazał patrzeć za palcem przesuwającym się przed jego oczami to w prawo, to w lewo. Musiało być wszystko dobrze, bo stwierdził, że właściwie nic mu nie jest i mógłby iść od razu do domu, ale na wszelki wypadek zalecił zostać do jutra rano. Nie bardzo to się Okoniowi uśmiechało, dlatego poprosił lekarza, by ten jednak zgodził się na wyjście jeszcze dziś wieczorem. Tłumaczył, że musi przecież pomóc żonie Olkiewicza, która została sama w domu bez grosza przy duszy.

– Łeb się zagoi w try miga – przekonywał Okoń.

Bajeczkę o pomocy biednej Olkiewiczowej wymyślił na poczekaniu, bo ona na pewno potrafiła sobie lepiej poradzić niż on i Anastazy razem wzięci. Musiał wyjść, bo taka była potrzeba. Wyjaśnił mu to wywiadowca Gil, gdy przyszedł do szpitala godzinę temu w odwiedziny. Myślał, że zastanie dwóch umarłaków, a tymczasem Okoń był jak najbardziej na chodzie i w zasadzie gotowy do działania.

– Ten gość, co my jego szukamy, dał jej sto złotych. Rozumiesz, całą stówę jej dał za przechowanie. Powiadał, że musi się przechować u niej dwa dni. I za tą forszę miała mu przynieść żarcia i picia na te dwa dni. To znaczy się, że on nie ma gdzie się schować. Chciał być u niej, ale ona się domyśliła, co to jest za wieprz, i jeszcze se połączyła, że to on mógł zabić jej dryndziarza.

– Cwana bestia – stwierdził z uznaniem Okoń. – No ale co w takim razie z tym gościem? Jak on się nazywa, no... Gargulec, nie?

– No widzę, że już zaczyna ci łepetyna pracować, bom już się bał, że przez tą dziurę cały rozum wyleciał.

– Najważniejsze klepki zostały. No to gadaj, co żeś wymyślił, bo ja znam dobrze ten twój chytry uśmieszek.

Rzeczywiście, gdy Gil wpadł na jakiś pomysł, który szczególnie mu się spodobał, uśmiechał się, lekko pochylając głowę, i jednocześnie zacierał swoje małe łapki. Widać i tym razem obmyślił jakiś szczególnie chytry plan.

– No to ja se myślę, że jak on zwiął z chałupy w samych porach i koszuli, i z cholera, co ją miał na tą małą Helenkę, to on tam się wróci.

– Łe... – Okoń machnął ręką. – To ja se myślałem, żeś ty coś wyszedł konkretnego, żeś się dowiedział czego o tym

skurwysynu, a ty nic nie wiesz, ino spekulujesz jak nasz komisarz.

– To spekulacje złe są, co? – mruknął niezbyt zadowolony Gil, bo ten osioł nie podzielał jego entuzjazmu dla oczywistości tej kalkulacji. Przecież to było wszystko proste jak matematyczne działanie na dodawanie.

– Jak spekuluje komisarz, to jest dobrze, bo on się zna na metodzie tej, no, dedykacji. A tyś nie jest tak szkolony jak on i prawa ani kryminalistycznych nauk żeś nie pobierał.

– Ale mam klubra, co wszystko wywącha! – Wywiadowca trącił się palcem po czubku swojego nieco zbyt czerwonego nosa. – A jak wiesz dobrze, to ja już w policji robię tak długo jak nikt w tym mieście i dlatego myślę, żeś powinien zawierzyć mojej instytucji.

– No a jeśli zawierzę, to co wtedy?

– Wtedy wynik będzie taki jak w szkole podczas dodawania, jak żeś stał przy tablicy i miałeś napisać, ile jest dwa dodać trzy.

Okoń naraz przypomniał sobie, jak stawał wezwany do odpowiedzi z kredą w dłoni, ręka mu się pociła, a nauczyciel patrzył na niego z okrutnym uśmieszkiem pod nosem, trzymając w ręku trzcinę, którą wlałby mu na goły tyłek, jeśliby się pomylił i nie napisał, ile to jest trzy dodać dwa. I wtedy spłynął na niego, nie wiedzieć skąd, promyk geniuszu. Kredę trzymał w prawej ręce, lekko uniesioną i błędzącą koło miejsca, gdzie trzeba będzie zapisać wynik zadania, ale lewa ręka zwisała swobodnie. Więc odliczył dwa palce, a potem jeszcze trzy i wtedy skończyły mu się palce. Ale wiedział, że razem w jednej ręce ma ich pięć. Więc wynik mógł być tylko taki jak ta piątka. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, jak się pisze pięć, bo na pewno nie pięć kresek. A jak już przypomniał sobie te wywijasy, postawił najpierw pionową kreskę, potem

poniżej dodał brzuszek, a na koniec na górze dodał daszek. Z wyrazem ulgi na twarzy odwrócił się do nauczyciela i rzucił mu prosto w twarz.

– To razem będzie pięć!

– No proszę, nawet taki dureń jak Okoń potrafi poprawnie dodać dwa do trzech – stwierdził z kwaśną miną profesor Lidtke. – A wy, idioci, co? Potraficie tylko żreć, spać i srać. Ale nie martwcie się, najbliższa wojna przerobi was wszystkich na kotlety siekane, więc na coś się jego cesarskiej mości przydadacie. A ty, Okoń, ucz się tak dalej, a jeszcze zostaniesz kolejjarzem albo policjantem.

To była najpiękniejsza pochwała, jaką kiedykolwiek usłyszał z ust nauczyciela matematyki, który, jak się okazało, w niektórych kwestiach się nie mylił. Rzeczywiście, większość chłopców z jego klasy została przerobiona na siekane kotlety. Rzeczywiście miał rację, że Okoń wyuczy się na podoficera i zostanie policjantem. Nie przewidział tylko tego, że i jego chwyci ta sama maszynka do mięsa i przemiele tak dokładnie, że jego ciało dosłownie wyparuje, gdy w ziemiankę, w której podczas ostrzału krył się oberleutnant Lidtke, trafi bezpośrednio artyleryjski pocisk.

– Czyli że co mamy robić?

– Najsampierw to wyjdź z tej trupiarni – wyjaśnił Gil.

Okoń na słowo „trupiarnia” drgnął. Coś w tym było. Popatrzył w prawo na puste łóżko po dziadku, który dostawał zastrzyki w brzuch. Stary miał rację, że go tu zaszpilują. Po ostatnim zastrzyku wziął i umarł. Tak zwyczajnie, leżał, oddychał i naraz przestał. Spełniło się więc to, o czym mówił. Nie zobaczy już swoich świnek.

– Idę teraz do Świńskiego Ucha – wyjaśnił Gil, a ta świnia była jakby wyciągnięta wprost z myśli Okonia. – I tam będę na

ciebie czekać. Jak przyjdiesz, strzelisz se seteczkę i piwo, bo widzę, żeś wymizerniał przez ten czas u łapiduchów. A potem zaczynamy akcję.

– Jaką akcję, do cholery?

– Nasza akcja będzie się nazywać Zemsta Nietoperza. – Gil był znanym w policji miłośnikiem operetki i wodewilu, a z zemstą kojarzył mu się tylko ten tytuł.

– Jakiego „nietoperza”, u licha? – Okoń nigdy nie był w operetce. Jedyne przedstawienie, jakie widział w swoim życiu, to były jasełka. A i to w dzieciństwie, bo po wojnie przestał definitywnie chodzić do kościoła.

– To kryptonim, żeby nikt nie wiedział, o co chodzi. A rozchodzi się o nietoperza od Johanna Straussa.

Okoń pokręcił głową. Nie znał żadnego Straussa. Choć Strusia owszem. Nawet ulica Strusia była w Poznaniu. Ale on chyba nie miał nic wspólnego z żadną zemstą.

[44] Porcygar – papierośnica.

[45] *Bierstube* (niem.) – piwiarnia.

[46] Blauka (gwar.) – wagary.

Rozdział IX

Godzina 4.50 po południu

Staszek Wantuch postawił butelkę mętnej wódki na stole i uśmiechnął się zadowolony. Co prawda był w żałobie, ale żyć przecież trzeba. Pochówek ojca ogarnie matka, a on musi się wziąć za poważne sprawy, czyli zarabianie pieniędzy. Wprawdzie jeszcze był młody, ale wielu młodych ludzi zaczynało wcześniej robić kariery, gdy wymagała tego sytuacja. A tak właśnie było w tej chwili. Dorożka nie mogła stać, a koń musiał pracować, żeby zarobić na swój owies i na całą Wantuchową rodzinę, bo oprócz niego była jeszcze w chałupie piątka drobiazgu. On był najstarszy, siedemnastoletni. Po nim następny był piętnastoletni Bronek. On na pewno się przyda do roboty przy koniu, tak jak to było za ojca. Ale interesy musiał w swoje ręce wziąć właśnie on. Bo matka przecież nie mogła jeździć na dryndzie. Ona nawet by chciała, ale na szczęście cech dorożkarzy nie dopuszczał bab. I dobrze, bo kto by chciał jeździć dorożką prowadzoną przez kobietę. Przecież wiadomo, że żadna baba by konia nie opanowała, jakby go poniosło. Do tego trzeba siły, a tę mają tylko mężczyźni. Ci

dorośli na pewno, a niektórzy siedemnastoletni młodzieńcy również.

– Pokaż ino, jakie masz mięśnie – rzucił wuja Karol, który przyszedł rano na czuwanie przy zwłokach. Brat matki tak jak ojciec był dorożkarzem. To on poznał swoją siostrę dwadzieścia lat temu z Wilhelmem Wantuchem, młodym kawalerem bez większych nałogów, który właśnie zaczął jeździć na swojej pierwszej dryndzie. Bo tradycja była taka, żeby dorożkarski syn szukał żony w dorożkarskiej rodzinie. Wiadomo, że to dobrze być z ludźmi, co znają się na swojej robocie i w razie czego zawsze mogą być przydatni. I ta prawda sprawdzała się przez całe życie Wilhelma, a i po jego śmierci okazała się ciągle żywa, bo szwagier od razu zaoferował pomoc.

– Słuchaj, Jadźka, ty mi ino nie rycz, bo łzy se będziesz lała na pogrzebie – powiedział uspokajającym tonem Karol. – Teraz trzeba ino się zająć dryndą i koniem – wyjaśnił.

– A co mi po dryndzie i koniu, jak stary nieżywy. Sprzedać będzie trzeba i na żebry pójść. O, ja nieszczęśliwa. Na co mi też przyszło, żeby męża stracić przez jakiegoś zasrańca. Żeby to za kraj umarł, toby przynajmniej rentę dali, a może i medal. A tak co, padł nieboraczek od policyjnej kuli i nikt nam za to pieniędzy nie wypłaci.

– To się jeszcze zobaczy, czy szkieły odszkodowania nie zapłacą – rzucił twardo Karol. – O tym się jeszcze pogada z jednym adwokatem, co związkowi dorożkarzy doradza. A na żebry nie pójdziesz, bo masz syna zdrowego. Byk taki, że się do roboty nada.

– Ady nie za młody? – wyraziła wątpliwość, ale w formie pytania, jakby szukała potwierdzenia, że się myli.

– Młody jest, ale obrotny. A i z ojcem jeździł, to miasto zna jak własną kieszeń. Do tego silny i lejcki utrzyma. Co,

Staszek, utrzymasz?

– A co mam nie utrzymać. Przecie wuja wiedzą, że dam se radę.

– Utrzyma – zawyrokował brat matki. Teraz tylko za koncesję nową trzeba będzie zapłacić...

– A skąd pieniądze na to wziąć? Przecie my dopiero płacili w grudniu na nowy rok.

– Tu się nic nie poradzi. Nowy dryndziarz, to i nowa koncesja na nazwisko być musi. Na starą, ojcową, jeszcze kilka dni pojeździ, bo każdy szkieł zrozumie, że nowa się wyrabia. Ale zrobić trzeba. A o pieniądze się nie martw, Jadźka. Ja już zbiórkę między kolegami zrobię i każdy dorzuci kilka złotych. Taka jest mocna solidarność między dorożkarzami. A młody jutro na dryndę siada i do roboty. Ty zamiast ryczeć, bierz się do prania i upierz mu ten dorożkarski szynel, co po ojcu się został, bo uślomprany od krwi. A w takim nie może się na mieście pokazać.

Staszek nie miał nic przeciwko tej pracy, bo miasto znał doskonale i nawet wiedział o skrótach, których ojciec nigdy nie wybierał. Do tego i konia oporządzić umiał. Był też świadom jeszcze jednej strony dorożkarskich interesów ojca, o której nie miała pojęcia ani matka, ani nawet wuja Karol. Dlatego gdy już się ściemniło, zabrał z szafy flaszkę wódki i poszedł na górę. Helena nie miała akurat żadnego klienta, więc wpuściła go do mieszkania.

– Daj szklanki, Helenka – powiedział, wyciągając korek z butelki.

– A co to za okazja? W swaty przyszedłeś? – zapytała drwiąco, ale nie miała zamiaru go urazić.

W końcu chłopak stracił ojca, a ona współnika do interesów. Dziś przez cały dzień zastanawiała się, z kim tu wejść w spółkę, ale żadnego dryndziarza nie znała tak dobrze jak

Wantucha. Nie mogła przecież chodzić od jednego do drugiego i pytać, który by chciał jej wozić klientów.

– Okazja jest taka, że za pamięć mojego taty wypić musimy.

– Łe, jak za pamięć, to się rozumie.

Podeszła do kredensowej szafki, gdzie trzymała kilka naczyń, które zostały po poprzednim lokatorze. Kieliszki były akurat dwa, jeden mniejszy, drugi większy. Przez chwilę się namyślała, ale w końcu przed chłopakiem postawiła ten duży.

– Tyś jest chłop, to możesz więcej niż kobieta.

– Pewnie, że jestem chłop i na chłopskich sprawach się znam – stwierdził, rozlewając wódkę. – No to zdrowie mojego taty.

– Zdrowia nieboszczyka to pić nie można – pouczyła go. – On już zdrowy nie będzie. Trzeba pić, żeby mu ziemia lekką była i żeby tam, w niebie, było mu dobrze.

– Masz rację. No to wypijmy.

Wypili, ona nawet się nie skrzywiła, bo nieraz zdarzało się jej pić z klientami, on zaś prawie się zakrztusił, bo gardło do wódki miał nienawykłe. Uśmiechnęła się na ten widok. To jednak jeszcze szczeniak jest ten Staszek, pomyślała, przyglądając mu się uważnie. Ciekawe, czy już był z kobietą? – przeszło jej przez głowę. Patrząc na jego twarz, stwierdziła, że całkiem z niego przystojny młodzieniec. Może gdyby jeździł zamiast ojca, można by go wciągnąć do spółki i jeszcze zarobić na tym lepiej niż ze starym.

– Ja tu przyszedłem, żeby ci powiedzieć, Helenka, że od jutra będę jeździł za ojca – zaczął, tak jakby czytał w jej myślach. – I o to się rozchodzi, że wujka Karol powiada, że koncesję dostanę i se poradzę. To ja se pomyślał, że ja ci klientów będę woził tak jak mój tata.

– O, coś takiego. A dałbyś radę?

– He, a co mam nie dać?

– Bo to wiesz, trzeba przywieźć, niekiedy poczekać, aż taki sprawę załatwi...

– Mogę jeździć, mogę czekać. Dorożkarska rzecz czekać, co nie?

– No prawda. A na jakie warunki byś się zgodził? – zapytała ostrożnie.

– Takie jak tata.

– No, takich to ja ci dać nie mogę w tej chwili. Wiesz, jak jest, już dziś trzech tu było się napraszać, że mi gości będą wozić. Każdy chce dodatkowo zarobić – kłamała jak na zawołanie.

W końcu trzeba umieć walczyć o swoje, nawet podstępem, jeśli ma to ją przybliżyć do upragnionego celu, czyli własnego sklepiku.

– Aleś ty z tatą w spółce była, to mi się należy poszanowanie, bo ja po nim biorę interes.

– To ja cię przecież szanuję.

Wstała z krzesła i usiadła na kanapie. Zdjęła z ramion czarną chustę, którą była skromnie okryta, ukazując nagie ramiona i dekolt zasłonięty białą koszulą.

– Gorąco tu jakoś. – Przeciągnęła się. – Chodź no tu, Stachu, podmucharaj na mnie, bom taka rozpalona.

I chłopak posłusznie podszedł. Usiadł przy niej, tak jak kazała, po czym zaczął dmuchać. Roześmiała się. Głupi był, ale to taki kamień, co go trzeba dopiero oszlifować, pomyślała. Chwyciła jego dłoń i wsunęła sobie pod koszulę. Staszek jęknął, bo w życiu jeszcze nie dotykał kobiety. Tymczasem ta, przy której siedział, przewróciła go na plecy, rozpięła mu pasek i zsunęła spodnie.

– Przecie, jak tak ciepło, nie będziemy siedzieć w lompach – wyjaśniła.

Szybko zdjęła koszulę, a on zobaczył tak piękne piersi, jakie dotąd widział tylko na pocztówkach z gołymi babami. Piersi te zbliżyły się do jego ust, a on je lekko pocałował.

– A teraz ssij, mój malutki – nakazała, a on wykonał polecenie.

Hela tymczasem złapała go za przyrodzenie. Gdy otworzył oczy, piersi już nad nim nie było. Za to jej głowa znalazła się między jego udami. Poczuł, jak coś miękkiego i delikatnego otacza i ssie jego naprężoną miękkość. Trwało to chwilę tylko, bo naraz przeszył go dreszcz rozkoszy.

Przez moment leżał, nie bardzo wiedząc, co się stało. I wtedy ona podniosła głowę. Uśmiechnęła się i zmysłowo oblizała usta.

– Szybki jesteś, mój ty ogierku!

– No – potwierdził dumny, bo zawsze był najszybszy na podwórku.

– To na ile się umawiamy od jednego klienta? – zapytała rzeczowo dziewczyna.

Wzruszył ramionami. A co za różnica, pomyślał. Wiedział już, że dla niej zrobiłby wszystko i jeśli będzie chciała, będzie jej woził klientów nawet za darmo.

Godzina 6.20 wieczorem

Jak to seans spirytystyczny? – zdziwiła się Marlena.

– No tak, był taki pokaz, kiedy wywoływano ducha hrabiego von Zanthier.

– I co, ten duch przyszedł?

– Tak go widziałam, jakbym ciebie widziała w tej chwili, moja droga. Stał i patrzył takimi świetlistymi oczami i ruszał

ustami, i mówił jeszcze. Stał za taką białą płachtą i widać było nawet odcisnięte jego ręce. A powietrze to tak falowało, że płomienie na świecach gasły. Powiadam ci, wrażenie było takie, jakbyśmy się naraz znaleźli w innym świecie.

– To co się wtedy tak dokładnie wydarzyło? – pytała dalej panna von Pieskow żonę swojego stryja.

– Wydarzyło się tyle, że na seansie ten duch mówił o różnych sprawach, takich ogólnych, że między Polską a Niemcami wybuchnie wojna...

– To nie jest nic szczególnie odkrywczego – skomentowała Marlena.

– Chcesz słuchać czy wolisz mi przerywać? – rzuciła Gertruda.

– Przepraszam, mów dalej.

Przysłuchujący się tej rozmowie Fischer popatrzył na Mikołajewskiego, który przyszedł do domu Pieskowów pocieszać Marlenę. Ta siedziała obok, trzymając kochanka za rękę. Spojrzenie komisarza zatrzymało się na twarzy kobiety, by zaraz przenieść się na gospodynię. Nie trzeba było być szczególnym psychologiem, żeby wyczuć, że między tymi dwiema kobietami coś poważnie iskrzyło. Na początku wziął to za napięcie związane ze złymi wiadomościami. W końcu nie co dzień ludzie dowiadują się o śmierci męża czy stryja. To mogło się przełożyć na napięte nerwy. Tyle że wcześniej, w trakcie identyfikacji zwłok w kostnicy, Gertruda zachowywała się powściągliwie i można by powiedzieć nawet, że z godnością, jak na niemiecką wdowę przystało.

Gdy pielęgniarz odsłonił białe prześcieradło, ściągając je z twarzy jej męża, tylko westchnęła.

– Czy to pan Albrecht von Pieskow? – zapytał komisarz, bo formalną odpowiedź trzeba było zaprotokołować.

Znał już odpowiedź na to pytanie, bo wcześniej zidentyfikował ciało nadradca Gebhardt z konsulatu, jednak, gdy to było możliwe, oficjalnej identyfikacji zawsze dokonywał członek rodziny.

– Tak, to jest... to był mój mąż.

Spoglądała na niego wzrokiem pozbawionym emocji, tak jak się patrzy na głowę kapusty albo worek ziemniaków. Nic, kompletny brak jakichkolwiek uczuć na twarzy. Fischer patrzył na nią i zastanawiał się, czy to poza, czy też między nią a jej mężem nie było żadnych cieplejszych uczuć. Ona młoda, on już bardzo dojrzały, to nie mogło być małżeństwo zawarte z miłości. W takie pary łączą się najczęściej ludzie w podobnym wieku. Tu różnica była aż nadto widoczna. On ze spokojem mógłby być jej ojcem. Nie była więc w nim zakochana. Musiała zostać wydana za mąż na zasadzie jakiegoś kontraktu. Może pochodziła ze zubożałej rodziny, a on był bogaty? W każdym razie to nie mogli być bliscy sobie ludzie. Ale z drugiej strony, on mógł przecież być w niej zakochany, jak często się to zdarza starszym mężczyznom, którym wydaje się, że mogą być jeszcze atrakcyjni dla młodych kobiet. Zdobywają je siłą czy podstępem, a później żyją w związkach, w który tylko oni pałają uczuciem. A ich żony? Cóż, młodość ma swoje prawa. Szybko znajdują odpowiedni obiekt do ulokowania swoich uczuć, jakiegoś szukającego sposobności do romansu młodego człowieka.

– Czy bardzo cierpiał? – zapytała, przykładając jedwabną chusteczkę do nosa.

– O ciosach bagnetem czy nożem w serce mówi się, że to *coup de grâce*, czyli cios miłosierdzia.

– Czyli ktoś okazał mu litość, pozbawiając go życia?

– Raczej zakładam, że to było pchnięcie zadane przez profesjonalistę, który wiedział, że po czymś takim ofiara

umiera momentalnie.

– Nawet jeśli tak było, marne to pocieszenie. – Dotknęła chusteczką kącika oka, jakby chciała zetrzeć niewidzialną łzę. Jej oczy były jednak suche. Spojrzała na niego i chyba domyśliła się, że on patrzy i wyciąga wnioski.

– Nie, nie płaczę, panie komisarzu. Jestem twardą kobietą, nauczoną skrywać swoje uczucia.

– Brak uczuć też trzeba skrywać? Jeśli tak, to się pani nie udaje.

– Nic pan nie rozumie.

– Proszę więc mnie oświecić.

Popatrzyła na zwłoki, a potem na Fischera.

– Wyjdźmy stąd. Ten zapach formaliny zaraz doprowadzi mnie do omdlenia.

Ruszyła przodem. Wyszli na niewielki korytarz prowadzący na wewnętrzny dziedziniec. Korzystali z niego ci, którzy podczas oględzin poczuli się słabo. Tu można było nieco się przewietrzyć, usiąść na ławce i zapalić.

– Ma pan papierosy? – zapytała, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Dziedziniec szpitalny nie był zbyt okazały. Z trzech stron ograniczały go ściany budynków. Od zachodu była otwarta przestrzeń prowadząca do koszarowych bloków. Szpital wojskowy przy Cieszkowskiego stanowił jeden z elementów infrastruktury wojskowej wraz z sąsiadującymi z nim gmachami sztabowymi i kancelaryjnymi.

– Proszę bardzo. – Podsunął jej otwartą papierośnicę.

Zazwyczaj palił fajkę, ale na wszelki wypadek nosił papierosy, z których korzystał, gdy nie było chwili na nabijanie cybucha tytoniem. Na takie czynności jak nakładanie, ubijanie i rozpalanie trzeba było mieć czas. Jeśli więc chodziło

o prędkość dostarczenia organizmowi niezbędnej nikotyny, gotowy papieros zawsze wygrywał.

Trzymając papierosa między palcami, zaczęła czegoś szukać w niewielkiej podróźnej torebce. Po chwili wydobyła z niej kościaną lufkę. Włożyła do niej papierosa, a Fischer podał jej ogień.

– Ładna lufka – zauważył. – To chyba nie jest zwyczajny, miejscowy wyrób. Nie palę papierosów na co dzień, więc nie znam się na takich jak ten przedmiotach, ale to chyba jest...

– Tak, ma pan rację. To nie jest zwykła kościana lufka. To kość słoniowa oprawiona w srebro. Bardzo ciekawa rzecz. Mój mąż jeszcze przed wojną był w koloniach. Dokładniej to w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Pełnił tam służbę w armii kolonialnej. Przywiózł stamtąd sporo różnych artefaktów, w tym kość słoniową. I właśnie z tej kości kazał w Berlinie stworzyć to cudeńko.

– Tylko jedną z całej kości?

– Nie, skąd. Tych lufek było chyba z dziesięć. Dawał potem w prezencie znajomym i krewnym. Ostatnio nawet podarował jedną koledze z konsulatu. Taki sympatyczny podarunek, nie sądzi pan?

– Tak, ma pani rację. A czy pani mąż miał taką lufkę?

– Oczywiście. Miał jeszcze jedną. Zawsze trzymał ją w domu na biurku. Ale dlaczego pan pyta o te lufki?

– To tylko z ciekawości. Jednakowoż chciała mi pani coś powiedzieć na temat waszych małżeńskich stosunków.

– Nie kochałam go – powiedziała szybko i zdecydowanie, tak jakby chciała pozbyć się winy za brak uczuć. – Wyszłam za mąż, gdy byłam bardzo młoda. Tak zdecydowali moi rodzice. To było tuż po wojnie, gdy sprowadziliśmy się do Berlina po utracie majątku na Wschodzie. Nie miałam wyjścia. Musiałam za niego pójść. Ta taka klasyka jak z melodramatu. Na

początku dałam mu szansę, myślałam, że z czasem go pokocham. Może gdybyśmy mieli dzieci, to co innego. Ale on... Nawet specjalnie się nie starał. Miał inne zainteresowania. Karty w męskim towarzystwie, bilard i alkohol. A ostatnimi czasy doszły jeszcze te spirytystyczne idiotyzmy.

– Nie wierzy pani w seanse?

– Nie wierzyłam w nie nigdy, do czasu tego ostatniego seansu u hrabiny von Zanthier. To, co zobaczyłam, zmieniło całkowicie mój pogląd na tę sprawę.

Siedzieli w salonie mieszkania teraz już tylko Gertrudy von Pieskow. Gospodyni rozejrzała się po twarzach obserwujących ją ludzi. Ten znajomy Marleny, jakiś handlarz zbożem, spoglądał na nią z lekkim uśmiechem błędzącym pod wąsem, jakby myślami był w zupełnie innym miejscu. Marlena, która nie wiedzieć czemu zaprosiła go tutaj, wbijała w nią oskarżycielskie spojrzenie, mówiące, że całą winę za śmierć wuja ponosi właśnie ona. Tylko ten policjant o przenikliwym spojrzeniu czekał w skupieniu na to, co powie.

– Wtedy ta zjawą powiedziała, że w pojedynku między dwoma narodami zwycięży orzeł. Co sprawiło, że mój mążonek wykrzyknął zadowolony, pytając kiedy. Na co ten gburowaty duch powiedział, że on tego nie dożyje i że niedługo umrze.

– Czy powiedział to dosłownie? Przewidział dosłownie śmierć pani męża? – zapytał komisarz.

– Tak, krzyknął nawet na niego, jakby był na niego zdenerwowany, że mu przerywa.

– Ciekawe – odezwał się Mikołajewski. – A jak wyglądał ten duch? Czy był jasną poświatą czy miał jakieś ludzkie cechy?

– No wyglądał jak człowiek spowity białym prześcieradłem. Ale był mocno świetlisty, więc widać było kontury jego ciała,

owal twarzy i pikielhaubę. On, czyli duch pułkownika von Zanthier, był ubrany w oficerski mundur.

– Prześcieradło i ostra biała poświata – rzucił sarkastycznie Mikołajewski. – Jakże być mogło inaczej. Przecież duchy zawsze ubrane są w prześcieradła.

– Nie żartuj – skarciła go Marlena. – Gertruda jest twardą kobietą, a jednak widzę, że ten pokaz wywarł na niej głębokie wrażenie.

– Dziękuję ci, Marleno. – Uśmiechnęła się do niej.

Fischer zauważył, że po raz pierwszy tego wieczora. Ale uśmiech tak jak się pojawił, tak szybko zniknął.

– Owszem, wrażenie zrobił na mnie wtedy swoją realnością. Ale dopiero teraz dociera do mnie cały sens tego przedstawienia. To tak jakby ktoś chciał ostrzec mojego męża o grożącym mu niebezpieczeństwie.

– To możliwe. – Marlena pokiwała głową. – Tylko kto?

– Ja to kto, moja droga? No przecież ci już mówiłam. To był duch pułkownika. To właśnie on ostrzegł mojego męża.

– Być może to nie było wcale ostrzeżenie, droga pani – stwierdził naraz komisarz.

– A co innego?

– Może groźba?

Spojrzenia Fischera i Mikołajewskiego spotkały się. Żaden z nich nie wierzył w duchy.

Kwadrans później, gdy dwaj oficerowie opuszczali mieszkanie Gertrudy von Pieskow, Fischer naraz przypomniał sobie o czymś.

– Pani Gertrudo, czy byłaby pani tak uprzejma i sprawdziła, czy lufka pani męża jest w domu?

Była, leżała na biurku.

Godzina 10.45 w nocy

Gargulec przeszedł przez pusty o tej porze i zaśmiecony potargowymi resztkami plac Sapieżyński i znalazł się na Wolnicy, gdzie handlowano na co dzień mięsem. Tu było zdecydowanie czystszej niż tam, gdzie stały warzywne stragany. Wszystko, co spadło na ziemię, natychmiast zżerały okoliczne psy i koty, więc bruk był tu niemal dosłownie wylizany. Z prawej strony majaczyła ogromna i przysadzista sylwetka nowej synagogi. Pomyślał nawet, że w pobliżu niej można by się zaczać na jakiegoś bogatego Żyda, ale pewności nie było, czy jakiś starozakonny z wypchanym portfelem łązi tam o tej porze. Za to Helena była pewna i obiecująca, jeśli chodziło o pieniądze. Nie mogła przecież wydać wszystkiego, co jej dał, przez tak krótki czas. W dodatku nie wyglądała na taką, która ma swoją książeczkę w PKO. Musiała mieć przecież oszczędności i trzymać je w domu w jakiejś skrytce. Dlatego złapie ją i zwiąże, zagrozi wydłubaniem oka, a wtedy ona odda mu wszystko, co ukradła i co schowała w szafach. No a później się zobaczy. Może się z nią zabawi, a dopiero potem wytnie jej oko...

Popatrzył w górę. W oknie Heleny paliło się światło. Więc ta ździra była w domu. Wszedł do klatki schodowej. Wspiął się ostrożnie na górę i stanął przy drzwiach, nasłuchując, co się dzieje w mieszkaniu. A tam płynęła spokojna muzyka z patefonu, bo Helena miała patefon i kilka płyt z tanecznymi szlagierami. Więc jeśli puszczała muzykę, to mogło oznaczać, że ktoś u niej był. Ucieszył się nawet na myśl o tym, bo to oznaczało, że nie tylko obrobi ją, ale jeszcze oskubie frajera.

Usłyszał jej śmiech i to sprawiło, że aż zagotował się w środku. Gdyby nie ta podła ździra, to teraz on by sobie tam

leżał, pił wódkę, jadł kiełbasę, a nie musiał się włóczyć po całym mieście. To jej wina. Dość tego. Zaraz ten uśmiech zniknie z jej twarzy.

Energicznie zapukał w drzwi. W środku zrobiło się cicho. Po chwili dało się słyszeć ostrożne kroki za drzwiami.

– Czego? – zapytała niezbyt pewnym głosem.

– Otwierać, policja! – rzucił zdecydowanym tonem, tak jak to mają w zwyczaju pokrzykiwać policjanci.

– A czego chcecie? Ja już wszystko powiedziałam.

– Ale protokoła trzeba podpisać. – Improwizował, starając się wypaść jak najbardziej wiarygodnie. – Otwierać, bo nie ma czasu na pierdoły. No dalej!

– Zaraz, nie pali się przecież. Tylko się oblekę...

Znow kroki, potem jakiś ruch, jakby ktoś przestawiał krzesło, potem metaliczne zgrzyty... Trwało to wszystko dość długo. Pomyślał, że pewnie jest zupełnie naga, więc musi się ubrać. Uśmiechnął się na myśl o jej ładnych piersiach i zgrabnym tyłku. Nie, najpierw ją wychędoży, a dopiero później weźmie się za wydłubywanie oka.

Znowu kroki za drzwiami. Teraz jakby mniej zdecydowane.

– A nie można by jutro? – zapytała niepewnie.

– Ni ma czasu jutro. Dowódca kazali dziś i szlus.

– Kiedy już późno.

– Dla policji nigdy nie jest późno!

– Ale ja nie...

– Żadne tam „ale”, otwierać!

Usłyszał przekręcanie klucza w drzwiach. Pamiętał, że w środku nie było łańcucha, więc teraz wystarczyło tylko pchnąć. No to chwycił klamkę, pociągnął w dół i pchnął mocno, mając nadzieję, że impet tego pchnięcia uderzy w Helenę i powali ją na podłogę. Moment zaskoczenia był

ważny, żeby nie narobiła hałasu i nie zaalarmowała sąsiadów...

Za drzwiami nie było nikogo. Tylko ten ciemny korytarzyk i smuga światła elektrycznego wpadającego z pokoju. Zrobił krok naprzód, zdziwiony tą sytuacją, i wtedy zdziwił się jeszcze bardziej. Ale zanim przyszło zdziwienie, poczuł nieprawdopodobny ból pod kolanem, powyżej łydki, jakby mu ktoś tam wbił rozżarzone żelazo. Natychmiast osunął się na podłogę. I wtedy zobaczył przez ułamek sekundy rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, który uniósł się w górę i zdzielił go w łeb nad uchem. Ostatni obraz, jaki zarejestrował, to był ten czerwony pręt i postać jakiegoś chłopaka w samych gaciach. Tę wizję zabrał ze sobą prosto w ciemność, w czarny tunel, gdzie się stoczył głową w dół, bo chyba tylko tym mógłby wytłumaczyć ból przedostający się jeszcze do mózgu resztkami świadomości.

– Zostaw go już, Staszek. Będzie dość – powiedziała Helena, przerywając napad wścieklej furii, w jaką wpadł chłopak, waląc na oślep pogrzebaczem.

Był wściekły i mógłby go nawet zabić. Powiedziała mu, że to ten, przez którego zginął jego ojciec, teraz przyszedł zabić ją. No to kazał jej jeszcze pogadać przy drzwiach, sam wziął pogrzebacz, włożył go do pieca i poczekał chwilę, aż się rozgrzeje. A gdy był już gotowy, podszedł do drzwi, przekręcił klucz i stanął z boku. Sprawa była prosta, najpierw przywalił pod kolanem, potem przyłożył w łeb i dalej, gdzie popadło. I biłby jeszcze, gdyby nie Hela.

– Nie zabijaj go. Niech sąd mu wymierzy sprawiedliwość – powiedziała dziewczyna.

Nie wiedziała, że są tacy, którzy robili to zdecydowanie szybciej i znacznie dosadniej. Oni nie mieli czasu ani ochoty na oficjalne załatwianie sprawy.

Godzina 11.45 w nocy

Sztab garnizonu Stettin mieścił się w koszarowym budynku na skrzyżowaniu Linsingenstraße i Johannisstraße^[47]. Pięciu żołnierzy z dystynkcjami podoficerów wysiadło z ciężarówki przy Dworcu Głównym. Tam dzień i noc parkowały samochody ciężarowe, oczekujące na rozładunek albo towar, który miał przy płynąć na barkach do kolejowego nabrzeża, więc nikt nie zwrócił uwagi na kolejne auto. Tak samo jak nikogo nie zainteresowali podpici żołnierze idący w kierunku dzielnicy wojskowej. Maszerowali bulwarem nadrzecznym wzdłuż dworcowego budynku, by zaraz skręcić w lewo. Minęli gmach Kasy Oszczędnościowej i wkroczyli na plac Ratuszowy, przy którym stał ogromny, neogotycki budynek nowego ratusza. Minąwszy go, weszli w szeroką Grüne Schanze^[48]. Ta ulica prowadziła wprost na Weiße Parade Platz ^[49], gdzie w pogodne dni odbywały się pokazy musztry oddziałów piechoty i artylerii, defilujących w rytm marszów wygrywanych przez wojskową orkiestrę. Naprzeciwko rozciągały się koszarowe budynki wzniesione z charakterystycznej dla większości koszar w dawnych Prusach czerwonej cegły. Jednak teraz, późnym wieczorem, na tle ciemnego nieba, wyglądały jak ponure kłocę rozłożone między drzewami posadzonymi na skraju chodników, które miały oddzielić niebezpieczną i ruchliwą jezdnię od przechodzących wzdłuż niej pieszych. Teraz jednak nikt po chodnikach nie chodził, bo było już zbyt późno. A nawet jeśli by kto szedł, ta grupka podtrzymujących się wzajemnie wojskowych nie zrobiłaby na nikim

najmniejszego wrażenia. Przecież każdego dnia właśnie tędy wracali do swoich koszar zawiani żołnierze.

Wartownik stojący przy głównym wejściu do oficerskiego kasyna uśmiechnął się z wyrozumiałością. Jednak nie odezwał się i nie skomentował tego widoku. Był tylko zwykłym szeregowcem, a ta piątka to wszystko były szarże podoficerskie, co takich jak on goniły na placu ćwiczeń, wyciskając z nich siódme poty. Lepiej więc było się nie odzywać nieproszonym, choć żaden z nich nie był mu znany z twarzy i sylwetki. Musieli być z koszar piechoty, podczas gdy on był artylerzystą. Bo zarówno przed kasynem, jak i innymi obiektami wojskowymi rozproszonymi w okolicy, a usytuowanymi poza terenem koszar, warty wystawiały na zmianę różne jednostki. W tym tygodniu wypadała kolej artylerzystów.

– Co się tak gapisz, dupo wołowa! – zawołał w jego kierunku wąsaty oberfeldwebel.

– Melduję, że się nie gapię! – odpowiedział wartownik.

– I dobrze. Bo podoficer w armii to jest ktoś! Prawda, koledzy?

– Prawda, ha, ha! – odpowiedzieli zgodnie czterej pozostali. – A szeregowiec to worek na gówno! Prawda, koledzy?

– Tak jest! – zgodzili się ochoczo.

– A oficer to jest w armii kto? No, szeregowy, kto to jest oficer?

Szeregowy znał odpowiedź na to pytanie, ale nie mógł odpowiedzieć, bo nie wypadało się dzielić taką wiedzą z podoficerami.

– Widzicie, koledzy, on nie wie. Stoi przed oficerskim kasynem i nie wie. Jak nie wiesz, to ja ci powiem. Więc oficer w armii to jest worek na gówno w oficerkach! Ha, ha, ha!

Czterech kolegów odpowiedziało śmiechem. Wartownik nawet nie wygiął ust. W końcu był na warcie.

– A generał to kto jest w armii? – zapytał niezwykle zadowolony, że zbliża się do najśmieszniejszego finału opowieści.

– No, gadajże! – ponaglił go młody podoficer.

– Generał to worek na gówno z lampasami! He, he!

Cała piątka roześmiała się, a szeregowy też przyłączył się do tego śmiechu, bo w końcu nie wytrzymał. Dowcip był stary i wszyscy żołnierze go znali, ale zawsze przyjemnie było posłuchać. Krążyła jeszcze nieco zmieniona wersja opowiadana przez szeregowców, w której workiem na gówno byli podoficerowie, a szeregowcy byli najważniejsi. Zresztą ta zamiana ról w zależności od punktu widzenia nie była w zasadzie istotna, bo najważniejszy był obraz oficerów i generałów. A ten śmieszył wszystkich prostych żołnierzy.

– No dobra, my idziemy dalej, koledzy, a ty tu pilnuj dobrze, bo jak już swoje odstoisz na warcie, to kto wie, może kiedyś z worka na gówno da się ciebie przerobić na podoficera. Koledzy, naprzód marsz! – zakomenderował oberfeldwebel i cała piątka ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem, odprowadzana rozbawionym spojrzeniem szeregowca. Był zadowolony, bo wizyta podpitych podoficerów sprawiła, że zrobiło mu się weselej na duszy. Ten sympatyczny podoficer tchnął w niego odrobinę nadziei i otuchy, że jego podły los najmniejszego trybiku w armii kiedyś się zmieni i wtedy to on zamiast być kopanym, będzie mógł kopać innych do woli. A poza tym dobry dowcip w wojsku był zawsze mile widzianą rozrywką i urozmaiceniem monotonnej służby.

Gdy oddalili się już od wartownika na tyle, żeby ten niczego nie słyszał, no i nie widział, Tolek Grubiński odezwał się cicho do Krügera, bo on właśnie grał rolę oberfeldwebela.

– Po co ten cały cyrk z tym szeregowcem? Najpierw każesz iść, nie rzucając się w oczy, a potem...

– Nie mieliśmy rzucać się w oczy pod dworcem kolejowym, żeby nikt nie powiązał żołnierzy z moją ciężarówką.

– Przecież żeśmy zamalowali napisy na burcie i nie widać, że to twoja firma meblowa – wtrącił się podporucznik Pikuła.

– To na wszelki wypadek. Po co mają później szukać wśród takich ciężarówek, gdyby coś nie wyszło. Ja, panowie, zamierzam jeszcze trochę pożyć.

– A to przedstawienie? Przecież osiągnęliśmy dokładnie odwrotny efekt. Wartownik dobrze nas zapamięta – stwierdził Pikuła.

– I o to właśnie chodzi. Zapamięta i na torturach będzie przysięgał, że widział pięciu podoficerów piechoty. Więc jakby co, tam właśnie będą szukać włamywaczy. Ja wiem, że to nadmierna ostrożność, bo liczę, że nic się nie stanie, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tolek skinął głową z uznaniem.

– To racja. Pomysł dobry. Sam nieraz stosuję taką zasłonę dymną, żeby później szkieły poszły w zupełnie innym kierunku, znaczy podjęły trop taki, jak ja chcę, a nie jak nakazują im ślady.

– No dobra, to co teraz? – Pikuła wydawał się nieco zniecierpliwiony, a może też zdenerwowany.

Nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy w życiu uczestniczyć we włamaniu. Było dokładnie odwrotnie. Gdy jeszcze pracował w policji, często wsadzał włamywaczy, a tym razem sam musiał stanąć po przeciwnej stronie barykady. Nie, nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Wiedział, że to, co robi, jest słuszne i musi być wykonane. Niemniej jednak czuł pewien dyskomfort, no i emocje, które wiązały się z niebezpieczeństwem.

Popatrzył na Grubińskiego a potem na tych dwóch młodziaków. Oni nie wyglądali na specjalnie przejętych. Widać dla nich włamanie to był chleb powszedni. Trzeba by się od nich uczyć tego złodziejskiego opanowania, bo diabli wiedzą, ile jeszcze takich włamań przede mną, pomyślał, gdy doszli do skrzyżowania.

– Tam, po drugiej stronie, prostopadle do nas, stoi właśnie budynek sztabu. Widzicie szerokie wejście? – zaczął wyjaśniać Krüger. Nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej: – Przed wejściem jest budka wartownicza i dwóch wartowników. Oni nas nie interesują. Przechodzimy na drugą stronę i w ogóle tam nie patrzymy. Idziemy dalej jak pijane łajzy, ale bez krzyków i w ogóle bez gadania. Dochodzimy do koszarowego muru i idziemy jeszcze kawałek. Jak znikniemy im z oczu za rogiem, przechodzimy do końca bocznej ściany budynku. Tam jest furтка, której nikt nie pilnuje. Otwieramy ją i wchodzimy. Tu jeszcze nie potrzebujemy wytrycha, bo tą furtką wnosiliśmy meble. Miałem przez chwilę klucz w ręce i zrobiłem odcisk w glinie, więc teraz mamy wejście otwarte. Idziemy! – zakomenderował, a pozostali ruszyli za nim. Szeroką Linsingenstraße pokonali w kilkanaście sekund, mimo że szli nieśpiesznym krokiem. Wartownicy zajęci paleniem po kryjomu papierosów nawet nie spojrzeli w ich kierunku. Dla nich liczyło się tylko to, co przed nimi. Jeśli ktoś nie podchodził pod wejście do sztabu, to znaczy, że nie musieli się nim interesować. A tu, tymi uliczkami, co chwilę łąził ktoś w mundurze, więc mieli to głęboko w nosie.

Krüger podszedł do furtki, rozglądając się na boki. W tym czasie Tolek oparł się dłońmi o mur, jak to mają w zwyczaju rzygający pijacy. Dwaj młodzi złodzieje stanęli przy nim, niby zatroskani koledzy chcący ulżyć doli swojego kamrata. Tylko Pikuła nie wiedział, co robić. Patrzył z podziwem na tę

złodziejską trójkę, reagującą w takich sytuacjach profesjonalnie, jakby stanowili jeden organizm. Jeśli by ktoś obserwował tę scenę, od razu zwróciłby uwagę na wymiotującego pijaka i jego kumpli. A nikt na stojącego przy furtce mężczyznę, bo ten wyglądał, jakby właśnie sikał. No to podporucznik też oparł się o mur i zabrał do sikania.

– Wchodzimy – zawołał Krüger.

Pchnął stalową bramkę i zniknął w środku. Pozostali rozejrzeli się jeszcze na wszelki wypadek i zaraz poszli w jego ślady. Pikuła został sam, bo musiał skończyć to, co zaczął. Gdy już było po wszystkim, zapiął rozporek i spokojnie, nawet dziwiąc się nieco swojemu opanowaniu, wszedł przez otwarte wejście na niewielki gospodarczy dziedziniec, gdzie ustawiono w równym rzędzie blaszane kubły na śmieci. Drzwi za nim zamknęły się cicho.

– Udało się! – rzucił niezwykle zadowolony.

– Powiesz pan to, jak już będziemy w Polsce – zganił go Tolek, przesądny jak każdy dobry złodziej, dlatego nigdy nie chwalił dnia przed zachodem słońca. – No jak tam, Zenuś? – zapytał Brodziaka.

Chłopak kucnął przy drzwiach prowadzących na boczną klatkę schodową i grzebał w zamku wytrychem. Nic nie odpowiedział. Nachylił się i ze skórzanego przybornika, trzymanego przez Krystka, wyjął jeszcze jeden zakrzywiony drut. Zamek szczęknął raz, a potem drugi.

– Ten gotowy – rzucił za siebie obojętnym tonem. Jeszcze ino ten górny – wyjaśnił i wybrał kolejne wytrychy.

Reszta grupy stała w milczeniu, wpatrzona w jego sylwetkę. Nikt już o nic nie pytał. Czekali, aż robotę zrobi fachowiec. I zrobił. Kolejny zamek ustąpił, a Zenuś rozprostował plecy.

– Sztab stoi otworem – stwierdził, pchnąwszy lekko drzwi.

Zraz usiadł na progu i zajął się rozsznurowywaniem butów. Tolek i Krystek od razu poszli w jego ślady. Krüger i Pikuła przez chwilę spoglądali na nich, nie wiedząc, w czym rzecz, ale gdy złodzieje zdjęli buty i ustawili je w równym rządku przy ścianie, zrozumieli, że ci wiedzą doskonale, jak się zachować. Dlatego postanowili iść w ich ślady i też zdjęli swoje saperki, stawiając je przy tych złodziejskich, po czym wszyscy weszli do środka w skarpetach.

Godzina 11.55 w nocy

– No proszę, kogo my tu mamy.

– Jak to kogo, toć przecie sam pan Gargulec Wincenty, nazywany Rzeźnikiem.

– Na rzeźnika to on nie wygląda. Raczej na wieprza do zarżnięcia – stwierdził Okoń, przypatrując się związanemu. – Aż szkoda noża na takiego śmiecia.

– Możemy go potraktować brzytwką. Ogoli mu się ryj bez mydła, to zaraz se wszystko przypomni – stwierdził zadowolony z siebie Gil.

Był uradowany, bo wyszło na jego. Przejrzał tego gagatka i oto mieli go teraz leżącego na podłodze. Co prawda to, że leżał, nie było wcale jego zasługą, ale tego chudego młodzieńca z rozbitą i napuchniętą wargą, siedzącego na łóżku, i dziewczyny, co skromnie jak pensjonarka zajęła miejsce obok niego. Ciekawe, że ci dwoje trzymali się za rękę, jakby byli parą. Ale Gil dobrze wiedział, że nie mogą być narzeczeństwem, bo raz, że ona jest dziwką, a dwa, że ten szczon jest za młody. Choć jak na młodego, sprawił się całkiem dobrze. Obrobił tego gnojka, aż przyjemnie było

patrzeć. I do tego jeszcze na wszelki wypadek związał go sznurem do bielizny jak baleron, tak że Gargulec nie miał najmniejszej szansy się poruszyć, no chyba że palcem w bucie.

– Ja mam brzytew, jakby co – rzuciła Helena. – Po co on się tu wrócił? Pewnie chciał mi się odwdzięczyć, że go policja goni.

– No to już ja jemu się odwdzięczyłem za ciebie – ucieszył się Stachu.

– Mój ty obrońco. – Pocałowała go w policzek. – To co, dać brzytewkę?

– Poczekaj, niech dojdzie do siebie – rzucił Okoń, bacznie przyglądając się leżącemu.

A mało brakowało i nikomu by się już dziś nie przygadał, bo miałyby powtórnie rozbity łeb. Uratował go Gil, który okazał się nadspodziewanie szybki.

Weszli po schodach by po chwili stanąć przed drzwiami.

– To tu mieszka ta Helena. – Gil wskazał drzwi. – Trzeba by zapukać i powiedzieć jej, co i jak, bo gotowa się jeszcze przestraszyć.

– A czego się ma bać? Przecież ona jeszcze nic nie wie, że ten szuszwol może do niej wrócić. Ona nie ma takiej tej, instytucji jak ty.

– Intuicji, bracie, intuicji. Od czasu do czasu przydałoby się coś przeczytać, żeby człowiek na kompletnego ćwoka nie wyszedł.

Drzwi naraz otworzyły się i stanęła w nich kobieta niezbyt słusznego wzrostu, za to gruba, o wielkiej gębie i z chustką na głowie. Zdziwiona, spojrzała na dwóch mężczyzn stojących w progu mieszkania. Nie widziała dokładnie twarzy, a jedynie same sylwetki, bo tam, gdzie stali, panowały egipskie ciemności. Dostrzegła ich tylko dlatego, że zza uchylonych

drzwi wypłynęła z mieszkania smuga światła i wydobyła z ciemności zarysy postaci.

– A wy tu co? – zapytała niezbyt przyjemnym tonem.

– A my tu nic – warknął Gil, doskonale obeznany z tym typem niezyczliwych bab, obwiniających za swoje życiowe niepowodzenia cały świat. – Co tu robicie, kobieto?

– Jak co? No patrzcie się ludzie na tego małego. – Wskazała na Gila. Wywiadowca istotnie był nikczemnego wzrostu, ale jako człowiek wielkiego mniemania na temat swoich możliwości dawno przestał zwracać uwagę na takie uszczypliwe komentarze. – Przylezie jeden z drugim pod drzwi na żebry i jeszcze się rzuca. A ciąga mi stąd raz-dwa, bo ze schodów spuszcze na ryj, wy dziady kalwaryjskie.

– Czy kolega słyszał, jak ta chorlipa mówi o policjantach? – Gil odwrócił się do Okonia. Ten oczywiście słyszał i już zaciskał dłoń w pięść, żeby babie przyłożyć.

Ale Gil nie był zwolennikiem ostatecznych rozwiązań tam, gdzie sprawy można było załatwić bez specjalnego wysiłku i wkładania niepotrzebnej siły.

– Nie zamierzamy być brutalni, moja biedna głupia idiotko, dlatego tym razem nałożymy na ciebie jedynie mandat w wysokości dziesięciu złotych, płatne gotówką natychmiast.

– Co!?! – wykrzyknęła kobieta i złapała się za wielką pierś, tak jakby nie mogła złapać tchu.

– Ale jest też dobra nowina – ciągnął niezrażony Gil. – Taka mianowicie, że za każdą złotówkę możecie odsiedzieć jeden dzień w areszcie.

– Jezusie przenajśłodszy, ja w areszcie? Niedoczekanie! Piniedzy też nie mam i nic wam nie zapłacę. Przyjdźta se z nakazem, to może co poradzicie. A tak w ogóle to niby skąd ja miała wiedzieć, że wyśta są z policji.

– Jak człowiek ma w głowie dobrze poukładane, to się od razu zorientuje, a jak kto ma sieczkę we łbie jak koń, to się ino nada do ciężkiej roboty, a nie do myślenia. No dobra, koniec tych ksiutów. Wołaj, babo, Helenkę.

– Jaka Helenkę?

– No jak jaką? Tą, co tu mieszka i co u niej był bandyta, co my jego ścigali.

– Helenkę? Łe jery, to jest pomyłka, panowie szanowne. Wy nie do mnie, ino do niej chceta iść. Jej se dawajta karę i wsadzajta do więzienia na jak długo chcecie, bo to nie o mnie się rozchodzi, a o tą młodą lafiryndę, co dupą handluje. Idźta se do niej, bo ona jest piętro wyżej nade mną.

– A to pardonsik – rzucił Gil. – Panie przodowniku, idziemy na górę.

Ruszyli natychmiast, ale kobieta miała jeszcze coś do powiedzenia.

– Ady jak już żeście tu przeszli z policji, to od razu zgłosić chciała ja, że mojej sąsiadce z chaty, co tu stoi obok, dziś ktoś ukradł szare palto, bardzo cenne i całkiem nieschodzone z jej starego, i jeszcze jego bardzo przepiękną czapkę hamburkę z daszkiem. Wszystko całkiem nowe...

Gdy weszli piętro wyżej, okazało się, że drzwi do mieszkania są uchylone. Okoń na wszelki wypadek zapukał, ale nie było odpowiedzi, więc pchnął je i ruszył do środka pewnym krokiem. Wpatrzony w smugę światła dobiegającą od strony pokoju nie zauważył, że ktoś czai się z boku. Jakaś postać wyskoczyła naraz z rękami w górze i wyrznęła go prętem w łeb. Na szczęście atakujący tylko go musnął, bo Okoń nauczony doświadczeniem zdążył uchylić głowę. Sekundę później napastnik już leżał na podłodze, bo stary wywiadowca Gil zrobił w tej sytuacji to, co powinien był zrobić wytrawny policjant. Skoczył szczupakiem przed siebie i chwycił

atakującego za nogi, podcinając go impetem skoku. Obaj padli na podłogę i wtedy do akcji wkroczył Okoń. Skoczył na leżącego faceta, przywalił go całym ciężarem ciała i zanim przyciśnięty zdążył zareagować, trzasnął go pięścią w twarz.

– Auuu! – jęknął głośno obrońca domu Heleny, młody Stanisław.

– Ożeż wy, gnoje niemyte! – krzyknęła Helena, ukazując się w drzwiach z miotłą w dłoniach. – Zabiję was, wy psie krwie! – Uniosła kij, by zadać śmiertelny cios Okoniowi, ale na szczęście Gil, który był tu już wcześniej, poderwał się z podłogi i stanąwszy przed nią, zawołał:

– Policja, do cholery! Policja!

Dziewczyna jeszcze przez chwilę stała z miotłą wzniesioną do ataku, nad czymś się zastanawiając.

– A, pan Gil, co tu był rano! – Rozpoznała go po niewielkim wzroście.

– Ja sam, panno Helenko, a to jest Okoń, znaczy przodownik Okoń, bo my właśnie pannie na ratunek przyszli.

– A mój Stasiu? Co ze Stasiem?

– Ten tu? – Okoń wskazał na leżącego. – Aby raz w mordę dostał, znaczy się żywy i zdrowy, ino go trzeba oblać wodą.

– Mój biedaczek. – Uklęknęła przy nim i pocałowała w usta. Stachu otworzył oczy.

– Co jest? – zapytał niezbyt przytomnie.

– Policja. Znaczy się, szkieły przyszły.

– W sam czas. Możemy im oddać tego bandziora, co my jego powiązali, i możemy wracać do łóżka.

– Niby jakiego bandziora? – zapytał Okoń.

– No tego, jak on się nazywa? Jak żeś mówiła, że on jest Wincenty...

Gil pomyślał, że chłopak jednak doznał po tym mocnym Okoniowym ciosie wstrząśnienia mózgu, bo od rzeczy gada.

Ale dziewczyna potwierdziła jego brednie.

– A weźcie no se go. Leży na podłodze i pierdzi, wieprz jeden.

Obaj weszli do pokoju i zamarli na ten piękny widok, jaki rozciągał się u ich stóp, w postaci poszukiwanego przez całą poznańską policję, powiązanego Wincentego Gargulca.

Gdy już Helena udzieliła pierwszej pomocy swojemu młodemu sąsiadowi, umyła mu zakrwawioną wargę, wycalowała ją delikatnie i posadziła go w końcu obok siebie na łóżku, chwytając przy tym z czułością za rękę, żeby mu ulżyć w cierpieniu.

Natomiast żadne uczucia nie malowały się na twarzy Gargulca. Odzyskał przytomność i teraz ze zdziwieniem, z poziomu podłogi, a więc z perspektywy karalucha, wpatrywał się w to, co dzieje się na wyższym, ludzkim piętrze.

– Zaraz ja tobie wyciągnę ten szmat z gęby – mówił spokojnym głosem Okoń. – A jak już ci wyciągnę, to ty mi odpowiesz na wszystkie pytania, na jakie ja będę potrzebował odpowiedzi, i jeszcze ten pan, co siedzi tu przy stole i nazywa się wywiadowca Gil, też się będzie pytał. Może żeś słyszał o nim, bo on niejednego oprycha już zmusił do mówienia. A jak już się za kogoś zabierze, to lepiej nie być w jego skórze. No co, zrozumiał żeś, Gargulec?

Zapytany pokiwał głową.

– I to mnie się podoba, że ty chcesz nam wszystko od razu powiedzieć. Panna Helenka poda tą brzytwę, żeby pierdolony się czasem nie rozmyślił.

Dziewczyna pocałowała Stacha w usta i poszła do szafki z białą miską do mycia. Otworzyła szufladę, poszperała trochę i w końcu wydobyła brzytwę o czarnej, połyskującej ręczce. Podała ją Gilowi, a ten wydobył ostrze i teatralnym gestem spojrział na nie, mrużąc przy tym oczy.

– Panienska chyba się za często nie goli, bo trochę stępsiała i wżerki rdzy się pojawiły. Ale onemu to chyba wszystko jedno, czy rdzawym czy ostrym się mu po ryju przejedzie.

– To może jak panowie policjanci chcecie gnoja obedrzeć ze skóry, to się choć wódeczki napijecie przed robotą? – zaproponowała.

Okoń i Gil nie zaprotestowali, nalała więc ze stojącej na stole butelki wódkę do dwóch kieliszków i do dwóch literatek. Większe naczynia podała policjantom, a z małymi w dłoniach wróciła do łóżka.

– No to co, zdrowie gospodyni i jej znajomka, co Gargulca położył na łopatki i oddał go w ręce naszej sprawiedliwości!

Wypili, otarli usta i wzięli się do roboty jak starzy specjaliści od przesłuchań, którzy już z niejednego przesłuchiwanego wydusili zeznanie. Wiedzieli, jak to robić, i gdyby tylko mieli czas, zrobiliby to po bożemu. Zawieźliby go do Komendy Policji, wsadzili do celi i po kilku godzinach siedzenia, kiedy delikwent by już nieco zmiękł, weszliby tam z bykowcami w dłoniach i zmusili go do odpowiedzi na wszystkie pytania. Tyle że teraz nie było na to czasu. Facet musiał powiedzieć wszystko, co wie, bo jak twierdził Fischer, dzięki zeznaniom tego człowieka być może uda się uniknąć międzynarodowego skandalu. A poza tym w celi mogli tylko mu wlać, a tu można było z nim zrobić wszystko. A na tym właśnie zależało Okoniowi, gdyż chciał mu odpłacić za cierpienia swojego najbliższego przyjaciela Olkiewicza.

Wyrwał mu więc szmatę do podłogi, wepchniętą jako knebel do gęby, a Gil przyłożył mu ostrze brzytwy do oka.

– No to teraz gadaj po kolei, jak to było z zabitym stróżem z Grochowych Łąk i później z tym konsulem von sron czy jakoś tak – poprosił grzecznie Okoń. – I nawet nie próbuj

zełgać, bo mi się jeszcze brzytwka może omsknąć i zostaniesz bez jednego ślepiego – zagroził, uśmiechając się złowrogo.

– Będę gadał, ino weźcie te brzytwę – burknął Gargulec. Właśnie zrozumiał, że los bywa przewrotny i często naigrywa się z ludzi. Bo przecież to on miał właśnie wydłubywać oko tej małej dziwce, a tymczasem to jemu chcieli je wydłubać. W tej sytuacji nie miał wyjścia. Musiał im wszystko powiedzieć, bo ci dwaj wyglądali na okrutników, co bez zmruczenia go oślepią i jeszcze będą mieli z tego uciechę. A z własnego doświadczenia wiedział, że z takimi potworami bez sumienia lepiej nie zaczynać.

– No to powiedz nam, ptaszku, kto ci kazał zabić tego stróża?

– Nikt!

– Sameś wpadł na tę myśl?

Gargulec pokręcił głową.

– Ja jego nie zabiłem.

– A niby kto?

– To zrobił ten Niemiec...

[47] Skrzyżowanie ulic Potulickiej i Sambora.

[48] Ulica Dworcowa.

[49] Ulica 3 Maja.

Rozdział X

Sobota

26 kwietnia

Godzina 12.30 w nocy

Podłoga lśniła, jakby ją kto wylizał. Ale też prawie tak było w istocie. Żołnierze każdego wieczora, po zakończeniu pracy sztabowej, brali w ręce ścierki i na kolanach szorowali lastrykową posadzkę centymetr po centymetrze. A gdy dyżurnemu coś się nie spodobało w ich robocie, kazał robić drugi, a nawet i trzeci raz, żeby następnego dnia rano któryś z oficerów nie doszukał się na podłodze jakiejś smugi albo nie daj Boże plamy.

– Świeci się jak psu jajca – zauważył Krystek.

– Jak będziesz w wojsku, to zobaczysz, jak się robi, żeby tak błyszcząca – pouczył go Zenuś.

Co prawda podczas przyśpieszonego szkolenia w zeszłym roku na szczęście nie musiał zajmować się normalną żołnierską robotą, czyli szorowaniem podłóg i kibli, ale nieraz widział, jak to robią inni. Jak tylko przyszedł, wzięli go do ślusarskiego warsztatu, bo na jego usługi było

zapotrzebowanie w całych koszarach. Tak się akurat złożyło, że dotąd nie było ani jednego wykwalifikowanego ślusarza w jego jednostce, a zamki się zacinały i klucze się gubiły. Szybko okazało się, że nie mogą się bez niego obejść. Chłopak naprawiał zamki i dorabiał klucze, dzięki czemu szlifował fachowe umiejętności zdobyte w złodziejskiej bandzie Tolka Grubińskiego. Dzięki temu teraz był doskonale przygotowany zawodowo do dokonywania włamań i forsowania wszystkich zapór, jakie tylko mogły stanąć na jego drodze.

– Zamknijcie się – syknął na chłopaków Tolek. – Co dalej? – zapytał podporucznika.

Ten skinął na Krystka.

– Ty pilnujesz tych drzwi. Jakby ktoś chciał tędy wejść, wal w łeb i leć do nas z ostrzeżeniem. Jasne?

Chłopak oczywiście zrozumiał. Już w domu Krügera omówili sobie wszystkie szczegóły, pochylając się nad planem sytuacyjnym budynku wyrysowanym przez handlarza mebli.

– Idziemy w wojskowych mundurach, przebrani za podoficerów. To są autentyczne mundury Reichswehry ukradzione z pralni w koszarach. Dlatego wszyscy będziemy mieć naszywki piechociarzy. Więc jakby co, to najpierw tam będą szukać sprawców włamania. Jakby co, to znaczy gdyby coś się nie powiodło.

– Ale tam, co może się nie udać? – Krystek był jak zawsze optymistą.

Pozostali mieli znacznie więcej doświadczenia i zdawali sobie sprawę, że zawsze może pójść coś nie tak. Nawet Zenuś, jego rówieśnik, był już bogatszy o doświadczenia z kilku akcji dywersyjnych, kiedy jak wszyscy inni narażał swoje życie. Tu było podobnie, więc liczył, że uda im się przeprowadzić

operację sprawnie, bo wszyscy jej uczestnicy byli fachowcami. Nawet ten Krüger. Facet był dobrze przygotowany do roboty.

– Po przejściu pierwszych drzwi Zenek zamyka je z powrotem, na wszelki wypadek, gdyby ktoś z zewnątrz próbował się dostać do środka – tłumaczył im plan szczegół po szczególe. – Przy tych drzwiach zostaje Krystek.

– Czemu ja? – jęknął rozżalony chłopak. – Ja bym chciał...

– Nie ma, co bym chciał – ruszył na kolegę Zenuś. – Z rozkazem się nie dyskutuje. Jak dowódca mówi, że masz coś zrobić, to robisz, a nie gadasz. Jasne?

– No niby...

– Nie mówi się „no niby”, ino rozkaz!

– Rozkaz! – powtórzył trochę zdziwiony, że najlepszy kumpel go tak obsztorcował. Ale nie było co się kłócić przy starszych. Później sobie to wyjaśnią, pomyślał i spojrzał na kartkę, po której przesuwiał się ołówek Krügera.

– Pozostali idą korytarzem, o tu, do tych drzwi. To są czwarte drzwi po lewej. Pięć metrów dalej jest hol i tam jest biurko recepcyjne, gdzie siedzi podoficer dyżurny. On siedzi przodem do drzwi, a więc tyłem do korytarza. Do niego podchodzi Zenek i załatwia go, a w tym czasie Tolek otwiera drzwi...

Zenusiowi trzęsły się ręce, ale się nie bał. Tak mu się jakoś dziwnie zrobiło. Może przez to, że sprawa była nietypowa. Gdyby miał tego dyżurnego zdzielić w łeb jaką pałką, to nie byłoby problemu. Wskoczyłby zza tego winkła, strzelił go od tyłu i po sprawie. Ale oni mieli działać cicho. I dlatego Krüger kazał mu włożyć do plecaka niewielką buteleczkę z chloroformem i flanelową szmatkę. Pokazał też, jak to się robi, to znaczy, jak trzeba tę szmatkę namoczyć i zaraz potem przyłożyć delikwentowi do nosa.

Odwrócił się za siebie. Tolek, podporucznik i Krüger stali przy drzwiach, które za chwilę trzeba będzie otworzyć. A tu, za rogiem, siedział gość pochylony nad jakąś gazetą i zatopiony w lekturze. Przed nim, na stole, stała flaszka piwa, a obok popielniczka pełna niedopałków. Podoficer dyżurny nie miał nic ciekawego do roboty, więc czas na warcie umiłał sobie paleniem i zupełnie nieregulaminowym piciem alkoholu. Jakby go złapali na picciu podczas służby, toby odsiedział przynajmniej miesiąc w areszcie. Ale widać był pewny swego, bo nie popijał ukradkiem, chowając butelkę gdzieś pod stołem. Pewnie nakazał wartownikom wykonanie telefonu ostrzegawczego, gdyby ktoś się zbliżał do budynku. Więc teraz siedział spokojnie, ciężko sapiąc, bo nie należał do ludzi gibkich i wysportowanych, ale raczej do tych, którzy ćwiczenia lubią pod warunkiem, że wykonują je podwładni.

Zenuś przyjrzał się uważnie grubasowi i uśmiechnął się do swoich myśli. Facet należał do tych, co to aby odwrócić się za siebie, muszą ruszyć całym ciałem. Nie było najmniejszych szans, by go zauważył, nawet jeśliby podchodził w podkutych butach. Był dla niego za szybki.

Wydobył więc z chlebaka buteleczkę, ostrożnie wyciągnął korek, nalał kilka kropli na szmatkę, schował zakorkowaną flaszkę do kieszeni i ruszył ostrożnie przed siebie. Gdy był już jakiś metr od dyżurnego, na jego stole zadzwonił telefon. Chłopak zastygł jak żona Lota. Wartownik podniósł słuchawkę.

– Oberfeldwebel Glubke melduje się na posterunku – wyrecytował. Przez chwilę słuchał tego, co ma do powiedzenia ktoś po drugiej stronie linii.

– Melduję, panie oberleutnant, że nic się nie dzieje. Absolutna cisza i spokój. Nawet myszy śpią.

– Melduję, panie oberleutnant, że nigdy w życiu bym się nie ośmielił cokolwiek wypić na służbie. Ja jestem zawodowy podoficer i znam regulamin bardzo dobrze.

– Tak jest, panie oberleutnant, melduję, że jakby się coś działo, to natychmiast będę meldował. Tak jest!

Glubke odłożył słuchawkę na widełki i pochylił się nad stołem, by sięgnąć po butelkę piwa. Ten moment wykorzystał Zenuś. Zrobił jeszcze dwa kroki i zniemacka przyłożył podoficerowi szmatkę do nosa. Ten chciał odwrócić głowę, by sprawdzić, co się dzieje, ale ramię chłopaka pochwyciło go mocno ze czoła. Próbował krzyknąć, jednak nie zdołał, bo szmatka zasłaniająca nos zatykała mu też usta. Szarpnął się jeszcze mocno i naraz jego ciało zwiotczało, tak jakby w jednej sekundzie stracił wszelkie siły.

Zenuś ujął go pod ramiona i pociągnął ku górze, aby łatwiej oprzeć go na blacie. Usadowił go tak, jakby podoficer w trakcie dyżuru zasnął na stole.

Odszedł nieco na bok i z zadowoleniem przyjrzał się swojemu dziełu. Oberfeldwebel Glubke spał w najlepsze, lekko pochrapując. Musiał przyznać, że wyglądało to bardzo naturalnie. Ale żeby jeszcze dodać realizmu temu obrazkowi, wziął do ręki flaszkę piwa, otworzył kapsel i polał nią twarz żołnierza. Glubke mruknął niezadowolony, ale spał nadal. Piwny aromat rozlał się wokół i zawisł nad głową żołnierza. Otwarta butelka na stole dopełniła obrazu pijackiej degrengolady.

Zostawił go i szybko pobiegł w tam, gdzie przed chwilą stali jego koledzy. Ale nikogo już nie było. Widać Tolek błyskawicznie uporał się z zamkiem do kancelarii i weszli do środka, wiedząc, że sobie sam poradzi z jednym strażnikiem. Uśmiechnął się, bo ich nie zawiódł. Otworzył powoli jedno skrzydło drzwi i bezszelestnie wsunął się do środka. To był

sekretariat, w którym zapewne urzędował jakiś kancelaryjny podoficer. Od nienagannie utrzymanego i dokładnie wysprzątanego biurka kancelisty wchodzących oddzielała barierka. Nie było po co jej przekraczać. Pieczętki przecież go nie interesowały. Ciekawe rzeczy musiały dziać się obok. Stąd drzwi prowadziły na prawo i na lewo. Te z lewej były uchylone. Widać było lekką czerwoną poświatę latarki sygnałowej.

Wszedł do środka. Lampkę trzymał w ręce podporucznik. Na podłodze klęczał Tolek. Włamywacz z zaciekawieniem przyglądał się solidnej kasie ogniotrwałej z napisem „H.F. Peltz Düsseldorf”.

– I jak? – niecierpliwił się wojskowy.

– Spokojnie jak na wojnie – odpowiedział kasiarz.

Rozłożywszy na podłodze zestaw wytrychów w skórzanym etui, przyglądał się im uważnie.

– Widzisz, Zenuś, tego grata?

– Widzę.

– To jest właśnie pelcówka z Düsseldorfa. Solidna robota, ale to nie kasa dla banków czy kas oszczędnościowych. Tam mają szyfrowane zamki i do nich bez palnika byśmy nie podeszli. To jest kasa dla amatorów, co się dopiero uczą zawodu. Na przykład dla ciebie. Powiem ci tylko, że zamki są zapadkowe i do tego dwa zespolone ze sobą. Musisz znaleźć pierwszy, bo bez niego się nie da otworzyć drugiego. No i nie wiadomo, który jest który. Czyli jeśli zaczniesz od drugiego, to choćbyś się posrał, nie otworzysz kasy. Znaczący musisz wybrać, który jest ...

– Panowie, jak pragnę zdrowia, może już wystarczy tej szkoły kasiarstwa. Czasu nie mamy za dużo – próbował pośpieszyć ich podporucznik Pikuła.

Ale Tolek postanowił wykorzystać sytuację, jaka się nadarzyła, i nauczyć czegoś swojego wyróżniającego się

ucznia.

– Musisz wybrać, który jest pierwszy. To co, górny czy dolny? Zenuś przez chwilę przyglądał się obu zamkom.

– Ja bym zaczął od dolnego – stwierdził w końcu.

– A to czemu?

– Bo ten dolny ma mniej rys wokoło.

– To co to znaczy?

– Że przy dolnym już się mniej denerwują.

– I o to się rozchodzi. Do górnego wtykają klucze, bo się wydaje bardziej poręczny i się nie otwiera, to wkładają jeszcze raz i jeszcze raz i się denerwują, bo się wydaje, że żaden z dwóch kluczy nie pasuje do niego. A jak już są zdenerwowani, to myślą, że to jednak nie ten i trzeba zacząć od dolnego. No to raz, dwa, trzy, zaczynamy od dołu. Wybierz wytrych.

Chłopak pochylił się nad zestawem drutów. Przejechał po nich delikatnie dłonią, a potem zdecydowanie wybrał najpierw drut gruby z ostrym zakończeniem, zgiętym w dół, i zaraz potem sięgnął po znacznie cieńszy. Przyłożył jeden do drugiego i uśmiechając się szeroko, podał je Tolkowi. Ten spojrzał jak profesor na pracę ucznia, pokiwał głową, a potem odebrał oba wytrychy od młodzieńca. Wsunął w dziurkę od klucza najpierw ten grubszy wytrych, pogrzebał nim chwilę, próbując obrócić w prawo i lewo, a gdy coś tam zaskoczyło, zaraz włożył ten drugi. Potem złożywszy je ze sobą, przekręcił w lewo, i jeszcze raz w tę samą stronę. Zamek kliknął. Grubiński już wiedział, że wybór był właściwy, więc te same czynności powtórzył na górze. Znów kliknięcie. Spojrzał na Pikułę, który jak zaczarowany obserwował tę niecodzienną operację. Mrugnął do niego, a potem skinął głową na Zenusia.

– No dalej, młody, trochę żeś pomógł, to odkręcaj!

Nie trzeba go było specjalnie namawiać. Chwytał mosiężną klamkę, osadzoną na środku pomiędzy dwoma dziurkami na klucze, i zaczął powoli kręcić w prawo, odwrotnie niżby nakazywała logika. Zamek jęknął i wszyscy zgromadzeni w pokoju usłyszeli głośne kliknięcie. Chłopak, jak magik w cyrku przed otwarciem pudła z przepołowioną piłą dziewczyną, spojrzał na swoich współników, po czym z szerokim uśmiechem pociągnął drzwi kasy ku sobie. Ta nadspodziewanie lekko się otworzyła, ukazując swoje tajemnicze wnętrze.

Godzina 12.35 w nocy

– Wybaczcie, ale zdaje się, że już czas na mnie. – Ursula Fischer uśmiechnęła się do męża, a potem ten uśmiech przeniosła na poznanego dziś stryjecznego szwagra.

Kuzyn Antoniego pojawił się zupełnie niespodziewanie kilka godzin temu, wywołując pewną konsternację. Zresztą także on poczuł niezręczność całej sytuacji, ale oboje zostali w tę niezręczność wepchnięci przez gospodarza nie z własnej winy.

– Wybacz, droga kuzynko, ale miałem zamiar stanąć w hotelu – powiedział, pochylając się nad jej dłonią. Ona zaś ucałowała go w oba policzki, by natychmiast poczuł, że jest tu mile widzianym gościem.

– Najbliższy kuzyn mojego męża, z którym nie widział się od jedenastu lat, nie może spać jak jakiś handlarz kieliszkami w pokoju hotelowym, gdy my tu mamy do dyspozycji gościnną sypialnię – ucięła tę niepotrzebną dyskusję.

Ich mieszkanie składało się z ośmiu pokoi i można powiedzieć, że było dość poważnym składnikiem ich

wspólnego małżeńskiego majątku.

Gdy w przeddzień ślubu Ursula przyjechała do Poznania, sprowadziła się do kawalerskiego mieszkania przy ulicy Matejki, w którym dotąd Fischer żył samotnie. Wcześniej mieszkał u swojej siostry, ale gdy jej rodzina się powiększyła, postanowił pójść na swoje. Niewielkie, bo czteropokojowe lokum nadawało się idealnie dla kawalera, ale gdy pojawiła się żona, trzeba było pomyśleć o czymś większym, tym bardziej że wkrótce na świat przyszedł syn Eugeniusz. Antoni zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musi zapewnić rodzinie kawałek własnego dachu nad głową. Nie wiedział tylko, jak to zrobić, bo policyjne zarobki nie były oszałamiające. Wystarczały na życie na bardzo średnim poziomie. Posag jego żony był tak niewielki, że w zasadzie nawet go nie zauważył, ale przecież nie brał jej ze względu na bogactwo, lecz z czystej miłości. Ursula była kobietą nowoczesną i dobrze wykształconą. Skończyła szkołę farmaceutyczną i przed ślubem prowadziła aptekę. Po przyjeździe do Poznania dalej chciała pracować, ale plany te pokrzyżowała ciąża. Więc do zawodu już nie wróciła i zajęła się domem. Jednak jakiś czas potem wydarzyło się coś, co całkowicie odmieniło ich materialny status. Okazało się, że zmarł stryj Ursuli, właściciel niewielkiego majątku rolnego pod Schneidemühl. Jako że nie miał bliższej rodziny, całość spadku przypadła jego bratanicy. Szczęśliwie prócz majątku ziemskiego stryj zgromadził też sporo pieniędzy. Dzięki nim marzenie o porządnym mieszkaniu dla rodziny mogło się spełnić. Udało im się korzystnie kupić ośmiopokojowy apartament na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na park Wilsona, w kamienicy pod numerem osiemnastym.

– Ładny widok – zauważył Alfred, stojąc przy oknie i spoglądając na parkową połąć, rozciągającą się za płotem po

drugiej stronie ulicy. – Niby to zaledwie jedenaście lat, a wszystko się tu zmieniło. Przede wszystkim te drzewa bardzo urosły.

– Teraz wyglądają dość marnie, bo wiosna w tym roku trochę się spóźnia, ale jak już przyjdzie i wybuchnie zielenią, wtedy widok będzie naprawdę piękny.

– Pięknie, naprawdę pięknie. Jak będę przyjeżdżał do Poznania z taką częstotliwością jak obecnie, to następnym razem pojawię się tu mniej więcej za dziesięć lat, w czterdziestym roku, a wtedy te drzewa zasłonią już nam perspektywę na parkowe alejki.

– Na pewno będziesz mógł przyjechać wcześniej, drogi Alfredzie. A co cię teraz do nas sprowadziło?

– Hm, jak by to powiedzieć? Sprawy służbowe – odpowiedział grzecznie i z uśmiechem, ale na tyle stanowczo, że Ursula poczuła, iż nie chce zagłębiać się w te kwestie.

Cóż, była osobą dobrze wychowaną i dlatego święcie wierzyła, że każdy ma prawo do własnych tajemnic, a tylko nieliczni mogą stać się ich depozytariuszami. Kto wie, może właśnie o tym kuzyn chciał porozmawiać z Antonim. Dlatego gdy już zjedli kolację, dość późną, bo mąż zadzwonił, że będzie w domu dopiero po jedenastej wieczorem, pomyślała, że powinna im dać czas na odnalezienie samych siebie na dawnej ścieżce braterskich uczuć, z której zeszli w dziewiętnastym roku.

– My chyba jeszcze trochę posiedzimy, moja kochana. Wybaczysz nam?

– Jasne, musicie się nagadać. Ja już pójdę się położyć.

Wstała od stołu, a obaj mężczyźni podnieśli się natychmiast.

– Dobrej nocy, panowie. – Posłała im uśmiech i wyszła z salonu.

– Może pójdziemy do biblioteki? – zaproponował Antoni. – Napijemy się koniaku i zapalimy. Mam doskonałe cygara prosto z Portugalii.

– Z przyjemnością, kuzynie.

Antoni wskazał mu drzwi wychodzące z salonu. Biblioteka była miejscem, gdzie przyjmował specjalnych gości. To tu konferował w ważnych sprawach z kapitanem Mikołajewskim, a czasami zapraszał swoich dwóch podwładnych, Olkiewicza i Okonia, na dawne żołnierskie wspominki. Cygara i dobry alkohol umilały takie nocne rozmowy.

– Czego się napijesz? Wódka, koniak, a może wino?

– Zazwyczaj piję koniak, ale jeśli masz poznańską wódkę...

– Od Kantorowicza. Pierwszorzędna żytniówka.

– Ciekawe, czy się zmieniła. Pamiętam ją z dawnych czasów.

– Nie zmieniła się nic a nic. Taka jak dawniej. Ale niestety nie mam zimnej. Nie dorobiłem się jeszcze fryzydera.

– E, chyba to zbędny luksus. Nie musimy przecież tych wszystkich wynalazków zaraz wprowadzać do swoich mieszkań. Bo i co byś trzymał w takiej domowej lodowni? Wódkę? Ale oprócz niej co jeszcze? Na lato zimne napoje? To przecież jeśli coś zimnego chcesz wypić latem dla ochłody, wystarczy, że pójdziesz do najbliższej kawiarni. Oni tam mają zapasy lodu, więc i napoje chłodne. Nie, mówię ci, fryzyder się w naszych domach nie przyjmie. To zbytek.

Antoni nalał wódkę do kieliszków. Alfred w tym czasie obciął czubek cygara wyjętego ze szkatułki stojącej na biurku, zapalił i zadowolony zagłębił się w skórzanym fotelu. Gospodarz usiadł w takim samym naprzeciw.

– Jak ci się podoba obecny Poznań? – zapytał gościa.

– Niewiele widziałem.

– No tak, od dworca tu niezbyt daleko.

Wypił niewielki łyk wódki. Była mocna i szczypała w język. Dlatego picie jej nie dawało takiej przyjemności jak koniak czy whisky.

– Przyjechałem tu służbowo. – Alfred przeszedł od razu do rzeczy. – Wybacz tę obcesowość, ale myślę, że nie ma co tracić czasu, bo tego jest coraz mniej. A przysłali mnie tu w dość delikatnej misji, bo z powodu zaginięcia naszego wicekonsula. Wiesz, jak to jest. U nas na Alexanderplatz w Berlinie pracuje może i nawet dwustu śledczych, ale tylko jeden z nich urodził się i wychował w Posen. Nie miałem nawet czasu się zastanowić. Musiałem wsiadać w najbliższy pociąg i jechać...

– I bardzo dobrze się stało. Doskonale, że to ty. Będzie łatwiej.

– W jakim sensie?

– W takim, że to ja prowadzę śledztwo w tej sprawie i być może jesteśmy bliżej niż dalej.

– To fenomenalnie! Czyli że już wiesz, co się stało?

– Jeszcze nie mam pewności dlaczego, nie mam też pewności, kto za tym stoi, ale zdaje się, że wiem już, kto zabił.

– Zabił? To znaczy, że von Pieskow nie żyje?

– Niestety, w tym momencie to jest wiadomość pewna na sto procent. Na dworcu, gdy się spotkaliśmy, wyszedłem po tę piękną kobietę. To była właśnie żona wicekonsula. Zabrałem ją do szpitala wojskowego, żeby zidentyfikowała zwłoki, podczas gdy ty pojechałeś do mnie do domu. Potwierdziła, że to jej mąż. Von Pieskow zginął od ciosu zadanego nożem, a może bagnetem w serce.

– Cholera, to nie jest dobra wiadomość. Przysłali mnie tu, żebym sprawdził wszystko osobiście. Moi szefowie liczyli właśnie na to, że będę mógł obiektywnie spojrzeć na sprawy i być może odnajdę von Pieskowa. Chcieli, bym sprawdził, czy aby to nie jest... wybacz, polska prowokacja.

– Rozumiem to doskonale. Już takie informacje do mnie dotarły. Chodzi podobno o to, żeby wywołać jak największe zamieszanie między naszymi krajami. Takie morderstwo, o które można oskarżyć stronę polską, byłoby na rękę pewnym ludziom dążącym do zaognienia naszych stosunków.

– Jest jeszcze drugie dno tej całej sprawy. To sam von Pieskow. Ten człowiek jest podejrzewany o bardzo poważne przestępstwo. Są pewne przypuszczenia, że w trakcie bitwy pod Tannenbergiem Pieskow przejął wóz z pieniędzmi należącymi do sztabu armii generała Samsonowa. Złote ruble rozpląnęły się w tajemniczych okolicznościach. Być może więcej światła na ten temat mógłby rzucić człowiek, który był bezpośrednim dowódcą i przyjacielem von Pieskowa, ale jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– A co stoi na przeszkodzie?

– Teraz już raczej nic. Nie mogłem z nim pomówić w Berlinie, bo ten człowiek jest w Poznaniu.

– Polak? – zdziwił się Antoni.

Kuzyn pokręcił głową.

– Nie, to Niemiec. Pracownik ambasady. Nazywa się Marius Gebhardt. Jest radcą ambasady...

– Tak, znam go – potwierdził komisarz.

– Widzisz więc, że von Pieskow, jeśli rzeczywiście jest złodziejem, idealnie nadaje się na ofiarę – wyjaśnił Alfred. – Jego śmierć byłaby na rękę pewnym ludziom. Są w Niemczech siły, o których można by powiedzieć najprościej, że nie dość, że nie zaakceptowały powojennego *status quo* na wschodzie, to jeszcze dążą za wszelką cenę do zmiany tej sytuacji.

– Czy masz na myśli dowództwo Reichswehry?

– Nieważne kogo. Dość powiedzieć, że większość generałów to ludzie dawnej szkoły, konserwatyści, tacy sami jak prezydent Hindenburg. Oni nie są w żadnym calu

republikanami, ale konserwatorami cesarstwa. Najlepiej cesarstwa w granicach przedwojennych. To ci, co uważają, że Rzesza nie przegrała wojny, ale została zdradzona przez socjaldemokratów. I właśnie wśród nich jest grupa rewizjonistów, którzy chętnie poszliby w kierunku konfrontacji.

– A ty kogo reprezentujesz, kuzynie?

– Ludzi rozsądnych, uważających, że wojna nie jest nam do niczego potrzebna.

– No proszę, stałeś się liberałem czy socjalistą?

– Stałem się człowiekiem myślącym, za wszelką cenę dążącym do prawdy, czyli policjantem. Więc moi szefowie w Berlinie chcą prawdy, niezależnie od tego, jaka by ona nie była.

– Dostaną więc prawdę. Dlatego daj mi jeszcze dzień czy dwa, żebym mógł wszystko poukładać i przedstawić ci wyniki śledztwa.

– Dasz mi dostęp do akt?

– Nie tylko, drogi bracie. Dam ci coś więcej.

– Co takiego?

Komisarz dopił resztkę wódki ze swojego kieliszka, zaciągnął się cygarowym, aromatycznym dymem, a w końcu, uśmiechnąwszy się lekko, spojrzał w oczy swojego kuzyna.

– Mój drogi, zaproszę cię na seans spirytystyczny.

Alfred Fischer, komisarz berlińskiej policji, uniósłszy w zdumieniu brwi, spojrzał na siedzącego przed nim stryjecznego brata, jakby ten naraz stracił kontakt z rzeczywistością materialną i przeniósł się do ezoterycznego świata transcendentnych fluidów i spirytualnych prądów. Ale przecież Anton nie wyglądał na wariata. Jego mina i lekki uśmieszek błakający się na ustach świadczyły o tym, że jest nadzwyczaj pewny siebie.

Godzina 12.50 w nocy

Podporucznik zmienił przesłone w sygnałowej latarce na żółtą i zajrzał do sejfu. Ten składał się z dwóch komór, jedna nad drugą, przedzielonych metalową półką. Było to proste, aczkolwiek skuteczne zabezpieczenie na wypadek rozcięcia ścianki palnikiem. Wypalenie dziury powodowało, że z boku przez taki otwór można było się dostać tylko na jeden poziom, a drugi był bezpieczny. Mało który złodziej bowiem miałby czas i ochotę na wycinanie kolejnej dziury. Ale na takich specjalistów ślusarzy jak Tolek Grubiński i jego utalentowany uczeń Zenuś Brodziak, nie było silnych. Najlepsze zamki nie stanowiły dla nich żadnej tajemnicy. Trzeba było tylko znać sposób ich funkcjonowania i mieć odpowiednią wyobraźnię, żeby móc z jej pomocą wejść do środka mechanizmu. Oni to potrafili i dlatego drzwi kasy ogniotrwałej stanęły przed nimi otworem.

– Panie Tolek, bierzemy wszystkie papiery z górnej półki w takich kupach, jak są tam ułożone. Po kolei, najpierw tę od prawej. A drugiej nie ruszamy.

Grubiński dobrze wiedział, o co chodzi. Papiery po akcji musiały być zostawione w nienagannym porządku. Podał więc pierwszą kupkę Krügerowi, a ten przeniósł ją na blat biurka. Podporucznik usiadł na krześle, wcześniej starannie zasunawszy zasłony okienne, by najdrobniejsza smuga światła nie wydostała się na zewnątrz.

– Ty idź teraz do twojego śpiącego susła i stój tam na wszelki wypadek – polecił Zenusiowi.

– Co mam robić? – zapytał chłopak.

– Nic. Siedzieć i pilnować. Gdyby twój wartownik zaczął się budzić, przyłóż mu jeszcze kilka kropelek eteru do nosa. A jakby coś się działo, znaczy ktoś by wszedł do budynku, daj nam znać.

– Tak jest! – potwierdził polecenie i natychmiast poszedł na swój wysunięty posterunek.

– No to mamy zabezpieczone oba podejścia, więc możemy brać się do roboty. A pan co tam majstrujesz, panie Tolku? – zapytał Pikuła, widząc, że pochylony Grubiński nad czymś zawzięcie pracuje.

– Nic, nic. Rób pan swoje – odparł uspokajająco, zasłaniając plecami stalową kasetkę.

Nie mógł przecież nie zajrzeć do niej, skoro była w otwartej kasie. Szybko ją otworzył, bo nie była jakoś wymyślnie zabezpieczona. Zwykły zamek ustąpił i oczom Tolka ukazała się zawartość w postaci niemieckich banknotów. Na ich widok mało nie zagwizdał, lecz na szczęście szybko się opanował. Ostrożnie sięgnął dłonią do środka, a potem zaczął wyciągać paczki banknotów, by upchać je pod połą mundurowej kurtki. Nie mógł przecież zostawić tego dobra niemieckiemu wojsku. On lepiej wiedział, jak z takiej forsy skorzystać.

Tymczasem Pikuła wziął się za przeglądanie teczek. Pierwsza kupka została przejrzana w pięć minut, ale nie zainteresowała wywiadowcy.

– Może bym pomógł? – zaoferował Krüger, bo najwyraźniej się nudził.

– Jak pan chce. Panie Tolku, niech pan poda dokumenty z drugiej kupki, a te odłóż pan z powrotem. – Grubiński zrobił, co mu kazano, i zastygł w bezruchu, czekając na dalsze polecenia.

– Czego szukamy? – zapytał Niemiec.

– Teczka powinna nosić kryptonim Adler. Ale dokumenty mogą być wewnątrz zupełnie innej teczki. Dlatego sprawdzamy wszystko.

– To zajmie nam jeszcze z godzinę – stwierdził Grubiński.

– Trudno. Musimy wszystko przejrzeć. Bierz się pan też do szukania – rzucił Pikuła.

Tolek Grubiński wziął więc do ręki kolejny plik teczek. Nic mu nie mówiły te adnotacje na zewnętrznych stronach, bo każda z nich była wyłącznie suchą nazwą. Były motyle, poranki, drzewa, ale ani jednego orła. Dopiero w czwartej teczce znalazł coś, co go zainteresowało. Na początek sam tytuł wydał mu się obiecujący. Ikarus Posen sprawił, że zajrzał do środka. Sporo było tam jakichś rachunków i kwitów, kilka odręcznie pisanych raportów i coś w rodzaju kartoteki ze zdjęciami. To były pojedyncze kartki, na których obok zdjęcia przedstawiającego danego człowieka wypisano jego imię, nazwisko i informacje na temat służby oraz jakichś bliżej nieokreślonych zadań. To znaczy może i były gdzieś tam dalej określone, ale Tolkowi nie chciało się czytać. Przyglądał się tylko twarzom na fotografiach, ale żadna z nich kompletnie nic mu nie powiedziała... Zaraz, ale ta... Skądś znał tę gębę młodego człowieka. Przeczytał dane. Nazywał się Joseph Schulte. To nazwisko też mu coś mówiło. Zaczął się zastanawiać, ale nie bardzo mógł sobie przypomnieć. Był to facet przynajmniej pięć lat młodszy od niego. Na pewno nie rówieśnik. Nie spotykał go w knajpie. Na pewno nie chodził do Okonia. Ale gdzieś go już widział.

Myśli same zaczęły go naprowadzać na odpowiedni trop. Widział... Czy to znaczy, że to był ktoś, kogo mijał na ulicy? A może znali się, bo byli sąsiadami? Cholera jasna, zaklął w myślach, zły na siebie, że nie potrafi od razu skojarzyć faktów. Może to dlatego, że pije za dużo gorzoly i łeb ma coraz

bardziej dziurawy. Ale z drugiej strony, jeśli nie alkohol, to niby co miałby pić?

– Jest – odezwał się Pikuła. – Mamy to. Chodź pan z latarką – skinął na Krügera. – Będziesz pan świecił jasnym światłem na każdą kartkę po kolei w miarę, jak będę przewracał i fotografował.

– Nie ma problemu. Da się zrobić.

Podporucznik rozłożył pierwszą kartkę, jego niemiecki pomocnik oświetlił ją snopem światła. Aparat fotograficzny Leica strzelił migawką i zdjęcie było zrobione. Musieli zrobić ich jeszcze około setki. Na szczęście podporucznik miał ze sobą kilka rolek błon małoobrazkowych. Robota ruszyła więc pełną parą.

Tymczasem Zenuś nudził się jak mops. Dlatego na wszelki wypadek przetrząsnął wszystkie kieszenie śpiącego wartownika. Jednak nie znalazł w nich niczego interesującego. Facet nie śmierdział groszem. Miał przy sobie tylko kilka drobnych monet, za które można było kupić co najwyżej parę piw. Chłopak nie połakomił się na taki marny zarobek. Zresztą już nie był złodziejem i nie okradał ludzi. Nawet w czasach, gdy jeszcze należał do szajki Grubińskiego, też nie kradł pieniędzy gołodupcom. To by było niehonorowo. Kradli tylko w bogatych mieszkaniach, zazwyczaj ubezpieczonych od kradzieży. Biednych wcale nie ruszali.

Podoficer Glubke spał jak zabity, koledzy Zenusia zajęci byli kasą pancerną, a on siedział pod ścianą i nic nie robił. I pewnie by tak mógł jeszcze długo przesiedzieć jak czekający na pracę arbeitloser^[50], gdyby nie telefon.

Dzwonek wypełnił pusty hol przeraźliwym dźwiękiem, który odbił się od ścian i sklepienia, by ponieść się po korytarzach. Zenuś natychmiast poderwał się z podłogi i mało brakowało, a przewróciłby się na śliskiej podłodze w swoich

pocerowanych, wojskowych skarpetach. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, bo przecież nie mógł tak sobie odebrać telefonu, skoro nie był śpiącym podoficerem Glubke. Pomyślał więc, że najlepiej by było pobiec i zameldować o tym kolegom. Ale wtedy wyobraził sobie zdziwioną minę Tolka, który swoim zwyczajem spojrzałby na niego z iskrą drwiny w oczach i wyśmiał, że zawraca im głowę takimi pierdołami.

Telefon natrętnie dzwonił, a on zaczął się pocić ze zdenerwowania, choć nigdy wcześniej coś takiego mu się nie przytrafiło. W końcu podjął decyzję i od razu wprowadził ją w czyn.

– Halo! – powiedział twardym głosem, podniósłszy słuchawkę.

– Glubke, ty gruba dupo, idzie do ciebie oberleutnant Erpel. Słyszysz? To ja, Willi Breitenbach. Słyszysz, chowaj piwo, bo cię zaraz ten bydlak nakryje!

– Kiedy będzie? – jęknął Zenuś.

– Już jest pod sztabem. Widzę go ode mnie z okna. Ratuj się, człowieku!

– A po co tu idzie? – zapytał nieco bełkotliwie, udając podpitego Glubkego.

– Ty nachlany idioto! Jak po co? Żeby cię sprawdzić, czy aby nie jesteś upity. Lepiej zjedz jakieś miętowe landrynki, bo inaczej marny twój los.

– Breitenbach, czekaj! Widziałeś jego gębę? W jakim jest humorze?

– Ha, ha! Jak to w jakim? Jak zwykle w morderczym. Pewnie żona znów mu nie dała, to się musi wyżyć na ludziach. A ciebie lubi szczególnie, ha, ha, ha!

Połączenie zostało przerwane.

Brodziak odłożył słuchawkę i spojrzał na śpiącego dyżurnego. Najlepiej by było go tu zostawić i uciekać, gdzie

pieprz rośnie. Ale co dalej? Ten porucznik tu przyjdzie i narobi rabanu, to co wtedy? Na pewno będzie kogoś wołać, żeby tego wieprza stąd wynieśli. Zarządzi jakieś zastępstwo, więc może lepiej tego porucznika zneutralizować. Może by go tak tym eterem...

Uśmiechnął się do swoich myśli. To był dobry pomysł. Jakby porucznika obezwładnić, to jego koledzy będą mogli tam spokojnie dokończyć swoją robotę.

Podjął decyzję. Chwycił śpiącego dyżurnego pod pachy i zaczął ciągnąć w stronę stojącej pod ścianą skórzanej kanapy, na której siadywali zaproszeni do sztabu goście, by odczekać, zanim wysłany zostanie po nich dyżurny, by wprowadzić do odpowiednich biur. Kanapa była obszerna i wygodna, więc zapewne nie raz w nocy wartownicy korzystali z niej dla złapania odrobiny snu. Dociągnął tam Niemca, rzucił na kanapę i ułożył w pozycji naturalnej dla śpiącego, czyli na plecach. Ręce złożył mu na brzuchu, a nogi oparł o poręcz. Naraz jego spojrzenie zatrzymało się na podoficerskich butach, a potem prześlizgnęło się na jego stopy w skarpetach. Przecież nie mógł tak wystąpić przed oficerem. Szybko zdjął buty Glubkemu i założył na swoje nogi. Były trochę za małe, więc nie zawiązał sznurówek. Zdażył jeszcze zanieść butelkę z piwem i popielniczkę, by postawić przy kanapie, po czym biegiem wrócił na miejsce dyżurnego za stolikiem. Szybko przetaił blat rękawem, otworzył szufladę i schował do niej gazetę, którą czytał Glubke przed zaśnięciem. W szufladzie jego spojrzenie zatrzymało się na grubej księdze w czarnej oprawie. Biblia. To była odpowiednia lektura dla dyżurnego. Otworzył ją, gdzie popadnie, i zagłębił się w lekturze przypowieści o miłosiernym Samarytaninie.

Nie zdążył przeczytać nawet jednego zdania, gdy naraz drzwi otworzyły się i ktoś wkroczył na schody. Siedział na prawo od

wejścia, więc nie mógł nikogo zobaczyć, ale oczyma wyobraźni widział wielkiego jak górę oficera z monoklem w oku i, nie wiedzieć czemu, fajką w zębach. Do holu wpłynęła fala chłodnego, nocnego powietrza. Przyszło mu na myśl, że to wiatr od morza. Ale zaraz przypomniał sobie, że stąd nad morze jeszcze kawał drogi. Nigdy w życiu nie był nad morzem i nie bardzo mógł sobie wyobrazić tę wielką wodę, tak odległą, że stykała się gdzieś w oddali z niebem. Musi to być piękny widok, ale być może morza nigdy nie ujrzy. Bo kto wie, co się za chwilę stanie. Przecież ten oficer może wyciągnąć z kabury pistolet i strzelić mu w łeb, zanim zdąży mu przyłożyć do nosa szmatkę z eterem. Boże, gdzie jest ta szmatka? W chlebaku. A chlebak? Nie wziął chlebaka. Tkwił cały czas pod ścianą, jakieś dwa metry za nim. Za nic nie zdąży do niego podejść i go stamtąd zabrać. Nie ma więc czym zaatakować tego Niemca. No to już po nim. Trzeba tylko narobić jak najwięcej hałasu, żeby ostrzec chłopaków. No cóż, trudno, zginie na posterunku. A tak byłoby pięknie zobaczyć morze i pochodzić w zimnej wodzie bosymi stopami...

Kroki zbliżały się powoli i nieubłaganie. Spojrzał w kierunku przeszklonych szerokich drzwi prowadzących na niewielki kamienny podest, z którego wiodły stopnie w dół do wyjścia. Ile mogło ich być? zastanawiał się Zenuś Brodziak, licząc stuknięcia dobrze podzelowanych oficerskich butów. Z każdą chwilą były coraz bliżej i naraz zrobiło się kompletnie cicho. Wahadłowe drzwi poruszyły się lekko, jakby tego, który stał za nimi, coś zaniepokoiło.

Godzina 1.05 w nocy

– Jaki Niemiec? – zapytał Gil, bo nie bardzo orientował się w znajomościach Gargulca.

– On pracuje w niemieckim konsulacie.

– I co on ci powiedział?

– No że trzeba go pomścić.

– Niby kogo?

– No mojego... kolegę.

– Mówże jaśniej, bo nic nie pojmuję i wydaje mi się, że zaczynasz coś tu kręcić. – Gil rzeczywiście wydawał się skołowany.

Owszem, ich więzień gadał i to nawet gadał po polsku, więc powinien zrozumieć wszystko po kolei, ale nie rozumiał, o czym w zasadzie on mówi.

– Nic nie kręcę. On tak powiedział, że muszę go pomścić, bo nie może tak być, żeby dowódca zabijał swojego żołnierza.

– Zaraz, zaraz, co ty w ogóle gadasz? – Zdenerwował się Okoń, którego już zaczęły męczyć mętne wyjaśnienia Gargulca.

– Tyle że on miał coś do niego.

– Kto do kogo?

– No nasz dowódca do Hildebrandta Ottona, mojego koleżki z wojska. On się bał, że Otto powie całą prawdę. Tyle że on wcale nie chciał nikogo wydawać... On se ino chciał spokojnie pić. A o tym, że ten skurwysyn jest w mieście, to nawet nie wiedział i nawet jakby wiedział, to przecie by do niego nie polazł, żeby z nim gadać i co na nim wymusić. Nie, Otto taki nie był. To było podczas bitwy pod Tannenbergiem, a właściwie wtedy, kiedy się już zakończyła. Ja i kilku kolegów przeczesywaliśmy las nad jakimś jeziorem, co nazwy ja nie znam, ale było duże. Dostaliśmy taki rozkaz, że mamy wyłapywać Ruskich, co się w tych lasach szwendają po bitwie z tych rozbitych oddziałów. Trzeba było ich schwytać i odesłać

do niewoli, bo taki żołnierz bezpański to najgorsze, co może być, bo zrabuje wszystko, co mu w łapy wpadnie, kurę ukradnie, świnie porwie, a i babę wychędoży, jak mu gdzie się jaka przytrafi, a jak chłop będzie swojej kobity bronił, to zastrzeli jak psa. No i tak właśnie było. Złapali my ich chyba ze stu i co się jaka grupa tych Ruskich łachudrów poddała, to my im zabierali broń i odsyłali na tyły. Oni się poddawali na potęgę, ale byli też tacy, co do nas strzelali i uciekali. No to my szli za nimi i jak kto nie chciał się poddać, to tak normalnie, po żołniersku, dostawał kulkę i było po sprawie. Kilku my utłukli podczas tego czesania lasu. I tak przez pół dnia my tam łazili wte i wewte. Aż w końcu siedli my se przy drodze, co wzdłuż tego jeziora była, żeby odpocząć i żeby coś zjeść, bo jak tak człowiek łazi, i łazi, to kiszki w brzuchu marsza grają. A z tym Ottonem to my się trzymali razem, bo oba my byli z Poznania. I dobrze my się dogadywali, choć on był ode mnie chyba piętnaście lat starszy.

*

– Co tam masz jeszcze w tym chlebaku? – zapytał Hildebrandt.

– No jak co? Przecie wiesz – odparł Gargulec, siadając pod drzewem, pod którym zaległ już jego kolega. Natychmiast ściągnął czapkę i rozpiął pod szyją bluzę mundurową. Mimo że było późne popołudnie, sierpniowy upał nie dawał za wygraną, a wilgotne powietrze można było kroić nożem.

– Pytam, ileś zeżarł z tego, co żeśmy wyfasowali rano – ciągnął Hildebrandt z uśmiechem. Stary żołnierz wiedział, że młody potrzebuje więcej jedzenia, bo nie jest tak wytrzymały, jak ktoś, kto od dawna chodził w mundurze. Tak to było z tymi młodymi, że oni jak tylko dostawali suchy prowiant,

natychmiast wszystko, co się dało, pakowali do gęby, a później chodzili głodni. Podczas gdy ci doświadczeni rozkładali swoje racje na dłużej i dlatego łatwiej im było przetrwać nawet długie marsze.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Gargulec otworzył swój chlebak i wydobył z niego duży połec słoniny i połówkę ciemnego, wojskowego chleba.

– Nic od rana jeszcze nie zjadłem. Ino same gruszki, co my je w tym ogrodzie wyszabrowali – przyznał się.

Dziś wszyscy żołnierze z ich plutonu żyli na gruszkach. Ogołocili z nich kilka drzew w pewnym gospodarstwie. Właściciele uciekli albo zostali zabici, więc nikt nie miał skrupułów, żeby rwać i brać jak swoje. Zresztą na wojnie żołnierz nie pyta, czy może, ale sięga po to, co wpadnie mu w ręce, bo takie jest prawo wojenne, że zwycięzcy mogą wszystko. A oni byli zwycięską armią, rozprawiającą się z rozbitymi, a właściwie rozgromionymi resztkami rosyjskiej armii generała Samsonowa.

– No to żeś się dobrze sprawił, chłopaku – pochwalił go Otto, wydobywając ze swojej wojskowej torby kilka cebul i dwie wielkie kiełbasy.

Zapowiadała się więc prawdziwa uczta. Obaj jedli wspólnie i dzielili się ze sobą wszystkim, co mieli. Taki to już był w wojsku zwyczaj, że żołnierze łączyli się w pary, trójki czy nawet czwórki koleżeńskie, by dzielić się tym, co wyszabrują albo zarekwirują. Dzięki temu ci, którym nie udało się nic znaleźć do jedzenia, mogli zawsze liczyć na pomoc kolegów, bo ci wiedzieli, że gdy zabraknie im szczęścia, następnym razem ich kamraci odpłacą tym samym. W przyjacielskiej grupie Gargulec i Hildebrandt mieli jeszcze dwóch kamratów, ale ci gdzieś się zapodziali w tym lesie, więc nie było co na nich czekać. Trzeba było jeść, bo żołądki miały swoje prawa.

Gargulec zaczął odkrawać nożem grubą pajdę chleba, gdy naraz rozległa się komenda unteroffiziera Dalke.

– Kryć się! Dalej, chować się dupy, wołowe!

Żołnierze natychmiast poderwali się na równe nogi i skoczyli za drzewa. Byli dobrze wyszkoleni, bo dziesięć sekund później bita droga wyglądała tak, jakby nie było tu żywego ducha. Z karabinami gotowymi do strzału zalegli na ciepłym mchu, osłonięci krzakami i pniami drzew, czekając nie wiadomo, na co. Czyżby Dalke miał jakież omamy? zastanawiali się. Jeśli tak, to już mu powiedzą za chwilę, co myślą o jego głupich rozkazach. Mówili głośno i otwarcie o tym, co ich boli, narzekali jak nigdy wcześniej i jakoś nie obawiali się wyrazić swoich poglądów, bo na froncie było zdecydowanie inaczej niż w koszarach. Granice między szarżami, choć respektowane i szanowane przez wszystkich, w sytuacji bojowej już nie były takie wyraźne. A to, na co nigdy nie pozwolono by sobie w warunkach garnizonowych, stawało się powszechną normą. Jeśli się nic nie wydarzy, ludzie zaczną przeklinać swojego podoficera za to, że przez swoje przewrażliwienie odebrał im kilka chwil zasłużonego odpoczynku...

Tętent końskich kopyt stawał się coraz bardziej wyraźny. Do tego jękliwe dźwięki osi wozu świadczyły o tym, że w ich kierunku podąża dość szybko jakaś podwoda albo taczanka.

– Cztery konie – rzucił przez zęby Hildebrandt. – To nie chłopska furmanka. To jakiś lekki powóz.

To musieli być Rosjanie. Niemcy nie śpieszyliby się, bo nie było takiej potrzeby. Konie wystukiwały rażny rytm, kłusując w kierunku leżących na ziemi żołnierzy.

– Rychtuj karabiny! – zarządził Dalke. – Strzelać tylko na mój rozkaz!

Hildebrandt się pomylił. Koni było pięć. Najpierw zobaczyli dwóch kozaków w papachach z pikami w dłoniach. Za nimi

jechał jednokonny lekki powóz wojskowy z kozłem na przedzie, a z tyłu z paką przykrytą plandeką. Za nim kolejnych dwóch kozaków. Grupa jechała w miarę szybko, a jeźdźcy rozglądali się na boki. Wiedzieli, że są na wrogim terenie i dlatego byli czujni. Zapewne chcieli się wydostać z lasu na bardziej przyjazną przestrzeń, a najlepiej dołączyć do swoich sił, by wziąć udział w jakimś zorganizowanym odwrocie i w końcu dojechać do bezpiecznych linii swoich wojsk. Nie wiedzieli jeszcze, że coś takiego jak linia rosyjska nie istnieje. W szeregach ich armii, opanowanej przez strach i rozpacz, trudno było mówić o jakiegokolwiek organizacji. Nie było komu zaprowadzić porządku wśród żołnierzy, bo sztaby dywizji i pułków przestały istnieć.

Gargulec i Hildebrandt leżeli na samym skraju oddziału. Najpierw minęli ich dwaj pierwsi kozacy, potem przejechał wóz i w końcu ci dwaj zamykający grupę. Muszki polskich karabinów nakierowały się na sylwetki wrogów.

Dalej, do cholery, bo zaraz ich stracę z oczu, pomyślał Gargulec i wtedy Dalke wykrzyczał na całe gardło rozkaz:

– Ognia!

Dziesięć luf wypaliło jednocześnie, dosłownie zdmuchując jeźdźców z koni. Woźnica jednak siedział dalej na kozle. Widać wszyscy skupili się na mierzeniu do kozaków, bo to oni mogli stanowić dla nich śmiertelne zagrożenie. Tymczasem ten powożący żołnierz wydawał się całkowicie niegroźny. Zdumiony tym, co się stało, zareagował w zwyczajny w takich sytuacjach sposób. Smagnął koński zad batem i zwierzę pognało do przodu. Wtedy dopiero zareagowali niemieccy żołnierze. Połowa luf zwróciła się w kierunku odjeżdżającego wozu. Wystrzały zaczęły się sypać jeden za drugim. Najpierw spadł woźnica, a zaraz potem rozpędzony koń fiknął kozła i wóz zarył dyszlem w ziemię, uniósł się na sekundę, po czym

przewrócił na bok. Zielona plandeka rozdarła się i spod niej na drogę wytoczyły się jakieś beczki, a wraz z nimi na trawę wypadły skrzynie.

Żołnierze wybiegli z ukrycia. Zaraz rozpierzchli się po drodze, by pomyszkować wśród trupów. Szybko okazało się, że jeden z kozaków jest ranny. Dostał postrzał w brzuch i rana wyglądała beznadziejnie. Patrzył na stojących nad nim wrogów w niemym przerażeniu. Jego blade usta otwierały się i zamykały, jakby coś chciał powiedzieć, ale nie potrafił wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Nic z niego nie będzie – zawyrokował Dalke.

– To co, zostawimy go tutaj? – zapytał Gargulec, bo nie miał pojęcia, jak się zachować w takich sytuacjach.

– Jakby to był nasz, toby się go wzięło na tyły i kto wie, może w lazarecie by jego pozszywali – wyjaśnił mu Otto. – Ale nie ma tam miejsca dla wrogów, bo i dla naszych miejsc brakuje. Jeśli mu nie pomożemy, to biedak może się tak męczyć jeszcze ze dwa dni.

– To jak chcesz mu pomóc?

– Zwyczajne, po żołniersku.

Hildebrand uklęknął obok młodego kozaka i rozpiął mu zielony płaszcz. Przejechał palcem po czole, robiąc znak krzyża, a potem uśmiechnął się do chłopaka. Ten odpowiedział mu lekkim uśmiechem. Wtedy Otto wbił mu prosto w serce swój bagnet. Ciało Rosjanina naprężyło się i momentalnie zwiotczało.

– Dobra robota, Hildebrandt – pochwalił go Dalke. – Jak już żeście ich obmacali, to dalej, idziemy do roboty! – ponaglił swoich ludzi, którzy jeszcze przeszukiwali kieszenie i zakamarki mundurów zabitych.

– Tutaj, Tutaj! O matko! – krzyczał młody żołnierz Braun, stojąc obok przewróconego wozu. – Panie unteroffizier! Tutaj,

szybko! O matko!

Wszyscy pobiegli w tamtym kierunku.

– Jasna cholera! – wykrzyknął podoficer na widok złotych monet rozsypanych wokół rozbitej skrzyni.

Ale konsternacja i zdziwienie trwały tylko sekundę. Żołnierze natychmiast rzucili się na ziemię i zaczęli pakować sobie do kieszeni złoto, popychając się wzajemnie i przewracając. Ale bez złości. Raczej z radością i niedowierzaniem. Znaleźli przecież skarb, a monet było tyle, że dla każdego mogło wystarczyć.

– Panie Dalke, co to jest? – zapytał szeregowy Braun. – To jest jakiś skarb piratów czy jak? – mówiąc to, wkładał sobie monety do kieszeni.

– Wygląda to na kasę armijną. Jeśli się nie mylę, to w pozostałych skrzyniach jest też złoto i pewnie zwykłe papierowe ruble. To kasa przygotowana do wypłaty żołdu.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Gargulec, który już oczyma wyobraźni widział siebie po wojnie w samochodzie i z cygarem w zębach, jako właściciela rzeźnickiego składu.

– To wszystko jest łupem wojennym cesarskiej armii – odezwał się ktoś, kogo dotąd nie zauważyli, a kto pojawił się nagle, jakby wyskoczył spod ziemi. Odwrócili się. Na drodze stał kary ogier, a na nim ich major. – Jeśli któryś z was wzięł choć jedną monetę, będę musiał go postawić przed sądem. Wszystko, co się tu znajduje, należy do cesarza. Uznam, że niczego nie widziałem. Podnieście wóz i go załadujcie. Skrzynię zamknąć, a złote monety, jeśli jakieś się wysypały w trawę, pozbierać co do jednej i niech się znajdą na powrót w skrzyni. Zrozumieliście, Dalke?

– Tak jest!

– Wy dwaj – major zwrócił się do Hildebrandta i Gargulca – przyprowadzić mi tu tego kozackiego konia, co tam stoi między

drzewami! – Wskazał szpicrutą na siwka spokojnie skubiącego trawę kilkanaście metrów od drogi. – Zaprząc mi tu go do wozu! – Pięć minut później ruska taczanka była gotowa do drogi. – Dziękuję, Dalke. – Oficer przyłożył dłoń do daszka czapki, gdy żołnierz zameldował mu wykonanie zadania. – Weźcie swoich ludzi i kontynuujcie patrol. Jednego z nich zabieram. Wy, jak się nazywacie?

– Starszy szeregowy Otto Hildebrandt.

– Umiecie powozić?

– Umiem, panie majorze.

– To dobrze. Siadajcie na kozła. Odwieziemy ten wóz. Tu niedaleko jest majątek i pałac Schwarzer Forst koło Hohenstein. A wy, Dalke, róbcie swoje.

Żołnierze na rozkaz podoficera ustawili się w szeregu, potem zrobili zwrot w lewo jak na defiladzie, bo w końcu patrzył na nich oficer, i ruszyli różnym krokiem przed siebie. Humory im dopisywały, bo nie dość, że wygrali bitwę z kozakami, to jeszcze każdy z nich miał w kieszeniach brzęczący złotem majątek. Żaden z nich nie był tak głupi, żeby oddać to, co już mu wpadło w ręce. Dalke wiedział o tym, ale nie miał zamiaru nic z tym robić. Niech chłopaki mają trochę radości. Szkoda tylko, że nawinął się ten oficer, bo gdyby nie to, zakopałoby się złoto gdzieś tu pod drzewem, a po wojnie wróciło...

– Skurywsyn jeden... – zaklął Dalke, gdy uświadomił sobie tę ogromną stratę.

– Kto? – zapytał Gargulec, właśnie zrównujący się z podoficerem.

– Jak to kto? No przecież ten pierdolony major. Musiał się akurat teraz nawinać? – rzucił i zaraz pożałował swoich słów. Podoficer nie powinien w żadnym wypadku mówić źle o oficerze. Rozejrzał się za siebie, ale następny żołnierz był zbyt daleko, żeby coś usłyszeć. – Gargulec, ty dupo wołowa, do

szeregu! – krzyknął, a żołnierz posłusznie wrócił na swoje miejsce marszowe.

Obejrzał się jeszcze za siebie. Wóz ze złotem właśnie zawracał na wąskiej drodze. Hildebrandt odjeżdżał drogą wiodącą na południe. Słońce było jeszcze wysoko, ale upał jakby zelżał. Wtedy Wincenty przypomniał sobie, że nic nie zdążył zjeść. Sięgnął więc do chlebaka, by wydobyć chleb. Gdy jego dłoń natrafiła na zimny metal, uśmiechnął się radośnie. Garść złotych monet udało mu się wrzucić na dno torby. To była jego wojenna inwestycja na przyszłość. W wymarzony zakład rzeźnicki, który założy po powrocie do Poznania.

– Wtedy widziałem Hildebrandta po raz ostatni – rzucił leżący na podłodze Gargulec. – Dopiero w zeszłym miesiącu dowiedziałem się, że żyje. Byłem nawet u niego w domu, ale się zmienił. Nie chciał w ogóle gadać, co się z nim stało. Tylko gadał o piciu...

– Jak się nazywał ten oficer? Ten major jak się nazywał? – wyrwał go z tych wspomnień jakby trochę mniej zasadniczy ton Gila.

– On się nazywał major Albrecht von Pieskow...

Godzina 1.10 w nocy

Zenuś zeszywniał cały, bo wydawało mu się, że za chwilę wejdzie do holu jakiś ziejący ogniem smok. Tymczasem w drzwiach stanął okrągły oficer wzrostu dość podłego, bo nawet w czapce wyglądał jak konus. Mógł mieć nie więcej niż metr sześćdziesiąt. Twarz miał wygoloną, górną wargę nieco wywiniętą ku górze, nos perkaty, a na nim okulary z grubymi

szkłami. Rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy aby coś podejrzanego się tu nie dzieje, potem uniósł nieco głowę i wciągnął nosem powietrze, jak pies wchodzący do nowego, nieznanego sobie pomieszczenia.

Na jego widok Zenuś natychmiast poderwał się do góry i stanął na baczność.

– Aha! – wrzasnął oficer głosem nieco zbyt wysokim i piskliwym, jednak na tyle donośnym, że chłopakowi włosy na karku stanęły dęba. – Mam was, Glubke, wy zasrańcu jeden. No, nareszcie się doigrałeś! Paliłeś na służbie! I co, myślał żeś, że się nie dowiem? Masz rację. Nie dowiedziałbym się, ale na szczęście coś mnie tknęło i pomyślałem, że na pewno siedzisz sobie tutaj i czytasz jakieś świńskie książeczki, i palisz papierosy. A przecież wiesz, Glubke, że na służbie palić nie wolno, bo na służbie trzeba być czujnym i służbistym. Ale to się wreszcie skończy, ta niesubordynacja i łamanie regulaminu, Glubke. Zapamiętasz ty sobie do końca twojego zasranego życia oberleutnanta Erpela. Będę ci się śnił po nocach! – mówiąc to, zbliżał się powoli w kierunku stolika, za którym stał na baczność wyprostowany jak struna Zenuś.

Oficer mierzył go porażającym i hipnotyzującym spojrzeniem bazyliuszka, jednak jako krótkowidz jeszcze się nie zorientował, że gruby jak beczka piwa Glubke zmienił się w szczupłego młodzieńca.

– Napiszcie do matki, Glubke, ty osrana dupo, żeby się za was modliła, bo ja wam zaraz dam do wiwatu, rozdepczę, przemielę na proch, nabiję do armaty i wystrzelę do nieba. No co, Glubke, przyznajecie się, że żeście palili na służbie?

Zenuś nic nie odpowiedział. Stał nieruchomo jak słup soli. Z wojskowego doświadczenia wiedział, że podoficer może się odezwać do oficera w oficjalnej sytuacji tylko wtedy, gdy ten

zwróci się bezpośrednio do niego. Tymczasem on zwracał się do Glubkego, a nie do niego.

– Glubke, mowę wam odebrało? Pytam się was, czy się przyznajecie do złamania regulaminu?

Nie było odpowiedzi, więc oberleutnant podszedł jeszcze bliżej, na dystans nie większy niż metr, wysunął głowę w przód i zaczął uważnie przyglądać się stojącemu przed nim żołnierzowi. Naraz zamarł w bezruchu.

– A kto ty jesteś?

– Melduje się obergefreiter Anton Kaleta – przypomniał sobie nazwisko, na jakie wystawiono mu jego paszport. W zasadzie i tak nie miało żadnego znaczenia, jakie by podał, bo i tak nie miał przy sobie wojskowej książeczki Reichswehry.

– Kto?

– Obergefreiter...

– Cicho! Nie powtarzać! Jeszcze dobrze słyszę! – krzyknął oficer, poprawiając okulary na nosie, bo mu się nieco zsunęły.

– A co wy tu robicie, Kaleta?

– Melduję, że jestem na służbie.

– Jak to na służbie? Przecież na służbie jest Glubke.

– Melduję, że jest, ale...

– Jakie „ale”, do licha?

– Melduję, że się niezbyt dobrze poczuł i kazał się zastąpić.

– A, kazał wam się zastąpić, a sam poszedł pewnie do burdelu. Już jak go przerobię na kotlety siekane, jak ta gruba dupa się tu pojawi. Gdzie on jest?

– Melduję, że tu.

– Gdzie?

– Na kanapie. Pan Glubke źle się poczuł i się położył na chwilę, i dlatego kazał mi się zastąpić, dopóki nie wydobrzeje.

Erpel spojrział w prawo, tam gdzie stała kanapa, ale niczego nie zobaczył. Był za daleko. Ruszył więc ostrożnie w tamtym

kierunku krokiem myśliwego tropiącego zwierzynę. Ale zwierzyna nie miała wcale zamiaru uciekać. Glubke leżał na wznak i pochrapywał cicho. Oficer podszedł do niego, przystanął najbliżej, jak się dało, pochylił się jeszcze i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Glubkeeee! – zawył głosem preriowego kojota. – Glubke, ja tu czuję alkohol. Glubke, ty świnió! Wy jesteście najwyraźniej pijani jak wieprz! Glubke, wstawać!

Próżno krzyczał, bo podoficer był nadal pod wpływem eteru i nie miał pojęcia o bożym świecie. Nie miałby nawet, gdyby pięciu takich Erpelów stało nad nim i darło się wniebogłosey.

– Ej, wy, jak wy się tam nazywacie?

– Melduję posłusznie, że Kaleta.

– Kaleta, słuchajcie mnie uważnie. Pobiegniecie teraz do ubikacji i przyniesiecie mi wiadro z wodą. Może być nawet wiadro z pomyjami z kibla. O, tak będzie nawet lepiej. No więc weźmiecie te pomyje i mi przyniesiecie. Rozumiecie, Kaleta?

– Tak jest, rozumiem.

– No to co tu jeszcze stoicie, Kaleta. Biegiem do ubikacji.

Zenuś odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Glubke, ty świnió niemyta, wstawaj, bo jak nie, to ja ci pokażę... – Docierał do niego wściekły ryk oberleutnanta.

W biegu pochylił się i porwał z podłogi swój chlebak. Nie miał pojęcia, gdzie jest toaleta, ale nie zamierzał szukać wiadra z pomyjami. Zatrzymał się przed drzwiami kancelarii, w której byli jego koledzy. Od razu skręcił do biura z kasą. Panowały tam egipskie ciemności, ale wiedział, że oni tam są.

– Chłopaki, to ja, Zenuś!

– Co tam się dzieje, do cholery! – Usłyszał głos Tolka, ale go nie widział.

– Oficer wpadł na inspekcję.

– To czemuś go nie unieszkodliwił?

– Właśnie to robię! Za dwie minuty droga będzie wolna. Dajcie mi jeszcze chwilę i zaraz po was przyjdę.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Pikuła.

– Nie. Czekać tu na mnie.

Wybiegł z sekretariatu, zamykając za sobą drzwi. Po drodze przystanął, by sięgnąć po szmatkę i butelkę z eterem. Wydobył je i nalał kilka kropli płynu. Odłożył chlebak na podłogę i ruszył do oficera.

– Glubke, ty świnió, popamiętasz mnie do końca swoich dni. Już ja cię urządzę. Będziesz ty przeze mnie płakał jak dziecko!

Nadporucznik przerwał krzyki, gdy usłyszał pośpieszne kroki. Odwrócił się w kierunku, skąd nadbiegał Zenuś.

– No, Kaleta, ile na was można czekać? Macie wiadro?

– Mam coś lepszego, panie oberleutnant!

– Co, nie macie wiadra?

– Nie, ale mam to. – Wyciągnął w kierunku oficera rękę ze szmatką. Ten jeszcze nie dostrzegł niczego podejrzanego, dopóki materiał nie dotknął jego długiego nosa.

– Co wy, do cholery, robicie? Jak śmiecie dotykać oficera? Ja was zaraz pod sąd...

Nie dokończył. Zachwiał się i byłby padł na podłogę, gdyby nie Zenuś. Złapał go wpół i pociągnął w kierunku leżącego na kanapie podoficera. Rzucił na niego Erpela, a ten opadł bezwładnie na pierś człowieka, którego przed chwilą chciał zniszczyć, zdegradować, a najlepiej jeszcze na dodatek rozstrzelać.

– No to miłych snów, panowie – powiedział Brodziak, zwracając się do obu żołnierzy, ale odpowiedziało mu tylko pochrapywanie Glubkego. Erpel nie chrapał.

Zenuś podniósł z podłogi szmatkę, włożył ją do chlebaka i ruszył do kancelarii. Zaraz jednak przypomniał sobie, że ma na nogach zabrane Glubkemu buty. Zatrzymał się, zdjął je

i odniósł, by postawić przy uśpionych Niemcach. Teraz już mógł spokojnie iść po kolegów. Pobiegł więc czym prędzej z powrotem. Otworzył pierwsze drzwi. Oni stali tuż za nimi.

– Panowie, droga wolna! – rzucił.

Wyszli natychmiast.

– Poświeć mi! – Tolek polecił Krügerowi.

Ten włączył latarkę sygnałową i puścił promień światła na otwór do klucza. Grubiński szybko uporał się z zamkiem i drzwi do kancelarii były zamknięte, tak jakby nikt tam nie wchodził. Naraz z głębi korytarza dało się słyszeć kroki. Spojrzeli w tamtym kierunku. Biegł do nich Krystek. W rękach miał wszystkie buty, jakie pozostawili przy drzwiach.

– Panowie, jesteśmy w dupie! – zawołał na widok kolegów.

– Co się dzieje? – zapytał Pikuła.

– Tam, za furtką, na ulicy, stoi ze dwudziestu żołnierzy. Wszyscy z karabinami. Majstrują przy tej furtce, ale chyba nie mają kluczy. Wszyscy są bardzo cicho, ale chcą tu wleźć.

– Skąd wiesz, ilu ich jest? – Tolek spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Najśampierw usłyszałem, jak ktoś grzebie w zamku, no to podeszłem i słucham. No i słyszę, że grzebie i zgrzyta. Tak jakby jakiś ćwok chciał wytrychem otworzyć, ale nie umiał. No to myślę se, że jeszcze jest trochę czasu, i poleciałem schodami na górę, żeby zobaczyć przez okno na ulicę, i widzę, że tam stoją. Było widać, bo przecie nad wejściem jest lampa, na ścianie budynku zainstalowana. Trzech oficerów było i kilkunastu żołnierzy. Musieli coś zauważyć albo co.

– Może ktoś dostrzegł światło w środku? – domyślił się Krüger.

– Jakie mamy jeszcze wyjścia? – Rzeczowy jak zwykle podporucznik spojrzał na Niemca. Ten podrapał się po głowie.

– Jeśli wchodzą bokiem, to znaczy, że główne też obstawili i ruszą zaraz jednym i drugim. Więc możemy albo się poddać, albo spróbować wyjścia przez piwnicę. Jakoś chyba węgiel tu wrzucają, nie?

Pikuła klepnął go w ramię.

– Piwnica... Wejście chyba było w tej bocznej klatce schodowej. Zakładać buty i biegiem.

Ruszył pierwszy, a pozostali podążyli za nim. Drzwi do piwnicy nie były zamknięte na klucz. Oficer otworzył je i na ścianie wymacał włącznik światła. Przekręcił go i lampa pod sufitem rozbłysła. Strome schody wiodły w dół. Zeszli po nich ostrożnie. Ledwie ostatni z uciekających, Zenuś Brodziak, zamknął drzwi do piwnicy, gdy na klatce schodowej rozległ się tupot butów. Żołnierze weszli do budynku i rozbiegli się po korytarzach. Jednak żaden nie wpadł jeszcze na pomysł, by przeszukiwać piwnice. Na razie zajęli się pokojami. Jednak wszystkie były zamknięte. Oficerowie prowadzący grupę poszukiwawczą wysłali więc żołnierzy po klucze do portierni, gdzie spali dwaj zamroczeni eterem ludzie. To niezwykle znalezisko powinno przez chwilę zająć pościg, myślał Zenuś. Szedł na końcu, zamykając grupę. Rozglądał się uważnie, ale niczego ciekawego dotąd nie dostrzegł. Długi piwniczny korytarz ciągnął się zapewne wzdłuż całego budynku, a po jego obu stronach znajdowały się drzwi wiodące do pomieszczeń magazynowych. Któreś z nich musiało mieć wyjście na zewnątrz, ale żeby to sprawdzić, trzeba by otwierać każde po kolei. Na to nie było czasu. Naraz poczuł charakterystyczny zapach węgla. Pozostali też to poczuli. Pikuła zatrzymał się przy innych niż pozostałe drzwiach. Te wyglądały jak pancerne, w całości wykonane ze stalowej blachy.

– Kotłownia – rzucił oficer. – To nasze wyjście. Panie Tolku, otworzy pan?

Tolek bez słowa odsunął podporucznika od wejścia, chwycił za klamkę i na wszelki wypadek nacisnął. Coś szcęknęło w niezbyt dobrze naoliwionym zamku, a potem drzwi same ustąpiły, bo nie były zamknięte na klucz.

– Proszę bardzo! – rzucił zadowolony z siebie Grubiński.

Włamywacze natychmiast weszli do środka. Rząd świateł zawieszonych na ścianie wydobył z mroku solidny piec centralnego ogrzewania i wielką stertę węgla naprzeciwko, a przy tej stercie legowisko, na którym leżał jakiś człowiek. Zdumieni uciekinierzy spojrzeli po sobie. Facet przykryty był szarym kocem, spod którego wystawały tylko gołe, chude nogi, zaś z drugiej strony ręka i kawałek głowy. Przy barłogu stało kilkanaście pustych flaszek po piwie. Wszystko więc wskazywało na to, że gość zasnął po opróżnieniu przynajmniej kilku z nich.

– To pewnie jest palacz – stwierdził Krystek, gdy stanął nad leżącym i zaczął mu się uważne przyglądać.

– Jest wyjście! – krzyknął podporucznik. Dopadł do drzwi i chwycił za klamkę. Były zamknięte. – Panie Tolek, do roboty! – ponaglił włamywacza.

Ten podbiegł, by zabrać się za otwieranie. W tym momencie głowa śpiącego się uniosła. Mężczyzna rozejrzał się wokół nieprzytomnym spojrzeniem i zatrzymał je na stojących nieopodal dwóch młodych żołnierzach, Zenusiu i Krystku.

– A wy co tu robicie? – zapytał zdziwiony.

– Uciekamy przed Erplem – rzucił Zenuś.

– He, he, he! – Usłyszawszy nazwisko oficera, od razu się rozpromienił. – Ten mały skurwysyn was goni? He, he, he! Jak zwykle próbuje dojść do prawdy? A to pierdolony kutafon. Nie da żyć ludziom przez tą swoją złość. Gdzie on jest?

– Tam, na górze. – Zenuś wskazał piwniczne sklepienie.

– I żeśta przed nim uciekli aż do piekła, he, he, he. No to lepiej nie mogli wy trafić. Bo tu rządzą ja, Joachim Teufelmann, ha, ha, ha! Ja tu odpowiadam za ogień piekielny. I jako że wam dobrze z oczu patrzy, diabeł was zaraz uratuje.

Wstał z posłania, wydobył spod niego pęk kluczy i podszedł do drzwi, odsuwając Tolka.

– Tędy po schodkach do góry i wychodzita prosto na ulicę.

– Dzięki, panie Teufelmann. – Zenuś podał mu rękę, a ten ją uścisnął. Pikula był bardziej konkretny. Wyciągnął z kieszeni banknot i wręczył go palaczowi. Teufelmann spojrzał nań z niedowierzaniem, a zrozumiawszy, w czym rzecz, uśmiechnął się szeroko, prezentując isticie diabelskie, czarne zęby.

– Niech was sam diabeł prowadzi! – krzyknął za wychodzącymi. – A jeśli się pojawi tu ta kopana w dupę oficerska kaczka, to możecie być pewni, że nic mu o was nie powiem.

Gdy rozplłynęli się w ciemności, Teufelmann zamknął drzwi i wrócił na swoje posłanie. Do rana zostało kilka godzin, a on miał jeszcze pół butelki jägermaistra, dzięki któremu będzie mógł całkiem miło spędzić tę noc.

Także o miłej nocy, a i kolejnych sympatycznych dniach myślał uciekający wraz z kolegami Tolek Grubiński, który wszystkie kieszenie miał wypchane pieniędzmi wyciągniętymi z metalowej kasetki. Otworzył ją i wyczyścił, gdy pozostali zajmowali się robieniem zdjęć jakichś armat przerzucanych z Niemiec od Rosji. Podporucznik wytłumaczył im, że to są bardzo ważne dokumenty mówiące o tym, że Niemcy kupują w Szwajcarii działa, a potem wożą je do Rosji, by tam się szkolić, tym samym łamiąc postanowienia traktatu wersalskiego. Fotografie tych dokumentów zamierzał przekazać Francuzom, by stworzyć im oczy na niemieckie

niebezpieczeństwo. Tolka żadne armaty nie obchodziły, bo nawet ich nie widział. Za to niemieckie reichsmarki były jak najbardziej realne. Tak samo jak ta teczka z napisem „Pegasus Posen”. Też ją zabrał, bo przecież mogła się do czegoś przydać, skoro pisali w niej o Poznaniu.

Nie niepokojeni przez nikogo podeszli do dworca kolejowego. Tam, przy ciężarówce, przebrali się w cywilne ubrania i pożegnali ze swoim niemieckim kolegą.

– Kolego Krüger... – Pikuła przytrzymał jego dłoń. – Niech pan mi powie, tak prywatnie i między nami, dlaczego pan nam pomaga?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– To, że się nazywam Krüger i mieszkam w Stettin, wcale nie znaczy, panie kolego, że ze mnie jest gorszy Polak niż pan.

Klepnął w ramię Pikułę, pomachał złodziejskiej trójce i wskoczył do szoferki swojej ciężarówki.

Czterej włamywacze poszli w kierunku wejścia do hali dworcowej. Mieli szczęście. Odchodzący ze Szczecina pociąg do Krzyża odjeżdżał za pół godziny. Więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, rano będą już w Poznaniu.

Godzina 12.10 po południu

Fischer nalał kawy z dzbanka do wyszczerbionej filiżanki w kwiatki. Trzymał ją w szafie od pierwszego dnia pracy w policji. Była tam, zanim się pojawił w tym budynku, więc zapewne korzystał z niej wcześniej jakiś niemiecki śledczy. Nie prezentowała się jakoś specjalnie dobrze ani nie była cenna, ale Antoni myślał o niej jako o łączniku między dwoma światami, tym, który odszedł i już nigdy nie wróci, czyli jego

młodością, a terażniejszością, kiedy stał się już statecznym, dojrzałym człowiekiem. Filiżanka była też łącznikiem pomiędzy porami dnia, rankiem pełnym zgiełku i leniwym popołudniem. Lubił nadawać prostym przedmiotom magiczne znaczenie, którego nikt inny nie potrafiłby się domyślić, bo to był jego prywatny mikroświat symboli. Pijał z wyszczerbionej filiżanki codziennie południową kawę, traktując to jak rytuał. Po załatwieniu tych najważniejszych porannych kwestii oraz poprowadzeniu porannej odprawy dla swoich podwładnych siadał, by trochę odpocząć. Ta dzisiejsza narada zakończyła się odwołaniem poszukiwań zaginionego wicekonsula von Pieskow. Jedyne, co mogła zrobić jeszcze policja, to zamówić wiązanek kwiatów z szarfą ostatniego pożegnania i odwieźć ją do konsulatu.

Drugą sprawą było zakończenie poszukiwań domniemanego sprawcy zabójstwa konsula, bo ten siedział już w areszcie dwa piętra niżej, w pojedynczej celi. Okoń i Gil wsadzili go tam w nocy, żeby rześki i wypoczęty mógł złożyć oficjalne zeznanie do protokołu. To zeznanie przyjął z samego rana aspirant Oskierko w towarzystwie nieco zmęczonego Gila. Ten mimo zarwanej nocy stawił się na przesłuchaniu, żeby Oskierce nie umknął żaden szczegół, bo najważniejsze detale opowieści podejrzanego znali przecież tylko on i Okoń. Wszystko, co Gargulec miał do powiedzenia, aspirant zapisał swoim kaligraficznym pismem i protokół jeszcze przed poranną naradą trafił na biurko Fischera. Ten przeczytał go z wielką uwagą, a potem, nie wiedzieć czemu, wyciągnął z szafy przedwojenny atlas geograficzny Niemiec z mapami poszczególnych prowincji. Przez pewien czas szukał czegoś na mapie Prus Wschodnich, mrużąc do siebie pod nosem, a gdy w końcu znalazł, zapisał coś na kartce i dołożył ją, przytwierdzając spinaczem, do protokołu Oskierki.

Po odprawie Fischer przyjął hrabinę Kossobudzką von Zanthier. Kobieta przyszła omówić z nim niesłychanie ważne kwestie dotyczące najbliższego seansu spirytystycznego, mającego się odbyć za dwa dni w jej mieszkaniu. Wczoraj Fischer konferował z nią telefonicznie i przedstawił jej swoją prośbę. On to bowiem był pomysłodawcą tego seansu i to jemu zależało, żeby odbył się w należytej oprawie.

– Drogi panie komisarzu, oddaję się całkowicie w pana ręce – stwierdziła, wchodząc do pokoju i podając mu dłoń w rękawiczce do ucałowania.

– Proszę spocząć. – Wskazał jeden z dwóch foteli przy okrągłym kawowym stoliku. – Kawy nie proponuję, bo na to, jak nadmieniałem wcześniej, czasu dziś niewiele, gdyż śledztwo zmierza do szczęśliwego końca, a jak pani dobrze wie, *finis coronat opus*[\[51\]](#).

– Oczywiście, panie komisarzu. I tym bardziej jestem szczęśliwa, że ten koniec może nastąpić w moim salonie. Czyli jak pan to ujął w naszej rozmowie telefonicznej, w trakcie spektaklu chciałby pan przywołać na powrót ducha mego biednego męża, by ten pozwolił nam wyjaśnić zagadkę śmierci nieszczęsnego wicekonsula. Tylko czy to się uda?

– Z pewnością, droga pani. To pewne jak amen w pacierzu. Duch musi się pojawić tam, gdzie się wszystko zaczęło i tam się też skończy.

– Niemal jak w teatrze.

– Ma pani słuszość, bo to pewien rodzaj spektaklu. Czyż nie?

– Oczywiście, tyle że teatr to swego rodzaju oszustwo albo, powiedziec by można, iluzja odwzorowująca tylko rzeczywistość, a seans spirytystyczny to sama prawda, to

sięgnięcie do istoty świata, której ludzki rozum nie jest w stanie ogarnąć, która jest jak...

– Jak zagadka kryminalna, którą trzeba rozwiązać – przerwał jej Fischer, bo nie miał zamiaru wchodzić w te ezoteryczne kwestie. On miał konkretny plan i zamierzał go zrealizować.

– Pięknie pan to ujął, komisarzu. To rzeczywiście zagadka, ale raczej nierozwiązywalna. Cóż, my, prości ludzie, możemy myśleć o poznaniu złożoności świata, nie mając o nim pojęcia, gdyż nasze ludzkie umysły są nazbyt ograniczone, by dotrzeć do jego istoty...

– Ale na pewno możemy im pomóc, organizując wszystko tak, by spróbować uzyskać pożądaną efekt.

– Co pan ma na myśli?

– Ano tyle, że aby się udało, w kręgu osób muszą być te wszystkie, z którymi nasz biedny pan von Pieskow był związany. Chciałbym więc zaprosić tam te oto osoby.

Wstał z fotela, podszedł do biurka, zabrał z blatu kartkę i podał ją hrabinie. Ta szybko przeleciała wzrokiem krótką listę nazwisk.

– Tylko tyle? Ależ to drobiazg. Sama ich zaproszę. To przecież wszystko moi znajomi. No może nie bliscy, ale znajomi, jak choćby nadradca Gebhardt. Nie znam tylko tego pana. – Wskazała na ostatnią pozycję na liście.

– To jest mój kuzyn z Berlina. Jest podobnie jak ja policjantem, komisarzem policji. Chciałbym, żeby był na seansie, aby mu pokazać, że polska policja nie boi się do swoich śledczych metod wykorzystywać osiągnięć nowoczesnej wiedzy.

– Och, panie komisarzu, teraz to mi pan naprawdę zaimponował. Oczywiście, niech się uczą od nas. Nie widzę

przeszkód. Rozumiem, że pana Fischera zaprosi pan sam, bo ja, niestety, nie dysponuję jego adresem.

– Jak najbardziej, łaskawa pani.

Wstała z fotela.

– Gratuluję panu odwagi, komisarzu.

– Odwagi?

– No tak, musi być pan niesłuchanie odważnym człowiekiem, by nie obawiać się złych języków, co to z racji skromności swoich prostych i nieskomplikowanych umysłów nie są w stanie pojąć, jaka siła drzemie w naukach ezoterycznych i ile dobrego za ich sprawą można zrobić dla ludzkości. A pan to pojmuję, więc należą się panu ode mnie wyrazy najwyższego uznania.

Podadła mu dłoń do ucałowania i wyszła z gabinetu. Nie zamknęła drzwi, bo za nimi stali już gotowi do wejścia dwaj kolejni goście. Ci nie byli oficjalni, ale służbowi.

Gil i Okoń, nie zapukawszy nawet, weszli do środka i rozsiedli się przy konferencyjnym stole. Nie zamknęli za sobą drzwi, bo czekali jeszcze na Oskierkę. Ten, zdyszany, wszedł do pokoju, strzelił głośno oficerkami, stając na baczność z czapką pod pachą, po czym zajął swoje miejsce.

– Podsumujmy, co zeznał aresztowany. – Fischer spojrzał na Oskierkę, rozkładającego przed sobą teczkę z papierami. Był w tych sprawach niesłuchanie skrupulatny i na pewno zeznanie zostało zapisane słowo w słowo.

– Odczytać czy zreferować? – zapytał aspirant.

– Czytaj pan. – Aspirant wyciągnął stronicę papieru kancelaryjnego, zapisaną drobnym maczkiem. – A następnym razem nie zapisuj pan wszystkiego, jak leci, w języku Zulusów z Garbar, ale ze względu na moje wrażliwe uszy tłumacz pan to na literacką polszczyznę – polecił komisarz i sięgnął zaraz

po fajkę, od dawna przygotowaną i leżącą w popielniczce w oczekiwaniu na odpalenie.

Oskierko pokiwał głową, pochylił się nad papierem i przyłożywszy palec do pierwszej linijki, zaczął czytać powoli i wyraźnie:

Otona Hildebrandta spotkałem jakiś miesiąc temu i się bardzo ucieszyłem, bo to w końcu był kolega, co zaginął, a ja myślałem, że zaginął, bo był zabity. A jak się patrzę, a on idzie se przez Wielkie Garbary, to my zaraz, jak się spotkali, to poszli się napić, bo była duża okazja, jak się w końcu żywy kolega odnalazł. I on mi powiadał, że prawie został zabity i z ledwością przeżył. Znaczy się, że jak my się wtedy rozstali, tam koło Hohenstein, nad tym jeziorem, to oni pojechali do majątku Schwarzer Forst. Bo jak mi powiadał Otto, to był majątek tego naszego majora von Pieskow. I oni rozładowali skrzynię z ruskim złotem w jednej stodole i pomogli mu miejscowi fornale z gospodarstwa, a potem wszystko ukryli. Bo major powiadał, że sytuacja jest niepewna i że Rusek może wrócić, i trzeba to dobrze ukryć, żeby przekazać do naszego sztabu, jak tylko ten teren już całkowicie zajmą nasze wojska. I kazał brać ten wóz i jechać Ottonowi, choć on chciał się przespać na sianie, bo już noc była. Ale major kazał wracać do swoich, to co miał robić. Wsiadł na wóz i pojechał na północ, tam gdzie były nasze wojska. Ale jak wjechał do lasu, to się pojawiło dwóch na koniach. Jechali szybko i myślał, że go miną, ale jak przejeżdżali, to jeden wyciągnął szablę i przejechał go przez łeb, a jak spadł, to drugi wypalił do niego z rewolweru i go ranił, ale na szczęście nie zabił. A on ich rozpoznał, bo to był właśnie major von Pieskow i drugi, ten z pistoletem, to był podpułkownik Gebhardt, co był naszym zastępcą dowódcy pułku. Oni go chcieli ukatrupić, myśleli, że umarł, bo wyglądał jak nieżywy. A on leżał cicho i nie oddychał. No to go zostawili, a wóz zabrali. I jak tak leżał prawie bez ducha, nadszedł nasz wóz medyczny, co się tam w tych lasach zagubił. To łapiduchy go zabrali, opatrzyli i powieźli gdzieś. I on mi powiadał, że leżał w lazarecie chyba pół roku, bo przez to cięcie przez łeb to nie było wiadomo, czy przeżyje, bo rana od strzału nie była taka groźna jak ta od szabli. A jak już wyżył, to wystali go na lekonwarescencję i był

w górach Schwarzwald. Ale był lichy i do wojaczki się nie nadawał, to potem jak już w miarę wydobrzeł, wzięli go do jakiejś kompanii ochrony kolei, czy jakoś tak, i dożył końca wojny. A potem wrócił się do Poznania i został stróżem. A o Pieskowie i o tym drugim nic nie słyszał i nawet nie chciał słyszeć. Ale niedawno Otto mi powiadał, że major przyszedł do niego, niby że do starego kamrata frontowego, z flaszką wódki, i się go pytał, czy on coś pamięta, ale on mu odpowiedział, że nie, bo został zderzony szabłą przez łeb i nawet nie pamięta, że był na wojnie. Ale chyba mu ten major nie uwierzył i się bał, że Otto może go wydać, i dlatego wrócił i go zabił. A wiem to stąd, że powiadał mi o tym ten młody Niemiec, co ja jego poznał u Ottona. To był jego siostrzeniec, co się nazywa Schulte i mieszka na Wielkich Garbarach, i jest szoferem w niemieckim konsulacie. We czwartek w nocy ze środy ja byłem akuratnie u Ottona i oba my pili wódkę. A potem jak się wróciłem do chaty, to Schulte wpadł do mnie, jak dniało, i powiada, że Otto jest zabity. To ja mu powiadam, że chyba zgłupiał, bo ja dopiero co go żywego pozostawił, a on, że jego zabił bagnetem major Pieskow, bo widział, jak uciekał z podwórka. No to mu nie uwierzył, alem tam pojechał z nim automobilem. Przywiózł mnie i jeszcze jednego fotografa z gazety, żeby zrobił zdjęcia na dowód, że było morderstwo. No to jakem zobaczył Ottona zabitego, to się wściekł, a Schulte powiadał, że on też tego nie daruje, bo przecież to jego krewniak, i pojedzie po mordercę, bo pracuje razem z nim w konsulacie. No to ja gadam, że ma go gdzieś wywieźć, to się z nim policzymy, może gdzie pod Cytadelę, ale Schulte na to, że jak go sprawimy, to wrzucimy do rzeki, żeby nie było śladu. No to ja jemu gadam, że niech go przywiezie na piaskarskie nabrzeże, bo tam można automobilem podjechać i go zaraz do wody wrzucić, ino dopiero, jak piaskarze odpłyną swoimi barkami, żeby nas nikt nie przyuważał. No i on pojechał, a ja wziął bagnety, co był wbity w Ottona, i poszedł nad rzekę, żeby czekać. I on jego przywiózł, a Pieskow się zdziwił i udawał, że nie wie, o co chodzi. No to mu wyjaśnił, że jest z niego kurwi syn i że za to, co zrobił, jego zsrane życie właśnie się kończy. A on zaraz na kolana i powiadał, że mi odda wszystkie pieniądze. I jeszcze gadał, że on tego Ottona nie zabił, bo i po co miałby zabijać, jak on nic mu nie uczynił złego. Alem mu nie uwierzył, bo wiadomo, że każdy pod nożem powie, co tylko mu ślina na język przyniesie,

a ja widziałem przecież zarzniętego Ottona, to niby kto to miał zrobić, jak nie on? No tom go dziabnął, bo za kolegę to może być ino śmierć. Znaczy się życie za życie. A bagnet wyrzucił ja do rzeki.

– Tyle zeznał ten Gargulec – powiedział Oskierko z wyraźną ulgą, bo od tego czytania zaschło mu w gardle.

– Napij się pan wody, panie Oskierko. – Fischer wskazał na karafkę stojącą na stoliku kawowym.

Aspirant podszedł tam i nalał pełną szklankę. Gdy wrócił do stołu, Fischer spojrzał na swoich podwładnych.

– No to kluczowe zeznanie już mamy, panowie. A co z pańskim wywiadem w szkole? – zapytał komisarz, przypomniawszy sobie, że Oskierko miał przesłuchiwać dzieciaki.

Ten, uśmiechając się pod nosem, sięgnął do swoich zapisków.

– Dwaj dziesięciolatekowie z klasy trzeciej, mieszkający na ulicy Chełmońskiego, Franciszek Żmurko i Feliks Jańczak, szli tego dnia do szkoły krótko po siódmej godzinie, ale mimo że padał deszcz, po drodze zatrzymali się, by zajrzeć do stojącego na ulicy Matejki mercedesa. Postali tam chwilę i zobaczyli, jak z bramy wychodzi dwóch mężczyzn. Jednego znali, bo to był wicekonsul, co tam mieszkał od niedawna, a drugi to był szofer w mundurze szoferskim. Obaj wsiedli do auta i odjechali. Pytałem, czy wyglądało to jakoś dziwnie, czy jeden drugiego nie prowadził siłą, ale chłopcy odpowiedzieli, że szli normalnie. Czyli stąd wniosek, że von Pieskow wyszedł z domu nieprzymuszony i wsiał do auta, bo nie spodziewał się niczego złego. A jak auto odjechało, zaraz potem wszedł do bramy taki jeden gość porządnie ubrany i wcale by go nie zapamiętali, gdyby nie to, że miał takie śmiesznie podkręcone do góry wąsy. Ale to już chyba nie ma znaczenia... –

podsumował niepewnym głosem Oskierko, który nigdy do końca nie był pewien swoich osądów.

Fischer zakończył naradę i zaczął się zbierać do wyjścia. Teraz, wyposażony w wiedzę na temat tego, co się naprawdę wydarzyło, mógł pójść na spotkanie z inspektorem Lisowskim. Ten czekał już na efekty działań swoich podwładnych, by przedstawić je prezydentowi miasta Cyrylowi Ratajskiemu. Ale nie dane mu było wyjść od razu, bo do gabinetu wpadł jak burza kapitan Mikołajewski, a z nim Tolek Grubiński. Obaj byli wyraźnie zadowoleni. Grubiński nawet bardziej niż Mikołajewski. Na początku Fischerowi zdało się, że to dlatego, ponieważ obaj roztaczali wokół lekką woń koniaku, ale za chwilę przekonał się, że alkohol mógł tylko wspomóc ich dobre nastroje, bo pierwotna przyczyna leżała gdzie indziej.

– Zobacz, co tu mam. – Mikołajewski położył przed nim szarą teczkę. Tę samą, którą Tolek znalazł w kasie ogniotrwałej kilka godzin temu.

– Co to jest?

– Zajrzyj. To kartoteki ludzi zaangażowanych w akcję pod kryptonimem Ikarus Posen. To akcja, która ma na celu sprowokowanie skandalu dyplomatycznego po wyeliminowaniu skompromitowanego dyplomaty i zrzuceniu winy na stronę polską.

Fischer otworzył ją i zdębiał. Wewnątrz znalazł kilka kart ze zdjęciami i danymi ludzi w niemieckich mundurach wojskowych. Wśród nich był znany mu człowiek, którego wcześniej widział tylko w cywilu. Tutaj ubrany był w mundur Reichswehry z pagonami pułkownika na ramionach.

– Ten tu to mój znajomek. – Tolek wskazał na zdjęcie młodego żołnierza niemieckiego. – Mieszka niedaleko mnie. – Tolek postukał palcem w fotografię przedstawiającą krótko

obciętego młodego mężczyznę. – Nazywa się Joseph Schulte i jest kierowcą w konsulacie na Zwierzyńwieckiej.

Komisarz pokiwał głową. Właśnie zdał sobie sprawę, że ten szofer najprawdopodobniej był tylko pionkiem w tej dyplomatycznej prowokacji. Za sznurki pociągał ktoś zupełnie inny, człowiek, którego do dzisiaj nie podejrzewał o udział w takiej niegodnej rozgrywce.

Ustalenie z Mikołajewskim i Grubińskim kilku następnych kroków zajęło komisarzowi zaledwie pięć minut.

– Panie Tolku, to zlecenie może się wydać dziwne, ale w tym mieszkaniu musi pan ukraść buty. Chodzi o męskie buty i wystarczą mi tylko lewe – wyjaśnił, a złodziej wzruszył ramionami.

– Nasz klient, nasz pan – oznajmił Grubiński, uśmiechając się pod wąsem.

Wiedział bowiem dobrze, podobnie jak Fischer, że jeśli już wejdzie do mieszkania, to oprócz butów weźmie wszystko, co wpadnie mu w ręce.

Gdy obaj goście wyszli, by udać się do miasta za swoimi sprawami, w drzwiach stanął dyżurny podoficer z kartką w dłoni.

– Melduję, że jest telegram do pana komisarza z samej Warszawy. – Podoficer podał mu papier i od razu zrobił w tył zwrot. Fischer rozprostował złożoną na czworo kartkę i zaczął czytać.

Do Fischer A. kom.

kluski rozwałkowane wałkiem stop seans ustawiony stop zjawa to aktor Borecki stop wszystko ukartowane recytacja opłacona stop zapłacił dyplomata stop smacznego stop

Podpis Strasburger K. asp.

A cóż to za błazen ten Strasburger, pomyślał Fischer, ale uśmiechnął się pod wąsem, bo mimo że telegram był zabawny, to jednak zawierał tę najistotniejszą dla komisarza informację, potwierdzającą jego przypuszczenia.

[50] *Arbeitloser* (niem.) – bezrobotny.

[51] *Finis coronat opus* (łac.) – koniec wieńczy dzieło.

Epilog

Dwa dni później
Poniedziałek
28 kwietnia

Godzina 8.15 wieczorem

Komisarz Fischer w cywilnym garniturze z modnej, lekko prążkowanej szarej wełny stał w westybulu, z którego goście seansu wchodzili do dużego salonu hrabiny Kossobudzkiej von Zanthier. Gospodyni, jak na damę z klasą przystało, witała zaproszonych gości nie wewnątrz salonu, ale na zewnątrz, niemalże w progu domu. Promieniejąca hrabina podawała rękę do ucałowania mężczyznom, a kobiety pozdrawiała lekkim skinieniem głowy. Przybyłych wprowadzał do środka lokaj, a drzwi otwierała ubrana w czarną sukienkę za kolana i biały fartuszek pokojówka, prywatnie żona Anastazego Olkiewicza. Przed chwilą mało nie wybuchnęła gromkim śmiechem, gdy zobaczyła swoich dwóch znajomych, ubranych, jakby właśnie uciekli z konduktu pogrzebowego. Gil miał na sobie czarny surdut, a Okoń frak, dość średnio do niego pasujący. Ale on na ten ubiór nie zwracał większej

uwagi. Bardziej chodziło mu o to, co ma robić, a zadanie, które przewidział dla niego Fischer, było tak niecodzienne, że bał się popsuć wszystko przez zapomnienie albo nieuwagę. Za to Gil był w swoim żywiole. On doskonale się bawił, wchodząc w nową dla siebie rolę. Dziś zamierzał jednakowoż odegrać ją pierwszorzędnie.

– Pani hrabino, proszę pozwolić, że jej przedstawię słynnego znawcę sztuk ezoterycznych, pana Rioletto. – Komisarz wskazał na stojącego obok Okonia.

– Och, to naprawdę wielki zaszczyt, że mogę pana gościć w swoim domu. Wiele słyszałam o pańskich sukcesach.

– Ja też – wypalił Okoń, który wcielał się w mistrza ceremonii.

– Pan nie jest Włochem? – zdziwiła się hrabina.

– Ja? Broń Boże! – odparł Okoń. – Nigdy w życiu!

– Pan Rioletto przyjął ten włoski pseudonim, by oddzielić życie prywatne od spirytystycznego – pośpieszył z wyjaśnieniem Fischer. – Na co dzień jest bowiem urzędnikiem, a kwestie transcendentne zgłębia tylko w trakcie seansów.

– O, i bardzo słusznie, drodzy panowie. Bo świat ludzi zwyczajnych jeszcze nie dorósł do praktyk, które dla nas, ludzi światowych, stają się normą. A pan? – Spojrzała w dół na niezbyt wysokiego Gila.

– Pan Seweryn Gil nie nosi pseudonimu – wyjaśnił komisarz.

– Nie potrzebuje, gdyż i tak świat tajemny jest doskonale obznajomiony z nim i jego możliwościami. Nie musi się ukrywać. – Fischer wolał sam dokonać prezentacji, żeby czasami Gil z czymś nie wypalił. Ale jego obawy były próżne. Wywiadowca bowiem potrafił się znaleźć w tej niezwyklej sytuacji.

– Szanowna pani hrabino, to dla mnie niezmierny zaszczyt gościć w pani niskich progach i móc dla osoby o tak wielkiej wiedzy i możliwościach być przez ten wieczór przodownikiem w świecie tajemnic i ciemności, co my z niego wydobędziemy promyk prawdy. A dla potrzeb ceremoniału proszę nie zużywać mojego nazwiska, ale powiedzieć publicznie, że jestem mistrzem *par excellence*. Czy wszakże, owszem, możemy zaczynać?

– Naturalnie, mistrzu, czekaliśmy już tylko na panów. Zapraszam. O, a oto butelka wódki dla pana, mistrzu. – Hrabina wskazała na kamerdynera, który na tacy miał ustawioną flaszkę żytniówki.

– Pani wybaczy, ale w trakcie pracy nie piję – zaproponował Gil. Chętnie by wypił, ale bał się, że może zapomnieć którejs z swoich kwestii, więc wolał z alkoholem poczekać do szczęśliwego zakończenia seansu.

– Proszę wybaczyć, ale pan Kluski ostatnio...

– To znana moczymorda – stwierdził nonszalancko Gil. – Ja natomiast preferuję trzeźwe podejście do ezoteryki, szanowna pani, czyli wew pracy duchowej jestem abstynent.

Usiadł na krześle stojącym na środku sali. Za nim rozpościerało się wiszące jak kinowy ekran białe prześcieradło. Naprzeciw medium w kilku rzędach siedzieli zaproszeni goście. W pierwszym z nich zajął miejsce Feliks Mikołajewski z towarzyszącą mu panną Marleną von Pieskow. Obok usiadła jej ciotka Gertruda. Przy niej towarzyszył i przyjaciel gospodyni, adwokat Marian Siekierzyński. Przywitał się z panią von Pieskow bardzo zdawkowo, tak jakby się nie znali, co nie uszło uwagi komisarza. On jeszcze nie zajął miejsca, tylko pilnie obserwował zebranych. Skinął głową nadradcy Gebhardowi siedzącemu w drugim rzędzie obok Alfreda Fischera. Tuż przy nim rozsiadł się inspektor Lisowski,

który, usłyszawszy od Antoniego o tym niezwykłym seansie, nie mógł sobie odmówić przyjemności wzięcia w nim udziału. Prócz nich było tu jeszcze kilkanaście osób należących do grona stałych gości hrabiny, ludzi światowych, bywalców najświetniejszych poznańskich salonów.

Gospodyni, widząc, że wszyscy zajęli już miejsca, wyszła na środek i stanęła obok krzesła, na który rozsiadł się Gil.

– Szanowni, drodzy goście, bracia i siostry, umiłowani i rozmiłowani w wiedzy tajemnej, dziś czeka nas niezwykły spektakl, w którym pierwsze skrzypce zagra pan Rioletto. – Wskazała na Okonia, który zrobił natychmiast głupią minę.

– Ale ja nie mam skrzypiec – wyjaśnił, a publiczność wybuchła śmiechem.

– Cóż za wspaniały humor, maestro Rioletto. A wraz z nim sam mistrz, czyli *spiritus movens*^[52] naszego misterium. To co, możemy zaczynać?

Spojrzała na Okonia, a ten skinął głową. Hrabina klasnęła w dłonie, a kamerdyner Alfons Kuśmider przekręcił wyłącznik światła. Paliła się tylko jedna świeca stojąca na niewielkim stolyczku, ustawionym tuż przy krześle, na którym siedział Gil.

– I jak pan to znajduje? – szepnęła gospodyni do ucha komisarza.

– Fenomenalnie, droga pani. Fenomenalnie.

– A ten mistrz da radę?

– Wszystko w rękach Rioletta. Ale on ma moc w dłoniach. Zobaczycie pani, to cudotwórca.

Gil siedział z napiętą miną. Za nim stanął Okoń–Rioletto, który położył mu obie dłonie na głowie.

– A teraz, mistrzu – zaczął niepewnym głosem – porachuję do dziesięciu. Jak się już doliczę do dziesięciu, przywołasz tu ducha zez zaświata. No to uwaga, bo liczę.

Oczy wszystkich skierowały się na twarz Gila, gdyż ten skrzywił się niemiłosiernie, jakby już zaczął nawiązywać kontakt.

– Raz, dwa, trzy... – liczył powoli, jednak drżącym z przejęcia głosem Rioletto.

Gil jęknął przeciągle i podskoczył na krześle. Z kilku gardeł co bardziej wrażliwych pań wyrwały się okrzyki świadczące o wielkim przejęciu.

– Cztery, pięć, sześć...

– Ach! Auuu! – Mistrz Gil zawył jak wilk.

– Już się zbliża! – stwierdził jakiś mężczyzna, który zapewne dobrze znał się na takich seansach.

– Siedem, osiem, dziewięć...

– Jesteś tu? – zawołał Gil.

– Och, ach, ech! – krzyknęły płochliwe niewiasty.

– Dziesięć!

– Aaaaa! Czuję twoją obecność. Jesteś? Czy tu jesteś? – wołał Gil, a nikt inny nie śmiał się odezwać. – Czy jesteś?

– Jestem! – Głos doleciał gdzieś spoza pleców medium. Rioletto uniósł dłonie w białych rękawiczkach, potem rozłożył je szeroko w teatralnym geście, by w końcu uklonić się i odejść na bok. Gdy zniknął w ciemnościach, biała płachta z tyłu zafalowała i naraz pojawiły się na niej odciski dwóch dłoni!

– Oooo! – zawołali zebrani, ujrawszy ten materialny dowód istnienia ducha.

– Jak tam ci w tych zaświatach, duchu? – pytał Gil.

– Jestem duszą potępioną, co nie może dostać się do nieba i musi pozostać na wieki w czyścicu.

– Dlaczego nie możesz pójść do nieba?

– Bom umarł zabity bez sakramentów świętych.

– A kim żeś był za życia?

Naraz dłonie opierające się o materiał zniknęły, a zamiast nich zaczął pojawiać się zarys twarzy. Ludzie obserwujący to niezwykle zjawisko nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Hrabina zakryła oczy.

– Jestem Albrecht von Pieskow! – powiedziała zjawa. Wokół zapadła kompletna cisza. Widzowie zastygli z przerażenia.

– To on, poznaję, to mój stryj Albrecht. – Marlena poderwała się z miejsca. – Stryju, powiedz, kto cię zabił?

– On nie słyszy waszych głosów. On słyszy tylko mnie! – wyjaśnił mistrz Gil. – Duchu, powiedz, kto cię zabił? – powtórzył pytanie bratanicy.

– Zabił mnie człowiek, co trzymał w ręce bagnet. Mój były żołnierz nasłany przez zdrajców. Ale bagnet kazał wbić w moją pierś on! – Twarz zniknęła. Zamiast niej pokazała się znów ręka, a właściwie wysunięty palec, owinięty materiałem. Ludzie spojrzeli na palec, a potem po sobie, bo nikt nie wiedział, kogo duch wskazuje.

– On, czyli nadradca Marius Gebhardt, co całą sprawę przyszykował, żeby mnie zniszczyć.

– Bzdura! – Gebhardt podskoczył w górę jak oparzony. – Chciał ruszyć do przodu i rzucić się na ducha, ale że siedział w drugim rzędzie, zatrzymał się na pierwszych krzesłach. Jednak czujny Rioletto-Okoń zrozumiał w mig, czym się to może zakończyć, i wpadłszy między widzów, chwycił nadradcę za ramiona i usadził z powrotem na miejscu.

– A czemu chciał cię zniszczyć? – zapytał mistrz.

– Dla pieniędzy! W 1914 roku po bitwie pod Tannenbergiem przejąłem skrzynię ze złotem generała Samsonowa. Nie oddałem jej naszemu dowództwu, ale ukryłem w swoim majątku w Prusach. Pomagał mi w tym ten człowiek. – Dłoń ducha zakryta prześcieradłem znów oskarżycielsko wysunęła się do przodu. – Dzięki tym pieniądzom mogłem podreperować

mój upadający majątek, a on, ten, który wziął połowę fortuny, przepuścił wszystko w karty. Gdy stracił pieniądze, przyszedł do mnie po pożyczkę. Pożyczyłem mu dużą sumę i wziąłem weksle. Gdy przyjechałem do Poznania, nasze drogi znów się zeszły. Zażądałem spłaty, ale on nie zamierzał mi nic oddawać. Powiedział, że mam mu zwrócić weksle, bo w przeciwnym wypadku zdradzi naszą tajemnicę. Posunął się do szantażu i taniej mistyfikacji, by mnie przestraszyć. Podczas seansu spirytystycznego u hrabiny von Zanthier wprost zagroził mi śmiercią...

– Milcz, ty kanalio! – krzyknął Gebhardt, próbując wstać z miejsca, jednak nie dał rady wyzwolić się z żelaznego uścisku Okonia. – Nie słuchajcie go! To wszystko ukartowane. To nie jest żaden duch. To jest aktor!

– Światło! Więcej światła – nakazał komisarz Fischer niczym Goethe przed śmiercią, a kamerdyner, który za pieniądze gotów był zrobić wszystko dla każdego, kto płacił, przekręcił włącznik. Dwa kryształowe żyrandole rozbłysły tysiącami refleksów. Ta jasność sprawiła, że zebrani naraz przypomnieli sobie o duchu. Ale za białą materią nie było już nikogo. Nie mogło być, bo pokojówka Olkiewiczowa, zanim jeszcze zapaliło się światło, zdążyła wyprowadzić stamtąd ducha, którego odgrywał bardzo realistycznie aktor Borecki. Ten sam, który występował już podczas poprzedniego seansu u hrabiny, wcielając się wówczas w ducha hrabiego von Zanthier.

Tymczasem Fischer, zanim przystąpił do ataku, spojrzął na Marlenę von Pieskow. Ta, zerknąwszy na Gebhardta, skinęła szybko głową. Widać rozpoznała w nim mężczyznę, który w sztabie okręgu rozmawiał z generałem na temat usunięcia von Pieskowa. Jeszcze przed seansem Antoni poprosił ją, by potwierdziła, czy jest to ten sam człowiek. Podwinęte

fantazyjnie do góry wąsy były tym szczegółem, który dobrze wrył się jej w pamięć.

– Panie nadradco, oskarżam pana o zorganizowanie intrygi, która doprowadziła do zamordowania wicekonsula Konsulatu Generalnego Rzeszy Niemieckiej, pana Albrechta von Pieskow. Wszelkie dane w tej sprawie prześlemy polskim władzom dyplomatycznym, a te prześlą je do Niemiec.

– A przekazuj pan sobie, co mnie te bzdury obchodzą. To wszystko wyssane z palca nedorzeczości!

– Wszystko to, o czym powiem za chwilę, zostało dokładnie zbadane. Tak jak podeszwy pańskich butów, które pozostawiły mokre ślady w przedpokoju mieszkania wicekonsula von Pieskow tego ranka, gdy zaginął. Te ślady zostały przez nas zabezpieczone i porównane z pańskimi trzewikami. Pasują idealnie.

– Jak z moimi? A skąd niby pan ma moje trzewiki, co to ma znaczyć, panie... A więc to pan nasłał tych złodziei. Polska policja organizuje włamania do mieszkań dyplomatów. Niebывały skandal! – Wyciągnął z kieszeni białą chustkę i przetarł nią czoło.

– Coś panu spadło. – Komisarz pochylił się i udał, że podniósł z podłogi jakiś przedmiot. Podsunął go nadradcy na otwartej dłoni. Ten spojrział tylko i chwycił białą lufkę ze srebrnym wykończeniem z kości słoniowej. Nie podziękowawszy nawet, schował ją do kieszeni.

– Piękne cacko. To chyba kość słoniowa – stwierdził policjant.

– Musiała mi wypaść... jak wyciągałem chusteczkę.

– Więc twierdzi pan, że to pańska lufka? – upewnił się Fisher.

– No oczywiście. Ale co to ma za znaczenie? Nie dość, że pan w zмовie z jakimś cholernym duchem imputuje mi dokonanie

jakiejs zbrodni, to teraz jeszcze zawraca mi głowę jakąś kolejną bzdurą.

– Nie bzdurą, panie nadradco. Zaraz wyjaśnię, w czym rzecz. Ale o pomoc poproszę panią Gertrudę von Pieskow.

Spojrzał na siedzącą na krześle kobietę, przysłuchującą się z zaciekawieniem temu przedstawieniu.

– Czy zechciałaby mi pani pomóc?

– Oczywiście, nie wiem tylko, w jaki sposób.

– Rozmawialiśmy jakiś czas temu o tych kościanych lufkach, które pani mąż zamówił u pewnego jubilera.

– Tak, to prawda. Z kości słoniowej, którą przywiózł z Afryki, kazał zrobić dziesięć lufek, osadzając je w srebrze.

– Co się z nimi potem stało?

– No cóż, to były prezenty dla przyjaciół. Jedną mam w domu, na biurku męża. Pozostałe zostały wydane. Ostatnia była jeszcze niedawno u nas, ale wiem, że niedawno mąż ją komuś podarował. Ale nie powiedział komu.

– Czy pani mąż miał w zwyczaju obdarowywać ludzi, których dopiero co poznał?

– Nie, nie sadzę. On miał bardzo duży sentyment do tych lufek. Mówił, że zamknięte są w nich ważne wspomnienia. Dlatego każda z nich miała swój numer wygrawerowany na srebrnej opasce. Ta należąca do męża miał numer jeden.

– A ta ostatnia, która jeszcze do niedawna była u państwa?

– Była oznaczona numerem dziesięć.

– Zechce nam pan pokazać swoją, panie nadradco? – zapytał Fischer i wyciągnął dłoń w kierunku radcy. Ten mruknął coś pod nosem i zaraz wydobył lufkę z kieszeni. Fischer chwycił ją, a potem zmrużywszy oczy, spojrzał na srebrną oprawę.

– Rzeczywiście jest dziesiątka. Dostał pan lufkę numer dziesięć – stwierdził zadowolony policjant.

– I co z tego? – odburknął dyplomata.

- Ano tyle, szanowny panie Gebhardt, że lufkę, która ma pan w kieszeni, odnalazłem na miejscu popełnienia zbrodni. W miejscu, gdzie zginął niejaki Hildebrand, były żołnierz, który wiedział, że von Pieskow ukrył złoto sztabu generała Samsonowa w swoim majątku w Prusach Wschodnich. Wiedział też, że jego współnikiem był pan! A poza tym zabicie Hildebrandta i zrzućenie winy na von Pieskowa było świetnym pomysłem, bo jego przyjaciel, niejaki Gargulec, od razu postanowił go pomścić. Pański kierowca Schulte wywiózł wicekonsula na piaskarskie nabrzeże, a tam zamordował go Gargulec. I na tym polegał wasz plan. Pan pozbywa się człowieka, któremu winien był pieniądze, a jednocześnie przygotowuje prowokację, która ma wśród miejscowych Niemców rozdmuchać antypolską histerię. Ginie niemiecki stróż-weteran, potem jego dowódca i konsul w jednej osobie, a potem byliby następni. A do tego jeszcze zadbał pan o odpowiednią oprawę. Na miejsce zbrodni Schulte przywiózł fotografa z gazety, polskiej gazety, którą trudno byłoby posądzać o antypolskość. Pani Gertrudo – komisarz zwrócił się do wdowy – czy może nam pani dokładnie powtórzyć, co powiedział mąż kilka dni przed śmiercią?

- Powiedział, że wojenne demony powróciły i to nie tylko w postaci nocnych koszmarów, ale też całkiem fizycznie...

Naraz Gebhardt uderzył głową w brzuch przytrzymującego go Okonia. Policjant zatoczył się i upadł na przedni rząd krzeseł. Nadradca poderwał się i z szybkością, o którą trudno byłoby go podejrzewać, przemierzył bibliotekę kilkoma susami. Stojący przy drzwiach kamerdyner Alfons Kuśmider, widząc biegnącego gościa, z właściwą sobie flegmą otworzył drzwi, by ten nie zrobił sobie czasem krzywdy. Gebhardt wybiegł na korytarz, a o tym, że opuścił mieszkanie, świadczył tylko stukot jego obcasów na drewnianych schodach. Oszołomiony

Okoń po chwili zebrał się w sobie i chciał ruszyć za uciekinierem. Fischer go jednak powstrzymał.

– Zostań, nie ma potrzeby – stwierdził, uśmiechając się pod wąsem. – Niestety nie mogę go aresztować – powiedział, patrząc na zebranych gości. – Ma dyplomatyczny immunitet, ale na szczęście wszystko na temat jego poczynań wie już mój kolega z berlińskiej policji, więc jemu przekażę pełny raport na temat tego, co pan zrobił.

– A ja przekażę go na biurko dyrektora policji na Alexanderplatz – stwierdził Alfred Fischer.

Komisarz Fischer nie miał zamiaru ścigać Gebhardta, bo nie było takiej potrzeby. Już samo zdemaskowanie go jako mordercy podczas seansu w jednym z najznamienitszych arystokratycznych domów odbije się szerokim echem w świecie i na pewno spowoduje odwołanie Gebhardta ze stanowiska w Poznaniu. Tego Fischer był pewny i właśnie dlatego urządził to dzisiejsze przedstawienie. Nadradca Marius Gebhardt był ostatecznie skompromitowany. Fakt, że uciekł z salonu hrabiny Kossobudzkiej von Zanthier, był jak przyznanie się do winy. A w razie czego komisarz miał w kieszeni jeszcze dodatkowy dowód, weksle dłużne podpisane przez Gebhardta, wystawione na nazwisko von Pieskow, opiewające na sto tysięcy marek. Dostał je dziś rano od Tolka Grubińskiego wraz z kilkoma butami należącymi do nadradcy.

– Gratuluję, panie komisarzu. – Do pogrążonego we własnych myślach Fischera podszedł inspektor Lisowski. – Wie pan, byłem na kilku seansach spirytystycznych i na wszystkich wynudziłem się jak mops. Jednak na dzisiejszym ubawiłem się setnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Niech mi pan, wszakże, jedno tylko powie. Skąd pan wytrzasnął tego ducha?

– Panie inspektorze, takie duchy tylko w Polskim Teatrze można znaleźć.

Kurier Poznański – wydanie popołudniowe
28 kwietnia 1930

Zagadka śmierci wicekonsula Rzeszy Niemieckiej rozwiązana

Jak poinformował nas Szef Poznańskiej Grupy pościgowej komisarz Antoni Fischer, niemiecki dyplomata został zabity przypadkiem, gdy odwiedzał w domu swojego dawnego żołnierza Ottona Hildebrandta. W spotkaniu brał udział jeszcze jeden weteran pruskiej armii Wincenty Gargulec, również podkomendny tego dyplomaty. W trakcie wojennych wspomnień najprawdopodobniej doszło do awantury, być może spowodowanej nadmiarem alkoholu, i Gargulec jako osoba porywcza wy dobył z kieszeni bagnet i nim zamordował obu weteranów. Później ciało von Pieskowa zaniósł do pobliskiego kanału portowego i tam utopił. Gdy wracał do mieszkania, żeby podobnie uczynić z ciałem Hildebrandta, został spłoszony przez naszego reportera, który już był na miejscu powiadomiony przez czujnych mieszkańców, co za każde takie zawiadomienie, pozwalające nam stawić się na miejscu zbrodni przed policją, otrzymują nagrodę pieniężną w wysokości dwudziestu pięciu złotych. Dlatego drugiego ciała nie usunął, a szanowni czytelnicy mogli zobaczyć jego zdjęcie na naszych łamach, które to dziś również powtarzamy wraz z twarzą zabójcy Gargulca. Tego w procesie o podwójne morderstwo będzie bronił mecenas Siekierzyński, znany z wielu procesów, w których bronił różnych rzezimieszków bardzo skutecznie. Jednak tu publika nie daje mu dużych szans, bo morderstwo podwójne zostało mu już udowodnione, choć przyznał się tylko do jednego. O przebiegu tego procesu będziemy szanownych czytelników informować w codziennych naszych wydaniach porannych i popołudniowych. A komisarzowi Antoniemu Fischerowi gratulujemy dzielności i policyjnej skrupulatności w rozwiązywaniu najtrudniejszych spraw.

Kurier Poznański – wydanie poranne

29 kwietnia 1930

Dwaj złodzieje wychodzą na wolność

Dwaj poznańscy złodzieje bracia Kaźmierczakowie wychodzą z więzienia. Jak dowiedzieliśmy się ze źródeł dobrze poinformowanych, obaj zamieszani byli w śmierć niejakiego Karolczaka, oszusta karcianego, który miał zginąć z ręki Kaźmierczaków, gdyż tak zeznali świadkowie. Obaj Kaźmierczakowie jednak nie przyznawali się do winy, a świadkowie w międzyczasie wycofali swoje zeznania, zasłaniając się niepamięcią i alkoholem. W związku z tym sąd, nie mając żadnego potwierdzenia, a także wobec nieprzyznania się do winy obu braci, zmuszony był sprawę zamknąć, a obu podejrzewanych wypuścić, co też się stało wczoraj wieczorem.

Berliner Tageblatt

11 maja 1930

Utopieni w kanale Landwehry

Dziś nad ranem doszło do wypadku drogowego w samym centrum miasta. Do Kanału Landwehry wjechał rozpędzony mercedes. Gdy koło południa udało się wyciągnąć z wody auto, okazało się, że w środku znajdują się ciała dwóch mężczyzn. Obaj zostali szybko zidentyfikowani przez policję, a to dzięki temu, że mieli przy sobie dokumenty. Pasażerem był pan Marius Gebhardt, nadradca Konsulatu Generalnego Rzeszy Niemieckiej w Posen, a kierowcą szofer tegoż konsulatu, pan Joseph Schulte. Nie wiadomo, dlaczego doszło do wypadku, bo warunki atmosferyczne były sprzyjające, a jezdnia nie była mokra. Być może winę ponosi brak doświadczenia kierowcy, któren to nigdy jeszcze nie jeździł po tak wielkim mieście jak Berlin, gdyż pochodził z prowincjonalnego Posen, nie był jednak Polakiem, ale rodowitym Niemcem, i raczej nie można przypuszczać, aby chciał w ten sposób, wjeżdżając celowo do kanału, pozbawić życia swego pryncypała. Przedstawiciel berlińskiej policji, komisarz Alfred Fischer, jest zdania, że w tę sprawę raczej nie można mieszać osób trzecich i rzeczywiście był to nieszczęśliwy wypadek. A skoro

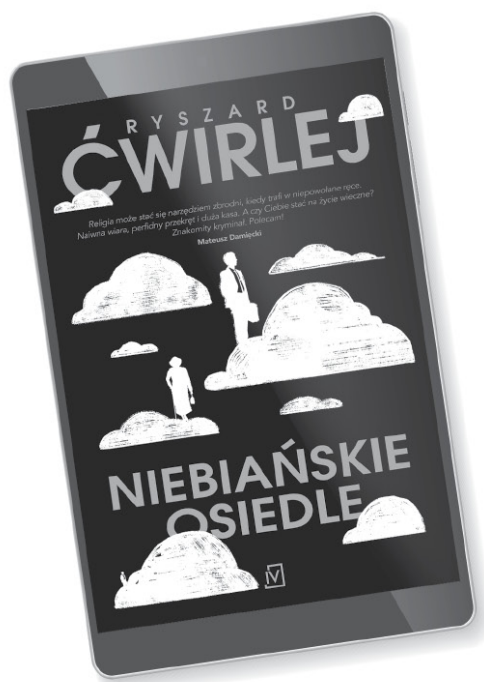
był to wypadek, nie ma mowy o jakimkolwiek dyplomatycznym skandalu, który mógłby psuć niemiecko-polskie stosunki.

Koniec

Cerekwica, 29 lutego 2022 roku
5 dzień wojny na Ukrainie

[52] *Spiritus movens* (łac.) – siła sprawcza, inspirująca działania.

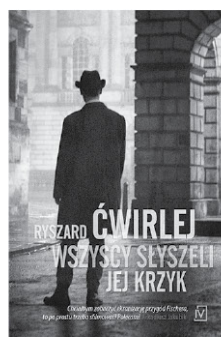
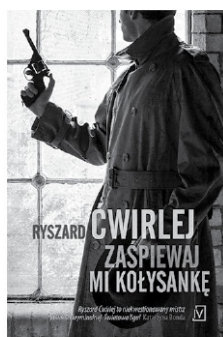
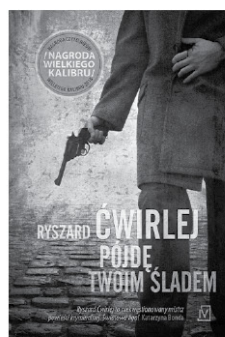
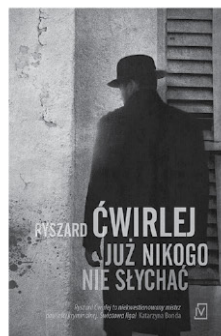
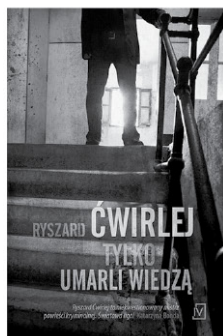
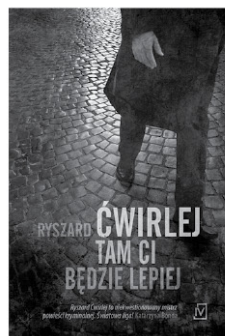
**NOWA SERIA I NOWY BOHATER
WIELOKROTNIENAGRADZANEGO AUTORA!**



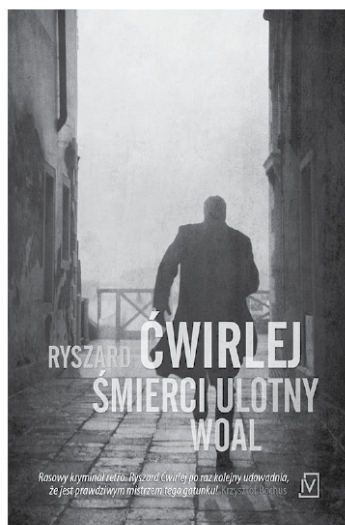
**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL





**POZNAJ
BESTSELLEROWĄ
SERIĘ
KRYMINAŁÓW
RETRO!**



Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Epilog](#)

[Polecamy również](#)